

Thriller lata 2005

Kod Leonarda da Vinci nowej generacji

ATLANTYDA

DAVID GIBBINS



DAVID GIBBINS

Uznany archeolog, autor wydanej w setkach tysięcy egzemplarzy debiutanckiej powieści sensacyjno-przygodowej, ujawniającej wielki sekret historii

David Gibbins specjalizuje się w archeologii podwodnej. Ukończył Cambridge, jest autorytetem w dziedzinie starożytnych wraków i podwodnych znalezisk. Przeprowadził wiele ekspedycji w celu eksploracji zatopionych miast. **Atlantyda**, jego pierwsza powieść, została przebojem lata 2005 w Wielkiej Brytanii. Wydana w 250 000 egzemplarzy i przetłumaczona na 22 języki książka to wciągający thriller, a zarazem fascynująca eksploracja zagadek historii. Krytyka napisała o powieści Gibbinsa: „**Kod Leonarda da Vinci** nowej generacji: ale tym razem to może być prawda!”

ATLANTYDA

Zafascynowany od wieków legendą Atlantydy człowiek nigdy nie ustął w poszukiwaniach baśniowej wyspy, zamieszkiwanej przez ludzi żyjących w harmonii i dostatku, cywilizacji rozwiniętej bardziej niż jakakolwiek inna, społeczeństwa doskonałego, które nagle zaginęło w odmętach fal, nie pozostawiając śladu i skrywając swoją wielką tajemnicę za murami zatopionego miasta. Aż pewnego dnia archeolog Jack Howard natrafia na klucz do rozwiązania zagadki podczas eksploracji morskich głębin.

Ale nie tylko on pragnie odnaleźć skarby sprzed tysięcy lat – ktoś jeszcze zna lokalizację Atlantydy. Archeolog zostaje uwikłany w grę na śmierć i życie, która może zniszczyć wiele istnień.

Odkrycie przekraczające najśmielsze marzenia ma wysoką cenę...

Niebywale połączenie akcji, przygody, historii i największej zagadki ludzkiej cywilizacji. „Daily Telegraph”



SENSACJA

Wydawnictwo AMBER zaprasza
do własnej księgarni internetowej:
www.wydawnictwoamber.pl

Cena det. zł 29,80



ATLANTYDA

DAVID GIBBINS

Przekład

Radosław Januszewski



Ta powieść to fikcja. Nazwiska osób, nazwy instytucji, miejsca i wydarzenia

są wytworem wyobraźni autora i nie powinny być uważane za prawdziwe. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych albo innych fikcyjnych wydarzeń, miejsc, organizacji i osób, żyjących lub zmarłych, jest całkowicie przypadkowe. Tło faktograficzne omówione jest na końcu książki.

PROLOG

Starzec zatrzymał się i uniósł głowę, oniemiały z wrażenia jak wtedy, gdy po raz pierwszy stanął przed tą świątynią. Niczego podobnego nie no jeszcze w jego rodzinnych Atenach. Wznoszące się wysoko nad nim wrota zdawały się dźwigać cały ciężar niebios, a potężne filary rzucały w świetle księżyca cień sięgający poza świątynię, daleko na połyskującą przestrzeń pustyni. Przed nim ciągnęły się rzędy wielkich kolumn niknące w przepaścistym przedsionku. Ich wypolerowane powierzchnie pokrywały hieroglificzne inskrypcje i ogromne płaskorzeźby, ledwie widoczne w migoczącym świetle pochodni. Jedynym śladem drogi, która wiodła dalej, był szumiący chłodny powiew, niosący ze sobą stęchły zapach kadzidła, jakby ktoś właśnie otworzył drzwi do dawno temu zamkniętej komory grzebalnej. Starzec wzdygnął się mimo woli, a jego stoicka zaduma na chwilę ustąpiła irracjonalnemu strachowi przed nieznanym, przed potęgą bogów, których nie umiał

ułagodzić i których nie obchodził dobrobyt jego ludu.

- Chodź, Greku. - Słowa jak syk dobiegły z ciemności, gdy służa zapala pochodnię od jednego z ogni płonących przy bramie. Migotliwe płomienie oświetliły muskularną, szczupłą postać człowieka odzianego jedynie w przepaskę biodrową. Potem widać było tylko, jak podskakujący płomień

znaczy jego drogę. Służa zatrzymał się u wejścia do wewnętrznej świątyni i czekał

Gardził tym *hellenos*, tym Grekiem z łysą czaszką i zmierzwioną brodą i jego niekończącymi się pytaniami, który kazał mu czekać w świątyni co noc, dawno po skończonej służbie. W dodatku zapisywał coś na swoich zwojach, a to mogli robić wyłącznie kapłani.

Teraz pogarda sługi zamieniła się w nienawiść. Rano jego brat Seth wrócił z Naukratis, pobliskiego ruchliwego portu, gdzie brązowe wody wezbranego Nilu wpadały do Wielkiego Morza Środkowego. Seth był zrozpaczony. Zawie-rzył belę materiału z warsztatu ojca w Fajum greckiemu kupcowi, który teraz twierdził, że towar utonął podczas katastrofy morskiej. Już wcześniej obawiali się, że przebiegli Grecy wykorzystają ich nieznajomość handlu. Teraz złe przeczucia się sprawdziły, budząc nienawiść. To była ich ostatnia nadzieja na wy-bawienie od pełnego trudu życia w świątyni, nieco tylko lepszego niż życie pawianów i kotów, które czaiły się w ciemnych zakamarkach za kolumnami. Sługa popatrzył jadawicie na idącego starca. Nazywają go Prawodawcą. - Ja ci pokażę - mruknął pod nosem - co moi bogowie myślą o twoich prawach, Greku.

Wnętrze świątyni było zupełnym przeciwieństwem odpychającej wynio-słości przedsionka. Tysiące igiełek światła jak świetliki wyrastały z glinia-nych lampek oliwnych stojących wokół komnaty wykutej w skale. Z sufitu zwisały wymyślne, brązowe kadzielnice, a postrzępione smugi dymu two-rzyły w pomieszczeniu warstwę mgiełki. Ściany zryte były zagłębieniami podobnymi do nisz grzebalnych w nekropolii. W ich wnętrzu złożono nie ciała owinięte w cucony i urny z popiołami, ale wysokie, niezapieczone dzbany, z których wystawały zwoje papirusów. Obaj mężczyźni zeszli po schodach. Odór kadzidła wzmógł się, a w ciszę wkradł się pomruk, stopnio-wo coraz bardziej rozumiały. Przed nimi stały dwa filary zwieńczone gło-wami orłów - ościeżnice wielkich drzwi z brązu, których skrzydła otworzyły się w ich stronę.

Za drzwiami ukazały się wyrównane szeregi ludzi. Niektórzy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na trzciniowych matach, ubrani tylko w przepaski biodrowe, przygarbieni nad niskimi stolikami. Jedni kopiowali rozwinięte zwoje, inni pisali to, co im dyktowali cicho odziani w czarne szaty kapłani; ściszony pomruk ich słów był jak łagodny, falujący chorał. Znajdowali się w skrytorium, komnacie mądrości, ogromnej składnicy zapisanej i zapa-miętanej wiedzy, przekazywanej od kapłana do kapłana od zarania dziejów, od czasów poprzedzających budowniczych piramid.

Sługa wycofał się w cień schodów. Nie wolno mu było wchodzić do kom-naty. Miał czekać, aż nadejdzie czas, kiedy odprowadzi Greka. Ale tego wie-czoru zamiast tracić godziny na czarnej nienawiści, pławił się w ponurej satysfakcji na myśl o wydarzeniach, które zaplanował.

Starzec przecisnął się obok niego, chcąc jak najszybciej wejść. To była jego ostatnia noc w tej świątyni, ostatnia szansa, by zgłębić tajemnicę, która

trawiła jego ciekawość od czasu poprzedniej wizyty. Jutro zaczynało się trwające przez miesiąc święto Tota, kiedy nikogo nowo przybyłego nie wpuszcza się do świątyni. Wiedział, że człowiek z zewnątrz nigdy więcej nie uzyska posłuchania u najwyższego kapłana.

W pośpiechu potknął się i wpadł do komnaty, upuszczając z traskiem zwój i pióra. Skrybowie na chwilę oderwali się od pracy. Mruknął coś zirytowany i rozejrzał się przepraszająco, zanim zebrał swoje rzeczy i poczłapał do pakamery po drugiej stronie pomieszczenia. Schylił głowę w niskich drzwiach i usiadł na trzcinowej macie. Już poprzednio domyślił się, że ktoś czeka na niego w ciemnościach.

Solonie Prawodawco, jestem Amenhotep, najwyższy kapłan. Głos był cichy, ledwie wznosił się ponad szept, zdawał się równie stary jak bogowie.

- Przybyłeś do mojej świątyni w Sais, a ja cię przyjąłem. Szukasz wiedzy, a ja dałem to, co wola bogów nam przekazała.

Wysłuchawszy powitania, Grek wygładził białą szatę na kolanach i przyszykował zwój. Amenhotep nachylił się w ciemnościach, jego twarz oświetlił migotliwy płomyk. Solon widział tę twarz już wielokrotnie, ale nadal przepowiadała go o drzenie. Wydawała się bezcielesną lśniącą kulą, zawieszoną w ciemnościach jak widmo zerkające ze szczeliny z podziemnego świata - zmumifikowana twarz młodzieńca zawieszona w czasie, obciążona napięciem, przezroczystą jak pergamin skórą z oczami pokrytymi mlecznym bielmem ślepoty.

Amenhotep był już stary, kiedy Solon się urodził. Mówiono, że w czasach pradziadka Solona odwiedzał go Homer i że Egipcjanin opowiedział mu o oblężeniu Troi, o Agamemnonie i Helenie, i o wędrówkach Odyseusza. Solon bardzo chciał go zapytać o to i inne sprawy, ale czyniąc tak, pogwałciłby przyrzeczenie, że nie będzie o nic wypytywać starego kapłana.

Nachylił się z uwagą do przodu. Postanowił nie uronić niczego z tej ostatniej wizyty. Po chwili Amenhotep przemówił znowu, jego głos brzmiał jak cichy szept.

- Prawodawco, powiedz mi, o czym wczoraj mówiłem.

Solon szybko rozwinął zwój. Przejrzał ciasno spisane linijki i zaczął czytać, tłumacząc grekę zapisu na egipski, język, w którym rozmawiali.

- „Potężne imperium panowało kiedyś nad większą częścią świata”. - Wpatrywał się w mrok. - „Jego władcy mieszkali w ogromnej cytadeli, wznoszącej się na morzu, w wielkim labiryncie korytarzy, jakich wcześniej nie widziano. Byli utalentowanymi złotnikami, rzeźbiarzami w kości słoniowej

i nieustraszonymi pogromcami byków. Ale potem, za przeciwstawienie się Posejdonowi, bogu morza, cytadela została pochłonięta przez fale wielkiej powodzi, a jej mieszkańców nigdy już nie widziano".

Solon skończył czytać i wyczekująco uniósł wzrok.

- W tym miejscu skończyłeś.

Po dłużącym się w nieskończoność milczeniu stary kapłan przemówił, ledwie poruszając wargami.

- Tej nocy, Prawodawco, opowiem ci o wielu rzeczach. Ale najpierw pozwól, że dokończę ci mówić o zaginionym świecie, mieście pychy, zniszczone przez bogów, mieście, które nazywano Atlantyda.

Wiele godzin później, z bólem głowy od nieustannego pisania, Grek odłożył pióro i zwinął papirus. Amenhotep skończył. Była pełnia księżyca, początek święta Tota i kapłani musieli przygotować świątynię, zanim o świecie nadejdą wierni.

- To, o czym ci opowiedziałem, Prawodawco, znajduje się tutaj i tylko tutaj - wyszeptał Amenhotep, powoli stukając się zagiętym palcem w głowę. - Zgodnie z prastarym prawem my, którzy nie możemy opuścić świątyni, arcykapłani, mamy obowiązek przechowywać tę mądrość jako nasz skarb. Tylko dzięki słowom astrologa, świątynnego wieszczka, miałeś prawo tu przybyć, zgodnie z wolą boskiego Ozyrysa. - Stary kapłan pochylił się do przodu, słaby uśmiech przemknął mu po wargach. - I pamiętaj, Prawodawco, ja nie mówię zagadkami jak wasze greckie wyrocznie, ale w tym, co powiedziałem, mogą być ukryte zagadki. Mówię prawdę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, nie zaś prawdę mojego wymysłu. Byłeś tu po raz ostatni: Odejdź.

Trupia twarz zniknęła w ciemności, Solon powoli podniósł się, zawahał przez chwilę i obejrzał po raz ostatni. Potem zszedł do pustego teraz skryptorium i ruszył ku oświetlonemu pochodniami wyjściu.

Różanopalca jutrzienka zabarwiała wschodni horyzont, lekka poświata dodawała koloru światłu księżyca, tańczącemu po wodach Nilu. Stary Grek był sam, sługa zostawił go jak zwykle za dziedzińcem świątyni. Westchnął z zadowoleniem, kiedy wyszedł z kolumnady, której kapitele w kształcie palmowych liści tak bardzo różniły się od prostych, greckich kształtów, i po raz ostatni spojrzął na święte jezioro otoczone niesamowitą ilością obelisków i ogromnych posągów faraonów. Cieszyło go, że zostawił to wszystko za sobą, ruszył więc z zadowoleniem zakurzoną drogą w stronę osady z doma-

mi z mułowych cegieł. Cios padł znenacka. Solon upadł na ziemię, ogarnęła go ciemność. Zdążył jeszcze poczuć czyjeś dłonie ściągające mu z ramienia torbę. Jeden z dwóch napastników wyrwał mu zwój z ręki i podał na strępy, rozrzucając je po zamulonej ścieżce. Obie postacie znikły równie bezszelstnie, jak się pojawiły, zostawiając nieprzytomnego i zakrwawionego Greka na ziemi.

Kiedy się ocknął, nie pamiętał ostatniej nocy w świątyni. Później rzadko wspominał pobyt w Sais i nigdy już nie napisał ani słowa. Mądrość Amenhotepa nie opuściła więcej murów świątyni i zdawała się na wieki straconą gdy umarli ostatni kapłani, a nilowy namuł pochłoniął świątynię i jej klucze do najgłębszych tajemnic przeszłości.

I

Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem! Płetwonurkowi, który wynurzył się za rufą statku badawczego, brakowało tchu z podniecenia. Podpłynął do drabinki, zdjął płetwy i maskę i podał je stojącemu na pokładzie marynarzowi. Wydobywał się z trudem z wody, ciężkie butle sprawiły, że na chwilę stracił równowagę, ale pomocna dłoń z góry pozwoliła mu bezpiecznie wylądować na pokładzie. Ociekającego wodą nurka szybko otoczyli inni członkowie zespołu, którzy czekali na platformie nurkowej.

Jack Howard zszedł z mostka i uśmiechnął się do przyjaciela. Wciąż zdziwiało go, że ten zwały facet może być tak zwinny pod wodą. Przecisnął się między sprzętem do nurkowania na tylnym pokładzie i jak zwykle zaczął się z nim przekomarzać.

- Myśleliśmy, że popłynąłeś do Aten na dżin z tonikiem przy basenie twojego taty. Co tam znalazłeś, zaginione skarby królowej Saby?

Costas Kazantzakis potrząsnął niecierpliwie głową. Ruszył wzdłuż barierki do Jacka. Był zbyt podniecony, żeby zdjąć ekwipunek.

- Nie - wysapał. - Mówię poważnie. Spójrz na to.

Jack w duchu modlił się, żeby wiadomość była dobra. Płetwonurek sprawdził zamuloną półkę na szczycie podwodnego wulkanu, a dwóch kolejnych, którzy zeszli pod wodę po Costasie, wkrótce wypłynę na powierzchnię z punktu dekompresyjnego. W tym sezonie nie będzie już więcej nurkowania.

Costas odpiął karabińczyk i wręczył mu podwodną kamerę. Nacisnął guzik odtwarzania. Pozostali członkowie zespołu cisnęli się za wysokim Anglikiem. Jack otworzył miniaturowy, ciekłokrystaliczny ekranik i włączył

odtworzyć. Po kilku sekundach odechciało mu się żartów. Uśmiezek ustąpił miejsca niepomiernemu zdumieniu.

Podwodną scenę oświetlały potężne reflektory przydające koloru ciemnościom rozciągającym się sto metrów pod powierzchnią. Dwóch nurków kłęzczało na dnie, operując windą powietrzną, wielką rurą ssącą napędzaną niskociśnieniowym węzłem, która zasysała muł pokrywający stanowisko. Jeden z płetwonurków walczył z dźwigiem, chcąc utrzymać go we właściwej pozycji, drugi łagodnie napędzał osad w stronę wylotu rury. W ten sposób odkrywano artefakty, archeolog na ziemi użyłby w takim przypadku kielni.

Kamera dokonała zbliżenia i obiekt zainteresowania płetwonurków wszedł w pole widzenia. Ciemny kształt widoczny na szczycie zbocza nie był skałą, ale scaloną masą metalowych sztab, zachodzących na siebie jak gonty.

- Sztaby w kształcie skóry wołu - powiedział podekscytowany Jack. - Całe setki, a to wy ściółka amortyzująca z chrustu, według Homera taka sama była na statku Odyszeusza.

Każda ze sztab miała około metra długości i wystające rogi. Kształtem przypominała rozciągniętą wołową skórę. Były to charakterystyczne dla okresu brązu sztaby miedzi, liczące ponad trzy i pół tysiąca lat.

- Wyglądają na wczesne - zauważył jeden ze studentów. - Szesnaste stulecie przed Chrystusem?

- Bez wątplenia - odparł Jack. - I nadal leżą w rzędach, tak jak je załadowano, co wskazuje, że pod spodem kadłub mógł przetrwać w nienaruszonym stanie. Możliwe, że mamy do czynienia z najstarszym wrakiem, jaki odkryto.

Podniecenie Jacka wzrosło, gdy kamera zjechała w dół zbocza. Pomiędzy sztabami a płetwonurkami majaczyły trzy ogromne ceramiczne dzbany, wysokości człowieka, mające ponad metr obwodu, takie same jak te, które Jack widział w spiżarniach w Knossos na Krecie. W środku widać było sterty czarek na nóżkach, pomalowanych w piękne, naturalistyczne ośmiornice i motywy morskie.

Z całą pewnością była to ceramika Minojczyków, niezwyklej, wyspiarskiej cywilizacji, która rozkwitała w czasach Średniego i Nowego Państwa, ale znikła nagle około 1400 roku przed naszą erą. Knossos, legendarny labirynt Minotaura, było jednym z najbardziej sensacyjnych odkryć ostatniego stulecia. Podobnie jak Heinrich Schliemann, odkrywca Troi, angielski archeolog Arthur Evans wyruszył, żeby udowodnić, że legenda o ateńskim księciu Tezeuszu i jego kochance Ariadnie miała oparcie w rzeczywistych wydarzeniach tak jak wojna trojańska. Rozległy pałac na południe od Hera-

klionu stanowił klucz do zaginionej cywilizacji, którą na cześć legendarnego króla nazwał minojską Labirynt korytarzy i komnat czynił bardzo wiarygodną historię walki Tezeusza z Minotaurem i wskazywał, że mity greckie, powstałe kilkaset lat później, bliższe były rzeczywistym dziejom, niż ktokolwiek odważył się myśleć.

- Tak! - Jack machnął pięścią w powietrzu. Jego zwykłe opanowanie znikło w obliczu emocji wywołanych odkryciem. To ukoronowanie lat determinacji i pasji, spełnienie marzenia, które nawiedzało go od lat chłopięcych, Znaleźisko porównywalne z grobowcem Tutanchamona zapewniało jego zespołowi poczesne miejsce w dziejach archeologii.

Jackowi wystarczyły te zdjęcia. Ale było tam więcej, znacznie więcej. Patrzył jak zauroczony w ekran. Kamera zjechała w dół do nurków, na niską ławę pod stertą sztab.

- Prawdopodobnie część rufowa statku. - Costas pokazał coś na ekranie. - Tuż pod tą warstwą jest rząd kamiennych kotwic i drewniane wiosło sterowe.

Nagle ukazała się żółta, migocząca plama, wyglądała jak odbicia światła reflektorów od osadów. Gdy kamera dokonała zbliżenia, dało się słyszeć zbiorowe westchnienie.

- To nie piasek - szepnął student. - To złoto!

Wiedzieli już, że patrzą na wielki skarb. Pośrodku leżał wspaniały kielich, godny samego króla Minosa, ozdobiony reliefem przedstawiającym walkę byków, obok - naturalnej wielkości złoty posąg kobiety z ramionami wzniesionymi w modlitwie. W wieńcu na głowie wiły się węże. Nagie piersi wyrzeźbiono z kości słoniowej, a migoczący kolorami łuk wskazywał, w którym miejscu szyja przyozdobiona została klejnotami. Bliżej leżała sterta brązowych mieczów ze złotymi rękojeściami, ich ostrza ozdobione były inkrustacjami ze srebra i niebieskiej emalii, przedstawiającymi sceny walki.

Najbardziej błyszcząły przedmioty tuż przed nurkami. Każde machnięcie dłonią odkrywało kolejny lśniący obiekt. Jack rozpoznawał złote sztabki, królewskie pieczęcie, biżuterię i delikatne diademy z przeplatających się liści. Wszystko tworzyło stertę, jakby niegdyś spoczywało w skrzyni ze skarbami.

Obraz nagle podskoczył w stronę linii wznoszenia i ekran poczerniał. W pełnej zdumienia ciszy Jack opuścił kamerę i spojrzął na Costasa.

- Znaleźliśmy - powiedział cicho.

Jack postawił całą swoją reputację na szali ogromnego planu. Przez dziesięć lat po uzyskaniu doktoratu obsesyjnie poszukiwał minojskiego wraku. Takie znalezisko potwierdziłoby teorię o morskiej supremacji Minojczyków w epoce brązu. Uznał, że najbardziej prawdopodobnym miejscem katastrofy była grupa raf i wysepek, siedemdziesiąt mil morskich na północny wschód od Knossos.

Tygodniami przeszukiwali okolicę bez rezultatu. Kilka dni wcześniej pojawiła się, a potem załamała nadzieja. Nurkując jak sądził Howard - po raz ostatni w sezonie, odkryli rzymski wrak. Raz jeszcze szczęście odwróciło się wtedy od Jacka.

- Pomożesz mi?

Costas osunął się zmęczony przy relingu na rufie „Seaquesta”. Nadal miał na sobie kombinezon i sprzęt. Po twarzy płynęły mu teraz strumyczki wody i potu. Późne, popołudniowe słońce Morza Egejskiego załało jego sylwetkę światłem. Podniósł wzrok na pochylonego nad nim szczupłego mężczyznę. Jack pochodził z jednej z najstarszych rodzin angielskich, ale jedyną cechą, która wskazywała na jego arystokratyczne pochodzenie, był jego niewymuszony wdzięk. Ojciec Jacka miał żyłkę poszukiwacza przygód. Wyrzekł się korzeni i korzystał z majątku, żeby zabierać rodzinę do odległych miejsc na całym świecie. Niekonwencjonalne wychowanie uczyniło z chłopca człowieka, który dobrze się czuł tylko we własnym towarzystwie i nie miał zobowiązań wobec nikogo. Jako urodzony przywódca zdobył sobie szacunek zarówno wśród oficerów, jak i załogi.

- Co ty byś zrobił beze mnie? - zapytał, z uśmiechem zdejmując butle, wiszące na plecach Costasa.

Costas, syn greckiego armatora-milionera, wzgardził życiem playboya, które mógł wieść, nie starając się wcale, i wybrał dziesięcioletnie studia w Stanford i MIT. Ukończył je jako znawca technologii podwodnej. Ze sterty narzędzi i części, w której tylko on umiał coś znaleźć, Costas potrafił wyczarowywać cudowne urządzenia. Pasja do podejmowania wyzwań pasowała do jego towarzyskiej natury, przydatnej w zawodzie wymagającym pracy zespołowej.

Po raz pierwszy spotkali się w bazie NATO w Izmirze, w Turcji, gdzie Jack był tymczasowo oddelegowany do szkoły wywiadu marynarki wojennej, a Costas pracował jako cywilny doradca w UNANTSUB, należącej do Narodów Zjednoczonych agencji badawczej, zajmującej się wykrywaniem okrętów podwodnych. Kilka lat później Jack poprosił Costasa, żeby przeszedł do niego do IMU, Międzynarodowego Muzeum Morskiego, instytucji naukowej, która przez ostatnie dziesięć lat służyła im za dom. W tym czasie, w kompe-

tencji Jacka, jako szefa operacji terenowych, znalazły się cztery statki i ponad dwustu ludzi, a Costas, mimo że jego rola w Wydziale Inżynierii wzrosła w równym stopniu, zawsze potrafił znaleźć sposób, żeby dołączyć do wypraw Jacka, kiedy działo się coś ekscytującego.

- Dzięki. - Costas podniósł się powoli. Był zbyt zmęczony, żeby powiedzieć coś więcej. Sięgał Jackowi zaledwie do ramion, miał potężną klatkę piersiową, a ramiona odziedziczył po pokoleniach greckich poławiaczy gąbek i marynarzy. Pasowali do siebie. Ten projekt również jemu leżał na sercu, a odkrycie całkowicie go zaabsorbowało. To on ułatwił wyprawę, wykorzystując w tym celu koneksje ojca w greckim rządzie. Chociaż znajdowali się teraz na wodach międzynarodowych, wsparcie greckiej marynarki wojennej było nieocenione, choćby dlatego, że zaopatrywała ich w butle z oczyszczonym gazem, niezbędne do nurkowania z mieszanką oddechową.

- O, prawie bym zapomniał. Na okrągłej, opalonej twarzy Costasa pojawił się uśmiech, kiedy sięgał do kieszeni stabilizatora. - To na wypadek, gdybyś pomyślał, że wszystko to zaaranżowałem.

Wyciągnął pakunek owinięty w neopren i wręczył go Jackowi z triumfalnym błyskiem w oku. Jack nie spodziewał się ciężaru zawiniątka i ręka na chwilę mu opadła. Zdjął opakowanie i aż westchnął ze zdumienia.

Był to lany metalowy dysk obwodem pasujący do dłoni, tak błyszczący, jakby dopiero co go wykonano. Nie można było się mylić: miał głęboki odcień czystego złota bez domieszek.

W przeciwieństwie do innych kolegów naukowców Jack nigdy nie udawał, że skarby nie robią na nim wrażenia i pozwolił, by na chwilę opanował go dreszcz emocji. Podniósł dysk i oślepiające promienie słońca odbitego w nim, jakby uwolniły energię spętaną przez tysiąclecia.

Jack wpadł w jeszcze większe podniecenie, gdy zobaczył, że światło odbija się od znaków na powierzchni dysku. W cieniu rzucanym przez Costasa przebiegł palcami po wgłębieniach kunsztownie wykonanych na wypukłej stronie przedmiotu.

W środku znajdował się dziwny kształt przypominający literę H, z krótki poprzeczną kreską i czterema liniami wychodzącymi jak grzebienie z obu stron. Wokół krawędzi dysku ciągnęły się trzy koncentryczne pasma, każde podzielone na dwadzieścia części, zawierających różne symbole wybite w metalu. Miał wrażenie, że zewnętrzne pasmo stanowiły piktogramy, symbole przekazujące znaczenie słów albo zdań. Na pierwszy rzut oka był w stanie rozróżnić ludzką głowę, idącego, wiosło, łódź i snopek zboża. Wewnętrzne przegródki były tak samo ułożone jak te, które znajdowały się z zewnątrz

ale zawierały znaki linearne. Różniły się od siebie, ale bardziej przypominały litery alfabetu niż piktogramy.

Costas patrzył, jak Jack w skupieniu bada dysk. Widywał już ten błysk oczu. Jack dotykał epoki herosów, czasu owianego mitami i legendami, a jednak ukazanego w szczególny sposób w wielkich pałacach i cytadelach, w niezrównanych dziełach sztuki i doskonale wyostrzonej broni. Łączył się ze starożytnymi w jedyny dostępny dzięki wrakowi sposób, trzymając bezcenne znalezisko, którego nie wyrzucono, lecz otaczano czułą opieką do chwili katastrofy. Ale to znalezisko też osłaniała tajemnica, która poty będzie go trapić, póki jej nie objaśni.

Jack kilka razy obrócił dysk i znów przyjrzał się inskrypcjom. Cofnął się myślami do czasów studiów, kiedy uczęszczał na kurs historii pisma. Kiedyś już coś takiego widział. Zanotował w pamięci, by wysłać mailem fotografię do profesora Jamesa Dillena, swego wykładowcy z Cambridge i światowej sławy znawcy starożytnych greckich tekstów.

Oddał dysk Costasowi. Przez chwilę patrzyli na siebie, a oczy błyszczały im z podniecenia, potem Jack dołączył do załogi, która wciąż tłoczyła się przy drabinie na rufie. Widok złota zdwoił jego zapał. Największe zagrożenie dla archeologii czai się na wodach międzynarodowych, dostępnych dla wszystkich, gdzie żaden kraj nie sprawuje jurysdykcji. Wszystkie próby wprowadzenia globalnego prawa morskiego kończyły się fiaskiem. Problem utrzymania porządku na tak wielkich obszarach zdawał się nie do pokonania. Postęp technologiczny sprawił, że zdalnie sterowane urządzenia podmorskie, takie jak te, których użyto przy „Titanicu”, były obecnie tylko nieco droższe od samochodu. Poszukiwania w głębiach morskich, które niegdyś były zarezerwowane dla kilku instytutów, teraz stały otworem przed każdym, co doprowadziło do masowego niszczenia stanowisk historycznych. Zorganizowani szabrownicy wyposażeni w najnowszą technologię łupili dno morskie, nie zapisując swoich zdobyczy, a znalezione przez nich obiekty znikwały na zawsze w prywatnych kolekcjach. Zespoły IMU konkurowały nie tylko z legalnymi operatorami. Zrabowane starożytności stały się walutą kryminalnego podziemia.

Jack zerknął na platformę chronometrażysty i poczuł znajomy dreszcz, kiedy dał znak, że chce zanurkować. Starannie zebrał sprzęt, ustawił komputer nurkowy i sprawdził ciśnienie w butlach. Zachowywał się metodycznie i profesjonalnie, jakby tego dnia nic szczególnego się nie wydarzyło. W rzeczywistości ledwie radził sobie z podnieceniem.

2

Maurice Hiebertmeyer wstał i otarł czoło. Popatrzył na zegarek. Zbliżało się południe i koniec dnia pracy, pustynny upał stawał się nie do zniesienia. Wygiął plecy i skrzywił się, nagle zdając sobie tego, ile bólu przynosi pięciogodzinne ślęczenie nad pełnym kurzu wykopem. Powoli poszedł w stronę środka stanowiska, na zwyczajowy obchód kończący pracę.

W kapeluszu z szerokim rondem, z małymi okrągłymi okularami i w szortach do kolan wyglądał trochę komicznie jak jakiś dawny budowniczy imperium angielskiego. Ten niepozorny wygląd przeczył jego pozycji jednego z najlepszych egiptologów.

W milczeniu przyglądał się wykopaliskom, gdzie słychać było szczykanie motyk i skrzypienie taczek. Nie jest to może Dolina Królów, pomyślał, ale za to znacznie tu więcej artefaktów. Zanim odkryto grób Tutanchamona, minęło wiele lat bezpłodnych poszukiwań; tutaj stali dosłownie po kolana w mumiach. Setki już odkryli i co dzień spodziewali się następnych, gdy kolejne korytarze oczyszczano z piasku.

Hiebertmeyer podszedł do głębokiej dziury, gdzie wszystko się zaczęło. Zajrzał do środka, do podziemnego labiryntu, płataniny wykutych w skale tuneli z zagłębieniami po obu stronach. Zmarli spoczywali w nich przez tysiące lat, umykając uwagi rabusiów grobów, którzy zniszczyli tak wiele królewskich grobowców. To jakiś krnąbrny wielbłąd odkrył te katakumby; nie-szczęśne zwierzę zboczyło z utartego szlaku i zniknęło w piasku na oczach właściciela. Kiedy poganiacz podbiegł, aż cofnął się ze zgrozy na widok warstw trupów leżących pod spodem; ich twarze patrzyły na niego jakby z przyganą, że naruszył święte miejsce spoczynku.

- Ci ludzie są według wszelkiego prawdopodobieństwa twoimi przodkami - powiedział Hiebertmeyer poganiaczowi, kiedy wezwano go z Instytutu Archeologii w Aleksandrii do położonej o dwieście kilometrów na południe pustynnej oazy. Wykopaliska dowiodły, że się nie mylił. Twarze, które tak wystraszyły wieśniaka, były w rzeczywistości wyśmienitymi malowidłami.

Niektóre z nich mogły się równać z dziełami włoskiego renesansu. Były to jednak dzieła rzemieślnika, a nie jakiegoś wielkiego artysty starożytności, a mumie należały do zwykłych ludzi, a nie elity. Większość z nich żyła nie w czasach faraonów, lecz w czasach, gdy Egipt znajdował się pod władzą Greków i Rzymian. Był to okres wzrastającej pomyślności, kiedy wprowadzenie do obiegu pieniądza rozprzestrzeniło bogactwo i sprawiło, że nowa klasa średnia mogła pozwolić sobie na pozłacane trumny i rozbudowane rytuały pogrzebowe. Ludzie ci mieszkali w Fajum, żyznej oazie, która rozciągała się sześćdziesiąt kilometrów na wschód od nekropolii w stronę Nilu.

Hiebermeyer pomyślał, że te pochówki przedstawiają znacznie szerszy przekrój życia niż królewskie nekropolie i opowiadają historie równie fascynujące jak z mumifikowany Ramzes czy Tutanchamon. Na przykład rano odkopano rodzinę wytwórców sukna, mężczyznę o imieniu Seth, jego ojca i brata. Barwne sceny życia świątynnego przyozdabiały uformowany z gipsu i płótna sarkofag, pokrycie trumien. Inskrypcje wskazywały, że obaj bracia byli niższymi rangą sługami świątyni Neith w Sais, ale los im sprzyjał i wraz z ojcem, handlującym suknem z Grekami, przerwali się na robienie interesów. Sądząc po cennych ofiarach w bandażach okrywających ich mumie i masek ze złotych listków na twarzach, musieli mieć niezłe zyski.

- Doktorze Hiebermeyer, może pan rzuci na to okiem?

Głos należał do jednego z najbardziej doświadczonych inspektorów wykopalisk, egipskiej studentki wyższego roku, która miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie jego następczynią na stanowisku dyrektora instytutu. Aisza Farouk wyjrzała znad brzegu wykopu. Smągła twarz przypominała obraz z przeszłości, jakby któryś z portretów mumii nagle ożył.

- Musi pan zejść na dół.

Hiebermeyer zdjął kapelusz, włożył żółty kask i z wysiłkiem zszedł po drabinie. Pomagał mu jeden z fellahów, zatrudniony jako robotnik przy wykopaliskach. Aisza przycupnęła nad mumią leżącą w wykutej w piaskowcu niszy, kilka kroków od powierzchni. Był to jeden z grobów uszkodzonych upadkiem wielbłąda i Hiebermeyer mógł zobaczyć w rozbitej terakotowej trumnie częściowo rozprutą mumie.

Znawali się w najstarszej części stanowiska, w płytkiej płataninie korytarzy tworzących centrum nekropolii. Hiebermeyer miał nadzieję, że studentka znalazła coś, co potwierdzi jego hipotezę, iż kompleks grzebalny został założony już w VI wieku przed naszą erą, na dwieście lat przed podbojem Egiptu przez Aleksandra Wielkiego.

- No, dobrze. Co my tu mamy? - Niemiecki akcent dodawał jego głosowi zgrzytliwego, władczego tonu.

Zszedł z drabiny i przecisnął się obok asystentki, uważając, żeby jeszcze bardziej nie uszkodzić mumii. Oboje nosili lekkie maski lekarskie chroniące przed wirusami i bakteriami, które mogły drzemać w bandażach mumii i wrócić do życia pod wpływem upału i wilgoci ich oddechów. Zamknął oczy i skłonił na chwilę głowę. Był to akt prywatnej pobożności, którego dokonywał za każdym razem, gdy otwierał komorę grobową. Kiedy zmarli opowiedzą swoje historie, zatroszczy się o to, żeby zostali godnie pochowani i mogli kontynuować swoją podróż w zaświatach.

Aisza poprawiła lampę i sięgnęła w głąb trumny, ostrożnie rozszerzając nierówne rozdarcie, przebiegające jak wielka rana przez brzuch mumii.

- Pozwoli pan, że to oczyszczę.

Pracowała z precyzją chirurga, jej palce umiejętnie manipulowały szczoteczką i wyłaczką dentylistyczną, które leżały starannie ułożone na tacce stojącej obok. Po kilku minutach usuwania szczątków odłożyła narzędzia i przeszła do głowy trumny, robiąc miejsce dla Hiebermeyera, żeby mógł się lepiej przyjrzeć.

Rzucił okiem eksperta na obiekty, które wyciągnęła spomiędzy przesiąkniętych żywicą zwojów bandażu spowijających mumie. Jej zapach, po tylu wiekach, nadal drażnił nozdrza. Szybko zidentyfikował złote „ba”, uskrzydłony symbol duszy, obok ochronnych amuletów w kształcie kobry. Pośrodku tacki leżał amulet Qebehennuefa, strażnika wnętrza. Obok zaś piękna fajansowa brosza boga-orła, o rozpostartych skrzydłach i zielonkawej, wypalanej glazurze.

Przesunął się niezgrabnie wzdłuż półki, aż nad dziurą w trumnie. Ciało ułożone było głową na wschód, żeby powitać wschodzące słońce w symbolicznych ponownych narodzinach. Tradycja ta sięgała odległej prehistorii. Pod rozdartymi bandażami zobaczył rdzawy tors mumii. Jej skóra była cienka jak pergamin i napięta na żebrach. Mumii w tej nekropolii nie preparowano tak jak mumii faraonów, których ciała pozbawiano wnętrza i napełniano balsamicznymi solami; tutaj suchość pustyni zrobiła swoje, a balsamiści usunęli jedynie jelita. W czasach rzymskich nawet i z tego zrezygnowano. Konserwujące właściwości pustyni były darem niebios dla archeologów i Hiebermeyera wciąż na nowo zaskakiwało to, że delikatne materiały organiczne mogły przetrwać tysiące lat w niemal niezmiennym stanie.

- Widzi pan? - Aisza nie umiała już opanować podniecenia. - Tutaj, pod pańską prawą ręką.

- A, tak. - Wzrok Hiebermeyera przyciągnął strzęp bandaża okrywającego mumię. Jego postrzępiony brzeg spoczywał na dolnej części miednicy.

Materiał pokryty był równym pismem. Nie było to nic nowego; starożytni Egipcjanie byli niestrudzeni, jeśli chodzi o zapisywanie wydarzeń. Spisywali długie teksty na papierze robionym z włókien papirusu. Stary papirus był także doskonałym materiałem na bandaże do mumifikacji. Znamcy procedur pogrzebowych gromadzili go i ponownie używali. Takie strzępy należały do najcenniejszych znalezisk w nekropoli i stanowiły jeden z powodów, dla których Hiebermeyer zaproponował poszukiwania na wielką skalę.

Teraz jednak mniej interesowało go to, co zapisano, niż możliwość określenia wieku mumii na podstawie stylu i języka zapisu. Rozumiał podniecenie Aiszy. Rozdarta mumia dawała rzadką możliwość przeprowadzenia dateracji na miejscu. Normalnie trzeba było czekać tygodniami, aż konserwatorzy w Aleksandrii skrupulatnie zedrą z mumii bandaże, warstwa po warstwie.

- Pismo jest greckie - powiedziała Aisza. Jej entuzjazm wygrywał z szacunkiem. Kucnęła tuż obok niego, jej włosy ocierały się o jego ramię, kiedy sięgała po papirus.

Hiebermeyer kiwnął głową. Miała rację. Nie mogło być pomyłki, to płynne pismo jakiegoś starożytnego Greka, zupełnie inne niż hieratyczne hieroglify okresu faraonńskiego i koptyjskie znaki z Fajum, z czasów greckich i rzymskich.

Ale skąd fragment greckiego tekstu znalazł się w mumii z Fajum, z VI lub V wieku przed Chrystusem? W VII wieku przed naszą erą Grekom pozwolono założyć kolonię handlową w Naukratis, nad jedną z odnóg Nilu, ale ich wyprawy w głąb łądu były ściśle kontrolowane. Nie odgrywali tu większej roli do czasów podboju dokonanego przez Aleksandra Wielkiego w 332 roku przed naszą erą, a było nie do pomyślenia, żeby egipskie zapisy robiono po grecku przed tą datą.

Hiebermeyer poczuł się nagle zmęczony. Grecki dokument w Fajum musiał pochodzić z czasów Ptolemeusza, macedońskiej dynastii założonej przez Ptolemeusza I Lagosa, jednego z wodzów Aleksandra, którą zakończyło samobójstwo Kleopatry i przejście władzy nad Egiptem przez Rzymian w 30 roku przed naszą erą. Czyżby aż tak się mylił, ustalając najwcześniejszą datę tej części nekropolii? Odwrócił się do Aiszy. Jego pozbawiona wyrazu twarz z trudem maskowała rozczarowanie.

- Niezbyt mi się to podoba. Będę się musiał bliżej temu przyjrzeć.

Przyciągnął lampę bliżej mumii. Za pomocą pędzelka z tacki Aiszy delikatnie zmiótł kurz z rogu papirusu, odkrywając pismo tak świeże, jakby zo-

stało sporządzone tego dnia. Wyjął szkło powiększające i wstrzymał oddech, przyglądając się zapisowi. Litery były małe i połączone, bez spacji. Wiedział, że trzeba wiele czasu i cierpliwości, zanim się to przetłumaczy.

Ważny był styl. Hiebertmeyer miał szczęście studiować pod kierunkiem profesora Jamesa Dillena, słynnego językoznawcy. Jego wykłady wywierały tak wielkie wrażenie, że pamiętał ze szczegółami starożytną grecką kaligrafię po upływie dwudziestu lat od studiów.

Po kilku minutach na jego twarzy pojawił się uśmiech. Odwrócił się do Aiszy.

- Spokojnie. To wczesne pismo, jestem pewien. Piąte, może szóste stulecie przed naszą erą.

Przymknął z ulgą oczy, a ona szybko go objęła, zapominając na chwilę o dystansie, jaki powinien panować pomiędzy profesorem a studentem. Już wcześniej domyśliła się datacji; teza jej mistrza opierała się na starożytnych inskrypcjach ateńskich, a ona lepiej się na tym znała niż Hiebertmeyer. Chciała mu zostawić jednak triumf odkrycia, satysfakcję z potwierdzenia hipotezy o wczesnym powstaniu nekropolii.

Hiebertmeyer jeszcze raz spojrzął na papirus, jego umysł pracował na wysokich obrotach. Ścisłe, pozbawione przerw pismo jasno świadczyło o tym, że nie był to spis administracyjny, lista imion i liczb. Ani dokument, który sporządziliby kupcy z Naukratis. Czyżby w tamtej epoce w Egipcie byli jeszcze jacyś inni Grecy?

Hiebertmeyer wiedział tylko o sporadycznych wizytach uczonych, którym z rzadka pozwalano na wejście do świątynnych archiwów. Herodot z Hali-karnasu, ojciec historii, odwiedził kapłanów w V stuleciu przed naszą erą, a oni opowiedzieli mu wiele cudownych rzeczy o świecie sprzed wojen perskich, które stanowiły główny temat jego książki. Także we wcześniejszych epokach zdarzały się tu odwiedziny Greków. Byli to ateńscy mężowie stanu i literaci, ale ich wizyty popadły w zapomnienie i żadna z prac nie przetrwała w oryginale.

Hiebertmeyer nie odważył się powiedzieć Aiszy, o czym myśli, świadom kłopotu, jaki wywołałoby przedwczesne ogłoszenie rewelacji, która rozprze-strzeniłaby się jak ogień wśród czujnych dziennikarzy. Przyszło mu to jednak z trudem. Czyżby znaleźli dawno zaginioną tajemnicę starożytnej historii?

Prawie cała literatura starożytna, która dotrwała do naszych czasów, znana jest tylko ze średniowiecznych kopii, z manuskryptów cierpliwie przepisywanych przez mnichów w klasztorach po upadku zachodniego cesarstwa

rzymskiego. Większość starożytnych rękopisów zniszczył czas, najeźdźcy lub fanatycy religijni. Przez lata uczeni żywili nadzieję, że egipskie pustynie oddadzą zaginione teksty, pisma, które mogłyby wyrwać do góry nogami historię. Nade wszystko marzyli o czymś, co mogłoby zawierać i przechować wiedzę egipskich kapłanów-uczonych. Świątynne skrytoria odwiedzone przez Herodota i jego poprzedników kryły nieprzerwaną tradycję wiedzy rozciągającą się wstecz na tysiące lat, aż do świtu pisanych dziejów.

Hiebertmeyer w podnieceniu przeglądał w myślach różne możliwości. Czy była to relacja z pierwszej ręki o wędrówkach Żydów, dokument, który można by porównać ze Starym Testamentem? Albo relacja z końca wieku brązu, traktująca o wydarzeniach wojny trojańskiej? Może papirus opowiadał nawet o czasach wcześniejszych, dowodził, że Egipcjanie nie tylko handlowali z Kretą epoki brązu, że zbudowali tam wielkie pałace. Egipski król Minos? Hiebertmeyer uznał, że to bardzo kuszący pomysł.

Na ziemię sprowadziła go Aisza, która nadal oczyszczała papirus, a teraz zwróciła jego uwagę na mumię.

- Niech pan popatrzy na to.

Zajmowała się brzegiem papirusu wystającym spod nieuszkodzonych bandażi. Nieśmiało uniosła kawałek płótna i wskazała coś pędzelkiem.

- To jakiś symbol - powiedziała.

W tekście była przerwa na dziwny symbol, którego część nadal ukryta była pod bandażami. Wyglądał jak ogrodowe grabie z czterema wystającymi zębami.

- Co pan o tym sadzi?

- Nie wiem. - Hiebertmeyer zamilkł, żeby nie pokazać przed studentką, że czuje się zagubiony. - Może to jakiś znak numeryczny, pochodzący z pisma klinowego. - Przypominał sobie klinowate napisy wyciśnięte na glinianych tabliczkach przez dawnych skrybów Bliskiego Wschodu - O, tutaj. To może być wskazówka. - Nachylił twarz na kilkanaście centymetrów od mumii i delikatnie zdmuchnął pył z tekstu, który widać było poniżej symbolu. Między symbolem a tekstem znajdowało się pojedyncze słowo. Greckie litery były tu większe niż w reszcie papirusu. - Chyba potrafię to odczytać - mruknął. - Niech pani wyjmie notatnik z mojej kieszeni i zapisuje. Będę dyktować.

Zrobiła, jak jej kazał i kucnęła obok trumny z ołówkiem w dłoni. Pochlebiało jej, że Hiebertmeyer tak ufa jej zdolnościom do transkrypcji.

- W porządku. Zaczynamy. - Przerwał i uniosł szkło powiększające. -

Pierwsza litera to alfa. - Zmienił pozycję, żeby wpuścić więcej światła. -

Potem tau. Potem znów alfa. Nie, niech pani to wymaże. Lamna. I znów alfa.

Mimo cienia, jaki panował w niszy, pot gromadził mu się na czole. Znów się odsunął, żeby pot nie nakapał na papirus.

- Nu. I znów tau. Jota, chyba. Tak, zdecydowanie. A teraz ostatnia litera. - Nie odrywając oczu od papirusu, wymacał na tacce pincetę i użył jej, by unieść kawałek bandaża zasłaniający koniec słowa. Znów lekko dmuchnął na tekst. - Sigma. Tak, sigma. I to wszystko. - Hiebermeyer wyprostował się. - Dobrze. Co tam mamy?

Wiedział to, gdy tylko zobaczył słowo, ale jego umysł odmówił zarejestrowania obrazu, który miał przed oczami. Wszystko przekraczało jego najśmielsze marzenia, było po prostu ze świata fantazji i większość uczonych najzwyczajniej odrzuciłaby takie rozwiązanie.

Oboje patrzyli zdumieni na notatnik, jakby to jedno słowo przyciągało ich z magiczną siłą tak że wszystko inne było bez znaczenia.

- Atlantis. Głos Hiebermeyera brzmiał jak szept.

Odwrócił się, zamrugał oczami i znów spojrzął na mumię. To słowo nadal tam tkwiło. Myśli uczonego ogarnęła nagle gorączka spekulacji. Wyszperał z pamięci wszystko, co wiedział, i starał się to do siebie dopasować.

Lata pracy naukowej nauczyły go, że trzeba zaczynać od tego, co jest najmniej kontrowersyjne, żeby dopasować znaleziska do istniejących już ram.

Atlantyda. Spojrzął przed siebie. Dla starożytnych opowieść ta kończyła mit stworzenia, kiedy epoka gigantów ustępowała przed epoką ludzi. Być może papirus zawiera opis tego legendarnego, złotego wieku, opowiada nie o historii Atlantydy, ale mitologii.

Hiebermeyer popatrzył na trumnę i bez słowa potrząsnął głową. Nie. To miejsce, ta data. Za wiele tu przypadkowych zbieżności. Instynkt nigdy go jeszcze nie zawiódł, a teraz czuł jego działanie silniej niż kiedykolwiek.

Znajomy, przewidywalny świat mumii i faraonów, kapłanów i świątyń zdawał się walić przed jego oczami. Mógł myśleć tylko o jednym, o ogromnym wydatku energii i wyobraźni, by zrekonstruować starożytną przeszłość, budowlę, która nagle okazała się krucha i nietrwała.

Śmieszne, ale to przecież wielbłąd jest odpowiedzialny za największe odkrycie archeologiczne w dziejach.

- Aiszo, niech pani przygotowuje tę trumnę do natychmiastowego transportu. Proszę wypełnić jamę pianą i zapieczętować. - Znów był dyrektorem wykopalisk, a poczucie ogromnej odpowiedzialności za ich odkrycie pokonało chłopięce podniecenie, jakie owładnęło nim w ciągu ostatnich kilku minut. - Jeszcze dziś ma to być dowieszone do Aleksandrii, a pani musi z tym pojechać.

Proszę się postarać o zbrojną eskortę, ale nic nadzwyczajnego, bo nie chcę przyciągać niezdrowej uwagi.

Bardzo uważali na zagrożenie ze strony współczesnych rabusiów grobów, złodziei i bandytów, którzy czaili się na wydmach wokół stanowiska i stawali się coraz bardziej zuchwali, usiłując ukraść choćby coś nieistotnego.

- Jeszcze jedno. - Twarz miał śmiertelnie poważną. - Wiem, że mogę pani zaufać. Proszę nie pisać ani słowa nikomu, nawet naszym kolegom i przyjaciółom z zespołu.

Hiebertmeyer zostawił Aiszę i wgramolił się po drabinie. Niezwykły dramatyzm odkrycia dodatkowo go zmęczył. Przeszedł przez stanowisko chwiejnym krokiem, zataczając się pod prażącym słońcem, niepomyślnie na pracowników, którzy nadal posłusznie czekali na inspekcję. Wszedł do baraku i opadł ciężko przed telefonem satelitarnym. Otarł twarz, zamknął na chwilę oczy. Potem wziął się w garść i włączył telefon. Wystukał numer i wkrótce ze słuchawek popłynął głos, przerywany z początku trzaskami, ale potem, kiedy nastawił antenę, wyraźniejszy.

- Dzień dobry, dodzwonili się państwo do Międzynarodowego Muzeum Morskiego. Czym mogę służyć?

Hiebertmeyer miał głos ochryply z podniecenia.

- Halo, tu Maurice Hiebertmeyer. Dzwonię z Egiptu. To bardzo pilna sprawa. Proszę mnie połączyć z Jackiem Howardem.

3

Woda w starym porcie pluskała łagodnie o nabrzeże. Fale poruszały pływającymi wodorostami, ciągnącymi się jak okiem sięgnąć. Po drugiej stronie akwenu podskakiwały błyszczące w słońcu łodzie rybackie. Jack Howard wstał i podszedł do balustrady. Ciemne włosy targał mu wiatr, a ogrzała słońcem twarz mówiła o miesiącach spędzonych na morzu. Szukał wraku

z epoki brązu. Oparł się o parapet i zapatrzył w połyskującą wodę. W starożytności był to port Aleksandryjski, którego chwale zagrażały tylko Kartagina i sam Rzym. Stąd wyruszały floty ze zbożem, galeony o szerokich kadłubach wiozące bogactwo Egiptu milionowi Rzymian. Stąd też bogaci kupcy wysyłali skrzynie ze złotem i srebrem przez pustynię, nad Morze Czerwone i dalej; w zamian przybywały bogactwa Wschodu: kadzidło, mirra, lapis-lazuli, szafiry, skorupy żółwi, jedwab i opium, wiezione przez odważnych żeglarzy, którzy ośmielali się płynąć monsunowym szlakiem z Arabii i odległych Indii.

Jack spojrział w dół na wielkie, kamienne umocnienia dziesięć metrów niżej. Dwa tysiące lat temu był to jeden z cudów świata, słynna latarnia morska Faros w Aleksandrii. Budowę rozpoczął Ptolemeusz II Philadelphos w 285 roku przed naszą erą, zaledwie pięćdziesiąt lat po tym, jak Aleksander Wielki założył tu miasto. Latarnia, wyższa niż Wielka Piramida w Gizie, sięgała stu pięćdziesięciu metrów. Nawet dzisiaj, ponad sześćset lat po tym, jak powaliło ją trzęsienie ziemi, fundamenty pozostały jednym z cudów starożytności. Mury zostały zamienione w średniowieczną fortecę i służyły jako kwatery główna Instytutu Archeologii w Aleksandrii, który obecnie był największym ośrodkiem studiów nad Egiptem w czasach grecko-rzymskich.

Szczałki latarni morskiej nadal zaśmiecały dno portu. Tuż pod powierzchnią wody spoczywała płatanina bloków i kolumn, a wśród nich rozsypane posągi królów i królowych, bogów i sfinksów. Jack sam znalazł imponującą statwę, ogromny kształt zwalony na dno morza jak Ozymandias, król królów, którego przewróconą figurę opiewał Shelley. Jack uparł się, że posągi powinny zostać opisane i pozostawione na miejscu jak ich poetyczny odpowiednik na pustyni.

Miło mu było widzieć formującą się przed portem kolejną łodzi podwodnych, co stanowiło potwierdzenie sukcesu podwodnego parku. Po drugiej stronie portu horyzont zdominowany był futurystycznym kształtem Bibliotheca Alexandrina, zrekonstruowanej biblioteki starożytnych, stanowiący kolejne ogniwo łączące współczesność z chwałą dawnych dni.

- Jack! - Drzwi od sali konferencyjnej otworzyły się na oścież i ktoś korpulentny wyszedł na balkon. Jack odwrócił się, żeby powitać przybysza.

- Herr profesor doktor Hiebermeyer! - Jack uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Nie wierzę, że ściągnął mnie pan tutaj z tak daleka, żeby spojrzeć na kawałek bandaża mumii,

- Wiedziałem, że w końcu złapie pan bakcyła starożytnego Egiptu.

Obaj byli na jednym roku w Cambridge, a paliwem ich wspólnej pasji do starożytności była rywalizacja. Jack wiedział, że zdawkowa uprzejmość

Hiebertmeyer jest maską, za którą kryje się potężny umysł, z kolei Hiebertmeyer wiedział, jak przełamać powściągliwość Jacka. Po wielu projektach, które przeprowadzili w oddalonych od siebie częściach globu, Jack z ochotą czekał na moment, kiedy będzie się mógł znów zetrzeć ze swoim kolegą i rywalem z lat studiów. Od tamtego czasu Hiebertmeyer niewiele się zmienił, a różnice zdań co do wpływu Egiptu na cywilizację grecką stanowiły nieodłączną część ich przyjaźni

Za Hiebertmeyerem stał starszy mężczyzna ubrany w nieskazitelnie wyprasowany letni garnitur z muszka. Spod wiechy białych włosów spoglądały niespodziewanie przenikliwe oczy. Jack podszedł i wylewnie uściśnął dłoń swego mistrza, profesora Jamesa Dillena

Dillen odsunął się na bok i wprowadził dwie kolejne osoby.

- Chyba nie miałeś jeszcze okazji poznać doktor Swietłanowej.

Przeszywające, zielone oczy patrzyły niemal na poziomie jego oczu.

Uśmiechnęła się, gdy podawał jej rękę.

- Proszę mi mówić Katia.

Jej angielszczyzna, choć skażona obcym akcentem, była poza tym bez zarzutu. Był to rezultat dziesięcioletnich studiów w Ameryce i Anglii odbytych po wyjeździe ze Związku Radzieckiego. Jack słyszał już o Katii, ale nie spodziewał się, że tak go zafascynuje. Zwykle był w stanie skoncentrować się całkowicie na nowym, odkryciu, ale teraz nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jack Howard - powtórzył, zdenerwowany, że się odstąpił pod jej chłodnym i kpiącym spojrzeniem.

Czarne, długie włosy Swietłanowej zakołysały się, kiedy odwróciła się, żeby przedstawić koleżankę.

- To jest moja asystentka, Olga Iwanowna Borcewa z moskiewskiego Instytutu Paleografii.

Rosyjski, prosty ubiór Olgi stanowił przeciwieństwo elegancji Katii Swietłanowej. Wygląda jak któraś z propagandowych bohaterki wojny ojczyźnianej, pomyślał Jack, prosta, nieustraszona i silna jak mężczyzna. Ugięła się pod stołem trzymanyh książek, ale spojrzała mu prosto w oczy, kiedy podawał jej rękę.

Dillen wprowadził ich do sali konferencyjnej. Miał przewodniczyć obradom, gdyż Hiebertmeyer zrezygnował z tej roli z szacunku dla renomowanej starszki.

Usiedli wokół stołu. Olga położyła książki obok Katii i odeszła, żeby usiąść na jednym z krzeseł pod ścianą z tyłu.

Hiebermeyer zaczął mówić, spacerując po pokoju. Ilustrował sprawozdanie slajdami. Szybko opowiedział o okolicznościach odkrycia i opisał, jak zaledwie dwa dni temu przewieziono trumnę do Aleksandrii. Od tego czasu konserwatorzy pracowali dzień i noc, żeby rozebrać mumię i uwolnić papirus. Potwierdził, że nie znaleziono innych fragmentów dokumentu, a papirus był tylko o kilka centymetrów dłuższy od tego, co dało się zobaczyć na stanowisku wykopalisk.

Rezultat leżał przed nim na szklanym panelu, na stole. Był to postrzępiony arkusz długi na jakieś trzydzieści centymetrów i szeroki na piętnaście, pokryty gęstym pismem z przerwą w środku.

- Cóż za niezwykły zbieg okoliczności. Wielbłąd trafił prosto na to powiedziała Katia.

- Cóż za niezwykły zbieg okoliczności, że takie zbiegi okoliczności często zdarzają się w archeologii. - Jack mrugnął do niej i oboje się uśmiechnęli.

- Większość wielkich znalezisk to kwestia przypadku - kontynuował Hiebermeyer, nie zwracając uwagi na Katię i Jacka. I pamiętajcie, że pozostały nam jeszcze setki mumii do zbadania. Właśnie na takie odkrycie liczyłem, a może być ich więcej.

- Fantastyczna perspektywa - zgodziła się Katia.

Dillen pochylił się i wziął pilota projektora. Uporządkował stos papierów, które wyjął z teczki, kiedy Hiebermeyer mówił.

- Przyjaciele i koledzy - powiedział, przyglądając się obecnym. - Wszyscy wiemy, dlaczego tu się zebraliśmy.

Ich uwaga przeniosła się na ekran. Obraz pustynnej nekropolii został zastąpiony zbliżeniem papirusu. Słowo, które tak przykuło uwagę Hiebermeyer na pustyni, teraz wypełniało ekran.

Atlantyda - wyszeptał Jack.

Muszę was prosić o cierpliwość. - Dillen przyglądał się im, wiedząc, jak bardzo chcą usłyszeć tłumaczenie tekstu, które sporządził z pomocą Katii. - Zanim zabiorę głos, proponuję, żeby doktor Swietłanowa przedstawiła nam historię Atlantydy, jaką znamy. Katiu, proszę.

- Z przyjemnością, panie profesorze.

Katia i Dillen zaprzyjaźnili się, kiedy przebywała w Cambridge na urlopie naukowym, prowadząc studia pod jego kierownictwem. Byli razem w Atenach, kiedy miasto zostało zniszczone przez wielkie trzęsienie ziemi, które rozłupało wzgórze Akropolu, ujawniając wykute w skale komory, zawierające zaginione od dawna archiwa starożytnego miasta. Katia i Dillen wzięli na swoje barki opublikowanie tekstów związanych z grecką eksploracją poza

obszarem śródziemnomorskim. Kilka tygodni wcześniej ich zdjęcia pojawiły się na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Był to efekt konferencji prasowej, podczas której opowiadali o wyprawie greckich i egipskich awanturników, która przebyła Ocean Indyjski i dotarła aż do Morza Chińskiego.

Katia była też jednym z najlepszych znawców legendy o Atlantydzie i przyniosła ze sobą wydania ważnych starożytnych tekstów. Wybrała dwie książeczki i otworzyła je na zaznaczonych stronach.

- Przede wszystkim pragnę podkreślić, jak wielką przyjemność sprawiło mi zaproszenie na to sympozjum. To wielki honor dla moskiewskiego Instytutu Paleografii i dowód na to, że utrwała się duch międzynarodowej współpracy.

Wokół stołu przetoczył się pełen aprobaty pomruk.

- Przechodzę do rzeczy. Po pierwsze, możecie państwo zapomnieć o wszystkim, co do tej pory słyszeliście o Atlantydzie.

Zachowywała się poważnie jak na naukowca przystało. Ogniki zniknęły jej z oczu i Jack spostrzegł, że już potrafi całkowicie skoncentrować się na tym, co Katia ma do powiedzenia.

- Mogłoby się wydawać, że Atlantyda to uniwersalna legenda, jakiś odległy epizod historyczny, ledwie pamiętany przez różne kultury, zachowany w mitach i legendach na całym świecie.

- Jak opowieści o potopie - wtrącił Jack.

- Właśnie - spojrzała z chytrym rozbawieniem. - Ale to nieprawda. Istnieje tylko jedno źródło. - Podniosła dwie książki. - Dzieła starożytnego greckiego filozofa Platona. Platon żył w Atenach od 427 do 347 roku przed naszą erą, pokolenie po Herodocie. Jako młody człowiek musiał poznać mowę Peryklesa, uczęszczać na sztuki Eurypidesa, Ajschylosa i Arystofanesa, widzieć, jak na Akropolu wznoszono wielkie świątynie. Były to dni chwwały klasycznej Grecji, najwspanialszy znany nam okres cywilizacji,

Katia położyła na stole otworzyła obie książki.

- Te dwie książeczki noszą tytuły *Timaios* i *Kritias*. Są to wymyślone dialogi pomiędzy mężczyznami o tych imionach a Sokratesem, nauczycielem Platona, którego mądrość przetrwała tylko w pismach jego ucznia. W tych fikcyjnych rozmowach *Kritias* opowiada Sokratesowi o potężnej cywilizacji, która istniała na Oceanie Atlantyckim dziewięć tysięcy lat wcześniej. Atlantydzini byli potomkami Posejdona, boga mórz. *Kritias* informuje Sokratesa: „Była wyspa położona za Cieśniną, która zwana jest przez was Słupami Heraklesa; wyspa była większa od Libii i Azji razem wziętych. Na tej wyspie, Atlantydzie, istniało wielkie i wspaniałe imperium, które władało całą wyspą i kilkoma innymi i nad częścią kontynentu i dalej, gdzie ludzie z Atlan-

tydy podporządkowali sobie części Libii po tej stronie Słupów Heraklesa aż do Egiptu i Europy aż po Tyrrenię. Ta wielka potęga, zebrana w jedno, próbowała podporządkować sobie nasze państwo i cały region za Cieśniną"*.

Katia wzięła drugą książkę.

- Libia to starożytna nazwa Afryki, Tyrrenia to środkowa Italia, a Słupy Heraklesa to Cieśnina Gibraltarska. Ale Platon nie był ani geografem, ani historykiem. Zajmowała go historia wojny między Ateńczykami a Atlantydami, którą Ateńczycy oczywiście wygrali, ale za cenę największych ofiar.

Znów spojrzała w tekst.

- A teraz najistotniejsza część legendy. Ostatnie kilka zdań dręczyło uczonych przez ponad dwa tysiące lat i zaprowadziło ich w więcej ślepych uliczek niż można zliczyć. „Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna - wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła"*.

Katia zamknęła książkę i spojrzała pytająco na Jacka.

- Co spodziewałby się pan znaleźć na Atlantydzie?

Jack zawahał się, wiedząc, że kobieta będzie teraz sprawdzała jego kwalifikacje naukowe.

- Atlantyda zawsze znaczyła coś więcej niż tylko zagubioną cywilizację - odparł. - Dla starożytnych była to fascynacja upadkiem, wielkością zniszczoną przez arogancję i pychę. Każda epoka ma swoją Atlantyde, zawsze nawiązującą do świata niewyobrażalnej świetności, kładącego się cieniem na całą historię. Dla nazistów było to miejsce narodzin nadczłowieka, pierwotna ojczyzna aryjczyków. Stało się to bodźcem do szalonych poszukiwań na całym świecie jego rasowo czystych potomków. Dla innych były to ogrody Edenu, raj utracony.

Katia kiwnęła głową i powiedziała cicho:

- Jeśli w tej opowieści jest choć źdźbło prawdy, jeśli papirus daje nam więcej poszlak, to być może będziemy w stanie rozwiązać jedną z największych zagadek w historii.

Zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na siebie, a na ich twarzach malowało się oczekiwanie i ledwie ukrywana ciekawość.

- Dziękuję, Katiu. - Dillen wstał. Najwyraźniej lepiej mu się mówiło, gdy stał. Był wyśmienitym wykładowcą, przyzwyczajonym do absorbowania uwagi słuchaczy.

- Uważam, że opowieść o Atlantydzie to nie historia, lecz alegoria. Intencją Platona było naszkicowanie kilku lekcji moralności. W *Timajosie* porządek triumfuje nad chaosem podczas powstawania kosmosu. W *Kritiasie* ludzie stosujący samodyscyplinę, skromni, szanujący prawo triumfują nad ludźmi dumnymi i bezczelnymi. Konflikt z Atlantydą został wymyślony po to, żeby pokazać, że Ateńczycy byli ludem zdecydowanym, który w końcu zwycięży w każdej wojnie. Nawet uczeń Platona, Arystoteles, sądził, że Atlantyda nie istniała. Dillen oparł dłoń na stole i pochylił się. - Uważam, że Atlantyda to przypowieść polityczna. Opowieść Platona, skąd zna tę historię, to fikcja, taka jak wstęp Swifta do *Podróży Guliwera*, w którym podaje on całkiem prawdopodobne, ale niedające się zweryfikować źródło.

Jack wiedział, że Dillen odgrywa rolę adwokata diabła. Zawsze podziwiał umiejętności retoryczne swojego mistrza, odzwierciedlające lata spędzone przez niego w najlepszych uniwersytetach na świecie.

- Byłoby dobrze, gdyby zechciał pan przypomnieć źródła, na które powołuje się Platon - powiedział Hiebertmeyer.

- Oczywiście. - Dillen spojrział w notatki. - Kritias był pradziadkiem Platona. Twierdził, że jego pradziad usłyszał historię o Atlantydzie od Solona, słynnego ateńskiego prawodawcy. Z kolei Solon usłyszał ją od starego egipskiego kapłana w Sais, w delcie Nilu.

Jack szybko podliczył lata.

- Solon żył od około 640 do 560 roku przed naszą erą. Do świątyni wpuszczono by go tylko jako znakomitego uczonego. Jeśli zatem przyjąć, że odwiedził Egipt jako starszy człowiek, ale niezbyt stary, gdyż musiał znieść trudy podróży, to umiejscawiałoby spotkanie w początkach VI wieku przed naszą erą, powiedzmy między rokiem 590 a 580 przed naszą erą. Jeśli tak, to mamy do czynienia z faktem, a nie z fikcją. Chciałbym postawić pytanie. Jak to możliwe, że tak istotna opowieść nie była powszechnie znana? Herodot odwiedził Egipt w połowie V wieku przed naszą erą, jakieś pół wieku przed czasami Platona. Był niestrudzonym badaczem, sroką, która zносиła do gniazda wszelkie błyskotki, a jego praca przetrwała w całości. Ale nie ma w niej wzmianki o Atlantydzie. Dlaczego?

Dillen przyjrzał się po kolei każdemu ze słuchaczy Usiadł. Wstał Hiebertmeyer i zaczął przechadzać się zgodnie ze swoim zwyczajem po pokoju.

- Sądzę, że mógłbym odpowiedzieć na pańskie pytanie. W naszym świecie zwykliśmy myśleć o wiedzy historycznej jako o własności powszechnej. Są oczywiście wyjątki i wszyscy wiemy, że można manipulować historią, ale ogólnie rzecz biorąc nic, co miałoby większe znaczenie, nie może być zbyt długo

ukrywane. Cóż, w starożytnym Egipcie było inaczej. W przeciwieństwie do Grecji i Bliskiego Wschodu, których kultury były zmiotane przez inwazje, Egipt miał nieprzerwaną tradycję sięgającą wczesnej epoki brązu, wczesnego okresu dynastycznego około 3100 roku przed naszą erą. Niektórzy uważają, że trzeba się cofnąć nawet do czasów przybycia pierwszych rolników, prawie cztery tysiące lat wcześniej. Ale do czasów Solona dostęp do tej wiedzy stawał się coraz trudniejszy. Wyglądało to tak, jakby rozczłonkowano ją na pasujące do siebie kawałki jak w układance, potem spakowano i rozdzielono na paczki. - Przerwał, zadowolony z tej przerośni. - Zaczęto przechowywać ją w wielu różnych świątyniach, poświęconych rozmaitym bogom. Kapłani strzegli zazdrośnie swoich paczek z wiedzą jak skarbu. Można ją było ujawnić obcom tylko za boskim przyzwoleniem, jeśli bogowie zesłali jakiś znak. Zastanawiające - powiedział z błyskiem w oku - ale te znaki zdarzały się najczęściej wtedy, kiedy aplikanci ofiarowali jakiś dar, zazwyczaj złoto.

- Więc wiedzę można było kupić? - zapytał Jack.

- Tak, ale tylko w sprzyjających okolicznościach, we właściwym dniu albo miesiącu, między rozlicznymi świętami religijnymi, w natłoku wszelakich znaków i przepowiedni. Jeśli coś się nie zgadzało, aplikant był odprawiany, nawet jeśli przybył ze stosem złota.

- A zatem opowieść o Atlantydzie mogła być znana tylko w jednej świątyni i opowiedziana tylko jednemu Grekowi.

- Właśnie. - Hiebertmeyer kiwnął poważnie głową w stronę Jacka. Tylko garstka Greków dotarła w ogóle do świątynnych skryptoriów. Kapłani podejrzliwie patrzyli na ludzi takich jak Herodot, którzy byli zbyt ciekawscy, podróżując od świątyni do świątyni. Herodota czasem wprowadzano w błąd, opowiadano historie przesadzone i sfalszowane. Był, jak to się mówi, prowadzony na smyczy. Najcenniejsza wiedza była zbyt święta, by powierzać ją papierowi. Przekazywano ją z ust do ust, od najwyższego kapłana do najwyższego kapłana. W większości zaginęła, kiedy Grecy zniszczyli świątynie. Ta niewielka jej część, którą zapisano, przepadła za czasów rzymskich, kiedy to w 48 roku przed naszą erą, podczas wojny domowej, spłonęła biblioteka królewska w Aleksandrii, a jej filia podzieliła ten los, gdy cesarz Teodozjusz nakazał zniszczyć wszystkie istniejące jeszcze świątynie pogańskie w 391 roku naszej ery. Niektóre z rzeczy, które zaginęły, poznaliśmy dzięki komentarzom w starożytnych tekstach, które przetrwały do naszych czasów. To *Geografia* Pyteasa *Żeglarza*, *Historia świata* cesarza Klaudiusza, zaginione tomy Galena i Celsusa. Przepadły wielkie dzieła historyczne i naukowe oraz kompendia wiedzy farmaceutycznej, które byłyby w stanie

przyspieszyć rozwój medycyny. Ledwie możemy sobie wyobrazić tajemną wiedzę Egipcjan, która podzieliła los tamtych zwojów.

Hiebertmeyer usiadł i Katia znów zabrała głos.

- Chciałabym zaproponować alternatywną hipotezę. Uważam, że Platon mówił prawdę na temat swojego źródła. Ale z jakichś powodów Solon nie napisał relacji ze swojej wizyty. Czy zabronili mu tego kapłani?

Podniosła książkę i mówiła dalej:

- Uważam, że Platon zebrał fakty, które znał, i wykorzystał je w swoim celu. Tutaj częściowo zgadzam się z profesorem Dillenem. Platon przesądził, żeby uczynić z Atlantydy bardziej odległe i budzące zachwyt miejsce. Przeniósł historię w zamierzchłe czasy, sprawił, że Atlantyda była największą masą lądu, jaką mógł sobie wyobrazić, i usytuował ją na zachodnim oceanie, poza granicami starożytnego świata. - Spojrzała na Jacka. - Istnieje jednak pewna teoria na temat Atlantydy, szeroko rozpowszechniona wśród archeologów. Mamy szczęście, że wśród nas jest jeden z najważniejszych jej przedstawicieli. Doktorze Howard?

Jack już pstrykał pilotem, żeby znaleźć mapę Morza Egejskiego z Kretą pośrodku.

- To jest do przyjęcia, jeśli zmniejszymy skalę - powiedział. - Jeśli umieścimy to dziewięćset a nie dziewięć tysięcy lat przed Solonem, znajdziemy się około 1600 roku przed naszą erą. Był to czas wielkich cywilizacji epoki brązu. Nowe Państwo w Egipcie, Kanejczycy w Syro-Palestynie, Hetyci w Anatolu, Mykeńczycy w Grecji, Minojczycy na Krecie. To jedyny prawdopodobny kontekst historii o Atlantydzie.

Wycelował świetlny wskaźnik na mapę.

- Uważam, że jedynym możliwym miejscem jest Kreta. - Spojrzała na Hiebertmeyer. - Dla większości Egipcjan czasów faraonów Kreta stanowiła północną granicę ich znanego świata. Z południa widać imponujący masyw liliowy, długą linię brzegową z górami w tle, ale Egipcjanie wiedzieli, że to wyspa, bo podejmowali wyprawy do pałacu w Knossos na północnym wybrzeżu.

- A co z Oceanem Atlantyckim? - zapytał Hiebertmeyer.

- To niemożliwe - powiedział Jack. - W czasach Platona morze na zachód od Gibraltaru było morzem nieznanym, ogromnym oceanem kończącym się ognistym brzegiem dysku świata. To dlatego Platon przeniósł tam Atlantyde. Jego czytelnicy nie zachwyciliby się wyspą na Morzu Śródziemnym.

- A słowo Atlantyda?

- Bóg morza Posejdon miał syna Atlasa, muskularnego kolosa, który dźwigał na barkach niebo. Ocean Atlantycki był oceanem Atlasa, a nie Atlantydy.

Termin Atlantyck pojawia się po raz pierwszy u Herodota, a więc w czasach, gdy Platon pisał swoje dzieła, musiało to już być słowo powszechnie używane.

- Jack przerwał i spojrział na słuchaczy. - Zanim zobaczyłem ten papirus, upie-rałbym się, że Platon wymyślił słowo Atlantyda jako wygodną nazwę dla zagi-nionego kontynentu na oceanie Atlasa. Z inskrypcji wiemy, że Egipcjanie na-zywali Minojczyków i Mykeńczyków mianem Kefitu, ludzi z północy, którzy przybywają na statkach wiozących trybut. Wcześniej sądziłbym, że w oryginalnej relacji to Kefitu, a nie Atlantyda było nazwą zaginionego kontynentu. Teraz nie jestem tego pewien. Jeśli papirus rzeczywiście pochodzi z czasów przed Platonem, to z pewnością nie on wymyślił to słowo.

Katia odgarnęła długie czarne włosy i spojrzała na Jacka.

- Czy wojna między Ateńczykami a Atlantydami była w rzeczywistości wojną między Mykeńczykami a Minojczykami?

- Tak przypuszczam. - Jack spojrział na nią bystro. - Ateński Akropol mógł być najwspanialszą ze wszystkich mykeńskich twierdz, zanim został zburzo-ny, żeby zrobić miejsce dla budynków okresu klasycznego. Wkrótce po 1500 roku przed naszą erą mykeńscy wojownicy zdobyli Knossos na Krecie i rzą-dzili nim aż do czasu, kiedy pałac został zniszczony przez ogień i grabież sto lat później. Konwencjonalny pogląd głosi, że Mykeńczycy byli wojowniczy, a Minojczycy lubowali się w pokoju. Najazd miał miejsce niedługo po znisz-czeniach, gdy klęski żywiołowe okrutnie dotknęły Minojczyków.

- Ślady tego wydarzenia można znaleźć w legendzie o Tezeuszu i Minotau-rze - powiedziała Katia. - Tezeusz, ateński książę, zabiegał o względy Ariad-ny, córki króla Minosa z Knossos, ale żeby ją poślubić, musiał stanąć do walki z Minotaurem mieszkającym w labiryncie. Minotaur był pół bykiem, pół czło-wiekiem, co z pewnością symbolizowało potęgę minojskiej armii.

- Grecki wiek brązu został odkryty przez ludzi, którzy uważali, że legendy zawierają żdźbło prawdy, Arthura Evansa w Knossos i Heinricha Schlie-manna w Troi i Mykenach. Obaj wierzyli w wojnę trojańską z *Iliady* i *Odysei* Homera i w to, że eposy opisane w VIII wieku przed naszą erą, przechowują pamięć burzliwych wydarzeń, które doprowadziły do załamania się cywili-zacji epoki brązu - wtrącił Hiebermeyer.

- I to właśnie doprowadziło mnie do moich konkluzji - rzekł Jack. - Pla-ton nie wiedział nic o Krecie z epoki brązu, zapomnianej w wiekach ciem-nych, które poprzedzały okres klasyczny. A jednak w jego opowieści jest wiele rzeczy, przywodzących na myśl Minojczyków, widać to w szczegó-łach, o których Platon nie mógł wiedzieć. Katiu, pozwól. - Jack sięgnął przez stół i wziął dwie książki, które popchnęła w jego stronę. Przekartkował jedną

z nich i otworzył przy końcu. - O, tutaj: „...ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw...”. Tak właśnie wyglądała Kreta widziana z Egiptu, a te inne wyspy to Dodekanez i Cyklady na Morzu Egejskim. Kontynent to Grecja i Azja Mniejsza. To nie koniec.-Otworzył drugą książkę i przeczytał kolejny fragment. - „Więc naprzód miała być ta cała okolica bardzo wysoka i odcięta od morza a naokoło miasta nic, tylko równina, miasto otaczająca a sama dookoła otoczona górami, które schodziły aż do morza”**. - Podszedł do ekranu, na którym wyświetlona była teraz mapa Krety. - Tak właśnie wygląda południowe wybrzeże Krety i wielka wyżyna Mesary. Wrócił do stołu, gdzie zostawił książki. - A teraz sami Atlantydzi. „Podzieleni byli na dziesięć względnie niezależnych okręgów administracyjnych, poddanych królewskiej metropolii”**. - Odwrócił się i wskazał na mapę. - Archeolodzy uważają że minojska Kreta podzielona była na kilkanaście półautonomicznych lenn pałacowych, z których Knossos było najważniejsze. - Pstryknął pilotem, żeby pokazać wspaniały obraz wykopalisk w pałacu z Knossos, z odrestaurowaną salą tronową. To jest z pewnością „...pałac królewski (...) odpowiedni do wielkości państwa...”. - Przesuwał slajdy, aż dotarł do zbliżenia systemu kanalizacyjnego pałacu. - Minojczycy byli doskonałymi budowniczymi systemów kanalizacyjnych. Proszę, „...i porobili naokoło sadzawki, jedne pod gołym niebem a drugie zimowe, pod dachem dla ciepłych kąpeli. Osobno królewskie a osobno dla zwykłych ludzi. A jeszcze dla kobiet inne a inne dla koni i dla innych zwierząt pociągowych...”**. A teraz byk. - Ponownie nacisnął guzik i pojawił się kolejny widok Knossos, tym razem ukazujący wspaniałą rzeźbę byczych rogów przy dziedzińcu. Znów zaczął czytać: - „Koło świątyni Posejdona pasły się na wolności byki. Otóż ci królowie w liczbie dziesięciu, sami tylko będąc w świątyni, modlili się do boga, żeby im dał złapać ofiarę, która byłaby mu miła i wtedy rozpoczynali polowanie bez pomocy żelaza a tylko przy pomocy kijów i pętli ze sznurka”**. Odwrócił się do ekranu i pokazał resztę slajdów. - Malowidło ściennne z Knossos ukazujące byka ze skaczącym nad nim akrobatą. Kamienna waza libacyjna w kształcie głowy byka. Złoty puchar z wytłoczoną sceną polowania na byki. Jama zawierająca setki byczych rogów, ostatnio odkryta pod głównym dziedzińcem pałacowym. - Jack usiadł i spojrzał na słuchaczy. - Pozostaje jeszcze jeden element tej historii.

Obraz ukazał lotnicze zdjęcie wyspy Thiry. Jack zrobił tę fotografię z pokładowego helikoptera „Seaquesta” zaledwie kilka dni wcześniej. Widać było wyraźnie postrzępiony zarys kaldery. Ogromny basen otoczony był wysokimi klifami, na których stały pobielane domy współczesnej wioski.

- Jedyne aktywny wulkan na Morzu Egejskim i jeden z największych na świecie. Gdzieś w połowie II tysiąclecia przed naszą erą wybuch rozerwał jego stożek. Osiemnaście kilometrów sześciennych skały i popiołu zostało wyrzucone osiemdziesiąt kilometrów w górę, setki kilometrów na południe, nad Kretę i wschodnią część basenu Morza Śródziemnego, zaciemniając niebo na całe dni. Od wstrząsu chwiały się budowle w Egipcie.

Hiebertmeyer wyrecytował z pamięci cytat ze Starego Testamentu:

- „I rzekł Pan do Mojżesza, wyciągnij rękę w stronę nieba, żeby stała się ciemność nad ziemią Egiptu, ciemność, którą będzie się czuć. I Mojżesz wyciągnął rękę w stronę nieba i gęsta ciemność okryła ziemię Egiptu na trzy dni**”.

- Popiół pokrył Kretę i zniszczył rolnictwo na całe pokolenie mówił dalej Jack. - Wielkie fale pływowe, tsunami, runęły na północne wybrzeże wyspy, niszcząc pałace, na zmianę z wielkimi trzęsieniami ziemi. Ci, którzy przetrwali, nie byli w stanie przeciwstawić się Mykeńczykom, kiedy ci przybyli w poszukiwaniu bogatych łupów.

Katia uniosła rękę i zabrała głos.

- No właśnie. Egipcjanie usłyszeli ogromny huk. Niebo pociemniało. Nieliczni rozbitkowie dopłynęli do Egiptu z przerażającymi opowieściami o potopie. Mężowie Kefitu już się nie pojawili z daninami. Wprawdzie Atlantyda nie zapadła się pod fale, ale na zawsze zniknęła z egipskiego świata. - Uniosła głowę i spojrzała na Jacka, który uśmiechnął się do niej.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - stwierdził.

Podczas dyskusji Dillen siedział w milczeniu. Wiedział, że wszyscy czekają na niego, świadomi tego, że tłumaczenie fragmentu papirusu może odsłonić tajemnice, które przewrócą wszystko, w co wierzyli. Jack zresetował projektor, żeby pokazać pierwszy slajd. Pozostali spojrzeli z wyczekiwaniem na Dillena. Na ekranie znów pojawił się tekst napisany ręką starożytnego Greka.

- Jesteście gotowi? - zapytał Dillen.

Rozległ się rozgorączkowany pomruk zgody - napięcie doszło do zenitu. Dillen otworzył teczkę, wyciągnął zwój i rozwinął go przed nimi. Jack przyćmił światła i włączył lampę fluorescencyjną nad postrzępionym fragmentem starożytnego papirusu, leżącego pośrodku stołu.

4

Widzieli go w każdym szczególe, starożytna karta nieomal świeciła pod ochronną płytą szklaną. Przyciągnęli bliżej krzesła, ich twarze wyłaniały się z cienia na skraju oświetlonego kręgu.

- Najpierw materiał.

Dillen puścił wokół stołu mały plastikowy pojemnik na próbki, zawierający fragment wzięty do analizy, kiedy odwijano mumię.

- Bezspornie jest to papirus, *Cyperus papyrus*. Możecie zobaczyć kratkowany wzór tam, gdzie włókna trzciny zostały spłaszczone i sklezione.

- Papirus zaczął znikać z Egiptu od II wieku naszej ery - powiedział Hiebertmeyer - ze względu na egipską manię zapisywania wszystkiego. Egipcjanie byli genialni w dziedzinie irygacji i rolnictwa, ale jakoś nie udało im się zachować stanowisk papirusu wzdłuż brzegów Nilu. - Zapalał się w miarę, jak mówił. - Mogę teraz ujawnić, że najstarszy znany nam papirus datowany jest na 4000 lat przed naszą erą, ma prawie tysiąc lat więcej niż kolejne znalezisko. Został odkryty w bieżącym roku podczas moich wykopaliśk w świątyni Neith, w Sais w delcie Nilu,

Wokół stołu rozległy się podniecone szepty. Katia pochyliła się do przodu.

- No dobrze, bierzmy się do naszego manuskryptu. Posiadamy nośnik, który jest starożytny, ale można go datować dowolnie, poczynając od II stulecia naszej ery. Czy jesteśmy w stanie dokonać bardziej precyzyjnej datacji?

Hiebertmeyer pokręcił głową.

- Nie na podstawie samego materiału. Możemy spróbować datacji za pomocą metody węgla radioaktywnego, ale izotopy zostały prawdopodobnie zanieczyszczone innymi materiałami organicznymi pochodzącymi z bandaży mumii. A żeby otrzymać wystarczająco pokąźną próbkę, należałoby zniszczyć cały papirus.

- A to jest, oczywiście, nie do przyjęcia. - Dillen przejął prowadzenie dyskusji. - Ale mamy dowód pochodzący z samego pisma. Gdyby Maurice go nie znalazł, nie byłoby nas tutaj.

- Pierwsze wskazówki dostrzegła moja studentka, Aisza Farouk. - Hiebertmeyer rozejrzył się po obecnych. - Uważam, że pochówek i data powstania papirusu są sobie współczesne. Ten papirus nie był jakimś starym śmieciem, ale niedawno spisany dokumentem. Doskonale zachowane pismo poświadcza tę hipotezę.

Dillen przymocował cztery rogi swojego zwoju do stołu, żeby obecni mogli zobaczyć, iż papier pokryty jest symbolami skopiowanymi z papirusu. Zgrupował identyczne litery, pary liter i słów. Była to metoda analizy regularności stylistycznej, dobrze znana jego studentom.

Wskazał na osiem linii ciągłego pisma na dole.

- Maurice miał rację, identyfikując to jako wczesną formę pisma greckiego, którą można datować nie później niż na okres klasyczny w pełnym rozkwicie, to jest na V wiek przed naszą erą. - Podniósł wzrok i przerwał. - Miał rację, ale ja jestem w stanie przeprowadzić dokładniejszą datację.

Jego ręka przesunęła się do grupy liter u szczytu.

- Grecy zaadaptowali alfabet fenicki w początkach pierwszego tysiąclecia przed naszą erą. Niektóre z fenickich liter pozostały niezmienione, inne zmieniły z czasem kształt. Alfabet grecki osiągnął ostateczną formę dopiero w końcu VI wieku przed naszą erą. - Podniósł wskaźnik świetlny i wycelował nim w prawo, górny róg zwoju. - Popatrzcie teraz na to.

Jack odezwał się podekscytowany:

- Fenicka litera A.

- Zgadza się. - Dillen przyciągnął krzesło bliżej do stołu. - Fenicki kształt litery zanika około połowy VI wieku przed naszą erą. Z tego powodu, jak również ze względu na słownictwo i styl, proponuję datę z początku stulecia. Może 600 rok, a z pewnością nie późniejszą niż 580 rok przed naszą erą.

- Jest pan pewien? - zapytał Jack.

- Nigdy nie byłem równie pewien.

- A teraz ja mogę ujawnić najważniejszy dowód, służący datacji mumii — oznajmił Hiebertmeyer z triumfem w głosie. - Złoty amulet serca, *ib*, pod dyskiem słonecznym, *re*, razem tworzące symboliczne przedstawienie faraona Apriesa, którego imię własne brzmiało Wah-Ib-Re. Ten amulet mógł być darem dla człowieka, którego mumię znaleźliśmy, rzeczą tak cenną, że zabrał ją na tamten świat. Apriesa był faraonem XXVI dynastii, władał od 596 do 568 roku przed naszą erą.

- To fantastyczne! - zawołała Katia. - Nie licząc kilku fragmentów, nie dysponujemy greckim manuskrypcem sprzed V wieku przed naszą erą. A ten datowany jest zaledwie na sto lat po Homerze, kilka pokoleń po tym, jak Grecy

zaczęli używać nowego alfabetu. To jest najważniejsze znalezisko z dziedziny epigrafii w ciągu ostatnich kilku dekad. - Przerwała, żeby uporządkować myśli. - Mam pytanie. Co papirus z greckim pismem robił w Egipcie, w VI wieku przed naszą erą, ponad dwieście lat przed przybyciem Aleksandra Wielkiego?

Dillen rozejrział się.

- Nie będę dłużej owijał w bawełnę. Uważam, że mamy przed sobą fragment zaginionego dzieła Solona Prawodawcy, jego sprawozdanie z odwiedzin u najwyższego kapłana w Sais. Znaleźliśmy źródło platońskiej opowieści o Atlantydzie.

Pół godziny później stali w grupie na balkonie wychodzącym na Wielki Port. Dillen palił fajkę i z zadowoleniem patrzył, jak Jack rozmawia z Katią w pewnym oddaleniu od innych. Nie po raz pierwszy widział coś takiego, ale może w końcu to coś poważnego. Lata temu Dillen odkrył potencjał w niesfornym studencie, któremu brakowało wiedzy, jaką daje dobra szkoła; to właśnie on namówił Jacka do służby w wywiadzie wojskowym, pod warunkiem że po powrocie zajmie się archeologią. Inny z jego byłych studentów, Efram Jacobovich, wydzielił ze swojej fortuny, którą zbił na programach komputerowych, fundusz stanowiący podstawę wszelkich badań prowadzonych przez IMU, a Dillen po cichu rozkoszował się szansą, jaką dzięki temu zyskał, żeby zaangażować się w przygodę Jacka.

Jack przeprosił i odszedł, żeby przez satelitę zadzwonić na „Seaquesta”. Przelotnie położył dłoń na ramieniu Katii i wyszedł przez drzwi balkonowe. Podniecenie, w jakie wprawiło go odkrycie papirusu, walczyło o pierwszeństwo z chęcią uzyskania najnowszych informacji o badaniach wraku. Zaledwie dwa dni temu Costas odkrył złoty dysk, a stanowisko już ujawniało nowe bogactwa zdolne przyćmić nawet to.

Podczas przerwy w rozmowach pozostali uczestnicy zwrócili uwagę na telewizor stojący w niszy, w ścianie. Nadawano reportaż CNN o kolejnym ataku terrorystycznym w byłym Związku Radzieckim. Tym razem gdzieś w Gruzji wybuchł samochód pułapka o wielkiej sile rażenia. Jak większość słynnych aktów terroryzmu w ostatnich latach nie była to robota fanatyków, ale wykalkulowany akt osobistej zemsty, kolejny ponury epizod w świecie, w którym ideologię zastępowano chciwością i zemstą, głównymi przyczynami międzynarodowej destabilizacji. Ludzie stojący na balkonie byli szczególnie zaniepokojeni, gdyż kradzież starożytnych artefaktów dostarczała głównie towaru nielegalnych transakcji, a czarnorynkowi spekulanci poczynali sobie coraz śmielej, żeby zdobyć najcenniejsze przedmioty.

Po powrocie Jack podjął przerwana rozmowę z Katią. Niewiele mówiła o swoim pochodzeniu, ale zwierzyła się z chęcią większego zaangażowania się w walkę ze złodziejami starożytnych dzieł sztuki, niż pozwalała jej na to zajmowana pozycja. Jack odkrył, że proponowano jej prestiżowe stanowiska uniwersyteckie na Zachodzie, ale ona wolała zostać w Rosji na pierwszej linii frontu walki z tym problemem, mimo skorumpowanej biurokracji i wszechobecnej groźbie szantażu i represji.

Hiebermeyer i Dillen wrócili.

- Zawsze zdumiewał mnie fakt, że Solon nie zostawił relacji ze swojej wizyty w Egipcie - powiedziała Katia. - Był wybitnym pisarzem, najlepiej wykształconym Ateńczykiem swojej epoki.

- Czy taka relacja mogła być sporządzona w obrębie samej świątyni? - Jack spojrział pytająco na Hiebermeyera, który czyścił zapocone okulary.

- To możliwe, chociaż takie przypadki musiały być bardzo rzadkie. - Hiebermeyer założył okulary i otarł czoło. - Dla Egipcjan sztuka pisania była boskim darem Tota, skryby bogów. Obdarzając ją świętością, kapłani mogli zachować kontrolę nad wiedzą. Spisywanie przez cudzoziemca relacji w świątyni zostałyby uznane za świętokradztwo.

- I nie cieszyłyby się popularnością - skomentował Jack.

Hiebermeyer pokręcił głową.

- Nie, bo ci, którzy nie zgadzaliby się z decyzją najwyższego kapłana, żeby ujawnić wiedzę, traktowałiby go nader podejrzliwie. Słudzy świątynni mogliby nie ścierpieć obecności cudzoziemca, który przybywa, żeby sprzeciwić się woli bogów. - Hiebermeyer uwolnił się od marynarki i podwinął rękawy koszuli. - A Grecy w ogóle nie cieszyli się sympatią. Faraonowie pozwolili im na założenie faktorii handlowej w Naukralis, w Delcie. Grecy byli przebiegłymi kupcami, mieli doświadczenie płynące z kontaktów z Fenicjanami, Egipt zaś od lat był zamknięty na wpływy z zewnątrz. Egipcjanie, którzy powierzali swoje towary greckim kupcom, nie byli świadomi twardych realiów handlu. Ci, którzy nie uzyskali natychmiastowych zysków, uważali, że zostali oszukani i zdradzeni. To rodziło nienawiść.

- Sugeruje pan - przerwał Jack - że Solon spisał tę relację, ale mu ją odebrano i wyrzucono?

Hiebermeyer pokiwał głową.

- To możliwe. Można sobie wyobrazić, jakiego pokroju uczonym był ten człowiek. Zdecydowany do granic obsesji, obojętny wobec ludzi, którzy go otaczali. I naiwny. Musiał mieć z sobą ciężką sakiewkę ze złotem, a obsługą świątyni na pewno o tym wiedziała. Stanowił łatwy łup podczas tych nocnych

przepraw przez pustynię z dzielnicy świątynnej do miasta, w którym kwatrował.

- Mogło więc być tak, że na Solona zastawiono pułapkę i napadnięto go na pustyni. Zwój podarto i wyrzucono. Wkrótce potem ktoś zebrał strzepy i użył do bandażowania mumii. Napaść nastąpiła po ostatniej wizycie Solona w świątyni, toteż cała relacja zaginęła.

- Przypuszczam - włączył się Hiebermeyer - że poważnie go pobito. To oprzytomnieniu pamiętał tylko fragmenty historii i pewnie nic z tego, co powiedziano mu podczas ostatniej wizyty. Był już starym człowiekiem i pamięć miał przyćmioną. Potem, w Grecji, nie tknął już pióra ani papieru i wstydził się przyznać, ile stracił przez własną głupotę. Mógł opowiedzieć tylko skróconą wersję w gronie najbliższych przyjaciół.

Dillen z widoczną satysfakcją słuchał wywodów dwóch swoich byłych studentów. To sympozjum było czymś więcej niż podsumowaniem stanu wiedzy; burza mózgów rodziła nowe pomysły i nowe drogi rozumowania.

- Doszedłem do tych samych wniosków, czytając oba teksty - powiedział - i porównując opowieść Platona z papirusem. Wkrótce dowiecie się, co mam na myśli. Chodźmy już.

Weszli rzędem do sali konferencyjnej. Chłodna wilgoć starych murów dawała odświeżającą ulgę po straszliwym upale na zewnątrz. Wszyscy patrzyli wyczekująco, gdy Dillen sadowił się przed fragmentem papirusu.

- Uważam, że jest to zapis robiony pod dyktando. Tekst został spisany w pośpiechu, a kompozycja nie jest wygładzona. To tylko strzep oryginalnego zwoju, który mógł liczyć parę tysięcy wierszy. To, co przetrwało, jest odpowiednikiem dwóch krótkich akapitów rozdzielonych luką szeroką na jakieś sześć linii. Pośrodku przerwy widnieje symbol, a pod nim słowo Atlantyda.

- Gdzieś to już widziałem. - Jack pochylił się nad stołem, uważnie oglądając dziwny symbol.

- Tak, widział pan. - Dillen na chwilę podniósł wzrok znad notatek. - Ale, jeśli można, chciałbym zostawić to na później. Nie mam wątpliwości, że Solon spisał to w świątynnym skryptorium w Sais, siedząc przed najwyższym kapłanem.

- Nosił on imię Amenhotepa. - Hiebermeyer znów aż poczerwieniał z podniecenia. - Podczas wykopalisk, które prowadziliśmy w zeszłym miesiącu w świątyni Neith, znaleźliśmy fragmenty listy kapłanów z czasów XXVI dynastii. Amenhotep w czasie tej hipotetycznej wizyty Solona musiał mieć ponad sto lat. Jest nawet jego posąg; teraz w British Museum.

Hiebermeyer nacisnął pilota rzutnika i pokazał postać w klasycznej egipskiej pozie trzymającą model świątyni. Jej twarz wydawała się zarazem młodsza i wieczna, ukrywająca więcej niż ujawniała, z żalobnym wyrazem starca, który już wszystko z siebie dał, zanim pochłonęła go śmierć.

- Czy to możliwe - spytała Katia - że przerwa w tekście odpowiada przerwie w dyktowaniu? Tekst powyżej kończy jedną relację, może z poprzedniego dnia audiencji u kapłana, a zapis pod spodem jest początkiem innej.

- I ja tak sądzę. - Dillen rozpromienił się. - Słowo Atlantyda to nagłówek, początek nowego rozdziału.

Zaczął stukać w klawiaturę laptopa podłączonego do multimedialnego wyświetlacza. Teraz mogli podziwiać cyfrowo wzmocniony obraz greckiego tekstu i umieszczonych obok angielskich słów. Odczytał tłumaczenie, nad którym pracował z Katią, odkąd przybyli tu poprzedniego dnia.

- „A w ich cytadelach były byki w tak wielkiej liczbie, że wypełniały podwórce i wąskie korytarze, a ludzie tańczyli z nimi. A potem, w czasach faraona Tutmozisa, bogowie ukarali ziemię wielkim gromem i ciemność zapanowała nad lądem, a Posejdon wzniecił potężną, prącą przed siebie falę, która zmiatała wszystko, co stało na jej drodze. Taki był koniec wyspiarskiego królestwa Kefitu. A dalej usłyszymy o innym potężnym królestwie, o zatopionej cytadeli, którą nazywano Atlantydą”. A teraz co do drugiej części - powiedział Dillen. Nacisnął guzik i ukazał się obraz tekstu poniżej przerwy. - Pamiętajcie, że to materiał słabo obrobiony. Solon tłumaczył na grekę, jednocześnie pisząc. Dla nas to względnie prosty fragment, z kilkoma zdaniami złożonymi albo niejasnymi pojęciami. Ale jest pewien problem.

Spojrzeni na ekran. Tekst przewinął się do końca, słowa zanikały tam, gdzie papirus został oddarty. Pierwszy akapit był dobrze zachowany, drugi coraz węższy, wydarte brzegi schodziły się na kształt litery V. Ostatnie linijki zawierały tylko fragmenty słów.

Teraz Katia zaczęła czytać.

- „Atlantis”. - Jej akcent dodawał sylabom podniosłości, pomagając zrozumieć, że to, co widzą, jest realne. - Pierwsze zdanie jest bezsprzeczne. - Skupiła się na obrazie i zaczęła znów cichym głosem czytać. „*Dia ton neson mechri hou he thalatta stenoutai*”. - Greckie zgłoski brzmiały niemal jak chińszczyzna, gdy odtwarzała zaśpiew starożytnego języka. - „Poprzez wyspy, aż do cieśniny morskiej. Za kataraktą Bos. ”

Hiebermeyer ze zdziwieniem zmarszczył brwi.

- Moja greka jest na tyle dobra, żebym wiedział, że *katarraktes* oznacza wodę płynącą szybko w dół albo wodospad - powiedział. Tego słowa używano do opisania bystrzyn górnego Nilu. Jaki to ma związek z morzem?

Dillen podszedł do ekranu.

- W tym miejscu zaczynamy tracić całe słowa tekstu.

Katia znów podjęła czytanie.

- „A potem dwadzieścia dromoi wzdłuż południowego wybrzeża”.

- Dromos liczył około sześćdziesięciu stadiów skomentował Dillen. - To około pięćdziesięciu mil morskich.

- W praktyce te miary bywały bardzo różne - powiedział Jack. - *Dromos* znaczy „przebieg”, dystans, który statek mógł pokonać w ciągu jednego dnia, gdy było jasno.

- Być może istniały lokalne różnice - zgodził się Hiebermeyer. - Dostosowane do wiatrów, prądów i pór roku, jeśli weźmie się pod uwagę sezonowe zmiany klimatu i różne długości dnia.

- Właśnie. Przebieg pokazywał, ile czasu zajmie przemieszczenie się od A do B w dogodnych warunkach.

- „Pod wysokim bucranionem, znakiem byka” - kontynuowała Katia.

- Albo byczymi rogami - zaproponował Dillen.

- Fascynujące. - Wydawało się, że Hiebermeyer mówi do siebie. - Jeden z najbardziej charakterystycznych symboli w prahistorii. Widzieliśmy go już na zdjęciach, które Jack zrobił w Knossos. Pojawia się też w neolitycznych świątyniach i pałacach epoki brązu na całym Bliskim Wschodzie. Nawet w późnym okresie rzymskim *bucranium* występuje wszędzie w sztuce monumentalnej.

Katia kiwnęła głową.

- Teraz tekst staje się coraz bardziej fragmentaryczny, ale profesor i ja zgadzamy się co do jego znaczenia. Będzie wam łatwiej zrozumieć, jeśli zobaczycie, gdzie występują luki.

Przełączyła projektor, żeby wyświetlał obraz nad głowami, jednocześnie kładąc przezroczystą kartę na szklanej płycie. Na ekranie ukazały się wyraźne słowa napisane przez nią poniżej klinowatego zakończenia w dolnej części papirusu.

- „Potem dociera się do cytadeli. A tam, poniżej rozciąga się rozległa złota równina, głębokie baseny, słone jeziora tak daleko, jak tylko wzrok sięga. A dwieście pokoleń temu Posejdon wywarł zemstę na Atlantydach za to, że ośmielili się żyć jak bogowie. Katarakta upadła, wielkie złote drzwi do cytadeli zamknęły się na zawsze i Atlantyda zniknęła pod falami”. - Przerwała. -

Uważamy, że te ostatnie zdania były sposobem na połączenie opowieści z końcem ziemi Kefiru. Być może głównym celem przekazu arcykapłana był gniew boga mór, zemsta, jaką Posejdon wywarł na ludziach za ich pychę. Wycelowała wskaźnik na ekran.

Następna sekcja zawierała prawdopodobnie dokładny opis Atlantydy. Niestety, mamy tutaj tylko kilka niezwiązanych z sobą słów. W tym miejscu jest, jak nam się zdaje, „złoty dom” albo „o złotych ścianach”. A tutaj z łatwością można odczytać greckie litery łączące się w słowo „piramida”. - Spojrzała pytająco na Hiebermeyera, który był zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć. Wytrzeszczonymi oczami spoglądał w ekran. - A teraz ostatnie słowa. - Wskazała na postrzępiony koniec dokumentu. - „Dom bogów”, a może „hala bogów”, która znów jest *kata boukeros*, co znaczy „pod znakiem byka”. I na tym tekst się kończy.

Hiebermeyer odezwał się pierwszy, głos drżał mu z podniecenia.

- Jasne, to się łączy. Podróż poprzez wyspy do miejsca, gdzie morze się zwęża, co może znaczyć tylko kierunek na zachód od Egiptu, obok Sycylii do Cieśniny Gibraltarskiej. - Trzepnął dłonią o kolano dla podkreślenia wagi swoich słów. - W końcu Atlantyda była na Oceanie Atlantyckim.

- A co z kataraktą? - zapytał Jack. - Trudno powiedzieć, żeby Cieśniną Gibraltarską płynął bystry nurt.

- I ta rozległa, złota nizina i słone jeziora - dodała Katia. - Na Atlantyku widać morze z jednej strony, a wysokie góry albo pustynię z drugiej.

- Południowe wybrzeże też wprowadza zamęt - powiedział Jack. - Bo nie widać południowego brzegu Atlantyku, co sugerowałoby, że Atlantyda była na Morzu Śródziemnym, ale trudno mi sobie wyobrazić przepyszną cytadelę na nagim wybrzeżu zachodniej Sahary.

Dillen przestawił projektor na slajdy i załadował cyfrowe zdjęcia. Łańcuch pokrytych śniegiem gór wypełnił ekran. Na zielonych tarasach przed górami stał kompleks ruin.

Jack miał rację, kojarząc platońską Atlantyde z Kretą epoki brązu. Pierwsza część tekstu najwyraźniej odnosi się do Minojczyków i wybuchu na Thirze. Problem polega na tym, że to nie Kreta była Atlantyda.

Katia pokiwała powoli głową.

- Relacja Platona łączy dwie różne rzeczy.

- Właśnie. - Dillen stanął za krzesłem i zaczął mówić, gestykulując: - Mamy tu fragmenty dwóch różnych opowieści. Jedna opisuje Kretę końca epoki brązu, ziemię Kefitu. Druga mówi o znacznie starszej cywilizacji, o Atlantydzie.

- Różnice w datacji są jednoznaczne. - Hiebermeyer znów otarł twarz z potu. - Pierwszy rozdział papirusu umieszcza zniszczenie Kefitu w czasach panowania Tutmozisa. Był on faraonem z XI dynastii, z końca XVI stulecia przed naszą erą. Dokładnie wtedy nastąpił wybuch na Thirze. Co do Atlantydy mamy „dwieście pokoleń” w drugim rozdziale, co jest faktycznie dość ścisłą datą. Dla egipskich kronikarzy pokolenie oznacza okres około dwudziestu pięciu lat. - Szybko podliczył w pamięci. - Pięć tysięcy lat przed Solonem, czyli około 5600 roku przed naszą erą.

- Niewiarygodne. - Jack pokręcił głową na znak niedowierzania. Cała epoka przed pierwszymi państwami-miastami. Szóste tysiąclecie przed naszą erą to nadal był neolit, czas, gdy rolnictwo stanowiło dla Europy nowość.

- Zdumiewa mnie jeden szczegół - powiedziała Katia. - Jeśli te opowiadania są tak różne, to dlaczego w obu relacjach tak mocno podkreśla się symboliczną postać byka?

- To oczywiste - odparł Jack. - Byk nie był tylko minojskim symbolem. Od początków neolitu reprezentował siłę, męskość, panowanie nad ziemią. Woły do orki były istotne dla wczesnych rolników. Symbole byka występują wszędzie we wczesnych wspólnotach rolniczych tego regionu.

Dillen patrzył zamyślony na papirus.

- Uważam, że odkryliśmy przyczynę liczących dwa i pół tysiąca lat błędnych spekulacji. Na koniec relacji o Kefitu arcykapłan Amenhotep zasygnalizował, że chce się spotkać raz jeszcze i dał przedsmak tego, co miało zostać powiedziane. Chciał utrzymać Solona w stanie ciągłego oczekiwania, żeby upewnić się, że będzie wracał dzień po dniu aż do ostatecznej daty wyznaczonej przez świątynny kalendarz. Być może chodziło mu o tę sakiewkę ze złotem, może liczył na jeszcze hojniejsze dary. Myślę, że w ostatnim zdaniu relacji o Kefitu pojawia się przedsmak historii Atlantydy.

Jack natychmiast podchwycił myśl swojego mistrza.

- Później Solon mógł zastępować Kefitu słowem Atlantyda, za każdym razem kiedy opowiadał historię końca Minojczyków.

- Słusznie. - Dillen kiwnął głową. - W tekście Platona nie ma nic, co wskazywałoby, że Solon zapamiętał cokolwiek z drugiej części tekstu. Żadnej katarakty, żadnej rozległej równiny. I żadnych piramid, co trudno byłoby zapomnieć. Tej ostatniej nocy ktoś musiał go naprawdę mocno uderzyć w głowę.

Słońce już zachodziło, promienie rzucały różowy poblask na wody Wielkiego Portu. Wrócili do sali konferencyjnej na ostatnią sesję przed późną

przerwą na kolację. Żadne z nich nie okazywało śladów zmęczenia, mimo że całe godziny spędzili zebrani wokół stołu z cennym dokumentem. Wszyscy cieszyli się z odkrycia, znalezienia klucza do przeszłości, który mógł zmienić całe wyobrażenie o powstaniu cywilizacji.

Dillen usiadł i zabrał głos.

- Wróćmy teraz do tego symbolu, o którym Jack mówił, że widział go już wcześniej.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i wszedł jakiś młody człowiek.

- Przepraszam, panie profesorze, ale to pilne. Do doktora Howarda.

Jack wyszedł i wziął podaną mu komórkę. Ustawił się przy balustradzie od strony morza, poza zasięgiem słuchu zgromadzonych.

- Howard.

- Jack, tu Costas. Mamy czerwony alert. Musisz wracać na „Seaquesta”..

5

Jack znów wziął stery i helikopter Lynx stanął w powietrzu. Huk jego silnika zszedł do poziomu terkotu. Jack nastawił głośność w słuchawkach i łagodnie musnął lewy pedał, jednocześnie dodając obrotów śmigłu ogonowemu, żeby przesunąć maszyną i podziwiać wspaniały widok, rozciągający się w dół. Odwrócił się do Costasa i obaj wyjrzeni przez otwarte drzwi boczne.

Tysiąc metrów poniżej leżało dymiące serce Thiry. Zawisli nad zalanymi pozostałościami gigantycznej kaldery, wielkiej, pustej muszli, z której na powierzchnię wystawały tylko postrzępione brzegi. Wokół wznosiły się strome klify. Dokładnie pod nimi była Nea Kameni, „Nowe Spalenisko”, ze spaloną, pozbawioną życia powierzchnią. Pośrodku, tam gdzie wulkan znów przebiegał się przez skorupę ziemi, unosiły się charakterystyczne smugi dymu. Jack pomyślał, że to sygnał ostrzegawczy, zły omen, jak byk, który parska i drze ziemię kopytem przed atakiem.

Bezcielesny głos dotarł przez interkom. Głos, który dla Jacka był coraz bardziej pociągający.

- To przerażające - powiedziała. - Płyty afrykańska i eurazjatycka nacierają na siebie, powodując więcej trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów niż gdziekolwiek na Ziemi. Nic dziwnego, że greccy bogowie byli tacy agresywni. Zakładanie tutaj cywilizacji to jak budowanie miasta na uskoku San Andreas.

- Zgadza się - rzucił Costas. - Ale bez tektoniki płyt wapień nie zmieniłby się w marmur. Nie byłoby świątyń ani posągów. - Wskazał ręką na ściany klifu. - A popiół wulkaniczny? To niezwykle materiał. Rzymianie odkryli, że jeśli doda się go do zaprawy wapiennej, otrzymuje się beton, który wiąże się pod wodą.

- Tak - powiedziała Katia. - Popioły wulkaniczne tworzą także niezwykle żyzną glebę. Równiny wokół Etny i Wezuwiusza były spichlerzem starożytnego świata.

Jack uśmiechnął się do siebie. Costas był bawidamkiem i dzielił z Katią pasję do geologii. Ten temat dominował w rozmowie przez całą drogę z Aleksandrii.

Helikopter wracał już do Muzeum Morskiego w Kartaginie, kiedy Costas otrzymał sygnał alarmowy od Toma Yorka, kapitana „Seaquesta”. Costas natychmiast przekazał sygnał Jackowi i skręcił na południe, do Egiptu. Jeszcze tego popołudnia, w porcie, asystował szybkiemu pożegnaniu Jacka z Dillenem i Hiebermeyerem. Jeśli nawet byli rozczarowani, maskowali to niepokojem malującym się na ich twarzach.

Jack dowiedział się, że Katia jest doświadczonym pletwonurkiem i kiedy na balkonie poprosiła go, żeby zabrał ją z sobą, nie wyraził sprzeciwu.

- To moja szansa na to, żeby znaleźć się w pierwszej linii - powiedziała - doświadczyć na własnej skórze tego, co robią współcześni archeolodzy. Jej asystentka, Olga, miała wrócić w pilnych sprawach do Moskwy.

- Tam jest.

Helikopter nachylił się do przodu, a oni spojrzeli w stronę wschodniego horyzontu. Thira pozostawała już poza zasięgiem ich wzroku. Teraz rozpoznawali „Seaquesta” w zamglonej dali. Kiedy się zbliżyli, głęboki granat Morza Śródziemnego pociemniał, jakby nad nim przepływała chmura. Costas wyjaśnił, że to podmorski wulkan, którego szczyt wznosił się z otchłani morskiej jak gigantyczny atol.

Jack włączył interkom.

Nie tutaj spodziewałem się znaleźć stanowisko - powiedział. - Szczyt wulkanu znajduje się trzydzieści metrów pod poziomem wody, za głęboko, żeby stać się rafą. Coś innego zatopiło minojski statek.

Teraz wisieli dokładnie nad „Seaquestem” i powoli zniżali na lądowisko helikoptera, znajdujące się na rufie statku. Znaki wskazujące miejsce lądowania stały się lepiej widoczne, gdy wskazanie wysokościomierza spadło poniżej stu pięćdziesięciu metrów.

- Mamy niewiarygodne szczęście, że statek zatonął tutaj, na głębokości, na której mogą pracować pletwonurkowie. To jedyne miejsce na mile wokół, gdzie dno morskie znajduje się na głębokości mniejszej niż pięćset metrów.

Z interkomu dobiegł głos Katii.

- Mówisz, że statek zatonął w XVI wieku przed naszą erą. Może to za daleko idący wniosek, ale czy przyczyną nie mógł być wybuch na Thirze?

- Oczywiście - powiedział Jack. - Co ciekawe, mógł on także przyczynić się do faktu, że wrak zachował się w doskonałym stanie. Statek został ogarnięty nagłą falą i zatonął na miejscu, jakieś siedemdziesiąt metrów pod szczytem.

Znów odezwał się Costas.

- Prawdopodobnie na kilka dni przed wybuchem wulkanu nastąpiło trzęsienie ziemi. Wiadomo, że mieszkańcy Thiry dostali ostrzeżenie i mogli uciec, zabierając większość dobytku.

Jack kiwnął głową.

- Wybuch musiał zniszczyć wszystko na całe mile wokół mówił dalej Costas. - Ale to był dopiero początek. Woda wpadająca do kaldery odbiła się ze straszną siłą, wywołując stumetrowe tsunami. Jesteśmy niedaleko Thiry i fale nie mogły tu stracić wiele ze swojej energii. Rozbiłyby każdy napotkany statek na drzazgi, pozostawiając tylko odłamki. Nasz wrak przetrwał na dnie morza dlatego, że wbił się w szczelinę poniżej głębokości, do której docierały ruchy wody, wywołane falą.

Helikopter zawisnął czterdzieści metrów nad „Seaquestem”. Jack czekał, aż dostanie pozwolenie na lądowanie. Korzystał z okazji, żeby krytycznym okiem przyrzeć się powodowi swojej dumy i radości. Za lądowiskiem i nadmuchiwanyymi pontonami typu Zodiac znajdował się trzypiętrowy pokład mieszkalny zdolny pomieścić dwudziestu naukowców i trzydziestoosobową załogę. Siedemdziesięciopięciometrowy „Seaquest” był niemal dwukrotnie większy od „Calypso” Cousteau. Został zbudowany na zamówienie w fińskiej stoczni, która zwodowała słynne statki klasy „Akademik” dla rosyjskiego

Instytutu Oceanologii. Podobnie jak one miał dziobowe i boczne silniki sterujące dla zachowania dynamicznej stabilności, co pozwalało naprowadzić statek nad punkt precyzyjnie wyznaczony na dnie morza. Posiadał również automatyczny system trymowania, utrzymujący stabilność dzięki regulowanemu napływowi wody do zbiorników balastowych. Statek miał już ponad dziesięć lat i wymagał remontu, ale nadal wypełniał zadania badawcze dla IMU na morzach całego świata.

Popchnął drążek sterów przed siebie, gdy jego uwagę zwróciła ciemna sylwetka na horyzoncie. Inny statek, nisko osadzony na wodzie i złowrogi, stał bez ruchu kilka mil przed dziobem „Seaquesta”.

O to chodziło, to dlatego tak pilnie wezwano Jacka z Aleksandrii. Katia i Costas zamilkli, ich myśli oderwały się od rozkoszy archeologii, żeby skupić się na poważnych problemach, które ich czekały. Jack zacisnął zęby w ponurej determinacji i wylądował dokładnie wewnątrz pomarańczowego koła na lądowisku. Jego zewnętrzne opanowanie i spokój przeczyły wściekłości, która aż się w nim gotowała. Wiedział, że stanowisko zostanie odkryte, ale nie spodziewał się, że tak szybko. Przeciwnicy musieli mieć dostęp do posowieckiego nadzoru satelitarnego, który był w stanie rozpoznać ludzką twarz z orbity oddalanej o czterysta kilometrów od Ziemi. „Seaquest” stał całkowicie odsłonięty, pod bezchmurnym, letnim niebem Morza Śródziemnego, a fakt, że nie ruszali się z miejsca od kilku dni, najwyraźniej wywołał zainteresowanie.

- Zbadaj to. Zostało wydobyte wczoraj, zanim wyleciałem.

Costas prowadził Jacka i Katię przez labirynt przejść między stołami w laboratorium konserwatorskim „Seaquesta”. Żarówki zawieszane na konstrukcji pod sufitem rzucały jasne, białe światło na całe pomieszczenie. Grupa techników w białych fartuchach czyściła i spisywała dziesiątki cennych artefaktów, które wydobyto z minojskiego wraku przez ostatnie dwa dni. Przygotowywali je do konserwacji przed wystawieniem na publiczny pokaz. Po drugiej stronie sali Costas zatrzymał się obok niskiej ławy i drżącą ręką zdjął pokrowiec z obiektu długości około metra.

Katia ze zdumienia aż wstrzymała oddech. Spod płachty ukazała się głowa byka w naturalnych rozmiarach. Sam łeb wykonano z czarnego, egipskiego steatytu, oczy z afgańskiego lapis-lazuli, rogi z lanego złota, wysadzanego iskrzącymi rubinami z Indii. Otwór w pysku wskazywał, że to ryton, puste w środku naczynie do ofiarnych libacji. Ryton tak bogato zdobiony mógł być używany tylko przez najwyższego kapłana podczas najbardziej uświęconych ceremonii minojskiego świata.

- Jaki piękny - szepnęła. - Picasso zakochałby się w nim.
- Wspaniały okaz na wystawę - powiedział Costas.
- W muzeum morskim? - zapytała Katia.
- Jack zarezerwował jeden z hangarów na triremy dla swojego od dawna poszukiwanego wraku Minojczyków. Jest już prawie pełny, a wykopaliska dopiero się zaczęły.

Śródziemnomorską bazą IMU była starożytna Kartagina w dzisiejszej Tunezji, gdzie wspaniałe zrekonstruowano owalny port wojenny Fenicjan. Szopy niegdyś używane jako schronienie dla galer wiosłowych teraz stały się miejscem składowania znalezisk z rozmaitych starożytnych wraków.

Jack był wściekły. Nie dopuści do tego, żeby równie bezcenny artefakt wpadł w łapy bandytów. Nawet bezpieczna przystań muzeum nie stanowi właściwego schronienia. Kiedy tajemniczy statek pojawił się na horyzoncie, postanowiono zrezygnować z transportu powietrznego. Helikopter dysponował urządzeniem umożliwiającym mu, na krótki dystans, wyprzedzić dosłownie każdy inny śmigłowiec, ale jako poddźwiękowy pojazd powietrzny był narażony na kierowane laserem pociski woda - powietrze. Ich wróg namierzyłby za pomocą GPS miejsce katastrofy, a potem odzyskał roztrzaskany śmigłowiec, używając zdalnie sterowanych pojazdów podmorskich. Ludzie, którzy przeżyliby katastrofę, zostaliby zabici, a znaleziska stałyby się łupem napastników i znikły na zawsze.

Była to nowa i niezwykle groźna forma piractwa na otwartym morzu.

Jack i jego towarzysze przeszli do kajuty kapitana. Tom York, solidnie zbudowany, białowłose Anglik zakończył świetną karierę w Royal Navy jako kapitan lotniskowca. Naprzeciwko niego siedział mężczyzna o wyglądzie twardziela, który zawdzięczał członkostwu w pierwszoligowej drużynie rugby z Nowej Zelandii. Peter Howe spędził dwadzieścia lat w Royal Marines i australijskim SAS, a obecnie był szefem bezpieczeństwa IMU. Ubiegłej nocy przyleciał z kwatery głównej IMU w Kornwalii. Howe był przyjacielem Jacka od czasów szkolnych, a wszyscy trzej wraz z kapitanem służyli w wywiadzie marynarki wojennej.

- Nie zdążyłem sobie dobrać sprzętu wspinaczkowego. - Howe spojrział na Jacka z wyrzutem.

- Nie ma problemu. - Jack uśmiechnął się. - Każę przywieźć odpowiedni sprzęt następnym transportem lotniczym. Znajdziemy ci jakąś górę, kiedy to wszystko się skończy.

Na stole leżała radiostacja UKF i mapa morska admiralicji, przedstawiająca obszar Morza Egejskiego. Costas i Katia usiedli obok Yorka i Howe'a.

Jack stał, jego wysoka sylwetka wypełniała drzwi. Mówił rzeczowo i zwięźle.

Świetnie. Co my tu mamy?

- To ktoś nowy - powiedział Howe. - Ma na imię Asłan.

Katię przeszedł dreszcz, z niedowierzaniem szeroko otworzyła oczy.

- Asłan? - Jej głos był ledwie słyszalny.

- Znasz tego człowieka? - zapytał Jack.

- Znam. - Mówiła łamiącym się głosem. - Asłan to znaczy Lew. To jest,...

- zawałała się, twarz miała bladą. - To pan wojny, gangster. Najgorszy.

- Z Kazachstanu, dla ścisłości. - Tom York wyciągnął fotografię i rzucił ją na mapę. - Kilka minut temu dostałem to w poczcie elektronicznej z Londynu.

Na zdjęciu widać było grupę mężczyzn w mundurach polowych i tradycyjnych islamskich nakryciach głowy. W tle rozciągał się jałowy krajobraz porośnięty spalonymi słońcem jarami i stromymi zboczami. Mężczyźni trzymali karabiny maszynowe a przed nimi piętrzyła się broń z okresu władzy sowieckiej, od ciężkich karabinów maszynowych począwszy po ręczne wyrzutnie granatów.

Ale nie tyle ten arsenał przyciągał uwagę, gdyż takie obrazki od początku walk mudżahedinów w Afganistanie były rzeczą pospolitą, ile postać siedząca w środku. Mężczyzna potężnej budowy trzymał dłonie na kolanach, łokcie wystawił zadziornie na zewnątrz. W odróżnieniu od odzianych w mundury khaki ludzi, którzy go otaczali, nosił wydatą, białą szatę i małą czapkę. Leciutki wąsik znaczył obie strony ust. Jego twarz musiała mieć kiedyś regularne rysy, był nawet przystojny, z orlim nosem i wysokimi kośćmi policzkowymi nomadów Azji Środkowej. Oczy, które patrzyły z zapadniętych oczodołów, były czarne jak smoła i przesywające.

- Asłan - powiedział York. - Prawdziwe nazwisko Piotr Aleksandrowicz Nazarbetow. Ojciec Mongoł, matka z Kirgistanu. Mieszka w Kazachstanie, ale ma kwaterę nad Morzem Czarnym, w Abchazji, zbuntowanej prowincji Republiki Gruzji. Były członek radzieckiej Akademii Nauk i profesor historii sztuki na uniwersytecie w Biszkeku. Uwierzylibyście w to?

Howe pokiwał głową. Znał się na tym.

- Wielkie zyski z przestępstw zwabiły różnych ludzi w tej części świata. Trzeba też historia, żeby poznać się na wartości starożytnych dzieł sztuki i wiedzieć, gdzie można je znaleźć. Jestem pewien, że znacie sytuację w Kazachstanie. - Wskazał na mapę wiszącą na ścianie za nim. - To zwykła historia. Po rozpadzie Związku Radzieckiego Kazachstan uzyskał niepodległość.

Ale rządy nadal sprawują byli szefowie partii komunistycznej. Korupcja jest powszechna, a demokracja to farsa. Mimo złóż ropy naftowej i zagranicznych inwestycji, spokój i bezpieczeństwo wewnętrzne są coraz bardziej zagrożone. Powstanie ludowe dało Rosjanom pretekst do wysłania tam wojsk, które wycofano po krwawych starciach. Siły narodowe zostały bardzo osłabione i zaczęła się wkradać anarchia.

- I wtedy przyszli panowie wojny - wtrącił Costas.

- Tak. Powstańcy, którzy wcześniej walczyli wspólnie przeciwko Rosjanom, teraz rywalizują między sobą, żeby wypełnić próżnię po nich. Dawnych idealistów zastąpili bandyci i ekstremiści religijni. Wycinają dla siebie terytoria jak średniowieczni baronowie, mają własne armie i obrastają w pieniądze pochodzące z handlu narkotykami i bronią.

- Gdzieś czytałem, że Kazachstan staje się największym w świecie producentem opium i heroiny - powiedział Costas.

- To prawda - odparł Howe. - A ten człowiek kontroluje większość tego rynku. Opinia mówi, że jest czarującym gospodarzem dla dziennikarzy, których zaprasza na spotkania, uczonym kolekcjonerem sztuki i starożytnych zabytków na wielką skalę. - Howe przerwał i rozejrzał się wokół stołu. - Jest także morderczym psychopata.

- Od jak dawna nas widzi? - zapytał Jack.

- W zasięgu wzroku znaleźli się dobie temu, tuż przed tym, jak Costas zadzwonił po pana do Aleksandrii. SATSURV ostrzegł nas już wcześniej przed wrogim intruzem, statkiem przypominającym okręt wojenny, który nie odpowiada na międzynarodowe sygnały wywoławcze.

- To wtedy zmieniliście pozycję. - „Seaquest” stał teraz po drugiej stronie atolu, dwie mile morskie od wraku.

- Najpierw jednak zaminowaliśmy stanowisko bąbelkami - rzekł York.

Katia spojrzała pytająco na Jacka.

- To innowacja wprowadzona przez IMU - wyjaśnił. - Miniaturowe miny kontaktowe rozmiarów piłeczki pingpongowej, połączone włóknem jak ekran z bąbelków. Zapalnikami są czujniki fotoelektryczne, które potrafią odróżnić ruchy nurków i pojazdów podmorskich.

Costas patrzył na Yorka.

- Co możemy zrobić?

- Cokolwiek zrobimy, będzie to bezcelowe. - Głos Yorka był bezbarwny i pozbawiony emocji. Wystosowano wobec nas ultimatum. - Wręczył Jackowi kartkę z wydrukiem maila, który właśnie nadszedł. Jack szybko przeczytał tekst. Jego twarz nie zdradziła wzburzenia, które go ogarnęło.

„Sequest”, tu „Vultura”. Oddalcie się o osiemnastą zero zero albo zostaniecie zniszczeni.

Costas zajął Jackowi przez ramię.

- Nie marnuje czasu, co?

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się głośny szum, przypominający odgłos nisko lecącego odrzutowca, a potem piekielny huk za sterburtą Tom York rzucił się do najbliższego bulaju w chwili, gdy kolumna spienionej białej wody smagnęła szybę kropelkami. Pocisk chybił o włos.

- Wy dranie - powiedział York przez zaciśnięte żęby. W jego głosie słychać było zawodowego oficera marynarki wojennej, który nie może odplącić pięknym za nadobne.

Radiostacja zaczęła trzeszczeć i York ze złością włączył interkom, żeby wszyscy mogli posłuchać.

- Tu „Sequest”. - York ledwie panował nad głosem. - Powiedzcie, o co wam chodzi.

Po chwili przez interkom odezwał się głos. Przeciąganie samogłosek i głębokie tony były niezaprzeczalnie rosyjskie.

- Dzień dobry, kapitanie York, majorze Howe. I doktorze Howard, o ile się nie mylę. Gratulujemy. Tu „Vultura”. - Głos przerwał na chwilę. - Zostaliście ostrzeżeni.

York wyłączył z niesmakiem odbiornik i otworzył klapkę obok siebie. Zanim pociągnął za dźwignię, która kryła się pod klapką, spojrzął na Jacka. Jego głos był teraz chłodny i opanowany,

- Idziemy na stanowiska bojowe.

W ciągu kilku minut po sygnale „Sequest” przekształcił się ze statku badawczego w okręt wojenny. Wyposażenie do nurkowania, które zazwyczaj leżało na pokładzie, zostało schowane natychmiast po pojawieniu się „Vultury” na scenie. Teraz na stanowisku przed mostkiem grupa techników w białych, przeciwodblaskowych kombinezonach, uzbrajała wieżyczkę artyleryjską „Sequesta” w podwójne czterdziestomilimetrowe działko Breda 1,70, zmodyfikowane według zamówienia IMU. „Szybka czterdziestka”, następczyni słynnego działka przeciwlotniczego boforsa z II wojny światowej, miała bliźniaczy mechanizm podający i strzelała pociskami odłamkowymi i przeciwpancernymi z szybkością 900 na minutę. Podstawa ukryta była w szybiku i podnoszona ją tuż przed użyciem.

Pod pokładem cały zbędny w tym momencie personel „Sequesta” zebrał się obok ratunkowej łodzi podwodnej „Neptune II”. Łódź była w stanie szybko

dotrzeć do wód terytorialnych Grecji na spotkanie z fregatą greckiej marynarki wojennej, która szła z portu na Krecie. Miała też zabrać ryton w kształcie głowy byka i inne artefakty znalezione za późno, by zdążyły na ostatni transport śmigłowcem do Kartaginy.

York szybko poprowadził grupę w dół, dobrze pod poziom linii wodnej. W otworze w ścianie zobaczyli wygiętą metalową grodz, która wyglądała tak, jakby latający talerz utknął w kadłubie.

York spojrzął na Katię.

- Moduł dowodzenia. - Poklepał lśniąca powierzchnię. - Dwadzieścia dwa centymetry stali wzmacnianej tytanem. Cała kapsuła jest w stanie oderwać się od „SeQUESTA” i odplynąć niezauważona dzięki tej samej technologii stealth, którą wykorzystaliśmy przy budowie ratunkowej łodzi podwodnej.

Wygląda jak wielka katapulta lotnicza - uśmiechnął się Costas. - Jak moduł dowodzenia na starych rakietach księżycowych Saturn.

- Byle nas to nie wysłało w przestrzeń kosmiczną - uśmiechnęła się Katia.

York powiedział coś do interkomu i okrągły właz otworzył się na oścież. Przytłumione czerwone światło z baterii panelu kontrolnego rzucało niesamowity poblask na wnętrze. Wcisnęli się do środka i zamknęli za sobą właz, obracając centralnie umieszczonym na nim kołem, aż wszystkie zasuwki znalazły się we właściwym położeniu.

W schronie kilku członków załogi zajętych było przygotowywaniem amunicji do broni osobistej. Wcisnęli naboje do magazynków i montowali broń. Katia podeszła i podniosła karabin z magazynkiem. Ruchem znawcy załadowała go i zabezpieczyła.

- Enfield SA 80 mark 2 - stwierdziła. - Broń osobista na wyposażeniu armii brytyjskiej. Trzydzieści naboje w magazynku, kaliber 5,56. Kolba przed magazynkiem, składana, na wypadek używania karabinu w ograniczonej przestrzeni. - Spojrzała przez przyrządy celownicze. - Luneta czterokrotna na podczerwień to ładna rzecz, ale zawsze wybrałabym Kałasznikowa AK-102.

Zdjęła osłonę i sprawdziła, czy komora naboje jest pusta, zanim odstaawiła broń na stojak.

Wyglądała tu całkiem nie na miejscu, nadal w eleganckiej czarnej sukni, w której była na konferencji, pomyślał Jack, ale najwyraźniej dysponowała więcej niż dostatecznymi umiejętnościami, żeby dać sobie radę w walce.

- Jest pani niezwykłą kobietą - powiedział. Z jednej strony światowej sławy ekspert od starogreckich zwojów, z drugiej - znawca broni palnej.

- Tam, skąd pochodzę - odparła Katia - to druga co do ważności umiejętność.

Kiedy przechodzili obok zbrojowni, York spojrzął na Jacka.

- Musimy teraz postanowić, co robimy.

Jack kiwnął głową.

York poprowadził ich krótkimi schodkami na platformą szeroką na jakieś pięć metrów. Zrobił gest w stronę półkola obrotowych krzeseł, stojących przed baterią komputerowych stacji roboczych.

- Konsola mostku - powiedział do Katii. - Służy jako centrum dowodzenia i mostek wirtualny, pozwalając nam kierować „Seaquestem” za pomocą systemów obserwacyjnych na wierzchu.

Nad nimi wkleśły ekran ukazywał panoramiczną, cyfrową reprodukcję widoku z mostku „Seaquesta”. Kamery wyposażone były w czujniki termiczne i na podczerwień, toteż mimo zapadającego zmierzchu nadal mogli rozpoznać niski kształt „Vultury” i zanikający odczyt cieplny jej przedniej wieżyczki armatniej.

- Peter przedstawi nasze opcje bezpieczeństwa - powiedział York do Howe'a
Peter Howe popatrzył na zebranych ze smutkiem.

- Nie będę owijać w bawełnę. Jest źle, naprawdę źle. Stoimy naprzeciwko okrętu wojennego uzbrojonego w broń najnowszej generacji, zdolnego prześcignąć i przewyższyć siłą ognia praktycznie każdy okręt marynarki wojennej, czy straży przybrzeżnej przydzielony do zwalczania tego rodzaju zagrożeń.

Jack zwrócił się do Katii.

- Polityka IMU polega na zdaniu się w takich przypadkach na przyjazne nam narody. Obecność okrętów wojennych i samolotów często zniechęca intruzów, nawet jeśli są poza wodami terytorialnymi i zgodnie z prawem nie można interweniować.

Howe nacisnął przełącznik i ekran nad nimi pokazał mapę morską Morza Egejskiego.

- Grecy nie mogą ani zatrzymać „Vultury”, ani jej odepchnąć. Nawet wśród wysp greckich na północy jest ona w stanie znaleźć kanał odległy o ponad sześć mil morskich od wybrzeża, a cieśniny wiodące na Morze Czarne uznawane są za wody międzynarodowe. Rosjanie się o to postarali. Może spokojnie wrócić do portu macierzystego w Abchazji.

Wycelował świetlnym wskaźnikiem na ich obecną pozycję, w dolnej części mapy.

- Do wieczora grecka marynarka wojenna powinna już rozstawić fregaty tutaj, tutaj i tutaj. - Przejechał na północ i wschód od zatopionego wulkanu.

- Najbliższa znajduje się mniej niż sześć mil morskich na południowy wschód od Thiry, prawie w zasięgu wzroku z „Seaquesta”, Ale nie podejść bliżej.

- Dlaczego? - zapytała Katia.

- Cudowna rzecz nazywana polityką. - Howe okręcił się w krześle, żeby znaleźć się do nich przodem. - Znajdujemy się na wodach spornych. O kilka mil morskich na wschód leży grapa niezamieszkanego wysepek, do których prawa roszczą sobie zarówno Grecy, jak i Turcy. Spór doprowadził ich prawie do wojny. Poinformowaliśmy Turków o pojawieniu się „Vultury”, ale polityka sprawia, że bardziej interesują ich Grecy niż jakiś kazachski rene-gat. Obecność greckich okrętów wojennych w pobliżu spornej strefy wystarczy, żeby postawić tureckie dowództwo obrony morskiej w stan alarmu. Godzinę temu cztery tureckie F-16 przeleciały pięć mil na wschód od nas. Grecy i Turcy zawsze byli przyjaciółmi IMU, ale teraz nie mogą interwenio-wać. - Howe wyłączył obraz i na ekranie znów pojawiła się panorama morza wokół „Seaquesta”.

York wstał i zaczął się przechadzać między krzesłami z rękami założonymi na plecy.

- Nie możemy zaatakować „Vultury” i mieć nadzieję na zwycięstwo. Nie możemy polegać na pomocy z zewnątrz. Możemy jedynie zgodzić się na ich żądania, od płynąć natychmiast i opuścić wrak. Jako kapitan muszę wybrać bezpieczeństwo załogi.

- Możemy spróbować negocjacji - zaproponował Costas.

- To wykluczone! - York trzasnął otwartą dłońią o konsolę. Nagle przestał panować nad napięciem ostatnich kilku godzin. - Ci ludzie będą negocjo-wać tylko twarzą w twarz i to na własnym gruncie. Każdy, kto uda się na „Vulturę”, zostanie natychmiast zakładnikiem. Nie zaryzykuję życia ani jed-nego z członków mojej załogi.

- Proszę pozwolić, że spróbuję.

Wszyscy popatrzyli na Katię. Na jej twarzy nie malowało się żadne uczu-cie.

- To jedyna możliwość - powiedziała spokojnie. - Jestem tu całkowicie neutralna. Asłan niczego nie zyska, biorąc mnie jako zakładniczkę, a może wszystko stracić w swoich układach z rosyjskim rządem. - Na chwilę prze-rwała, a gdy zaczęła znów mówić, głos miała już silniejszy. - Kobiety są przez tych ludzi darzone szacunkiem. A moja rodzina jest wpływowa. Mogę wspomnieć kilka nazwisk, które go bardzo zainteresują.

Zaległa długa cisza. Zastanawiali się nad jej słowami. Jack starał się, roz-ważając wszystkie możliwości po kolei, powściągnąć emocje. Nie chciał narażać jej na niebezpieczeństwo, ale wiedział, że ona ma rację. Zresztą jed-no spojrzenie w jej oczy potwierdziło, że nie ma wielkiego wyboru.

- W porządku. - Wstał. - To ja zaprosiłem Katię, więc to moja sprawa
Otwórzcie bezpieczny kanał i połączcie mnie z „Vulturą”.

6

Jack uniósł lornetkę i skierował ją na odległą plamkę między morzem a niebem. Mimo że było już ciemno, mógł rozróżnić każdy szczegół odległego statku. Wzmacniacz optyczny intensyfikował dostępne światło, co dawało obraz równie klarowny jak za dnia. Zdołał nawet przeczytać napisaną cyrylicą nazwę na burcie przy dziobie.

„Vultura”. Pomyślał, że to odpowiednia nazwa. Okręt był jak obrzydliwy sęp, ścierwojad czający się w pobliżu padliny w oczekiwaniu na odpowiedni moment, żeby pożreć owoce pracy innych.

York stał obok niego.

- Projekt 911 - powiedział, idąc za wzrokiem Jacka. - Rosjanie nazywali je eskortowcami. Jest to odpowiednik korwety i fregaty według nazewnictwa NATO. To najnowszy typ, wyprodukowany po wydarzeniach 2001 roku do patrolów antyterrorystycznych. Prawie taki sam jak nasze okręty klasy „Sea”, ale węższy. Maszynownia to też inna liga. Dwie dieslowskie turbiny gazowe dające pięćdziesiąt dwa tysiące koni mechanicznych i szybkość trzydziestu sześciu węzłów. Turboodrzutowe dopalacze zdolne do rozwinięcia szybkości hydrołata wynoszącej sześćdziesiąt węzłów, czyli prawie takiej jaką osiąga lekki samolot. „Vultura” jest jednym z sześciu okrętów wycofanych ze służby podczas ostatnich cięć w rosyjskiej marynarce wojennej. Traktat z Oslo nakłada na Federację Rosyjską obowiązek sprzedaży nadliczbowych okrętów wojennych tylko rządowi uznanemu przez ONZ, ten okręt musiał więc zostać sprzedany na lewo, zanim jeszcze opuścił stocznię.

Jack wycelował lornetkę na gondole po obu stronach rufy „Vultury”, potem lekko ją przesunął, żeby obejrzeć przednią wieżyczkę z lufą wycelowaną bezpośrednio na nich.

York zauważył ten ruch.

- „Tulmaszawod”, armata automatyczna kaliber sto trzydzieści milimetrów. Skomputeryzowane namierzenie przez GPS. Zdolna do strzelania pociskami przeciwpancernymi z otuliną ze zubożonego uranu, które są w stanie przebić na wylot moduł dowodzenia „Seaquesta” z odległości dwudziestu mil.

Stali na lądowisku helikoptera, chłodna bryza łagodnie poruszała banderą IMU na rufie. Patrzyli z niepokojem, jak Katia, teraz ubrana bardziej stosownie w kombinezon TMU, odpływa w ciemność jednym z zodiaków będących na wyposażeniu „Seaquesta”. Bliźniacze silniki zaburtowe o mocy dziewięćdziesięciu koni mechanicznych sprawiały, że dotarcie do „Vultury” było kwestią minut. Wcześniej jednak Jack spokojnie odprowadził ją na bok i po raz kolejny powtórzył, jak prowadzić zodiaka oraz przypomniał rady Yorka i Howe’a, co ma robić, gdyby sprawy ułożyły się niepomyślnie.

Nie było jej zaledwie od dwudziestu minut, a oczekiwanie stało się już nie do zniesienia. Costas postanowił zwołać telekonferencję z udziałem Dillena i Hiebermeyera, żeby zająć myśli Jacka w bardziej produktywny sposób. Poszli razem do sali nawigacyjnej za mostkiem „Seaquesta”.

Costas wklepał komendę i monitor przed nimi obudził się, pokazując dwie postacie tak czysto, jakby siedziały po przeciwnej stronie stołu. Jack przysunął się do Costasa, żeby ich obrazy były przekazane w podobny sposób. Będzie im brakowało doświadczenia Katii, ale telekonferencja była jedynym sposobem na podsumowanie działań. Dillen i Hiebermeyer zostali w Aleksandrii, gdzie czekali na nowiny z „Seaquesta”, a Costas zdążył już ich poinformować o zagrożeniu ze strony „Vultury”.

- Profesorze. Maurice. Witam.

- Miło cię znów widzieć Jack, powiedział Villon. - Chciałbym zacząć tam, gdzie przerwaliśmy.

Naciskając klawisz, mogli wywołać uprzednio zeskanowane fotografie. W prawym dolnym rogu monitora widzieli właśnie wspaniałe znalezisko Costasa, złoty dysk z minojskiego wraku. Dziwne symbole na jego powierzchni zostały cyfrowo wzmocnione, toteż mogli je dokładnie obejrzeć.

Hiebermeyer pochylił się do przodu.

- Mówiłeś, że już wcześniej widziałeś ten centralny symbol.

- Tak. Widziałem także symbole wokół brzegu, te małe głowy, wiosła i całą resztę. Kiedy wylatywaliśmy z Aleksandrii, nagle uświadomiłem sobie, gdzie je widziałem. Na dysku z Fajstos.

Costas spojrzał pytająco, a Jack wywołał obraz dwóch ceramicznych dysków, na pozór identycznych, pokrytych spiralną taśmą miniaturowych symboli.

Jeden z tych znaków wyglądał jak wizerunek na papirusie i złotym dysku. Inne robiły niesamowite wrażenie, szczególnie główki z orlimi nosami i mohikańskimi fryzurami.

- Aztekowie? - zaryzykował Costas.

- Odważne, ale nie - odparł Jack. - To coś bliżej domu. Minojska Kreta.

- Dysk z lewej strony został znaleziony w pobliżu pałacu w Fajstos prawie sto lat temu. - Projektor na ekranie komputera pokazał obraz szerokiego kamiennego podwórca wychodzącego na równinę otoczoną górami i pokrytą śniegiem szczytami. Po chwili znów pojawiły się dyski. - To glina. Średnica około szesnastu centymetrów, a symbole są odcisnięte po obu stronach. Wiele z nich jest identycznych, odcisniętych za pomocą tej samej matrycy.

Dillen powiększył dysk z prawej strony.

- Ten został odnaleziony w ubiegłym roku przez Francuzów.

- Datacja? - zapytał Hiebermeyer.

- Pałac został porzucony w XVI wieku przed naszą erą, po wybuchu na Thirze. W przeciwieństwie do Knossos nigdy nie został zamieszkały ponownie. Dyski mogły zostać zagubione mniej więcej w tym samym czasie w którym nastąpiła katastrofa waszego minojskiego statku.

- Ale mogą też pochodzić z okresu wcześniejszego - dorzucił Jack.

- Znacznie wcześniejszego. - W głosie Dillena pojawiła się nutka ekscytacji, - Costas, co wiesz o datowaniu metodą termoluminescencyjną?

Costas wyglądał na zaskoczonego, ale odpowiedział natychmiast.

- Jeśli zagrzebie się kryształy mineralne, będą stopniowo absorbować izotopy radioaktywne z otoczenia, aż osiągną ten sam poziom. Jeśli potem podgrzeje się taki minerał uwięzione w nim izotopy zostaną uwolnione w postaci termoluminescencji. - Zaczął się domyślać, do czego zmierzało pytanie. - Kiedy wypala się ceramikę, emituje ona zgromadzoną w glinie TL do poziomu zerowego. Jeśli zakopie się tę ceramikę, znów będzie absorbować izotopy w ustalonym tempie, a jeśli zna się to tempo, a także poziom TL w okolicznych osadach, można datować glinę podgrzewając ją i mierząc emisję TL.

- Z jaką dokładnością?

- Ostatnie ulepszenia optycznie wzmocnionej luminescencji pozwalają nam cofnąć się o pół miliona lat - odparł Costas. - Jest to data materiału wypalonego w ogniskach z najwcześniejszych stanowisk neandertalskich w Europie. Dla ceramiki wypalanej w piecach garncarskich, która pojawiła się w piątym tysiącleciu przed naszą erą na Bliskim Wschodzie, połączone metody

TL i OSL mogą w sprzyjających okolicznościach określić wiek skorupy z dokładnością do kilkuset lat.

Costas, odkąd zaczął pracę w IMU, zdobył podziwu godną wiedzę na temat archeologii. Wspomagało go w tym przekonanie, że na większość pytań stawianych przez Jacka znajdują się pewnego dnia odpowiedzi dzięki naukom technicznym.

- Drugi dysk, ten, który odkryto w ubiegłym roku, został wypalony. - Dillen podniósł kartkę. - Fragment wysłano do oksfordzkiego laboratorium termoluminescencji do analizy. Dokonano jej, stosując nową technologię opartą na stronie, która pozwala na datowanie z jeszcze większą precyzją. Właśnie otrzymałem wyniki.

Patrzyli z wyczekiwaniem.

- Ten dysk został wypalony, z dokładnością do dwustu lat, w 5500 roku przed naszą erą.

Ktoś sapnął.

- Niemożliwe - parsknął Hiebertmeyer.

- To troszeczkę wcześniej niż nasz wrak! - zawołał Costas.

- Zaledwie cztery tysiące lat wcześniej - odparł spokojnie Jack.

- Na dwa i pół tysiąca lat przed pałacem w Knossos. - Hiebertmeyer nadał kręcił głową. - Zaledwie kilkaset lat po tym, jak pierwsi rolnicy przybyli na Krete. Jeśli to jest pismo, to jest to najstarsze ze znanych. Klipy bliskowschodnie i hieroglify egipskie pojawiły się dopiero w końcu czwartego tysiąclecia przed naszą erą.

- Wydaje się to niewiarygodne - stwierdził Dillen. - Ale za chwilę zrozumiecie, dlaczego uważam, że to prawda.

- Jack i Costas z napięciem wpatrywali się w ekran, a Dillen wprowadził CD-ROM do swojego laptopa i podłączył go do projektora multimedialnego. Obraz glinianych dysków został zastąpiony symbolami ułożonymi w kolumnę, każda z początkowych grup zebrana razem jak słowo. Zrozumieli, że zastosował technikę analityczną podobną do tej, którą wykorzystali przy studiowaniu greckiego pisma z papirusu.

Jack reaktywował moduł telekonferencyjny i znów siedzieli twarzą w twarz z Dillenem i Hiebertmeyerem znajdującymi się o dwa tysiące mil od nich, w Aleksandrii.

- To są symbole z dysku w Fajstos - powiedział Jack.

- Istotnie. - Dillen nacisnął klawisz i znów pojawiły się dwa dyski, tym razem w dolnym, lewym rogu. - Rzecz, która najbardziej zdumiała uczonych, to fakt, że oba dyski są praktycznie takie same, nie licząc jednej, ważnej

różnicy. - Przesunął kursor, żeby zaznaczyć różnice. - Po jednej stronie dyski mają po sto dwadzieścia trzy symbole, w obu przypadkach podzielone na trzydzieści jeden grup, z których każda składa się z dwóch do siedmiu symboli. Menu, jeśli można to tak nazwać, jest takie samo. Składa się z czterdziestu czterech różnych symboli. A i częstotliwość jest taka sama. Głowy Mohikanów pojawiają się trzynaście razy, maszerujący ludzie sześć, skóra zdarta z wołu jedenaście razy i tak dalej. Podobnie jest z rewersem, tylko że tu występuje trzydzieści słów i sto osiemnaście symboli.

- Ale porządek i grupy są inne - zauważył Jack.

- Właśnie. Popatrzcie na pierwszy dysk. Idący człowiek plus drzewo, trzy razy. Dysk słoneczny plus głowa Mohikanina, osiem razy. I dwa razy cała sekwencja składająca się ze strzały, pałeczki, łodzi, skóry wołowej i ludzkiej głowy. Żadna z tych grup nie powtarza się na drugim dysku.

- Dziwaczne - mruknął Costas.

- Uważam, że dyski te trzymane były razem jako para. Jeden był czytelny drugi nie miał znaczenia. Ktokolwiek to zrobił, próbował przez to powiedzieć, że typ, liczba i częstotliwość symboli są tym, co się liczy, a nie związi między nimi. Był to podstęp, sposób na to, żeby odwrócić uwagę od grupowania i zniechęcić ciekawskich od szukania znaczenia w sekwencji.

- Ależ w tym z pewnością jest jakieś znaczenie - wtrącił niecierpliwie Costas. Kliknął myszką, żeby zaznaczyć kombinację na pierwszym dysku. Łódź obok wiosła. Idący człowiek. Mohikanie zawsze patrzący w tę samą stronę. Kłos zboża. Okrągły symbol, prawdopodobnie słońce, występujący w niemal połowie grup. To jakaś podróż, może nie rzeczywista, ale podróż w czasie, ukazująca zmienność pór roku.

Dillen uśmiechnął się.

- Właśnie tak rozumowali uczeni, którzy uznali, że pierwszy dysk zawiera wiadomość, że to nie jest tylko dekoracja. Zdaje się zawierać więcej znaczeń niż drugi dysk, więcej logiki w sekwencjach wyobrażeń.

- Ale?

- Ale to może stanowić część podstępu. Twórca pierwszego dysku mógł z rozmysłem pogrupować parami symbole, które do siebie pasują, jak wiosło i łódź, z nadzieją że ludzie wezmą się do odszyfrowywania zapisu właśnie w ten sposób.

- Ale przecież wiosło i łódź pasują do siebie - zaprotestował Costas.

- Jeśli przyjmie się, że są piktogramami, wtedy wiosło znaczy wiosło, a łódź znaczy łódź. Wiosło i łódź razem znaczy pływanie po wodzie, podróż morską, ruch.

- Piktogramy były pierwszą formą pisma - dodał Hiebertmeyer. - Ale nawet najwcześniejsze egipskie hieroglify nie wszystkie były piktogramami.
- Symbol może być także fonogramem, a wtedy obiekt przedstawia dźwięk, a nie przedmiot albo akcję - kontynuował Dillen. - W języku angielskim mogliśmy użyć słowa *paddle* (wiosło) do przedstawienia litery p albo sylaby pa. Costas powoli pokiwał głową.
- Więc uważa pan, że symbole na dysku mogą być czymś w rodzaju alfabetu?
- Tak, chociaż nie w dosłownym rozumieniu tego pojęcia. Najstarszą wersją naszego alfabetu był północnosemicki prekursor alfabetu fenickiego z drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Nowością były odrębne symbole dla każdej głównej samogłoski i spółgłoski. Wcześniejsze systemy były sylabiczne, każdy symbol przedstawiał spółgłoskę i samogłoskę. Tak interpretujemy minojskie pismo linearne A i pismo linearne B Mykeńczyków. - Dillen nacisnął klawisz i na ekranie pojawił się obraz złotego dysku. - A to doprowadza nas do waszego znaleziska z wraku.
- Powiększył obraz, żeby pokazać tajemniczy symbol głęboko odcisnięty pośrodku złotego dysku. Po chwili dołączył do niego inny obraz, nieregularna czarna płyta pokryta trzema oddzielnymi polami regularnego pisma.
- Kamień z Rosetty? - Hiebertmeyer wyglądał na zdumionego.
- Jak wiecie, z armią napoleońską do Egiptu ściągnął legion uczonych i rysowników. To było ich najbardziej sensacyjne odkrycie, znalezione w pobliżu starożytnego Sais na odnodze Nilu, zwanej Rosetta, - Dillen zaznaczał po kolei każdą z sekcji tekstu, poczynając od góry. - Egipskie pismo hieroglificzne. Egipskie pismo demotyczne, Hellenistyczna greka. Dwadzieścia lat później filolog o nazwisku Champollion zrozumiał, że były to tłumaczenia tego samego tekstu, dekretu wydanego przez Ptolemeusza V w 196 roku przed naszą erą, kiedy Grecy władali Egiptem. Champollion wykorzystał swoją znajomość starożytnej greki, żeby przetłumaczyć dwa pozostałe zapisy. Kamień z Rosetty stał się kluczem do odszyfrowania hieroglifów. - Dillen nacisnął klawisz i kamień zniknął, a na ekranie znów pojawił się obraz złotego dysku. - Porzucimy na razie kształt pośrodku i skupmy się na symbolach wokół brzegu. - Zaznaczał po kolei każdy z trzech pasów, od zewnętrznego poczynając. - Mykeńskie linearne B. Minojskie linearne A. Symbole z Fajstos.
- Jack już zdążył się tego domyśleć, ale potwierdzenie sprawiło, że serce zaczęło bić mu szybciej z podniecenia.
- Panowie, mamy tu własny kamień z Rosetty.

Przez następne kilka minut Dillen wyjaśniał, że Mykeńczycy, którzy zajęli Krete po wybuchu na Thirze, nie mając własnego pisma, zapożyczyli symbole pisma linearnego A od minojskich żeglarzy, odwiedzających Grecję lądową. Ich pismo, linearne B, zostało odczytane wkrótce po II wojnie światowej jako wczesna wersja greki. Ale język Minojczyków pozostał tajemnicą aż do początku tego roku, kiedy to w Knossos odkryto największy jak do tej pory zbiór tabliczek. Szczęśliwym trafem kilka z nich okazało się być zapisanych pismem linearnym B w dwóch językach. Teraz złoty dysk dawał nadzwyczajną okazję do odszyfrowania także dysków z Fajstos.

- W Knossos nie znaleziono symboli z Fajstos i nie ma dla nich tekstów dwujęzycznych - kontynuował Dillen. - Założyłem, że może to być zaginiony język inny niż minojski albo mykeński grecki.

Słuchali, nie przerywając, jak Dillen omawia metodycznie symbole pisma linearnego A i B ze złotego dysku, wykazując ich zbieżność z innymi przykładami pisma pochodzącego z Krety epoki brązu. Ułożył wszystkie symbole w rzędkie i kolumny, żeby przestudiować ich zgodność.

- Zacząłem od pierwszego z dysków z Fajstos, tego znalezionego przed stu laty - powiedział Dillen. - Tak jak i wy myślałem, że najprawdopodobniej nie da się go odczytać.

Nacisnął klawisz i pojawiło się trzydzieści jeden grup symboli z rewersu wraz z fonetycznym tłumaczeniem umieszczonym pod każdą z nich.

- Proszę, czytałem od środka na zewnątrz, zgodnie z kierunkiem kroków idącego. Tak nakazywałaby logika.

Jack szybko przyjrzał się liniom.

- Nie rozpoznaję żadnego ze słów z pisma linearnego i nie widzę znajomego połączenia sylab.

Obawiam się, że masz rację, - Dillen nacisnął klawisz i w dolnej części ekranu pojawiło się trzydzieści jeden grup innych symboli. - Proszę oto są, od tyłu do przodu, od brzegów, spiralnie ku środkowi. Ta sama historia, absolutnie nic.

Ekran zgasł, nastąpiła chwila ciszy.

- A drugi dysk? - zapytał Jack.

Z nieprzeniknionej twarzy Dillena niewiele można było wyczytać, tylko leciutki uśmieszek zdradzał, jak jest podekscytowany. Nacisnął klawisze i powtórzył manewr.

- A oto symbole ułożone spiralnie i odśrodkowo.

W pierwszej chwili Jack podpadł na duchu, bo nie zobaczył w słowach niczego rozpoznawalnego. Nagle zaczął jednak dostrzegać grupy, które wyglądały dziwnie znajomo.

- Tu coś jest, ale to niezbyt jasne.

Dillen pozwolił Jackowi jeszcze chwilę przyjrzeć się obrazowi na ekranie.

- Od tyłu do przodu.

Jack znów zapatrzył się w ekran i nagle uderzył dłonią w stół.

- Oczywiście!

Dillen nie mógł się już dłużej powstrzymać i uśmiechnął się szeroko, naciskając po raz ostatni klawisz. Sekwencja pojawiła się w odwróconym porządku. Jack aż westchnął głęboko, gdy zrozumiał, na co patrzy.

- To nadzwyczajne - mruknął. - Ten dysk pochodzi z okresu o dwa tysiące lat wyprzedzającego epokę brązu. A jednak to język pisma linearnego A, język Krety z czasów naszego wraku. - Ledwie był w stanie uwierzyć we własne słowa. - To minojski.

W tej chwili na „Seaqueście” zatrzeszczał interkom i czar przysł.

- Jack. Przyjdź natychmiast na pokład. Na „Vulturze” coś się dzieje. - W głosie Toma Yorka brzmiał niepokój.

Jack bez słowa wstał i poszedł na mostek, Costas ruszył za nim. Kilka sekund później obaj stali obok Yorka i Howe'a, wpatrując się w błyski światła na odległym horyzoncie.

Na morzu pojawiła się mała plamka, mgiełka, w której szybko rozpoznali zodiaca z „Seaquesta”. Wkrótce widać już było Katię u steru, długie włosy powiewały na wietrze. Jack chwycił reling i na chwilę zamknął oczy. Niepokój, który prześladował go od kilku godzin, zastąpiło uczucie ulgi. Dzięki Bogu, nic się jej nie stało.

Costas popatrzył ze wzruszeniem na przyjaciela. Znał go aż za dobrze, wiedział, że całe serce do tej pory oddawał ich wspólnym poszukiwaniom.

Kiedy łódź podpłynęła do burty i silniki zgasły, powietrze wypełnił nowy dźwięk, stłumiony ryk odległych diesli. Jack chwycił noktowizor i skierował go na horyzont, na szary kształt „Vultury”, jej niski, groźny kadłub. Nagle za rufą pojawił się biały ślad, skłębiony, fosforyzujący łuk wywołany przez silniki. Powoli, leniwie, jak budząca się bestia, która niczego się nie boi, „Vultura” zrobiła szeroki łuk i z rykiem odpłynęła w ciemność. Pochłonęła ją noc, tylko kilwater pozostał jeszcze na wodzie jak ślad dymu po rakiecie.

Jack opuścił noktowizor i spojrzał na Katię, która właśnie gramoliła się przez burłę. Dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała do niego. Jack powiedział coś szeptem i tylko Costas usłyszał jego słowa.

- Katiu, jesteś aniołem.

Helikopter śmigał nisko nad górzystym wybrzeżem zachodniej Turcji, huk rotora odbijał się echem w głębokich zatokach, wrzynających się w linię brzegową. Na wschodzie różany brzask świtu odsłaniał poszarpane kontury Płaskowyżu Anatolijskiego, a po drugiej stronie Morza Egejskiego przez poranną mgłę widać było widmowe kształty wysp.

Jack rozparł się w fotelu i włączył autopilota. Helikopter leciał teraz kursem załadowanym do komputera nawigacyjnego. Podążał do zaprogramowanego punktu docelowego, leżącego w odległości prawie pięćset mil morskich w kierunku północno-wschodnim.

Przez interkom odezwał się znajomy głos.

- Nie rozumiem czegoś w związku z tym złotym dyskiem - powiedział Costas. - Zakładam, że wykonano go około 1600 roku przed naszą erą, na krótko przed katastrofą statku. Ale jedyna paralela do tych symboli na zewnętrznym paśmie jest o cztery tysiące lat wcześniejsza i znajduje się na drugim dysku z Fajstos.

Dołączyła Katia.

- To zaskakujące, że językiem używanym na Krecie epoki brązu mówili już pierwsi neolityczni koloniści z tej wyspy. To, co odszyfrował profesor Dillen, zrewolucjonizuje nasz obraz początków greckiej cywilizacji.

Jack ciągle cieszył się sukcesem Katii w negocjacjach z załogą „Vultury”. Wiedział, że wybawienie ich z opresji graniczyło z cudem. Powiedziała, że pokazała Aslanowi zdjęcia rzymskiego wraku, do którego Jack nurkował tydzień temu i przekonała go, że znaleźli jedynie gliniane amfory i że wrak nie jest wart jego uwagi, a „Seaquest” stanął tam tylko w celu wypróbowania nowego wyposażenia kartograficznego.

A jednak był pewien, że wydarzyło się tam coś jeszcze, więcej niż to, co Katia chciała czy też mogła powiedzieć. Wypytywał ją, ale ona milczała. Dobrze znał świat umów i kontrumów, mafijnych targów i przekupstwa, w którym zmuszeni byli żyć obywatele byłego Związku Radzieckiego. Katia musiała mieć jakiś udział w tym świecie.

Pałacy niepokój, jaki towarzyszył telekonferencji, zastąpiony został ogromnym zapałem do dalszego działania. Po powrocie Katia zrezygnowała z odpoczynku i dołączyła do Jacka i Costasa pochylonych nad mapą, planujących do późna w nocy następny etap wykopalisk. Entuzjazm napełniał ich energią, zwłaszcza że teraz mogli działać bez przeszkód.

Tylko jej zapewnienie, że „Vultura” nie wróci, skłoniło Jacka do porannego lotu. Miała to być rutynowa wizyta, inspekcja na siostrzanym statku „Sea-questa”, „Sea Venture” stojącym na Morzu Czarnym, ale dodatkowym bodźcem było sprawozdanie o zaskakującym odkryciu, dokonany u północnego wybrzeża Turcji.

Żadne z was jeszcze nie wie - powiedział Jack - że dysponujemy teraz niezależnie przeprowadzonym datowaniem złotego dysku. Dotarło do nas pocztą elektroniczną, kiedy wy jeszcze spaliście. Wręczył kartkę Costasowi siedzącemu na miejscu drugiego pilota. Po chwili usłyszał okrzyk zachwyty.

-Datowanie hydracyjne! Zrobili to! - Costas, który czuł się pewniej na gruncie nauk ścisłych niż w tworzeniu teorii, z których nie można wyciągnąć żadnych pewnych wniosków, był teraz w swoim żywiole, - To technika udoskonalona przez IMU wyjaśnił Katii. - Pewne minerały w określonym czasie absorbują niewielką ilość wody na powierzchni. Ta nasycona wodą „skórka” rozwija się od nowa na powierzchniach, które zostały odłupane albo przetworzone przez człowieka, toteż można to wykorzystać przy datowaniu kamiennych i metalowych artefaktów.

- Klasycznym przykładem jest obsydian - dodał Jack. - Szklisty, wulkaniczny kamień występujący w basenie Morza Egejskiego tylko na wyspie Melos. Narzędzia z obsydianu znajdowane na stanowiskach łowców-zbieraczy w Grecji kontynentalnej datowano za pomocą tej metody na XII tysiąclecie przed naszą erą, ostatnią fazę epoki lodowcowej. To najwcześniejszy dowód na istnienie handlu morskiego w starożytnym świecie.

- Datowanie hydracyjne złota było możliwe tylko dzięki zastosowaniu bardzo precyzyjnego sprzętu - powiedział Costas. IMU ma w tym największe doświadczenie, bo wielokrotnie znajdowaliśmy złoto.

- Jaka jest datacja? - zapytała Katia.

- Trzy pasma symboli zostały odcisnięte w połowie drugiego tysiąclecia. Szacuje się, że to około 1600 roku przed naszą erą z dokładnością do stu lat.

- To pasowałyby do daty wraku - rzekła Katia.

- Mało prawdopodobne, żeby dysk pochodził z wcześniejszego okresu - zauważył Jack. - Wewnętrzne pasmo to mykeńskie pismo linearne B, które rozwinęło się dopiero w tym czasie.

- Ale to była tylko data symboli, data, kiedy zostały wybite w metalu. Czas określono na podstawie „skórki” na samych symbolach. - Costas mówił z ledwie skrywanym podnieceniem. - Sam dysk jest starszy. Znacznie starszy. A środkowy symbol wytopiono wraz z nim. Kiedy? - zawiesił głos. - Około 6000 roku przed naszą erą.

Był już piękny letni poranek, niczym niezastłonięty widok roztaczał się na wszystkie strony. Lecieli nad północno-zachodnim krańcem Turcji w kierunku Dardaneli, wąskiego kanału oddzielającego Europę od Azji. Na wschodzie przechodził on w Morze Marmara, a potem zwężał się i jako Bosfor prowadził do Morza Czarnego.

Jack wprowadził niewielkie poprawki do autopilota i spojrzał nad ramieniem Costasa. Gallipoli było doskonale widoczne, wielki paluch lądu wbijający się w Morze Egejskie, zamykający północny brzeg Dardaneli. Bezpośrednio pod śmigłowcem rozciągała się nizina Hissarlik, gdzie znajdowała się legendarna Troja. Byli nad centralnym wirem historii, nad miejscem, gdzie ląd i morze zwężały się, żeby kanalizować wielkie ruchy mas ludzkich idących z południa na północ i ze wschodu na zachód, od czasów pierwszych hominidów po powstanie islamu. Spokojna sceneria przeczyła krwawym konfliktom, które się tuęgły, od oblężenia Troi po rzeź gallipolijską trzy tysiące lat później, podczas I wojny światowej.

Dla Jacka i Costasa nie była to kraina duchów, ale znajomy teren, który przynosił miłe wspomnienia o ich osiągnięciach. To właśnie tutaj, kiedy stacjonowali w bazie NATO w Izmirze, przeprowadzili swoje pierwsze wykopiska. Pewien rolnik wyorał na swoim polu pomiędzy obecną linią wybrzeża a ruinami Troi jakieś poczerwiałe kłody i fragmenty zbroi z brązu. Ich badania dowiodły, że stanowisko było zamuloną linią brzegową z epoki brązu i odsłoniły zwęglone szczątki kilku galer wojennych, spalonych w wielkim pożarze około 1150 roku przed naszą erą.

Było to sensacyjne odkrycie, pierwsze artefakty pochodzące bezpośrednio z okresu wojny trojańskiej, rewelacja, która sprawiła, że uczeni jeszcze raz przyjrzeni się legendzie, kiedyś odrzuconej jako półprawda. Dla Jacka zaś był to punkt zwrotny, doświadczenie, które na nowo rozpałiło w nim pasję do archeologii i nierozwiązanych zagadek przeszłości.

Dobrze, powiem to wprost. - Costas próbował połączyć nadzwyczajne nowiny z ostatnich kilku dni w jakąś spójną całość. - Najpierw w Egipcie znaleziono papirus, który dowodził, że Platon nie wymyślił legendy o Atlan-

tydzie. Została ona podyktowana Grekowi o imieniu Solon przez egipskiego kapłana około 580 roku przed naszą erą. Ta opowieść była już wtedy niezmiernie stara, sprzed tysięcy lat przed faraonami.

- Papirus pokazał również, że opowieść Platona jest dziwnie poplątana - wtrącił Jack.

- Relacja Solona nigdy nie dotarła do ludzi, gdyż została skradziona i zgubiona. To, co przetrwało, zostało przekrecone. Na to, co Solon zdołał zapamiętać o Atlantydzie, nałożył się upadek Minojczyków, który nastąpił w połowie drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Błąd Platona sprawił, że uczeni uznali opowieść o Atlantydzie za odbicie wybuchu na Thirze i zniszczenia pałaców na Krecie.

- Była to jedyna dająca się przyjąć interpretacja - powiedział Jack.

- Teraz wiemy, że Atlantyda była rodzajem jakiejś cytadeli, a nie kontynentem czy wyspą. Leżała nad wodą, z tyłu otwierała się szeroka dolina i z wysokimi górami w głębi lądu. Widniał nad nią symbol byka. Kilka dni drogi od niej znajdowała się katarakta, a pomiędzy kataraktą a Egiptem było morze usiane wyspami. Między siódmym a ósmym tysiącleciem przed naszą erą Atlantyda zniknęła pod wodą.

- A teraz pojawiła się dodatkowo nadzwyczajna łamigłówka z dyskami - powiedziała Katia.

- Ogniwem łączącym papirus i dyski jest symbol, dokładnie taki sam jak litera H, z czterema promieniami po obu stronach.

- Myślę, że spokojnie możemy go nazywać symbolem Atlantydy rzekła Katia.

- To jedyny symbol, który nie należy do znaków pisma linearnego A albo B - powiedział Jack. - Może to być znak graficzny reprezentujący samą Atlantyde, tak jak byk reprezentował minojskie Knossos, a sowa klasyczne Ateny.

- Jedno mnie dziwi - wtrącił Costas. - Dlaczego w ogóle sporządzono dyski gliniane i dysk złoty. Maurice Hiebert powiedział, że święta wiedza przekazywana była ustnie, od arcykapłana do arcykapłana, żeby nie mogła ulec zepsuciu i żeby nie uchylić rąbka tajemnicy. Po co im był dekodery w postaci dysków?

- Mam pewną teorię na ten temat - powiedział Jack.

Czerwone światło zamrugało ostrzegawczo na panelu kierowania. Przesłał kontrolki na pilotaż ręczny i podłączył dodatkowe zbiorniki z paliwem, niezbędne przy długich lotach. Wrócił do autopilota, po czym wcisnął CD-ROM do konsoli i rozłożył znajdujący się pod sufitem miniaturowy ekran. Obraz przedstawiał radosną procesję długich łodzi opuszczających miasto,

którego mieszkańcy przyglądali się poradzie z przemyślnie uszeregowanych nadmorskich domostw.

- Słynny fresk marynistyczny znaleziony w latach sześćdziesiątych w Domu Admirała, w Akrotiri na Thirze. Zazwyczaj interpretuje się go jako przedstawienie ceremonii, być może konsekracji nowego arcykapłana.

Nacisnął klawisz i wywołał fotografię lotniczą ukazującą ruiny murów i balustrad wyrastających z lica klifu.

- Trzęsienie ziemi, które uszkodziło w ubiegłym roku Partenon, rozszerpiło także urwisko na wybrzeżu Paleo Kameni (Starego Paleniska), drugiej co do wielkości wysepki w okolicy Thiry. Ukazało się coś, co wygląda jak klasztor na szczycie klifu. Większość z tego, co wiemy o religii Minojców, pochodzi z tak zwanych sanktuariów na szczytach, świętych klauzur na wzgórzach i górach Krety. Teraz uważamy, że wyspa Thira była największym z takich sanktuariów.

- Domem bogów, wejściem do świata podziemi - dodał Costas.

- Coś w tym stylu - odparł Jack. - Samo sanktuarium na szczycie uległo zniszczeniu podczas wybuchu wulkanu. Ale była tam także wspólnota religijna, pod warstwami pumeksu przy kalderze.

- A jaka jest ta twoja teoria na temat dysków? - zapytał Costas.

- Zaraz do tego dojdę - odparł Jack. - Najpierw zastanówmy się nad naszym wrakiem. Najlepszą hipotezą byłoby, że zatonął od fali wywołanej pierwszymi wstrząsami, przed głównym wybuchem.

Oboje słuchacze mruknęli, że zgadzają się z tym wywodem.

- Teraz uważam, że było to coś więcej niż statek handlowy wiozący bogactwa. Pomyślcie o ładunku. Złote kielichy i naszyjniki. Posążki ze złota i kości słoniowej, niektóre nieomal wielkości człowieka. Ołtarz do libacji wyrzeźbiony z rzadkiego egipskiego porfiru. Ryton w kształcie byczej głowy. Znacznie więcej tu bogactw niż powierzono by jednemu statkowi.

- I co z tego wynika? - zapytał Costas.

- Myślę, że znaleźliśmy skarb arcykapłanów z Thiry, najbardziej święte bogactwo cywilizacji epoki brązu. Uważam, że te dyski były własnością arcykapłanów. Złoty dysk był najstarszy, wynoszony tylko podczas najważniejszych ceremonii i z początku nie miał innych znaków poza symbolem pośrodku. Starożytny dysk gliniany, ten starszy z dwóch dysków z Fajstos, był raczej tabliczką do sporządzania zapisów niż obiektem kultu. Zawierał klucz do wiedzy, ale zapisany starożytnymi symbolami, które odczytać był w stanie tylko arcykapłan. Po ostrzegawczym trzęsieniu ziemi, w obawie przed nadciągającą zagładą, arcykapłan nakazał, żeby wybito te symbole wokół

brzegów złotego dysku. Były leksykonem, każdy umiejący czytać Minojczyk zdałby sobie sprawę, że grupy sylab stanowiły pierwotną wersję jego własnego języka.

- Czyli była to polisa ubezpieczeniowa - zauważyła Katia. Książka szyfrów do odczytywania glinianego dysku na wypadek, gdyby zginęli wszyscy arcykapłani.

Tak. Razem ze wspinałym rytonem w kształcie głowy byka nurkowie wydobyli wiązkę prętów z kości słoniowej i hebanu, rzeźbionych w wyobrażenia Wielkiej Bogini Matki. Przypuszczamy, że to są święte laski Minojczyków, przedmioty rytualne, takie jak pastorały biskupów i kardynałów. Sądzę, że towarzyszyły one samemu arcykapłanowi podczas ucieczki z sanktuarium na wyspie.

- A dyski z Fajstos?

- Każąc wybić symbole na złotym dysku, arcykapłan nakazał jednocześnie sporządzić replikę starożytnego dysku glinianego, tego, który zawierał pozornie podobny tekst, ale praktycznie był pozbawiony znaczenia. Jak powiedział profesor Dillen, replikę wykonano po to, żeby profani nie dostrzegli zbyt wielu znaczeń w symbolach. Tylko kapłani rozumieliby tekst i mieliby dostęp do szyfru na złotym dysku.

- Ale jak znalazły się w Fajstos? - zapytał Costas.

- Prawdopodobnie początkowo spoczywały w tym samym skarbcu co złoty dysk, w tym samym składzie świątynnym na Thirze - powiedział Jack. - Arcykapłan wysłał je wcześniej i statek dotarł bezpiecznie na Krete. Fajstos wydawało się oczywiste jako schronienie, położone wysoko nad morzem i osłonięte od wulkanu przez górę Ida.

- Było też ośrodkiem religijnym - dodała Katia.

- Tuż obok pałacu w Hagia Triada, kompleksie ruin, który od dawna wprawiał archeologów w zakłopotanie. To tam znaleziono jeden dysk, a sto lat później drugi. Obecnie uważamy, że był to rodzaj seminarium duchownego, szkoła kapłanów, których potem rozsyłano do świątyń na szczytach.

Ale zarówno Fajstos, jak i Hagia Triada zostały zniszczone przez wybuch wulkanu - wtrąciła Katia. - Trzęsienie ziemi zrównało je z ziemią, potem już ich nie zasiedlono. Dyski zostały pogrzebane pod ruinami zaledwie parę dni po ich przywiezieniu z Thiry.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Costas. - Jak arcykapłan z świątyni w Sais, w delcie Nilu, dowiedział się o Atlantydzie prawie tysiąc lat po wybuchu na Thirze i zaginięciu tych dysków?

- Sądzę, że Egipcjanie poznali tę opowieść z tego samego źródła, głęboko w prehistorii, że przetrwała ona z osobna w obu cywilizacjach. Była święta,

przekazywana skrupulatnie, bez ozdobników i poprawek, na co wskazują identyczne szczegóły symbolu Atlantydy w papirusie i na dysku.

- Powinniśmy być za to wdzięczni Solonowi Prawodawcy - powiedziała Katia. - Gdyby nie skopiował pedantycznie tego symbolu obok greckiego słowa Atlantis, mogłoby nas tutaj nie być.

- Dyski z Fajstos nie były cenne, zrobiono je z gliny - zauważył Costas. - O ich wartości stanowiły jedynie symbole. Ale dysk z wraku to lane, czyste złoto, być może największa sztaba, jaka przetrwała od czasów prehistorycznych. - Odwrócił się na fotelu i bystro popatrzył na Jacka. - Myślę, że jest w tym więcej niż to, co widzimy. Nasz złoty przycisk do papieru jest kluczem do jeszcze większej tajemnicy.

Zostawili za sobą Morze Marmara i lecieli teraz nad Bosforem. Czyste powietrze znad Morza Egejskiego zastąpiła mgiełka smogu unoszącego się nad potężnie Stambułem. Mogli rozpoznać Złoty Róg, zatoczkę, nad którą greccy koloniści w VIII wieku przed naszą erą założyli Bizancjum. Obok z porannej mgły wyrastał las minaretów. Na wzniesieniu zobaczyli pałac Topkapi, niegdyś symbol orientalnej dekadencji, dziś jedno z najwspanialszych muzeów archeologicznych świata. Niedaleko wybrzeża wznosiły się wielkie mury Konstantynopola, stolicy cesarstwa bizantyńskiego, które trzymało przy życiu cesarstwo rzymskie do czasu, kiedy miasto wpadło w ręce Turków w 1453 roku.

- To jedno z moich ulubionych miast - powiedział Jack. Jeśli sieje pozna, widać w nim nieprzebrane bogactwo historii.

- Kiedy to się skończy, chciałabym, żebyś mnie tutaj zabrał - rzuciła Katia.

Przed nimi leżało Morze Czarne, szerokie zakosy wybrzeży po obu stronach Bosforu zdawały się rozciągać w nieskończoność. GPS wskazywał, że rozpoczął się ostatni odcinek ich podróży na wschód, do miejsca położonego o jakieś dziesięć mil morskich na północ od tureckiego portu w Trabzonie, starożytnym Trapezuncie. Jack nastawił radiostację UKF na kanał IMU i włączył koder.

Kilka chwil później w lewym dolnym rogu ekranu nad centralną konsolą błysnęło niebieskie światło.

- Przyszedł mail - powiedział Costas.

Jack dwa razy kliknął myszą i odczekał chwilę, żeby pojawił się adres.

- Od profesora Dillena. Miejmy nadzieję, że to jego tłumaczenie dysku z Fajstos.

Katia, siedząca z tyłu, pochyliła się do przodu. Wszyscy czekali w milczeniu. Wkrótce na ekranie wyświetliły się słowa.

Drogi Jacku

Od czasu naszej wieczornej telekonferencji pracowałem tak szybko, jak tylko się dało, żeby ukończyć tłumaczenie. Wiele zależało od współpracy kolegów na całym świecie. Archiwum z tabliczkami pokrytymi pismem linearnym A znalezione w ubiegłym roku w Knossos, zostało rozdzielone do badań między różnych uczonych, a ty wiesz, jak skryci potrafią być naukowcy, jeśli chodzi o ich nieopublikowane odkrycia - pamiętasz, jaki problem mieliśmy z dostępem do zwojów znad Morza Martwego, kiedy zaczynaliśmy poszukiwania Sodomy i Gomory. Szczęśliwie się składa, że większość naukowców zajmujących się minojską epigrafia to moi byli studenci.

Tylko rewers drugiego dysku niesie jakąś informację. Próba ukrycia tekstu była bardziej rozbudowana, niż sądziliśmy .

Nasze tajemnicze symbole pojawiały się dwa razy i przetłumaczyłem je, po prostu, jako Atlantydę.

Oto tekst:

Pod znakiem byka leży rozciągnięty bóg-orzeł. (U) jego ogona (jest) Atlantyda o złotych murach, wielkie złote drzwi do (cytadeli?). Końce (jego) skrzydeł dotykają wschodów i zachodów słońca. (O) wschodzie słońca (jest) góra z ognia i metalu. (To jest) sala arcykapłanów [sala tronowa? sala audiencyjna?]. Nad nią (znajduje się) Atlantyda. (Oto jest) bogini matka. (Oto jest) miejsce bogów, składnica wiedzy.

Jeszcze nie wiem, o co tu chodzi. Czy to łamigłówka? Maurice i ja bardzo chcemy się dowiedzieć, co o tym sądzisz .

Twój

James Dillen.

Przeczytali tłumaczenie kilkakrotnie, w milczeniu. Costas odezwał się pierwszy, jak zwykle szukał strony praktycznej tam, gdzie inni widzieli tajemnicą.

- To nie jest łamigłówka. To mapa skarbu.

8

Jack! Witam na pokładzie!

Głos wzniósł się nad opadającym szumem turbin rolls-royce'a. Jack właśnie wyszedł na nadmuchiwane płozy śmigłowca. Było to ulepszenie, które pozwalało helikopterom IMU lądować na wodzie. Śpieszył się, żeby uścisnąć wyciągniętą dłoń Malcolma Macleoda. Rotor zatrzymał się z dygotaniem. Costas i Katia szli tuż za Jackiem. Kilku członków załogi statku skupiło się wokół helikoptera. Zaczęli przymocowywać go do pokładu i wyładowywali torby ze sprzętem z ładowni maszyny.

„Sea Venture” różniła się od „SeQUESTA” tylko bogactwem wyposażenia, które było godne głównego pełnomorskiego statku badawczego JMU. Ostatnio jednostka prowadziła pierwszy załogowy pomiar Rowu Mariańskiego na zachodnim Pacyfiku. Zadanie, które wykonywała na Morzu Czarnym, polegało na rutynowym badaniu osadów, ale teraz nabrało nowego, zaskakującego wymiaru.

- Proszę za mną na mostek.

Malcom Macleoda poprowadził ich pod takim samym kopulastym ekranem, jaki widzieli na „Seaqueście”. Macleod był szefem wydziału oceanografii, człowiekiem, którego kompetencje Jack cenił od czasu wielu wspólnych projektów badawczych na całym świecie.

Krzepki, rudowłosy Szkot usiadł za konsolą na krześle operatora.

- Witamy na „Sea Venture”. Inspekcja może chyba poczekać, aż pokażę wam to, co znaleźliśmy.

Jack kiwnął głową.

- Słyszeliście o mesyńskim kryzysie zasolenia?

Jack i Costas potwierdzili, ale Katia wyglądała na zmieszaną.

- Wprowadzimy naszą nową koleżankę. - Macleod uśmiechnął się do Katii. - Nazwa pochodzi od osadów znalezionych w pobliżu Cieśniny Mesyńskiej. We wczesnych latach siedemdziesiątych głęboko morski statek wiertniczy „Glomar Challenger” pobierał próbki odwiertów na całym Morzu Śródziemnym. Pod dnem morskim znaleziono grube złożo zbitych produk-

tów odparowania, osiągające miejscami przekrój na trzy kilometry. Uformowały się w późnym miocenie, erze geologicznej, która nastąpiła bezpośrednio przed naszą, około pięciu i pół miliona lat temu.

- Produkty odparowania? - Katia była zdziwiona.

- Głównie halit, pospolita sól kamienna, materiał, który zostaje wszędzie, gdzie wyparowała woda morska. Pod nim i nad nim są margle, zwyczajne osady morskie z gliny i węgla wapnia. Warstwa soli uformowała się w tym samym czasie na dnie całego Morza Śródziemnego.

- Co to znaczy?

To znaczy, że Morze Śródziemne wyparowało.

Katia patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Morze Śródziemne wyparowało? Całe?

Macleod przytaknął.

- Przyczyną, od której wszystko się zaczęło, był wielki spadek temperatury atmosfery. Okres ten był znacznie zimniejszy niż ostatnia epoka lodowcowa. Lód polarny uwięził ogromne połacie światowego oceanu, sprawiając, że poziomy mórz opadły o pięćset metrów. Morze Śródziemne zostało odcięte i zaczęło wysychać, w końcu ograniczając się do słonawych grzęzawisk w najgłębszych basenach.

- Jak Morze Martwe.

- Morze Śródziemne było wtedy nawet bardziej zasolone, praktycznie prawie wcale nie miało wody. Zbyt słone dla większości żywych stworzeń, stąd brak skamieniałości. Wielkie obszary stały się pustynią.

- Kiedy znów się wypełniło wodą?

- Jakies dwieście tysięcy lat później. Musiał to być proces dramatyczny, rezultat wielkiego topnienia na biegunach. Pierwsze strumyczki z Atlantyku zamieniały się w rwący nurt, największy wodospad, jaki kiedykolwiek istniał, sto razy większy od Niagary, złobiący Cieśninę Gibraltarską do jej obecnej głębokości.

Jakie to miało znaczenie dla Morza Czarnego? - zapytała Katia.

- Kryzys zasolenia mesyńskiego jest ustalonym faktem naukowym. Macleod spojrział bystro na Jacka. - Pomoże ci to uwierzyć w niewiarygodne, bo to chcę ci teraz przekazać.

Zebrawali się przy stacji zdalnego sterowania robotem podmorskim „Sea Venture”, na końcu konsoli. Macleod zaprosił Katię, żeby usiadła przed ekranem i pokazał, jak używa się dżojstika.

- To jak symulator lotu. Żeby latać, używa pani dżojstika, jak pani chce, do góry, do dołu, na boki i do tyłu. Kontrolka prędkości to ta tarczka po lewej stronie.

Macleod położył rękę na dłoni Katii i wykonał pełny obrót zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, przesuwając manetkę do oporu. Szeroki ekran wideo pozostał czarny jak smoła, ale wskaźnik kierunku okręcił się o trzydzieści sześćdziesiąt stopni. Głębokościomierz wskazywał sto trzydzieści pięć metrów, a współrzędne GPS pokazywały pozycję ROV (*remote operate vehicle* - zdalnie sterowany robot podwodny) z dokładnością do pół metra.

Macleod pociągnął znów manetką na pozycję wyjściową.

- Wolne opadanie korkociągiem, a potem doskonale wyjście na prostą. - Uśmiechnął się do Jacka, który doskonale pamiętał szarpaninę z ROV-em, kiedy razem trenowali na głębokomorskim sprzęcie IMU u wybrzeży Bermudów. - ROV-y wykorzystywane są przez zespoły naukowe już od kilkadziesiąt lat wyjaśniał Macleod - ale w ostatnich latach technologia bardzo się udoskonaliła. Do pomiarów naukowych używamy AUV, autonomicznie operujących robotów podwodnych, które mają wielozadaniowy moduł sensoryczny, zawierający aparat wideo i sonar boczny. Kiedy tylko zidentyfikują obiekt, wprowadzamy do akcji bezpośrednio kontrolowany ROV. Mark 7, którym tutaj operujemy, jest niewiele większy od walizki, na tyle mały, żeby penetrować podwodne otwory termiczne.

- Można zawrócić tymi maleństwami na znaczku pocztowym - dodał Costas. - A kontrola radiowa oparta na pulsacji sprawia, że można go wypuścić na piętnaście mil morskich w poziomie albo prosto w dół, w największą głębokość.

- Jest blisko - przerwał Macleod. - Aktywuje reflektory.

Weisnął dżojstik i jednocześnie przekręcił kilka przełączników na panelu konsoli. Nagle ekran ożył, atramentową czerń zastąpiły migotliwie iskrzące się plamki.

- Muł - wyjaśnił Macleod. - Nasze światła odbijają się od cząsteczek wirujących w wodzie.

Zaczęli rozpoznawać coś solidniejszego, cień w tle, który stopniowo stawał się coraz lepiej widoczny. To było dno morza, ponury, pozbawiony rysów charakterystycznych spłacheć szarości. Macleod włączył radar konturowy ROV-a, który pokazał, że dno opada w dół, od południa, pod kątem trzydziestu stopni.

- Głębokość sto czterdzieści osiem metrów.

Dziwna, przypominająca wieżę struktura zamajaczyła na ekranie i Macleod zatrzymał ROV o kilka metrów od niej.

- Kolejny z pomysłowych wynalazków Costasa. Zdalnie sterowana koparka do pobierania próbek z głębokości stu metrów pod poziomem dna mor-

skiego albo wydmuchiwania ogromnych ilości osadów. - Wolną ręką Macleod sięgnął do pudła obok fotela. - A to znaleźliśmy tuż pod dnem.

Podał Katii lśniący, czarny obiekt rozmiarów jego pięści. Zważyła go w ręku i spojrzała pytająco.

- Kamień z plaży?

- Wygładzony na brzegu morza. Wzdłuż całej tej pochyłości znajdujemy dowody na istnienie starego brzegu, na głębokości stu pięćdziesięciu metrów, dziesięć mil morskich od wybrzeża. Jeszcze bardziej zaskakująca jest data. To jedno z naszych najważniejszych odkryć.

Macleod wstukał koordynaty GPS i obraz na ekranie zaczął się przesuwać. Żalane światłem dno niewiele się zmieniało, ROV przemieszczał się wzdłuż tej samej głębokości.

- Włączyłem autopilota. Piętnaście minut do celu.

Katia oddała mu kamień.

Czy można powiązać z mesyńskim kryzysem zasolenia?

- Z pewnością umiejscowilibyśmy to, co tu widzimy, na okres sprzed przybycia ludzi - albo raczej hominidów - w te okolice, co nastąpiło dwa miliony lat temu.

- Ale?

- Ale to byłaby pomyłka. Ogromna pomyłka. Zatopione linie brzegowe to rzecz powszednia w naszej pracy, ale coś tutaj jest nowością. Pokażę pani.

Macleod załadował komputerową mapę izometryczną Morza Czarnego i Bosforu.

- Związek między Morzem Śródziemnym a Morzem Czarnym jest jakby miniaturowym odwzorowaniem Atlantyku i Morza Śródziemnego objaśniał. Bosfor ma zaledwie dwieście metrów głębokości. Każde obniżenie się Morza Śródziemnego poniżej tej głębokości sprawia, że Bosfor staje się lądowym pomostem odcinającym Morze Czarne. Te warunki umożliwiły pierwszym hominidom przejście z Azji do Europy. - Przesunął kursor, żeby zaznaczyć trzy rzeki wpadające do morza. - Kiedy Bosfor był lądowym pomostem, parowanie sprawiło, że Morze Czarne obniżyło poziom tak jak Morze Śródziemne podczas kryzysu zasolenia. Ale Morze Czarne było uzupełniane przez rzeki, Dunaj, Dniepr i Don. Równowaga została osiągnięta, kiedy parowanie wyrównało napływ wody. Od tego momentu zaczęły się zmiany w zasoleniu. W końcu Morze Czarne stało się ogromnym słodkowodnym jeziorem.

Nacisnął klawisz i komputer rozpoczął symulację wydarzeń, które opisywał. Maszyna pokazała, jak Bosfor wysycha, a Morze Czarne obniża się do

poziomu około stu pięćdziesięciu metrów poniżej dzisiejszej linii wodnej i pięćdziesiąt metrów poniżej dna Bosforu. Wtedy poziom wody przestał się obniżać, gdyż ubytki uzupełniane były poprzez napływ wody rzecznej.

Obrócił się na fotelu i popatrzył na obecnych.

- A teraz niespodzianka. To nie jest obraz z wczesnego plejstocenu, z głębi ery lodowcowej. Patrzycie na Morze Czarne sprzed niecałych dziesięciu tysięcy lat.

Katia wyglądała na oszołomioną.

- Ma pan na myśli czas po epoce lodowcowej?

Macleod pokiwał energicznie głową.

- Ostatnie zlodowacenie osiągnęło szczyt około dwudziestu tysięcy lat temu. Morze Czarne zostało odcięte trochę wcześniej i od razu miało zarys taki, jak przy głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Nasza plaża stanowiła brzeg morski przez następne dwanaście tysięcy lat.

- Co stało się później?

- Przypomina to mesyński kryzys zasolenia. Lodowce topiły się. Morze Śródziemne podnosiło się, woda spadała kaskadami przez Bosfor. Bezpośrednią przyczyną tego zjawiska mogła być faza cofania się pokrywy lodowej na zachodniej Antarktydzie. Wystarczył rok, żeby Morze Czarne osiągnęło współczesną nam głębokość. W najwyższym punkcie napływ wody wynosił prawie dwadzieścia kilometrów sześciennych dziennie, co dało podniesienie się poziomu wody do czterdziestu centymetrów dziennie albo od dwóch do trzech metrów tygodniowo.

Jack wskazał dolną część mapy.

- Pokaż nam zbliżenie tego.

- Oczywiście. - Macleod postukał w klawisze i na ekranie pojawiło się zbliżenie północnego wybrzeża Turcji. Program izometryczny nadal odwzorowywał topografię przed zalewem.

Jack podszedł do ekranu.

- Jesteśmy teraz oddaleni o jedenaście mil morskich od północnego wybrzeża Turcji, powiedzmy o osiemnaście kilometrów, a głębokość morza pod nami wynosi około stu pięćdziesięciu metrów. Niezmienne nachylenie wobec obecnego brzegu morskiego musi oznaczać przybór o dziesięć metrów na każde półtora kilometra lądu, powiedzmy w stosunku jeden do stu pięćdziesięciu. To nachylenie jest łagodne, ledwie dostrzegalne. Jeśli morze podnosiło się tak szybko, jak twierdzisz, to co tydzień woda zalewała trzysta do czterystu metrów, powiedzmy, po pięćdziesiąt metrów dziennie.

- Albo więcej - powiedział Macleod. - Przed zalewem większość z tego, co leży pod nami, znajdowała się kilka metrów nad poziomem morza, a na-

chylenie musiało być większe, bliższe obecnej linii brzegowej. W ciągu kilku tygodni wielkie obszary zostały podtopione.

Jack patrzył na mapę w milczeniu.

- Mówimy o wczesnym neolicie, pierwszym okresie rolniczym. Jakie warunki musiały tu panować?

Macleod rozpromienił się.

- Kazałem naszym paleoklimatologom popracować nad tym w nadgodzinach. Przeprowadzili serię symulacji ze wszystkimi możliwymi zmiennymi, żeby odtworzyć środowisko naturalne w okresie między końcem plejstocenu a zalewem.

- I?

- Uważają, że był to najżyźniejszy obszar na całym Bliskim Wschodzie.

Katia cichutko gwizdnęła.

- To może być całkiem nowy obraz historii człowieka. Pas wybrzeża szeroki na dwadzieścia kilometrów, długi na setki kilometrów, w jednym z kluczowych rejonów rozwoju cywilizacji. I nigdy nietknięty przez archeologów.

Macleod aż kręcił się z podniecenia.

A teraz powód, dla którego tu jesteście. Czas wrócić do monitora ROV-a.

Dno morskie było teraz bardziej pofalowane, od czasu do czasu zdarzały się w nim skaliste występy i pobrużdżone zagłębienia, gdzie niegdyś były jary i doliny rzeczne. Głębokościomierz wskazywał, że ROV znajduje się nad zatopioną powierzchnią lądu, płytszą o jakieś piętnaście metrów i oddaloną o kilometr od starej linii brzegowej. Współrzędne GPS zaczynały się pokrywać z danymi docelowymi wprowadzonymi przez Macleoda.

- Morze Czarne powinno się stać rajem dla archeologów powiedział Jack.

- Górne sto metrów jest ubogie w sól, co stanowi pozostałość po słodkowodnym jeziorze i jest wynikiem napływu wody z rzek. Owady drążące otwory w drewnianych kadłubach, *teredo nowalis*, potrzebują bardziej zasolonego środowiska, więc starożytne belki powinny tu zostać w stanie nienaruszonym. Zawsze marzyłem o tym, żeby znaleźć triemę, starożytny wojenny okręt wiosłowy.

Ale to zarazem koszmar dla biologów odparł Macleod. - Poniżej stu metrów woda zatruta jest tlenkiem siarki. To skutek zmiany chemicznego składu wody morskiej przez bakterie trawiące ogromne ilości materii organicznej przynoszonej przez rzeki. W głębinie jest jeszcze gorzej. Kiedy wysoko zasolone wody Morza Śródziemnego wpadały przez Bosfor, docierały na głębinię liczącą prawie dwa tysiące metrów, do najgłębszych części Morza

Czarnego. Pozostały tam do tej pory jako nieruchoma warstwa o grubości dwustu metrów, niezdolna do podtrzymania jakiegokolwiek formy życia. To jedno z najbardziej toksycznych środowisk na świecie.

- W bazie morskiej w Izmirze przesłuchiwałem marynarza łodzi podwodnej, który zdezerterował z radzieckiej floty czarnomorskiej - mruknął Costas. - Był to inżynier, który pracował przy ich ściśle tajnych badaniach głębin morskich. Twierdził, że widział wraki stojące dumnie na morskim dnie z nietkniętym takielunkiem. Pokazywał mi zdjęcia, na których można było nawet rozpoznać trupy, płataninę widmowych kształtów zalanych solanką. To jedna z najokropniejszych rzeczy, jakie widziałem.

- Prawie tak niezwykła jak to.

Czerwone światło rozbłysnęło w prawym dolnym rogu ekranu. Dane GPS pokryły się z wprowadzonymi namiarami. Niemal równocześnie dno morskie przekształciło się w sceneryę tak niesamowitą, że zaparło im dech w piersiach. Światło reflektorów odbijało się od stojących tuż przed ROV-em niskich budynków, ich płaskie dachy łączyły się ze sobą jak w indiańskim pueblo. Niższe i wyższe pomieszczenia połączone były za pomocą drabin. Wszystko otulone było widmową warstwą mułu, który wyglądał jak popiół wulkaniczny. Obraz był niesamowity i bezludny, ale ich serca zabiły szybciej z podniecenia.

- Fantastyczne! - krzyknął Jack. - Możemy przyjrzeć się temu dokładniej?

- Przenieś robota tam, gdzie był wczoraj, kiedy was wezwałem.

Macleod przełączył się na ręczne sterowanie i skierował ROV-a w stronę wejścia na jednym z dachów. Lekko muskając dżojstik, wprowadził maszynę do środka, powoli przesuując kamerę wzdłuż ścian. Były one ozdobione ledwie widocznymi w mroku wzorami, zwierzętami o długich szyjach, prawdopodobnie kozłami skalnymi, a także lwami i tygrysami, których wysunięte nogi łączyły się z sobą.

Wodoodporna zaprawa murarska - mruknął Costas.

. Co? - zapytał z roztargnieniem Jack.

- To jedyna przyczyna, dla której te mury mogły przetrwać pod wodą. Mieszanka musi zawierać wodoodporny czynnik wiążący. Mieli dostęp do pyłu wulkanicznego.

Po drugiej stronie pomieszczenia widać było formę rozpoznawalną dla każdego studenta archeologii. Były to bycze rogi w kształcie litery U, nadnaturalnej wielkości rzeźba osadzona na przypominającym ołtarz cokole.

- To wczesny neolit. Nie ma co do tego dwóch zdań. - Jack całą uwagę skupił na nadzwyczajnych obrazach, które mieli przed oczami. - Domowa

świątynka, dokładnie taka, jaką trzydzieści lat temu wykopano w Catal Huyuk.

- Gdzie? - zapytał Costas.

- W środkowej Turcji, na równinie Konya, jakieś dwieście kilometrów stąd. Prawdopodobnie jest to najstarsze miasto na świecie, społeczność rolnicza, która powstała dziesięć tysięcy lat temu u świtu rolnictwa. Ciasno upakowana konglomeracja domostw z cegieł z mułu z drewnianymi wzmocnieniami tak jak tutaj.

- Unikatowe stanowisko - powiedziała Katia.

- Aż do tej pory. To zmienia wszystko.

- Jest tego więcej - rzekł Macleod. - Znacznie więcej. Sonar wykazuje podobne anomalie wzdłuż całego przebadanego przez nas wybrzeża, po trzydzieści kilometrów w obie strony. Występują co kilka kilometrów i każda z nich jest bez wątpienia wioską lub domostwem.

- Zdumiewające. - Jack myślał już intensywnie o przyszłości.

9

„Sea Venture” zostawiał za sobą ślad białej piany, oddalając się na południe od stanowiska nad zatopioną linią brzegową. Niebo było czyste, ale woda miała czarny, odstręczający kolor, kontrastujący z głębokim błękitem Morza Śródziemnego. Przed dziobem wyłoniły się porośnięte drzewami stoki północnej Turcji i półksiężyc Płaskowyżu Anatolijskiego, znaczącego początek wysoczyzn Azji Mniejszej.

Gdy tylko wydobyto ROV-a, „Sea Venture” popłynął z maksymalną szybkością do bazy zaopatrzeniowej IMU w Trabzonie, czarnomorskim porcie, którego pobielane budynki wyrastały na brzegu od południa. Katia korzystała z możliwości zrelaksowania się po raz pierwszy, odkąd trzy dni temu przybyła do Aleksandrii. Włożyła kostium kąpielowy, który zostawiał niewiele miejsca na domysły, a jej długie włosy powiewały na wietrze. Jack stojąc

u jej boku na pokładzie, nie był w stanie skupić się na rozmowie z Costasem i Macleodem.

Costas doradzał Macleodowi, jaką metodę obrać przy sporządzaniu planów zatopionej neolitycznej wioski. Wyciągał wnioski z sukcesów odniesionych dzięki fotogrametrii, wykorzystanej przy minojskim wraku. Ustalili, że „Seaquest” dołączy jak najszybciej do „Sea Venture” na Morzu Czarnym. Wyposażenie większego statku i kompetencje uczonych były potrzebne do wykonania pełnego zakresu badań. Kolejny statek został już wysłany z Kartaginy, żeby stanąć nad wrakiem minojskiej łodzi i przejąć obowiązki „Seaquesta”.

- Jeśli poziom morza wznosił się o czterdzieści centymetrów dziennie po przełamaniu Bosforu - powiedział Costas, podniesionym ze względu na wiatr głosem - to ludność zamieszkująca tereny wiedziała to bardzo dobrze. Po kilku dniach zrozumieli, że najbliższa przyszłość nie wróży im niczego dobrego.

- Czy to mógł być biblijny potop? - zainteresował się Costas.

- Praktycznie każda cywilizacja ma mit o potopie, ale większość odnosi się do powodzi rzecznych, a nie do potopu spowodowanego przez ocean - powiedział Jack. - Katastrofalne powodzie były bardziej prawdopodobne w najwcześniejszym okresie, zanim ludzie nauczyli się budować wały i system kanałów, żeby kontrolować wody.

- Taką powódź zawsze uznawano za najbardziej prawdopodobną podstawę mitu o Gilgameszu - przypomniała Katia. - Była to opowieść o potopie spisana na dwunastu glinianych tabliczkach z około 2000 roku przed naszą erą, odkrytych w ruinach Niniwy w dzisiejszym Iraku. Gilgamesz był sumeryjskim królem Uruk nad Eufratem, gdzie pierwsze ślady osadnictwa datują się na koniec szóstego tysiąclecia przed naszą erą.

- Biblijna powódź mogła mieć inne pochodzenie - dodał Macleod. - IMU zbadało śródziemnomorskie wybrzeża Izraela i znalazło dowody ludzkiej aktywności pochodzące z końca epoki lodowcowej, z czasów wielkiego topnienia, które wystąpiło dwanaście tysięcy lat temu. Pięć kilometrów od brzegu, gdzie zapuszczali się paleolityczni łowcy, zanim okolica została zalana przez morze, znaleźliśmy kamienne narzędzia i stopy muszli.

- Czyżby starotestamentowi Izraelici zachowali jakieś wspomnienia o tych wydarzeniach? - zapytał Costas.

- Tradycja ustna może przetrwać tysiące lat, zwłaszcza w zamkniętym społeczeństwie. Ale niektórzy z rolników, uciekinierów z nad Morza Czarnego, mogli się osiedlić w Izraelu.

- Pamiętaj o arce Noego - dodał Jack wielkim statku wybudowanym po ostrzeżeniu przed powodzią. Po parze z każdego gatunku zwierząt. Pomyśl o naszych rolnikach znad Morza Czarnego. Morze było zapewne główną drogą ich ucieczki i możliwe, że zabrali tyle ze swoich zwierząt, ile zdołali. W parach, żeby się rozmnożyły.

- Myślałem, że w tak wczesnym okresie nie dysponowali wielkimi łodziami - powiedział Costas.

- Neolityczni budowniczości okrętów potrafili konstruować długie łodzie zdolne udźwignąć kilka ton ładunku. Pierwsi rolnicy na Cyprze mieli ogromne tury, przodków dzisiejszego bydła, a także świnie i zwierzyzną płową. Żaden z tych gatunków nie występował na Cyprze wcześniej. Zostały sprowadzone na łodziach. Było to około 9000 roku przed naszą erą. To samo prawdopodobnie zdarzyło się na Krecie tysiąc lat później.

Costas w zamyśleniu podrapał się w podbródek. - Więc opowieść o Noem mogła zawierać ziarno prawdy. Nie jeden wielki statek, ale mnóstwo mniejszych, unoszących rolników i żywy inwentarz znad Morza Czarnego.

- To bardzo pociągający pomysł - zgodził się Jack.

Silniki „Sea Venture” zwolniły obroty, kiedy statek podchodził do portu w Trabzonie. Przy wschodnim nabrzeżu zobaczyli szare sylwetki dwóch szybkich ścigaczy klasy „Dogan”. Była to część odpowiedzi tureckiej marynarki wojennej na wzrastający na Morzu Czarnym szmugiel. Turcy zajęli bezkompromisowe stanowisko: uderzać szybko i mocno, strzelać, żeby zabić. Jacka widok ten podniósł na duchu, gdyż wiedział, że jego kontakty z turecką marynarką wojenną zaowocują szybką pomocą, gdyby napotkali na jakiś kłopot na wodach terytorialnych.

Stali przy relingu na górnym pokładzie, „Sea Venture” zmierzał ku zachodniemu nabrzeżu. Costas patrzył na gęsto zalesione zbocza nad miastem.

- Dokąd udali się po powodzi? Nie mogli już tam uprawiać ziemi.

Musieliby pójść daleko w głąb lądu - zgodził się Jack. - A była to ogromna populacja, co najmniej dziesiątki tysięcy ludzi, sądząc po liczbie osiedli, które widzieliśmy na odczycie sonaru.

- Więc rozdzielili się.

Mógł to być zorganizowany exodus, kierowany przez centralną władzę w celu znalezienia odpowiednich nowych ziem dla całej populacji. Niektórzy poszli na południe, przez ten grzbiet, niektórzy na wschód, niektórzy na zachód. Malcolm wspominał o Izraelu. Są też inne oczywiste kierunki migracji.

Costas mówił w podnieceniu:

- Wczesne cywilizacje. Egipt. Mezopotamia. Dolina Indusu. Kreta.

- To nie było aż tak daleko. - Katia usiadła i włączyła się w dyskusję. - To zdumiewające, jak wiele języków ma wspólne korzenie. W Europie, Rosji, na Bliskim Wschodzie, na subkontynencie indyjskim większość współczesnych języków ma jedno źródło pochodzenia.

- Indoeuropejskie - powiedział Costas.

- Starożytny język, o którym wielu językoznawców sądzi, że pochodzi z regionu Morza Czarnego. Możemy odtworzyć jego słownictwo na podstawie słów wspólnych dla późniejszych języków, takich jak sanskrycki *pitar*, łaciński *pater*, niemiecki *Vater* i angielski *father*.

- A jak jest ze słowami z dziedziny uprawy roli? - zapytał Costas.

- Wspólny słownik dowodzi, że orali ziemię, nosili wełniane ubrania i wyprawioną skórę. Mieli udomowione zwierzęta, między innymi woły, świnie i owce. Dysponowali skomplikowaną strukturą i stratyfikacją społeczną, wedle zamożności. Czcili Wielką Boginię Matkę. Wiciu z nas już dawniej przypuszczało, że ekspansja Indoeuropejczyków szła wraz z rozprzestrzenianiem się rolnictwa. Był to stopniowy proces rozciągnięty na całe lata. Teraz jestem przekonana, że był to rezultat jednej migracji. Nasi rolnicy znad Morza Czarnego to pierwotni Indoeuropejczycy.

Jack oparł szkicownik na relingu i szybko narysował mapkę starożytnego świata.

- Oto hipoteza - powiedział. - Nasi Indoeuropejczycy opuścili rodzinne strony na wybrzeżu Morza Czarnego. - Narysował strzałkę na wschód od ich obecnej pozycji. - Jedna grupa poszła w stronę Kaukazu, współczesnej Gruzji. Niektórzy poszli lądem przez góry Zagros i trafili w końcu do doliny Indusu w Pakistanie.

- Zobaczyli górę Ararat, gdy weszli w głąb lądu - wtrącił Macleod. - To był zapierający dech w piersiach widok, góra znacznie przewyższała wszystkie, które do tej pory widzieli. Musiała zakorzenić się folklorze jako miejsce, w którym wreszcie zdali sobie sprawę, że umknęli przed potopem.

Jack narysował kolejną strzałkę na mapie.

- Druga grupa skierowała się na południe, przez Płaskowyż Anatolijski do Mezopotamii i osiedliła się na brzegach Tygrysu i Eufratu.

- A jeszcze inna na północny zachód, do Dunaju - zauważył Costas.

Jack narysował trzecią strzałkę.

Niektórzy tam się osiedlili, inni wykorzystali rzekę, żeby dotrzeć do serca Europy.

- Brytania stała się wyspą w końcu epoki lodowcowej, kiedy Morze Północne powiększyło się. Ale ci ludzie dysponowali już technologią, która umożliwia im przeprawę. Czy to byli pierwsi rolnicy na Wyspach Brytyjskich, przodkowie ludu, który zbudował Stonehenge? Macleod był coraz bardziej podniecony.

- Język celtycki używany w Wielkiej Brytanii należał do grupy indoeuropejskiej - dodała Katia.

Jack narysował strzałkę skierowaną na zachód, która rozchodziła się w różne strony i wyglądała jak drzewo ze zwisającymi gałęziami.

- Ostatnia grupa, być może najważniejsza, powiosłowała na zachód i przeprawiła się przez Bosfor, potem znów wsiadła do łodzi i wyruszyła na Morze Egejskie. Niektórzy osiedlili się w Grecji i na Krecie, inni w Izraelu i w Egipcie, a jeszcze inni w tak odległych krainach jak Italia i Hiszpania.

Bosfor musiał być budzącym grozę widokiem - powiedział Costas.

Czymś, co pozostało w zbiorowej pamięci jak góra Ararat dla grupy wschodniej i stąd na dysku wspomina się o katarakcie Bos.

Katia patrzyła z uwagą na Jacka.

- To pięknie pasuje do dowodów czerpanych z lingwistyki powiedziała.

- Ponad pięćdziesiąt starożytnych języków ma korzenie indoeuropejskie.

Jack pokiwał głową i spojrział na mapkę.

- Profesor Dillen mówił mi, że język minojski zapisywany pismem linearnym A i symbole z Fajstos są najbliższe indoeuropejskiego prairódła. Kreta mogła być świadkiem największego napływu indoeuropejskich rozbitków i ich kultury.

„Sea Venture” dobijał właśnie do nabrzeża w Trabzonie. Kilku członków załogi zeskoczyło na ląd i cumowało statek. Przy doku zebrała się grupka ludzi, tureccy urzędnicy i pracownicy magazynu IMU, zaciekawieni najnowszymi odkryciami. Między nimi wyróżniała się elegancka postać Mustafy Alkozena, byłego oficera tureckiej marynarki wojennej, który był głównym przedstawicielem IMU na ten kraj. Jack i Costas pomachali do starego przyjaciela zadowoleni, że odnowią koleżeństwo, które zaczęło się, kiedy stacjonowali razem w bazie w Izmirze, a on dołączył do nich, gdy odsłaniali galery z wojny trojańskiej.

Costas odwrócił się i popatrzył na Macleoda.

- Mam ostatnie pytanie.

- Strzelaj.

- Datacja.

Macleod uśmiechnął się szeroko i poklepał teczkę na mapy, która trzymał w ręku.

- Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz.

Wyjął trzy duże fotografie i podał mu. Były to stop-klatki z kamery ROV-a, z głębokością i koordynatami wydrukowanymi w prawym, dolnym rogu. Ukazywały one wielką, drewnianą ramę i stosy drewnianych bali obok niej.

- Wygląda jak miejsce budowy - powiedział Costas.

- Natknęliśmy się na to wczoraj, obok domu ze świątynią. Dobudowywano właśnie nowe pomieszczenia, kiedy wioska została porzucona. - Macleod wskazał na jeden ze stosów drewna na morskim dnie. - Użyliśmy pompy wodnej ROV-a, żeby usunąć muł. Są to świeżo ścięte pnie, nadal mają korę, a na powierzchni widać żywicę.

Otworzył teczkę i wyjął tubę z przezroczystego plastiku długą na jakieś pół metra. Zawierała cienki drewniany pręt.

- ROV ma na wyposażeniu puste w środku wiertło, które może wyciągać z drewna i innych spoistych materiałów próbki do dwóch metrów długości.

Miodowe słoje były zadziwiająco dobrze zachowane, jakby pochodziły z żywego drzewa. Macleod podał to Costasowi, który natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- Dendrochronologia.

- Słusznie. Sekwencja słoików z Azji Mniejszej nie uległa przerwaniu od 8500 roku przed naszą erą po dziś. Wwierciliśmy się do środka kłody i znaleźliśmy czterdzieści cztery słoje. To wystarczy, żeby dokonać datowania.

- I?

- Na „Sea Venture” mamy skaner, który porównuje bazowe sekwencje w ciągu kilku sekund.

Jack popatrzył pytająco na Macleoda, który specjalnie przeciągał dramatyczną opowieść.

- Jesteś archeologiem - powiedział Macleod. - Jak to szacujesz?

- Na okres tuż po epoce lodowcowej, ale niedługo przed tym, jak Morze Śródziemne osiągnęło poziom Bosforu. Powiedziałbym ósme może siódme tysiąclecie przed naszą erą.

Macleod oparł się o reling i popatrzył uważnie na Jacka. Pozostali czekali z zapartym tchem.

- Blisko, ale nie dość blisko. Drzewo zostało ścięte w 5545 roku przed naszą erą, z dokładnością do roku.

Costas popatrzył z niedowierzaniem.

- Niemożliwe! To zbyt dawno.

- Zostało to potwierdzone datowaniem wszystkich innych słoików drzewnych z tego stanowiska. Zdaje się, że pomyłkowo odjęliśmy tysiąc lat, jeśli chodzi o czas, kiedy Morze Śródziemne osiągnęło swój obecny poziom.

- Większość lingwistów umiejscawia Indoeuropejczyków między 6000 a 5000 rokiem przed naszą erą! - zawołała Katia. - Zgadzałoby się doskonale.

Jack i Costas chwycili za reling, kiedy spuszczano trap ze statku. Po tylu wspólnie przeżytych przygodach potrafili sobie czytać w myślach. Ale teraz nie byli w stanie uwierzyć, dokąd te myśli prowadzą. Było to tak fantastyczne, że ich umysły zbuntowały się i uległy dopiero sile logiki.

- Ta data - powiedział cicho Costas. - Widzieliśmy ją już wcześniej.

W głosie Jacka brzmiało całkowite przekonanie, gdy nachylił się ku Macleodowi.

- Mogę ci coś powiedzieć o tych Indoeuropejczykach. Mieli na morzu wielką cytadelę, zbiornicę wiedzy, do której wkraczało się przez złote drzwi.

- O czym mówisz?

Jack przerwał na chwilę, a potem powiedział spokojnie.

-O Atlantydzie.

- Jack, przyjacielu! Miło cię widzieć - odezwał się głębokim głosem ktoś stojący na nabrzeżu.

Jack zszedł z trapu i podał rękę Mustafie Alkozenowi. Ich wzrok podążał ponad współczesnym miastem ku leżącej w ruinie cytadeli. Trudno było sobie wyobrazić, że było tu niegdyś królestwo Trapezuntu, średniowieczna odrośl Bizancjum, znana ze świetności i dekadencji. Miasto rozkwitało od najwcześniejszych czasów jako węzeł handlowy pomiędzy Wschodem a Zachodem. Ciemną kontynuacją tej tradycji był teraz zalew czarnorynkowych handlarzy, którzy napływali tutaj od czasów upadku Związku Radzieckiego. Miasto stanowiło azyl dla przemytników i mafii ze Wschodu.

Malcolm Macleod poszedł naprzód, żeby uporać się z tłumem urzędników i dziennikarzy, którzy zebrali się na wieść o przybyciu „Sea Venture”. Wspólnie doszli do wniosku, że jego sprawozdanie o odkryciu neolitycznej wioski powinno być celowo utrzymane w bardzo ogólnym tonie, dopóki nie przeprowadzi się dodatkowych badań. Wiedzieli, że pozbawione skrupułów oczy będą śledzić ich prace za pośrednictwem satelity i ostrożnie opowiadali o wykopaliskach. Postanowili powiedzieć tylko tyle, ile trzeba, żeby zaspokoić dziennikarzy. Na szczęście stanowisko znajdowało się w odległości jedenastu mil morskich od brzegu, nadal w granicach wód terytorialnych. Ścigacze tureckiej marynarki wojennej, które cumowały po drugiej stronie portu, miały prowadzić całodobowy nadzór statku, aż do końca badań, a rząd Turcji przyznał stanowisku specjalny status ochronny.

Mustafo, poznaj naszą nową koleżankę, doktor Katię Swietlanową.

Katia, w sukience narzuconej na kostium kąpielowy, w ręku niosła palmtop i teczkę na dokumenty. Uścisnęła wyciągniętą dłoń i uśmiechnęła się do Mustafy.

- Jack poinformował mnie przez radio o pani niezwykłych umiejętnościach. Miło mi panią poznać.

Jack i Mustafa ruszyli przodem. Cała czwórka zmierzała ku magazynowi IMU na końcu nabrzeża. Jack mówił ścisłym i pełnym napięcia głosem. Zapoznał Mustafę z wydarzeniami od chwili znalezienia papirusu. Postanowił wykorzystać postój techniczny „Sea Venture”, żeby wykorzystać umiejętności Turka i wprowadzić go do ścisłego grona osób, które wiedziały o papirusie i o dyskach.

Tuż przed wejściem do niskiego, betonowego budynku Jack dał mu kartkę na podkładce do pisania, którą Mustafa wręczył sekretarzowi. Na kartce była lista zapotrzebowania na sprzęt do nurkowania z zapasów IMU. Jack spał jątuż przed zejściem z „Sea Venture”.

Przed wielkimi, stalowymi drzwiami dołączyli do nich Katia i Costas. Mustafa wstukał kod i drzwi otworzyły się. Poprowadził ich przez kolejne sale laboratoryjne i warsztaty naprawcze. Weseli do pokoju wyłożonego drewnianą boazerią ze stołem pośrodku.

- Sala z mapami - wyjaśnił Mustafa Katii - Służy także jako nasze centrum dowodzenia. Proszę siadać.

Otworzył szufladę i wyciągnął mapę Morza Egejskiego i południowej części Morza Czarnego, omywającego tureckie wybrzeże aż do granicy z Gruzją. Rozłożył mapę i przypiął ją do stołu. Z małej szuflady wyjął zestaw cyrkli nawigacyjnych i linijek kartograficznych. Ułożył je metodycznie, a Katia włączyła komputer.

Po chwili podniosła wzrok.

- Jestem gotowa.

Ustalili, że Katia przedstawi tłumaczenie papirusu, a on spróbuje nanieść dane na mapę morską.

Powoli czytała z ekranu:

- „Poprzez wyspy, aż do cieśniny morskiej”

- To się odnosi do jakiegoś archipelagu z Morza Egejskiego, widzianego z Egiptu - powiedział Jack. - Na niewielkiej przestrzeni Morza Egejskiego znajduje się ponad tysiąc pięćset wysp. W pogodny dzień na północ od Krety nie da się żeglować, nie mając choć jednej z nich w polu widzenia.

- A zatem tą cieśniną muszą być Dardanele - stwierdził Costas.

- Potwierdza to następny fragment. - Trzej mężczyźni popatrzyli z wyciekaniem na Katię. - „Za kataraktą Bos”.

Jack nagle się ożywił.

- Przecież to banalnie oczywiste. Bosfor, wejście na Morze Czarne.
Costas zwrócił się do Katii z niedowierzaniem.

- Czy słowo Bosfor może być aż tak starożytne?

- Pochodzi sprzed dwóch i pół tysiąca lat, znane z pierwszych greckich zapisów, dotyczących geografii. Ale prawdopodobnie jest o tysiące lat starsze. *Bos* to indoeuropejskie słowo oznaczające byka.

- Cieśnina Byka - zadumał się Costas. Może to odległe skojarzenie, ale myślę o związanej z bykiem symbolice z tego neolitycznego domu i z minojskiej Krety. To abstrakcja - przedstawiali bycze rogi w postaci siodła, trochę jak japoński podgłówek. Tak musiał wyglądać Bosfor widziany od strony Morza Czarnego przed powodzią, wielkie siodło wepchnięte w góry wysoko nad poziomem morza.

Jack popatrzył z uznaniem na przyjaciela.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać. To najlepszy pomysł, jaki słyszałem od lat.

Costas zapalił się do tego tematu.

- Dla ludzi, którzy czcili byka, widok wody spadającej przez te rogi musiał być czymś brzemieniem w skutki, znakiem od bogów.

Jack kiwnął głową i zwrócił się do Katii.

- A więc jesteśmy na Morzu Czarnym. Co dalej?

- „A potem dwadzieścia *dromoi* wzdłuż południowego wybrzeża”.

Jack pochylił się do przodu.

- I tu mamy problem. Jest kilka przekazów mówiących o czasie podróży po Morzu Czarnym z okresu rzymskiego. Jedna z tych wypraw zaczęła się tutaj, w miejscu, które Rzymianie nazywali Jeziolem Meockim. Wskazał na Morze Azowskie, lagunę przy Półwyspie Krymskim. Stąd do Rodos jest jedenaście dni. Z tego tylko cztery dni na Morzu Czarnym.

Mustafa popatrzył w zamyśleniu na mapę.

A więc dwadzieścia dni podróży od Bosforu, dwadzieścia *dromoi* albo dziennych przebiegów i mijamy wschodnie przybrzeże Morza Czarnego.

Costas wyglądał na przygnębionego.

- Może łodzie z wcześniejszych okresów były wolniejsze.

- Przeciwnie powiedział Jack. Wiosłowe długie łodzie były szybsze niż statki żaglowe, mniej podatne na kaprysy wiatru.

- A napływ wody podczas powodzi musiał stać się przyczyną powstania silnego, wschodniego prądu powiedział ponuro Mustafa. - Wystarczy, żeby statek osiągnął odległe brzegi zaledwie w kilka dni. Obawiam się, że Atlantydy nie ma na tej mapie również z innych powodów.

Przygniatające uczucie rozczarowania zaległo w pokoju. Nagle Atlantyda stała się równie odległa jak zawsze, powróciła do świata mitów i baśni.

- Istnieje rozwiązanie powiedział powoli Jack. - Relacja Egipcjan nie jest oparta na ich własnym doświadczeniu. Jeśliby tak było, to nie opisywaliby Bosforu jako katarakty, gdyż Morze Śródziemne i Morze Czarne wyrównały poziomy na długo, zanim Egipcjanie zaczęli się wyprawiać tak daleko na północ. Źródłem dla arcykapłanów były opowieści o Atlantydzie przekazane przez ludzi migrujących znad Morza Czarnego. Egipcjanie po prostu odwrócili kierunki.

Oczywiście! - Mustafa ożywił się. - Od Atlantydy to znaczy pod prąd. Opisując drogę do Atlantydy, Egipcjanie przedstawiali warunki podróży stamtąd. Nie byli w stanie domyślić się, że pomiędzy drogą tam i drogą stamtąd jest znaczna różnica.

Jack spojrzął na Mustafę.

- Potrzebny nam sposób na oszacowanie szybkości prądu, skalkulowanie drogi, jaką neolityczna łódź mogła przebyć, płynąc pod prąd. To powinno nam dać odległość pokonywaną dziennie i odcinek od Bosforu do punktu załadunku dwadzieścia dni wcześniej.

Mustafa wyprostował się i powiedział z pewnością siebie.

- Przyszliście do właściwej instytucji.

10

Słońce zachodziło nad zachodnim brzegiem, gdy grupa badaczy znów zebrała się w sali z mapami. Mustafa od trzech godzin ślęczał nad kilkoma ekranami komputerowymi w przybudówce i dopiero przed dziesięciu minutami oznajmił, że jest gotowy. Dołączył do nich Malcolm Macleod. Costas pierwszy wstał z krzesła. Pozostali otoczyli go, kiedy z uwagą przyglądał się konsoli.

- Co masz?

Mustafa odpowiedział, nie odrywając oczu od środkowego ekranu.

- Kilka zakłóceń w programach nawigacyjnych, które muszę usunąć, ale wszystko pięknie składa się w całość.

Po raz pierwszy współpracowali z Mustafą, kiedy był porucznikiem dowodzącym jednostką informatyczną w bazie NATO w Izmirze. Po odejściu z tureckiej marynarki wojennej i uzyskaniu doktoratu z archeologii wyspecjalizował się w naukowym zastosowaniu nawigacyjnej techniki komputerowej. Przez ostatni rok pracował z Costasem nad nowym pakietem programów do kalkulowania wpływu wiatru i prądów na żeglugę w starożytności. Uważano go za jeden z najświetniejszych umysłów w tej dziedzinie. Był także doskonałym szefem stacji naukowej, który dowiódł swojej wartości, gdy IMU pracowało na tureckich wodach.

Postukał w klawiaturę i na środkowym ekranie pojawił się obraz łodzi.

- Opracowaliśmy to z Jackiem.

- Podstawą do rekonstrukcji były neolityczne belki wykopane w ubiegłym roku u ujścia Dunaju - wyjaśnił Jack. - Mamy tu łódź bez pokładu, o długości około dwudziestu pięciu metrów i szerokości trzech. Wiosłowanie rozwinęło się dopiero pod koniec epoki brązu, toteż po obu burtach ma po piętnastu wiosłarzy. Mogła zabrać dwa woły, jak to tutaj przedstawiliśmy, kilka par mniejszych zwierząt, jak świnie czy sarny, około dwóch tuzinów kobiet i dzieci i zmianę wiosłarzy.

- Jesteś pewien, że nie miały żagla? - zapytał Macleod.

- Żagle były wynalazkiem egipskim z wczesnej epoki brązu. Na Nilu łodzie mogły płynąć do delty, a potem żeglować w górę rzeki przy przeważających tam wiatrach północnych. Możliwe, że to Egipcjanie wprowadzili żagle na Morze Egejskie, gdzie wiosłowanie było właściwie lepszym sposobem na okrążanie wysp.

- Program wskazuje, że taka łódź mogła rozwijać szybkość sześciu węzłów przy całkowitej ciszy morskiej powiedział Mustafa. To sześć mil morskich na godzinę, około siedmiu mil lądowych.

- Wyciągali łódź na plażę jeszcze za dnia, żeby zając się zwierzętami i rozbić obozowisko - dodał Jack. - A rano robili to w odwrotnej kolejności.

- Wiemy, że exodus miał miejsce wiosną albo wczesnym latem - powiedział Macleod. - Przejechaliśmy poddennym skanerem o dużej zdolności rozdzielczej obszar o powierzchni kilometra kwadratowego obok wioski neolitycznej. Muł pokrywa doskonale zachowany system pól z bruzdami od pług i rowami irygacyjnymi. Laboratorium ukończyło analizy próbek zebranych przez ROV. Okazuje się, że plonem było ziarno. Pszenica, mówiąc

dokładniej, *Triticum monococcum*, zasiana na około dwa miesiące przed zalaniem.

- Zboże w tych okolicach wysiewa się zazwyczaj w kwietniu albo w maju - zauważył Jack.

- Mówimy o czerwcu albo lipcu, około dwa miesiące po przelaniu się wody przez Bosfor.

- Sześć węzłów oznacza czterdzieści mil morskich na osiem godzin wiosłowania - kontynuował Mustafa. - Jeśli przyjąć, że była rezerwowa załoga oraz woda i zapasy, i że rzeczywiście płynęli osiem godzin. Na spokojnym morzach nasza łódź przemieściłaby się wzdłuż południowego wybrzeża w jedenaście dni. - Nacisnął klawisz jedenaście razy, przesuwając miniaturową ikonę łodzi wzdłuż mapy izometrycznej Morza Czarnego. - W takich wypadkach program nawigacyjny zdaje egzamin.

Stuknął jeszcze raz i symulacja uległa lekkiej zmianie. Morze stało się wzburzone, a jego poziom opadł na tyle, żeby Bosfor stał się wodospadem. Oto lato 5545 roku przed naszą erą, około dwa miesiące po tym, jak zaczął się potop.

Postawił łódź w okolicach Bosforu.

- Pierwszą zmienną jest wiatr. Latem wiatry wieją najczęściej z północy. Statki płynące na zachód czynią poważne postępy w żegludze dopiero, gdy osiągną Synope, w połowie południowego wybrzeża, kiedy brzeg zaczyna skręcać na zachodnio-południowy zachód. Przedtem, płynąc wzdłuż wybrzeża w kierunku zachodnio-północno-zachodnim, potrzebowaliby wiosła.

- Jaki był wtedy klimat? - zapytała Katia.

- Główne fluktuacje pogody w dzisiejszych czasach wywoływane są przez oscylację północnoatlantycką - odparł Mustafa. - W fazie cieplej niskie ciśnienie atmosferyczne nad bieguna północnego wywołuje silne wiatry zachodnie, które zatrzymują powietrze arktyczne na północy, co znaczy, że nad Morzami Śródziemnym i Czarnym jest gorąco i sucho. W fazie zimnej powietrze arktyczne przepływa na południe, powodując wiatry północne nad Morzem Czarnym. Generalnie, jest bardziej wietrznie i wilgotno.

- A w starożytności?

- Uważamy, że wczesny holocen, pierwsze kilka tysięcy lat po wielkim topnieniu lodowców, był odpowiednikiem fazy zimnej. Klimat był mniej suchy niż dzisiaj i pojawiało się znacznie więcej opadów atmosferycznych. Południowa część basenu Morza Czarnego stanowiła optymalne miejsce do rozwoju rolnictwa.

- A jaki to miało wpływ na nawigację? - zapytał Jack.

- Wiatry północne i zachodnie były silniejsze o jakieś dwadzieścia do trzydziestu procent. Wprowadziłem to i wyszła mi najlepiej pasująca prognoza dla liczącego pięćdziesiąt mil morskich odcinka wybrzeża na dwa miesiące po rozpoczęciu potopu, włączając efekt wiatru i ruchów wody.

- Twoją drugą zmienną musiała być sama powódź.

- Mamy tu zjawisko przelewania się dwudziestu kilometrów sześciennych wody morskiej dziennie przez półtora roku, potem stopniowe zmniejszanie się napływu wody, aż do osiągnięcia równowagi. Exodus miał miejsce podczas najsilniejszego napływu.

Postukał w klawiaturę i na ekranie z prawej strony pojawiła się sekwencja liczb.

To pokazuje szybkość prądu na wschód od Bosforu. Zmniejsza się on z dwunastu węzłów pod wodospadem do zaledwie około dwóch węzłów w najbardziej na wschód oddalonym sektorze, ponad pięćset mil dalej.

Do rozmowy włączył się Costas.

- Jeśli nasi neolityczni rolnicy robili tylko sześć węzłów, to nigdy nie dotarli do Bosforu.

Mustafa pokiwał głową.

- Jestem nawet w stanie określić, gdzie zatrzymali się po raz ostatni: trzydzieści mil na wschód, gdzie prąd staje się zbyt silny. Od tego punktu musieli przemieszczać się wybrzeżem azjatyckim aż do Dardaneli. Prąd w cieśninie też był bardzo silny, toteż wątpię, żeby wsiedli do łodzi przed dotarciem do Morza Egejskiego.

- To musiała być koszmarna podróż - powiedział Macleod. - Prawie dwieście mil morskich.

- Prawdopodobnie rozebrali kadłuby i użyli wołów do ciągnięcia sań z deskami odparł Jack. - W większości wczesnych łodzi deski łączone były sznurem, co pozwalało na ich łatwe rozmontowanie.

- Być może ci, którzy poszli na wschód, naprawdę zostawili swoje łodzie na górze Ararat powiedziała Katia. Mogli je rozebrać i ciągnąć deski do punktu, w którym stało się jasne, że nie będą im już potrzebne, inaczej niż grupie zachodniej, która podczas wędrówki ciągle miała morze w zasięgu wzroku.

Costas patrzył na Dardanele.

- Mogli nawet wyruszyć ze wzgórza Hissarlik. Niektórzy zaś osiedli tam i zostali pierwszymi Trojanami.

Słowa Costasa na powrót przywołały świadomość ogromu ich odkrycia i na chwilę przepełniło ich poczucie respektu i podziwu. Ostrożnie, metodycznie

składali elementy układanki, które trapiły uczonych od pokoleń, odkrywali powiązania, które już nie należały do świata spekulacji. Nie budowali po prostu kawałka puzzla, ale zaczęli pisać na nowo historię powszechną. Źródło ich dywagacji było jednak tak zakorzenione w świecie fantazji, że nadal wyglądało na bajeczne. Przyjęcie do wiadomości tego odkrycia sprawiało im nadal trudność.

- Jaka to odległość dwadzieścia *dromoi*, w takich warunkach? - zapytał Jack.

Mustafa wskazał ekran po swojej prawej stronie.

- Cofamy się od miejsca wyjścia na ląd w pobliżu Bosforu. W ostatnim dniu robili tylko pół węzła pod prąd i wiatr, co oznacza odcinek nie dłuższy niż cztery mile. - Nacisnął klawisz i łódź przesunęła się troszeczkę na wschód.

- Potem odległości stają się stopniowo coraz większe, aż docieramy do odcinka obok Synope, gdzie robili już dziennie trzydzieści mil. - Nacisnął klawisz dwanaście razy i łódź przeskoczyła w tył, na pozycję w połowie wybrzeża Morza Czarnego. - Potem na parę dni wiosłowanie stało się bardziej żmudne, zmierzali w kierunku północno-zachodnim, pod wiatr.

- To piętnaście odcinków - powiedział Jack. - Dokąd zaprowadzi nas ostatni?

Mustafa stuknął jeszcze pięć razy i łódź stanęła w południowo-wschodnim rogu Morza Czarnego, dokładnie na zarysie wybrzeża sprzed powodzi.

- Bingo - powiedział Jack.

Po wydrukowaniu komputerowych danych nawigacyjnych Mustafa zaprowadził wszystkich do oddzielnego pomieszczenia przylegającego do sali z mapami. Przygasił światła i rozłożył kilka map wokół środkowej konsoli rozmiarów kuchennego stołu. Podświetlił taflę stołu.

- Holograficzny stół świetlny wyjaśnił Mustafa. - Ostatnia zdobycz batymetrii. Jest w stanie sporządzić trójwymiarowy model dowolnego obszaru dna morskiego, z którego mamy dane zebrane podczas pomiarów, od całych oceanów po fragmenty liczące kilka metrów kwadratowych. Na przykład stanowiska archeologiczne.

Wstuknął polecenie i stół rozświetlił się kolorami. Były to wykopaliska podwodne, kryształowo jasne, z wyrysowanym każdym szczegółem. Masa osadu została uprzątnięta. Spod niej wyłoniły się rzędy ceramicznych kadzi i metalowych sztab leżących w poprzek kilu, z którego na obie strony wystawały belki. Kadłub leżał w rowie nad urwistym zboczem, a wielkie skaliste jezory znikwały w dole, tam gdzie kiedyś płynęła lawa.

- Tak wyglądał minojski wrak dziesięć minut temu. Jack prosił mnie, żebym kazał przesłać dane, bo chciał monitorować postępy prac. Odkąd wyposażenie w całości zostało podłączone *online*, naprawdę wkroczyliśmy w epokę zdalnie sterowanych robót wykopaliskowych i możemy nimi kierować, nie zanurzając nogi w wodzie.

Dawniej trzeba się było bardzo natrudzić, żeby sporządzić szkice podwodnych stanowisk. Drobiazgowo pomiary przeprowadzano ręcznie. Teraz wszystko to wyeliminowano dzięki wprowadzeniu fotogrametrii cyfrowej, skomplikowanego pakietu oprogramowania, które za pośrednictwem zdalnie sterowanego robota podwodnego przesyłało obrazy bezpośrednio na „Seaquesta”. Tego ranka, podczas dziesięciminutowego przejścia nad wrakiem, ROV zebrał więcej danych niż podczas całych robót wykopaliskowych w przeszłości. Dane, razem z hologramem, zostały załadowane do projektora laserowego, który w sali konferencyjnej „Seaquesta” wykonał lateksowy model stanowiska. Wraz z postępem prac na model nanoszono modyfikacje. Ten innowacyjny system był kolejną przyczyną, dla której należało być wdzięcznym Eframowi Jacobovichowi, sponsorowi IMU, który oddał na użytek muzeum doświadczenie całej swojej wielkiej spółki produkującej software.

Tego popołudnia, podczas telekonferencji z zespołem pracującym przy wykopaliskach, Jack spędził kilka godzin na dokładnym oglądaniu hologramu. Ale dla pozostałych był to widok zapierający dech w piersiach, jakby nagle przeniesiono ich na dno Morza Egejskiego, osiemset mil morskich od Trapezuntu. Model pokazywał znaczące postępy, jakich dokonano w ciągu doby, odkąd odlecieli helikopterem. Zespół usunął większą część ładunku i wysłał kolejne bezcenne artefakty do bezpiecznych magazynów muzeum w Kartaginie. Pod warstwą glinianych amfor wypełnionych rytualnymi kadzidłami znajdował się kadłub, znacznie lepiej zachowany, niż Jack mógłby o tym marzyć. Czopy łączące były w tak świeżym i nienaruszonym stanie, jakby wystrugano je wczoraj.

Mustafa znów postukał w klawiaturę.

A teraz Morze Czarne.

Wrak zamienił się w kalejdoskop kolorów, z których wyłonił się model Morza Czarnego. Pośrodku rozciągała się równina największej głębiny, toksyczne zaświaty znajdujące się 2200 metrów pod poziomem morza. Wokół brzegów były płycizny schodzące w dół pod łagodniejszym kątem niż na Morzu Śródziemnym.

Mustafa nacisnął jeszcze jeden klawisz, żeby zaznaczyć linie wybrzeża przed potopem.

- Nasz teren docelowy.

W odległym, południowo-wschodnim rogu pojawiło się małe światełko.

- Czterdzieści dwa stopnie szerokości północnej, czterdzieści dwa stopnie długości wschodniej. Dokładniej nie można. Doszliśmy do tego na podstawie naszych kalkulacji dotyczących odległości tego miejsca od Bosforu.

- To całkiem spory obszar - zauważył Costas. - Mila morska to minuta szerokości, a zatem chodzi o trzysta sześćdziesiąt mil kwadratowych.

- Pamiętaj, że szukamy stanowiska na brzegu - powiedział Jack. - Jeśli będziemy szli wzdłuż starożytnej linii wybrzeża, w końcu dotrzemy do naszego celu.

- Im dokładniej to teraz określimy, tym lepiej - powiedział Mustafa. - Wedle batymetrii, starożytna linia brzegowa w tym sektorze znajduje się co najmniej trzydzieści mil od obecnego brzegu, daleko poza wodami terytorialnymi. W okolicy znajdują się ciekawskie oczyszczenia.

Wśród obecnych rozległy się szepty, gdy dotarła do nich ta przygnębiająca wiadomość. Mapa wskazywała, jak niebezpiecznie blisko znajduje się drugi brzeg Morza Czarnego, współczesne wybrzeże barbarzyńskie, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem w nowy i złowrogi sposób.

- Zastanawia mnie to. - Macleod wskazał na pewną nieregularność na dnie morza, grzbiet długi na jakieś pięć kilometrów, równoległy do starożytnej linii brzegowej. Po stronie otwartego morza znajdowała się wąska szczelina opadająca w dół ponad pięćset metrów. Takiej anomalii nie było na odcinku następnym trzydziestu mil. - To jedyne wyróżniające się miejsce na całej milie wokół. Gdybym miał budować cytadelę, szukałbym lokalizacji górującej nad otoczeniem. I tu bym go znalazł.

Ale ostatni fragment z papirusu mówi o słonych jeziorach - powiedział Costas.

Katia podjęła wątek i odczytała z palmtopa.

- „Potem dociera się do cytadeli. A tam poniżej rozciąga się rozległa złota równina, głębokie baseny, słone jeziora tak daleko, jak tylko wzrok sięga.

- Tak wyobrażam sobie Morze Śródziemne podczas mesyńskiego kryzysu zasolenia powiedział Costas. - Jeziora stojącej słonej wody, jak dzisiaj południowa część Morza Martwego.

- Myślę, że mam wyjaśnienie. - Mustafa postukał w klawiaturę i hologram przekształcił się w zbliżenie sektora południowo-wschodniego. - Przy poziomie morza obniżonym o sto pięćdziesiąt metrów większość obszaru między lądem a tym grzbietem nie do końca obeschła, znajdując się zaledwie metr albo dwa nad poziomem starożytnej linii brzegowej. Ogromne ob-

szary leżały praktycznie kilka metrów poniżej poziomu morza. Gdy pod koniec plejstocenu poziom morza opadł do najniższego punktu, musiał w tych depresjach zostawić słone jeziora. Były płytkie i wyparowały szybko, pozostawiając ogromne płyty soli. Były widoczne z wysoka, z pewnej odległości, gdyż nic na nich nie rosło.

- I pamiętajmy, jak ważna była sól - powiedział Jack - jako istotny środek konserwujący, główny obiekt handlu. Wcześni Rzymianie prosperowali, bo kontrolowali solniska u ujścia Tybru. Być może mamy tu do czynienia z podobną historią, tylko o tysiące lat starszą.

Costas odezwał się rozsądnie.

- Żłota równina może oznaczać pola pszenicy i owsa, bogate ziemie rolne z górami Anatolii w tle. To była „górzysta równina” z relacji Platona.

- I znów słusznie - powiedział Mustafa.

- Czy mam rację, sądząc, że współcześnie część tego grzbietu znajduje się nad wodą? - Costas przypatrywał się geomorfologii na hologramie.

- To szczyt małego wulkanu. Grzbiet należy do strefy zakłóceń sejsmicznych ciągnącej się wzdłuż płyty azjatyckiej, która leży na zachód od północnoanatolijskiego uskoku. Wulkan nie jest całkowicie uśpiony, ale w czasach historii pisanej nie zanotowano jego wybuchu. Kaldera ma około kilometra średnicy i wznosi się na trzysta metrów nad poziom morza.

- Jak się nazywa?

- Nie ma nazwy odparł Macleod. To terytorium sporne od czasów wojny krymskiej z połowy XIX wieku między Turcją a carską Rosją. Leży na wodach międzynarodowych, ale znajduje się prawie dokładnie przy granicy między Turcją a Gruzją.

- Ten obszar przez długi czas był strefą zamkniętą kontynuował Mustafa. - Zaledwie na kilka miesięcy przed rozpadem Związku Radzieckiego w 1991 roku atomowa łódź podwodna zatoneła gdzieś w pobliżu w tajemniczych okolicznościach.

Wszyscy byli zaintrygowani, a Mustafa mówił dalej.

- Nigdy jej nie odnaleziono, ale operacje poszukiwawcze doprowadziły do wymiany ognia między okrętami tureckimi a radzieckimi. Było to potencjalne miejsce zapalne nowego konfliktu światowego, jeśli wziąć pod uwagę przynależność Turcji do NATO. Obie strony uzgodniły, że się wycofają, a incydent został wyciszony, ale wskutek tego prawie nie przeprowadzano na tym obszarze badań hydrograficznych.

- Czyli znów jesteśmy zdani na własne siły - powiedział ponuro Costas. — Przyjazne kraje z obu stron, ale bezsilne, jeśli chodzi o interwencję.

- Robimy, co możemy - powiedział Mustafa. - Zawarte w 1992 roku porozumienie gospodarcze dotyczące basenu Morza Czarnego doprowadziło do powstania Blackseafor, wspólnej grupy operacyjnej marynarek wojennych z Morza Czarnego. To nadal raczej szlachetny gest niż realne działanie i większość tureckich zakazów pozostaje jednostronną inicjatywą. Ale przynajmniej zaistniała podstawa do interwencji. Jest także iskierka nadziei, jeśli chodzi o kwestie naukowe. Turecka państwowa komisja oceanograficzna rozważa ofertę ze strony Gruzińskiej Akademii Nauk, żeby podjąć współpracę w badaniach, które objęłyby także tę wyspę.

- Ale żadnej nadziei na zbrojną ochronę - dodał Costas.

- Nie i nie można uczynić żadnych ruchów wyprzedzających. Sytuacja jest zbyt delikatna. Piłka jest na naszej części boiska.

Słońce zaszło i lesiste zbocza ponad światłami Trabzonu otuliły się mrokiem. Jack i Katia szli powoli kamienistą plażą, chrzęst ich kroków łączył się z odgłosem fal delikatnie uderzających o brzeg.

Wcześniej uczestniczyli w spotkaniu, jakie odbyło się w rezydencji wiceadmirała dowodzącego Blackseaforem, i zapach sosnowych igieł z dziedzińca dobiegł ich, gdy wschodnie molo zostało daleko za nimi. Jack wciąż miał na sobie elegancką marynarkę, ale rozpiął kołnierzyk i zdjął krawat, który włożył do kieszeni wraz z krzyżem orderu za wybitną służbę, przypiętym niechętnie ze względu na okazję

Katia ubrana była w skrzącą się czarną suknię. Rozpuściła włosy i zdjęła pantofle, żeby pochodzić boso po wodzie.

- Wyglądasz oszałamiająco.

- I ty też nieźle. - Spojrzała na Jacka i uśmiechnęła się, łagodnie dotykając jego ramienia. - Myślę, że zaszliśmy już dość daleko.

Podeszli w górę plaży i usiedli na skale z widokiem na morze. Wschodzący księżyc rzucał lśniący pobłysk na wodę, fale tańczyły i lśniły przed nimi. Nad zachodnim horyzontem widać było pasmo smolistej czerni, to front burzowy toczył się od rosyjskich stepów. Chłodna bryza niosła wczesną zapowiedź niezgodnej z porą roku zmiany, która w ciągu nadchodzących dni odmieni powierzchnię morza.

Jack podciągnął nogi i założył ręce za kolanami, wpatrzony w horyzont. Zawsze jest tak, że kiedy wiesz, że wielkie odkrycie jest w zasięgu twojej ręki, każda zwłoka jest frustrująca.

Katia znów się uśmiechnęła,

- Zrobięś wszystko, co w twojej mocy.

Rozmawiali o przygotowaniach do jutrzejszego zaokrętowania się na „Seaqueście”. Przed rautem u wiceadmirała Jack rozmawiał z Tomem Yorkiem przez bezpieczną linię IMU. „Seaquest” będzie teraz szedł całą naprzód w stronę Bosforu, zostawiając pracę przy wraku w zaufanych rękach załogi ze statku pomocniczego. Do czasu zaplanowanego spotkania, na które przylecą helikopterem, „Seaquest” będzie już na Morzu Czarnym. Nie mogli się doczekać, kiedy wejdą na pokład, żeby sprawdzić, czy sprzęt jest w pełni przygotowany.

Katia popatrzyła na niego jakby czymś zatroskana.

- Nie dzielisz ze mną tego podniecenia.

Jej odpowiedź potwierdziła przypuszczenia Jacka, że coś ją trapi.

- Dla was, ludzi z Zachodu, Aślan to postać bez twarzy, jak wróg z czasów zimnej wojny - powiedziała. Ale dla mnie to ludzie z krwi i kości. Potwory, które uczyniły z mojego kraju rodzinnego białą plamę na mapie, jałową ziemię pełną gwałtu i chciwości. Żeby to zrozumieć, trzeba tam mieszkać, w świecie terroru i anarchii, których Zachód nie widział od średniowiecza. Lata ucisku stały się wylęgarnią szaleństwa, nad którym kontrolę sprawują jedynie gangsterzy i panowie wojny. - Jej głos przepełniony był bólem. Patrzyła na morze. - Ale to jest mój lud. Jestem jedną z nich.

- I masz siłę, żeby z tym walczyć Jacka nieodparcie pociągała jej ciemna postać, siedząca na tle coraz ciemniejszego horyzontu.

- To do mojego świata mamy właśnie wkroczyć, a ja nie wiem, czy zdołam cię ochronić. - Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz. Oczy miała niezgłębione. - Ale oczywiście podzielam twój zapał i radość.

Przyłgnęli do siebie i pocałowali się, z początku delikatnie, a potem długo i z pasją. Jacka nagle owładnęło pożądanie, gdy poczuł na sobie jej ciało. Zsunął jej suknię z ramion i przyciągnął bliżej dziewczynę.

II

Trzymać równo trzydzieści jeden i pół stopnia. Głębokość sześćdziesiąt pięć metrów, szybkość wynurzania jeden metr na sekundę. Wkrótce zobaczymy powierzchnię.

Jack patrzył przez pleksiglasową kopułę po swojej lewej ręce. Mimo mroku był w stanie rozróżnić Costasa za identyczną kopułą, jakieś piętnaście metrów obok. Jego głowa, jakby pozbawiona ciała, skąpana była w niesamowitej poświacie rzucaanej przez panel z instrumentami. Gdy wzniesli się nieco, w jego polu widzenia znalazł się podwodny robot Costasa. Kopuła przykrywała żółtą kapsułę wielkości człowieka, zagiętą do przodu, żeby pilot mógł wygodnie siedzieć. Pod spodem znajdowały się podobne do pontonów zbiorniki z balastem, a z tyłu obudowa na baterie napędzające tuzin wodnych silniczków odrzutowych rozmieszczonych wokół zewnętrznej ramy. Dwa podobne do szczy-piec ramiona nadawały łodzi podwodnej wygląd wielkiego skarabeusza.

- Tam jest.

Jack podniósł wzrok i dwadzieścia metrów nad sobą zobaczył sylwetkę „Seaquesta”. Nastawił wyrzutnie balastu wodnego tak, żeby spowalniała wznoszenie i znów popatrzył na Costasa, który manewrował obok niego, także przygotowując się do wynurzenia.

Costas uśmiechnął się do przyjaciela.

- Misja wykonana.

Costas miał wszelkie powody, żeby być z siebie zadowolonym. Dopiero co zakończyli próby morskie „Aquapodu IV”, najnowszego, jednoosobowego robota podwodnego, który jego zespół opracował dla IMU. Maksymalna głębokość robocza urządzenia wynosiła półtora kilometra, prawie dwa razy tyle, co w poprzedniej wersji. Bardzo pojemna litowa bateria starczała na pięćdziesiąt godzin przy optymalnej szybkości trzech węzłów. Jednogodzinna ekspedycja na dno Morza Czarnego udowodniła, że ekwipunek nadawał się do zadania, które ich czekało: dalszej eksploracji wzdłuż linii starożytnego brzegu na wschód.

- „Seaquest”, tu „Aquapod Alfa”. Wracamy cali i zdrowi. Odbiór.

Widzieli już czterech nurków czekających tuż pod powierzchnią wody, żeby ich poprowadzić. Na dziesięć metrów przed końcem wznoszenia zatrzymali się, żeby połączyć aquapody. Była to standardowa procedura, mająca zabezpieczyć je przed zderzeniem, gdyby morze było niespokojne. Jack stał bez ruchu, a Costas chwiejnie manewrował, aż łączniki znalazły się na jednej linii. Z trzaskiem wystrzelił cztery metalowe pręty przez otwory w zewnętrznej obudowie.

- Łączenie zakończone. Podholujcie nas.

Nurkowie szybko zeszli niżej i przymocowali uprząż dźwigu. Jack i Costas przełączyli silniki na jałowy bieg i odłączyli silniczki, utrzymujące ich w pozycji poziomej. Kiedy nurkowie odpłynęli na bezpieczną odległość, operator dźwigu gładko podciągnął roboty podmerskie do kadłuba.

Wyszli na powierzchnię w zalanej światłem komorze rozmiarów małego hangaru lotniczego. „Seaquest” dysponował wewnętrznym dokiem, bardzo użytecznym przy złej pogodzie, gdy operacje z pokładu były niemożliwe do przeprowadzenia, albo gdy chcieli przeprowadzić je skrycie. Kadłub otworzył się jak drzwi w wielkim bombowcu. Kiedy obie połowy domknęły się, Jack i Costas otworzyli kopuły, które służyły również jako włazy. Pod maszyny wślizgnęła się platforma i uniosła ich jak winda na lotniskowcu, zamykając się szczelnie, gdy spływały resztki wody.

Tom York czekał, żeby ich przywitać, kiedy gramolili się na zewnątrz.

Udana próba?

Jack pierwszy zeskoczył na pokład i szybko odpiął kombinezon ratunkowy.

- Nie było problemów. Jeszcze dziś po południu użyjemy aquapodów do misji rozpoznawczej. Ramiona ze szczypcami trzeba będzie zastąpić wideo-kamerami cyfrowymi i konsolą z reflektorami.

- Już to robią.

Jack rozejrzał się i zobaczył, że załoga techniczna zdążyła ostro wziąć się do pracy. Costas przykucnął nad ładowarką baterii, zatopiony w rozmowie z jednym z techników. Jack roześmiał się w myślach, widząc, że przyjaciel zapomniał zdjąć słuchawki i mikrofon z radości, że może porozmawiać z załogą techniczną o zaletach i wadach podwodnego robota.

Poszedł schować kombinezon w jednej z szafek ustawionych pod ścianami komory.

Jednocześnie rozmawiał z Yorkiem

- Za godzinę „Seaquest” będzie na pozycji - powiedział do Yorka. - Możemy jeszcze raz omówić nasze sprawy. Chciałbym, żeby cały personel zebrał się na mostku o jedenastej.

Dwadzieścia minut później stali przed półkolem słuchaczy w module dowodzenia „Seaquesta”. York włączył automatyczną nawigację i system monitoringu. Aktywował wirtualny mostek, co pozwalało na dowodzenie statkiem z konsoli stojącej obok Jacka. Półokrągłe ekrany nad nimi pokazywały panoramiczny widok morza. Pofalowana powierzchnia stanowiła złowieszczy zwiastun sztormu, który srożył się na północy już od doby.

Jack założył ręce za plecami i zwrócił się do zebranych.

- Jesteśmy zawodowcami i dlatego spada na nasze barki więcej zadań. Nie mam zamiaru niczego owijać w bawelnę. Przed nami prawdziwe ryzyko, prawdopodobnie większe niż wszystkie, z którymi mieliśmy do czynienia do tej pory.

Poprzedniego dnia wylądował helikopterem na „Seaqueście”. Postanowił przed rejsem zredukować załogę do minimum. Wszyscy zgłosili się na ochotnika, ale odmówił ryzykowania życia naukowców, których praca zacznie się na dobre dopiero po dokonaniu odkrycia. Poza oficerami pokładowymi i mechanikami dobrał sobie najbardziej doświadczonych techników uzbrojenia, w tym kilku weteranów sił specjalnych. Jack poznał ich w marynarce wojennej.

- Jakiego wsparcia z zewnątrz możemy się spodziewać?

Pytanie zadała Katia, która stała wśród załogi, ubrana w standardowy, niebieski kombinezon ze znakiem IMU na rękawie. Jack usiłował ją przekonać, żeby odplynęła z innymi, kiedy „Sea Venture” wyszedł na ich spotkanie pod Trabzonem, ale ona uparła się, że jej umiejętności lingwistyczne będą bardzo ważne, gdy natkną się na jakieś inskrypcje. Prawdę powiedziawszy, Jack po długich godzinach, które spędzili razem poprzedniego wieczoru, wiedział, że Katia go nie opuści, że wytworzyła się między nimi nierozzerwalna więź i że ona dzieli z nim poczucie odpowiedzialności za „Seaquesta” i jego załogę, płynących głęboko w strefę zagrożenia.

Odpowiedzi udzieli człowiek zajmujący się naszym bezpieczeństwem.

Peter Ho we zajął miejsce Jacka.

- Przez cały czas będziemy na wodach międzynarodowych, poza dwunastomilowym limitem uzgodnionym w 1973 roku pomiędzy Związkiem Radzieckim a Turcją. Ale jest i dobra wiadomość: Gruzja i Turcja podpisały w 1998 roku umowę o współpracy w dziedzinie ochrony wybrzeża i uzgodniły, że zapewnią wsparcie w wypadku większego odkrycia naukowego. Pretekstem może być memorandum, które oba kraje dopiero co podpisały, a ONZ je ratyfikowało, że wspólnie będą prowadzić poszukiwania geologiczne na tej wulkanicznej wysepce. Będą działać pod osłoną prawa międzynarodowego.

Cofnął się i spojrzął na mapę morską wschodniego basenu Morza Czarnego wiszącą nad konsolą.

- Problem polega na tym, że pomogą dopiero wtedy, kiedy zostaną rozwiane rosyjskie podejrzenia co do losu łodzi podwodnej, o której ostatni raz słyszano w 1991 roku. Jakiegokolwiek podejrzenie, że inne państwa zajęły się poszukiwaniami na tym obszarze, sprawi, że Rosjanie stają się nieprzewidywalni. Od początku lat dziewięćdziesiątych aktywnie uczestniczą w abchaskiej wojnie domowej, rzekomo jako siła stabilizująca, praktycznie po to, żeby uzależnić ten region z powrotem od Moskwy. Zainteresowani są głównie ropą naftową. W 1999 roku ich monopol na wydobycie ropy z Morza Kaspijskiego został zagrożony przez pierwszy rurociąg, który ma omijać Rosję, idący z Baku w Azerbejdżanie do Supsy na gruzińskim wybrzeżu niedaleko Abchazji. Rosjanie zrobią wszystko, żeby zapobiec dalszym zachodnim inwestycjom, nawet gdyby miało to oznaczać anarchię i wojnę domową. Ho we zwrócił się do słuchaczy. Powiedzieliśmy w ambasadzie rosyjskiej, że wykonujemy pomiary hydrograficzne, wykonując wspólny kontrakt rządów Turcji i Gruzji. Chyba to kupili. Ale gdyby zobaczyli okręty wojenne gromadzące się w tym miejscu, doszliby do wniosku, że chodzi nam o łódź podwodną. Rosyjski niedźwiedź może i stracił większość szponów, ale nadal dysponuje największą marynarką wojenną w tym regionie. Stosunki między Ankarą a Moskwą już zdążyły się pogorszyć w związku z handlem narkotykami. Byłby to co najmniej paskudny incydent międzynarodowy, a bardzo możliwe, że mała wojna, która szybko mogłaby objąć tę część świata.

Jedno pytanie wtrącił Costas. - Nie sądziłem, że Gruzja ma marynarkę wojenną.

To kolejny problem odparł ponuro York. Gruzini nie odziedziczyli praktycznie niczego z floty czarnomorskiej Związku Radzieckiego. Dysponują zbudowanym na Ukrainie ścigaczem 206 MP i wycofanym z użytku amerykańskim kutrem straży przybrzeżnej, przekazanym im przez amerykański program nadliczbowego sprzętu obronnego. Ale nie róbcie sobie w związku z tym wielkich nadziei. Ścigacz nie ma rakiet, bo nie ma dla nich magazynów i poligonów. A kuter uzbrojony jest w pojedynczy karabin maszynowy kaliber 50 milimetrów.

- To nie jest prawdziwa marynarka wojenna Gruzji.

Wszyscy spojrzeli na Katię.

- Prawdziwa gruzińska flota stoi ukryta wzdłuż wybrzeża na północy - powiedziała. - To marynarka panów wojny, ludzi z Azji Środkowej, którzy

korzystają z Abchazji jako z bazy do wypraw na bogate łowiska Morza Czarnego i Śródziemnego. To ich należy się bać, przyjaciele, a nie Rosjan. Mówią to na podstawie osobistego doświadczenia.

Wszyscy słuchali Katii z szacunkiem. Jej pozycja bardzo wzrosła od czasu, kiedy sama rozładowała napiętą sytuację na Morzu Egejskim.

- A turecka marynarka wojenna? - Costas popatrzył z nadzieją na Mustafę, który przybył tu na „Sea Venture” poprzedniego dnia.

- Jesteśmy obecni w dużej sile na Morzu Czarnym - odparł Turek. - Ale absorbuje nas wojna z szmuglerami. Dla wsparcia „Seaquesta” nasza marynarka wojenna musiałaby przenieść jednostki z Morza Egejskiego. Nie możemy tego zrobić z wyprzedzeniem, bo jakakolwiek zmiana na Morzu Czarnym wywołałaby natychmiast podejrzenia ze strony rosyjskiej. Mój rząd podejmie ryzyko dopiero wtedy, gdy potwierdzone zostanie jakieś ważne odkrycie.

- A zatem działamy sami.

- Obawiam się, że tak.

Podczas krótkiej przerwy York wysłał dwóch marynarzy na górę; wzmagający się wiatr zagrażał wyposażeniu, które trzeba było przywiązać do pokładu. Jack szybko skupił dyskusję na kwestiach najbliższych. Sam jego ton mówił, jak niewiele czasu zostało do osiągnięcia przez „Seaquest” miejsca przeznaczenia.

- Musimy być pewni, że od razu trafimy na właściwe stanowisko. Chcę, żebyście wiedzieli, że już w tej chwili znajdujemy się pod nadzorem satelity, pod czujnym okiem ludzi, którzy nie zadowolą się historyjką o badaniach hydrograficznych.

Jeden z byłych marynarzy Royal Navy podniósł rękę.

- Przepraszam pana, ale właściwie czego szukamy?

Jack odsunął się, żeby pytający mógł zobaczyć ekran komputera na konsoli.

- Mustafa, wytłumacz, jak tu się znaleźliśmy.

Mustafa wywołał izometryczny obraz Morza Czarnego i szybko opowiedział o tym, jak zinterpretowali tekst papirusu. Przesuwał łódź wzdłuż linii wybrzeża, aż dotarła do południowo-wschodniego sektora. Teraz, gdy już opuścili port, Jack postanowił dopuścić załogę do tajemnicy. Ci, którzy jeszcze nie znali szczegółów, stali jak zahipnotyzowani ogromem odkrycia, które zdawało się wyłaniać z oparów legendy.

- Dotarliśmy do punktu docelowego, idąc wzdłuż linii znajdującej się obecnie na stu pięćdziesięciu metrach głębokości, wybrzeża sprzed potopu. Wy-

chodzi ona coraz bardziej w otwarte morze, w miarę jak posuwamy się na wschód od Trabzonu. W tej chwili „Sequest” znajduje się o dwanaście mil od brzegu. Ale im dalej na wschód, tym bardziej będziemy oddalali się w morze. Nacisnął klawisz i obraz przekształcił się w dokładniejszą mapę sektora. Ten scenariusz najlepiej pasuje do Atlantydy. Jest to obszar dna morskiego o długości dwudziestu mil morskich i szerokości pięciu. Kontur dna na głębokości stu pięćdziesięciu metrów biegnie wzdłuż północnej strony, toteż to, na co teraz patrzymy, było kiedyś suchym lądem. Jeśli obniżymy poziom morza do tego konturu, będziemy mniej więcej wiedzieli, jak wyglądała okolica przed potopem.

Na ekranie ukazała się równina prowadząca do grzbietu ciągnącego się wzdłuż brzegu na odcinku kilku kilometrów. Za nim leżał wulkan.

- Niewiele tu znajdziecie szczegółów, bo dane batymetryczne dla tego obszaru są skąpe. Ale jesteśmy przekonani, że stanowisko to albo grzbiet górski, albo wulkan. Grzbiet wznosi się na sto metrów ponad starożytną linię brzegową. Kłopot polega na tym, że nie ma na nim akropolu, wyniesienia nadającego się do zbudowania cytadeli. Bez tego trudno jest zrozumieć papyrus.

- Wulkan to wspaniały punkt orientacyjny - zauważył Howe. - Strona północno-wschodnia uformowana jest w serię tarasów dochodzących do klifu. Cytadela zbudowana w tym punkcie położona byłaby doskonale, z widokiem rozciągającym się na całe mile z obu stron. Wyobraźcie sobie miasto rozpościerające się wzdłuż niższego zbocza nad brzegiem morza.

- Możliwości obronne stanowiły zapewne jakiś aspekt sprawy, chociaż nie najważniejszy, zważywszy, że w okolicy nie było innego miasta-państwa stwierdził Jack. - Jedynym zagrożeniem mogły być wędrowne grupy łowców-zbieraczy, ostatni Mohikanie epoki lodowcowej, ale dość nieliczni. Budowanie na wysokich miejscach wynikało przede wszystkim z chęci uniknięcia podatnych na podtopienia nizin.

- A co z aktywnością wulkaniczną? - zapytał York.

- Przez z górą milion lat nie nastąpiły żadne znaczące erupcje - odparł Mustafa. - To, co widzimy dzisiaj, jest zdarzającą się od czasu do czasu aktywnością termiczną. Gejzery gazu i pary uwalniają się pod ciśnieniem, narastającym co jakiś czas w skorupie ziemskiej.

Podnieśli wzrok na wirtualny obraz, przedstawiający wyspę na horyzoncie. Był to szczyt wulkanu, który pozostał nad wodą po zalewie. Pasma pary unoszące się z jego wierzchołka zdawały się łączyć z szarym, niskim niebem zapowiadającym sztorm toczący się z alarmującą prędkością od północy.

Jack znów zabrał głos:

- W starożytności aktywność sejsmiczną prawie zawsze uznawano za znak od bogów. Wulkan o niewielkiej aktywności mógł stać się ośrodkiem kultu religijnego i prawdopodobnie jedną z przyczyn, że ludzie tutaj się osiedlili. Nie dziwię się, że w tak żyznej okolicy zarówno wzgórze, jak i wulkan były zasiedlone. Ale my musimy wybierać między jednym a drugim. Możemy nie mieć drugiej szansy przed przybyciem nieproszonych gości. Za dwadzieścia minut „Seaquest” znajdzie się nad grzbietem. Proszę o uwagi.

Znów zapadła chwila cisza. Tymczasem Jack z Yorkiem dokonali kilku poprawek na konsoli nawigacyjnej i przejrzyli zdjęcia radarowe. Gdy znów odwrócili się ku zebrany, Katia wyjęła palmtopa i wstukała kilka komend.

- Oba miejsca są prawdopodobne - powiedziała. - Zarówno grzbiet, jak i wulkan górują nad szeroką doliną ciągnącą się na południu, z górami w tle i słonymi jeziorami.

- Czy papirus mówi coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc? - zapytał któryś z członków załogi.

- Nie. Katia spojrzała jeszcze raz na tekst i pokręciła głową. - Ostatni fragment zapisu zdaje się odnosić do wnętrza cytadeli.

- Jest coś jeszcze.

Wszyscy popatrzyli na Costasa, który z napięciem przyglądał się obrazowi wyspy, coraz większemu i lepiej widocznemu. Odwrócił wzrok i odezwał się do Katii.

- Podaj pierwsze zdanie, następne po opisie drogi do Atlantydy.

Katia i odczytała wynik z ekranu.

„Pod znakiem byka”.

Wszyscy popatrzyli pytająco na Costasa.

- Pamiętacie widok z muzeum morskiego w Kartaginie? Panorama Zatoki Tunezyjskiej na wschód, wieczorne słońce barwiące morze różowym światłem, a w tle bliźniacze szczyty Ba'al Quamain wbijające się w niebo.

Pokiwali głowami.

- Prawdopodobnie nie wszyscy widzieli to o poranku. Letnie słońce wznosi się dokładnie nad przełęczą między szczytami. Dla Fenicjan była to święta góra, poświęcona bogu niebios. Ba'al Quamain znaczy Pan o Dwóch Rogach. - Zwrócił się do Jacka. - Uważam, że „znak byka” odnosi się do profilu wyspy.

Wszyscy popatrzyli na masę lądu widniejącą na ekranie.

- Jestem w kropce - mruknął Howe. - Stąd, gdzie jesteśmy, wyspa wcale tak nie wygląda.

- Spróbuj z innej strony - powiedział Costas. - Patrzymy od południowego wschodu. A jaki byłby widok do strony brzegu, spod wulkanu, gdzie musiała znajdować się osada?

Mustafa szybko wstukał komendy, żeby powiększyć widok i zmienić go na północno-wschodni oraz przenieść punkt obserwacyjny na starożytną linię brzegową pod wulkanem.

Rozległo się westchnienie zaskoczenia, gdy obraz pojawił się na monitorze. Nad nimi wisiały dwa szczyty oddzielone głębokim siodłem.

Costas triumfalnie spojrzął na ekran.

- Oto, proszę państwa, nasze rogi byka.

Jack uśmiechnął się szeroko do przyjaciela.

- Wiedziałem, że w końcu zrobisz coś pożytecznego. Myślę, że mamy odpowiedź. - Zwrócił się do Yorka. - Ustaw kurs na tę wyspę, cała naprzód.

12

Bliźniacze reflektory po obu stronach aquapodów rzucały jaskrawe światło na dno morza. Snopy skierowane do środka, łączyły się pięć metrów niżej, odbite od milionów cząsteczek zawieszonego w wodzie mułu, jakby przebijały się przez nieskończony welon cętkowanej mgiełki. Samotne skały pojawiały się i znikały z tyłu, gdy dodali gazu. Po lewej stronie dno opadało pod ostrym kątem w głębinę, pusta szarzysta ześlizgiwała się w odstręczającą czerń, pozbawioną wszelkiego życia.

Zatrzeszczał interkom.

- Jack, tu „Seaquest”. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

- Słyszemy cię głośno i wyraźnie.

Samolot zdalnie sterowany coś znalazł. W głosie Yorka dawało się wyczuć podniecenie. - Musicie podejść na pozycję odległą od was o jakieś pięćset metrów na tej samej trajektorii. Przesyłam koordynaty, żebyście mogli zaprogramować trasę.

Wcześniej tego dnia wyspa wyłoniła się zza horyzontu jak mityczne widmo. Tuż przed przybyciem „Seaquesta” na morzu zapanowała całkowita cisza, niesamowity zastój. Znad wody uniosła się para jak upiorny całun. Gdy znów podniósł się wiatr i zwiął mgiełkę w stronę pustego brzegu, poczuli się jak odkrywcy, którzy natrafili przypadkiem na zagubiony świat. Pozbawiona roślinności skalista wyspa zdawała się niewiarygodnie stara. Urwisty ugor, z którego czas i pogoda zostawiły tylko nagą treść. Ale jeśli ich przeczucia były właściwe, to tutaj wzięły początek wszystkie nadzieje i cały potencjał ludzkości.

Zatrzymali „Seaquesta” o dwie mile morskie na zachód od wyspy. Do rozpoznania jej zatopionych zboczy użyli zdalnie sterowanego samolotu z sonarem, a nie ROV-a, który mógł przeprowadzić tylko rekonesans wizualny. Przez trzy godziny sonar nie pokazał niczego nadzwyczajnego, postanowili więc dodatkowo użyć aquapodów. Teraz liczyła się przede wszystkim szybkość.

Jack uniósł kciuk. Razem z Costasem umieli wyczuć nawzajem swoje podniecenie, dreszczyk oczekiwania, do którego wyrażenia nie trzeba było słów. Od odebrania telefonu, kiedy Hiebermeyer po raz pierwszy wypowiedział to słowo z papiirusu, Jack wiedział, że zmierzają ku wielkiemu odkryciu. Podczas całego żmudnego procesu tłumaczenia i odszyfrowywania zapisów był zupełnie pewien, że układ gwiazd tym razem jest pomyślny. Ale natłok wydarzeń od chwili przełamania kodu zostawiał niewiele czasu na zastanowienie. Zaledwie kilka dni wcześniej cieszył się ogromnie ze znalezienia minojskiego wraku. Teraz znajdowali się na drodze ku największemu odkryciu archeologicznemu wszech czasów.

Aquapody zwolniły. Płynęli dalej w ciszy, świadomi swojej obecności za kopułami z pleksyglasu. Żółte kapsuły pełzły w mroku, oddalone od siebie o kilka metrów.

Kilka chwil później widmowe kształty zaczęły się materializować. W oczekiwaniu na tę chwilę przestudiowali w Trabzonie obrazy neolityczne wiojski. Ale nic nie przygotowało ich do wejścia w rzeczywiste miejsce stracone dla świata od prawie ośmiu tysięcy lat.

I nagle to się stało.

- Zwolnij - powiedział Jack, wstrzymując oddech. - Popatrz.

To, co wydawało się dziwnie regularną falistością dna morskiego nabrało nowego kształtu. Jack strzelił z armatki wodnej, żeby usunąć osad. Kiedy muł opadł, zobaczyli otwory dwóch wielkich ceramicznych dzbanów zakopanych pionowo między niskimi murkami oporowymi. Kolejny wystrzał ujaw-

nil drugą parę dzbanów, a identyczne falistości ciągnęły się w górę zbocza jak okiem sięgnąć.

- To magazyn, prawdopodobnie skład ziarna - powiedział Jack. - Są takie same jak pitosy w Knossos. Tyle że starsze o cztery tysiące lat.

Nagle pojawił się przed nimi większy kształt, całkowicie blokując drogę. Przez chwilę wydawało im się, że doszli do krańca świata. Znajdowali się u podstawy wielkiego klifu rozciągającego się w obie strony. Lita ściana była złamana występami i pęknięciami jak lico kamieniołomu. Potem zobaczyli dziwne, czworokątne łaty smolistej czerni, niektóre z nich w regularnych odstępach, na tym samym poziomie.

Ze zdumieniem zdali sobie sprawę, na co patrzą.

Był to wielki konglomerat ścian i płaskich dachów przerywany oknami i wejściami. Wszystko otulała warstwa mułu. Przypominało to neolityczną wioską, tylko w znacznie większej skali. Budynki wznosiły się na cztery albo pięć pięter, najwyższe z nich osiągalne były z tarasów na dachach połączonych schodami i drabinami.

Zatrzymali aquapody i patrzyli z podziwem, zmuszając się do zarejestrowania obrazu, który zdawał się być bardziej tworem wyobraźni niż faktem.

- To przypomina blok mieszkalny. - Costas roześmiał się.

- Ludzie wchodzili na dachy przez te włazy. - Jackowi zaschło w ustach, serce mu biło, ale zmusił się do mówienia pozbawionym uczuć głosem zawodowego archeologa. Przypuszczam, że każdy z tych bloków stanowił siedzibę wielkiej rodziny. Kiedy grupa powiększała się, rozbudowywali dom do góry, dodając piętra z glinianej cegły wzmocnionej drewnianą konstrukcją.

Płynąc w górę, zauważyli, że bloki poprzecinane były labiryntem alejek zdumiewająco przypominających średniowieczne bazyliki Bliskiego Wschodu.

Musiał tu się roić od rzemieślników i handlarzy powiedział Jack. -

Niemożliwe, żeby ci ludzie byli tylko rolnikami. Byli też doświadczonymi garncarzami, cieślami i metalurgami.

Zamilkł, patrząc przez pleksiglas na coś, co wyglądało na fronton warsztatu na parterze.

- Ktoś tutaj wykonał ten złoty dysk.

W ciągu kilku minut przepłynęli nad innymi wysokościami o płaskich dachach. Uchwyczone w światła reflektorów ciemne okna wpatrywały się w nich jak ślepe oczy. Jakies pięćset metrów od magazynu konglomeracja nagle się kończyła. W mroku przed sobą dostrzegli kolejny kompleks,

oddalony o mniej więcej dwadzieścia metrów, a pod nimi leżała przestrzeń szersza i bardziej regularna niż alejki.

- To droga - powiedział Jack. - Musiała prowadzić w dół, do starożytnej linii brzegowej. Popłynemy w stronę lądu, a potem podejmiemy poprzedni kurs.

Skręcili na południe i popłynęli wzdłuż lekko wznoszącej się drogi. Dwieście metrów dalej przecinała ją inna droga biegnąca ze wschodu na zachód. Ponownie skręcili i popłynęli na wschód, utrzymując aquapody na wysokości dwudziestu metrów, żeby uniknąć zderzenia z budynkami po obu stronach.

- Nadzwyczajne - powiedział Jack. Bloki rozdzielone są regularną siecią ulic, najwcześniejszą ze znanych w historii.

- Ktoś to musiał zaplanować.

Grób Tutanchamona, pałac w Knossos, legendarne mury Troi, wszystkie te uświęcone odkrycia archeologiczne stawały się pospolite i powszednie, były zaledwie stopniami do cudów, które teraz rozciągały się przed nimi.

- Atlantyda - westchnął Costas. - Kilka dni temu nawet nie wierzyłem, że istnieje. - Popatrzył na przyjaciela ukrytego pod drugą kopułą z pleksyglasu. - Podziękowania zostaną przyjęte z wdzięcznością.

Jack uśmiechnął się, mimo że myśli zajmowały mu niezwykle obrazy rozciągające się wokół.

- Pamiętam, że to ty wskazałeś nam właściwy kierunek. Jestem ci winien wielki dżin z tonikiem.

- To dostałem ostatnim razem.

- Więc zaopatrzenie w trunki do końca życia.

- Przyjmuję.

Chwilę później budynki po obu stronach nagle znikły i dno morskie przestało być widoczne. Pięćdziesiąt metrów dalej nadal nie było niczego poza mgiełką z mułu.

- Mój głębokościomierz wskazuje, że dno opadło prawie dwadzieścia metrów pod poziom drogi! - krzyknął Jack. Proponuję, żebyśmy zeszli w dół i wrócili do miejsca, w którym nikną budynki.

Zwiększali balast do chwili, gdy reflektory ukazały dno. Było płaskie i pozbawione cech charakterystycznych w przeciwieństwie do pofalowanej powierzchni, nad którą surfowali w drodze do zachodnich krańców miasta.

Kilka minut później wrócili do punktu, w którym po raz ostatni widzieli budowle. Przed nimi dno gwałtownie podnosiło się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aż do podstawy budynków i końca drogi, która biegła między nimi.

Costas przesunął aquapoda do przodu, aż do chwili, gdy zbiorniki z balastem oparły się o dno tam, gdzie gwałtownie podnosiło się do góry. Skierował strumień z armatki wodnej na zbocze, a potem wycofał się w miejsce, gdzie stał Jack.

- Tak myślałem.

Muś zniknął, ujawniając schodkowe tarasy jak siedzenia w teatrze. Między dnem a początkiem tarasów wznosił się pionowy mur, wysoki na trzy metry.

Wykute z litej skały powiedział Costas. To tuf, prawda? Taki sam ciemny kamień, jakiego używano w Rzymie. Lekki, ale twardy, łatwy do kucia, ale doskonale znoszący obciążenie.

- Nie widzieliśmy ani jednego budynku z kamienia - zgłosił obiekcję Jack.

- Gdzieś tu musi być jakaś całkiem spora kamienna budowla.

Jack przyglądał się uważnie temu, co stało przed nimi.

- To coś więcej niż kamieniołom. Popłynijmy wzdłuż tych tarasów, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą.

Dwadzieścia minut później przemierzili trzy boki wielkiego zatopionego podwórca, długiego prawie na kilometr i szerokiego na pół kilometra. Droga trzymała się zatopionego brzegu, biegnąc równoległe do niego, a czasem pod kątem prostym, podwórzec ustawiony był według linii wiodącej na południowy wschód. Opłynęli go zgodnie z ruchem wskazówek zegara i znajdowali się teraz na jego południowo-wschodnim krańcu, po stronie przeciwnej do punktu startowego. Nad nimi znów zaczynały się zabudowania, takie same jak po drugiej stronie dziedzińca.

- Wygląda jak stadion - mruknął Costas. Pamiętam, jak mówiłeś, że pałacowe dziedzińce na Krecie służyły do walk byków, do ofiar i innych rytuałów.

- Minojskie dziedzińce były mniejsze odparł Jack. Nawet arena w rzymskim Koloseum ma tylko osiemdziesiąt metrów szerokości. Ten podwórzec jest ogromny. - Pomyślał chwilę. To tylko przeczucie, ale zanim popłyniemy dalej wzdłuż drogi, chciałbym zobaczyć, co jest pośrodku tej przestrzeni.

Costas kiwnął głową na znak zgody.

Ruszyli przez dziedziniec na zachód. Po około stu pięćdziesięciu metrach zatrzymali się. Przed nimi leżała masa pokrytego mułem kamienia. Jej kształt był nieregularny i zupełnie inny niż obrzeża dziedzińca.

Costas strzelił z działka wodnego w skałę. Kopułę z pleksiglasu otulił muł. Po chwili z interkomu dobiegł jego głos.

- Z lewej strony jest skała, reszta została wykuta.

Jack powoli przemieszczał się na południowy wschód wzdłuż ostrogi wystającej na dwadzieścia metrów z głównej masy. Zakończona była zaokrąglonym występem wysokim na jakieś dwa metry i szerokim na pięć. Costas płynął za Jackiem, który delikatnie czyścił powierzchnię strumieniem z armatki wodnej. Zdmuchiwał muł, żeby odsłonić gołą skałę.

Patrzyli jak zauroczeni na wyłaniający się kształt. Nie umieli przyjąć do wiadomości tego, co leżało przed nimi.

- Mój Boże.

- To jest... - wykrztusił Jack.

- To jest łapa - szepnął Costas.

- Lwia łapa. - Jack szybko się opanował. - To jakaś gigantyczna rzeźba, ma co najmniej sto metrów długości i trzydzieści wysokości.

- Czy myślisz to samo co ja?

- Tak, to sfinks.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie w oszołomieniu spoza plastiku kopuł. Wreszcie głos Costasa zatrzeszczał w interkomie.

- To nieprawdopodobne, ale tutaj wszystko jest możliwe. Cokolwiek to jest, muszę to sprawdzić.

Jack pozostał przez chwilę na miejscu, a Costas poszybował w górę. Jego maszyna stopniowo malała, aż został po niej tylko poblask światła. Kiedy i one miały już zniknąć, aquapod gwałtownie zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów nad dnem.

Jack czekał niecierpliwie na raport Costasa. Po minucie nie mógł się już powstrzymać.

- Co widzisz?

Głos z interkomu był dziwnie stłumiony.

- Przypomnij mi. Sfinks ma ciało lwa i głowę człowieka. Prawda?

- Zgadza się.

- To mamy tu małą odmianę.

Costas przełączył reflektory na pełną moc. Obraz, który pojawił górze, budził strach, był jak senny koszmar. To tak, jakby światło błyskawicy w burzliwą noc ukazało wielkie zwierzę stojące nad nimi. Jego kształt rysowały się w widmowej poświacie przebijającej się przez chmury.

Jack patrzył w górę jak zauroczony, ledwie przyjmując do wiadomości obraz, do którego nie mogło przygotować go całe doświadczenie, wszystkie lata poszukiwań i odkryć.

Wielkie rogi ogromnej byczej głowy strzelały w ciemność, poza półkole światła, pysk był na pół otwarty, jakby zwierzę miało właśnie opuścić głowę i grzebiąc nogą, szykowało się do ataku.

Po chwili długiej jak wieczność Costas przesunął aquapoda do przodu i oświetlił szyję bestii, ukazując miejsce, w którym przechodziła w ciało lwa.

- To jest wykute z litej skały, sądząc po wyglądzie z bazaltu - powiedział.
- Rogi wystają na co najmniej dziesięć metrów nad budynki. Kiedyś musiała to być zastygła lava, która spłynęła do morza.

Szybko zszedł na dół i dołączył do Jacka.

- Stoi na wprost wulkanu - powiedział. - To wyjaśnia dziwne ustawienie dziedzińca. Odnosi się ono do bliźniaczych szczytów, a nie do linii brzegowej, która musiała być znacznie praktyczniejszym punktem odniesienia dla układu ulic.

Jack szybko pojął znaczenie słów Costasa.

A wschodzące słońce świeciło między rogami i dwoma szczytami - powiedział. - Musiał to być widok, który nawet starożytni z trudem mogliby sobie wyobrazić w najśmielszych fantazjach o zaginionej Atlantydzie.

Oba aquapody wznosiły się teraz powoli nad parapetem, armatki wodne wzbijały burzę mułu z powierzchni dziedzińca. Ryczącego byka-sfinksa pochłonięły ciemności, ale obraz kolosalnej głowy z zakrzywionymi rogami nadal tkwił im w pamięci.

Południowo-wschodnia krawędź dziedzińca była wyższa od reszty, wznosiła się w pionie na co najmniej dziesięć metrów.

- To schody - powiedział Jack. - Wielkie wejście na dziedziniec.

Aquapody rozdzieliły się. Jack popłynął na lewo, a Costas na prawo. Wkrótce widzieli się nawzajem jako żółte smugi w mroku. Na szczycie biegła szeroka droga. Armatki wodne obnażyły jej błyszczącą, białą powierzchnię.

- Wygląda jak marmurowy chodnik.

- Nie miałem pojęcia, że w tak wczesnym okresie ludzie już wydobywali kamień. - Costasa zaskoczyła skala kamiennej rzeźby na dziedzińcu, tutaj miał kolejny dowód na istnienie kamieniarstwa. - Myślałem, że kamieniołomy powstały dopiero w starożytnym Egipcie.

Łowcy z epoki kamienia wydobywali krzemień do produkcji narzędzi, ale to najwcześniejszy dowód na precyzyjną obróbkę kamienia budowlanego. Jest wcześniejszy od pierwszych egipskich kamieniołomów co najmniej o dwa tysiące lat.

Płynęli w milczeniu naprzód, nie będąc w stanie nawet pojąć ogromu swojego odkrycia. Wzbita z dna fosforescencja kłębiła się za nimi jak para. Droga biegła wzdłuż tej samej linii co dziedziniec, prowadząc od dzikiego spojrzania byka-sfinksa wprost do podnóża wulkanu.

- Po prawej widzę budowle - powiedział Costas. - Piedestały, filary, kolumny. Właśnie przepływam obok kwadratowej kolumny. Ma około dwóch metrów średnicy. Niknie w górze. Wygląda jak obelisk.

- Ja widzę to samo - odparł Jack. - Są ułożone symetrycznie jak podejścia do egipskich świątyń w Luksorze i Karnaku.

Reflektory oświetlały widmowe formy po obu stronach drogi procesyjnej. Kształty pojawiały się i nikły jak widziadła migające w chmurach burzy piaskowej. Widzieli ołtarze i cokoły, posągi z głowami zwierząt i rzeźbione kończyny stworzeń zbyt dziwacznych, żeby można je było rozpoznać. Obaj zaczęli się czuć niepewnie, jakby ci wychodzący naprzeciw nich strażnicy wabili ich do świata przekraczającego ich doświadczenie.

- To jest jak wejście do Hadesu - mruknął Costas.

Płynęli między dwiema liniami niesamowitych posągów, zaczajonych i złowieszczych. Wyłaniały się po obu stronach. Mieli wrażenie, że ganią ich za wkroczenie na terytorium, które od tysięcy lat stanowiło ich domeną. Chwilę później drogę nagle kończyły dwie wielkie budowle rozdzielone przejściem szerokim na około dziesięć metrów, co stanowiło mniej niż połowę drogi, którą przemierzali wcześniej. Przejście miało niskie stopnie podobne do tych, które prowadziły w górę, z podwórca.

- Widzę kwadratowe bloki, każdy z nich ma cztery do pięciu metrów długości i może z dwa metry wysokości. Costas nagle rozpromienił się. - To tutaj szły wszystkie kamienie wydobyte z kamieniołomów! - Zatrzymał się w przejściu i za pomocą armatki wodnej zdmuchnął muł z podstawy muru. Ustawił reflektory tak, żeby świeciły w górę budowli.

Jack był oddalony o dziesięć metrów od Costasa. Widział jego twarz pod kopułą.

- Moja kolej na zwiad.

Wypuścił balast i zaczął się wznosić, ale zamiast robić to stopniowo, nagle zniknął nad załosem.

- Costas, słyszysz mnie? To niewiarygodne.

- Co takiego?

Chwila milczenia.

- Pomyśl o najwspanialszych pomnikach starożytnego Egiptu. - Aquapod Jacka znów się pojawił w przejściu.

- Chyba nie piramidy.
- Właśnie one.
- Ale piramidy mają pochyłe boki. Te są pionowe.
- Patrzysz na podstawą wielkiego tarasu - wyjaśnił Jack. - Jakies dziesięć metrów nad nami przekształcają się w dziesięciometrowej szerokości platformy. Nad nimi są kolejne tarasy o tych samych wymiarach, potem następne i następne. Przepłynąłem całą długość tego boku i widziałem, że tarasy powtarzają się od strony południowo-wschodniej. To ten sam podstawowy wzór, jaki występuje w pierwszych piramidach egipskich. Piramidy schodkowe z początków trzeciego tysiąclecia przed naszą erą.
- Jakiej są wielkości?
- Tu się różnią. Ta jest wielka, przypomina Wielką Piramidę w Gizie. Szacuję, że ma sto pięćdziesiąt metrów przekroju podstawy i osiemdziesiąt metrów wysokości, to jest więcej niż połowa odległości do poziomu morza. Niewiarygodne, to musi być najstarsza budowla kamienna na świecie.
- A od mojej strony?
- To samo. Para wielkich piramid znaczących koniec drogi procesyjnej. Dalej spodziewam się jakiejś świątyni albo kompleksu grzebalnego, być może wyciętego w zboczu wulkanu.
- Costas aktywował monitor nawigacyjny, który uniósł się przed jego oczami jak celownik pilota myśliwca. Jack spojrzał w dół, gdy modem radiowy wywołał ten sam obraz na jego ekranie.
- Niedawno odtajniona mapa hydrograficzna wyjaśnił Costas. Sporządzona przez brytyjski statek mierniczy za pomocą ręcznego sondowania po klęsce Turcji Otomanskiej w I wojnie światowej. Niestety, Royal Navy miała mało czasu. Potem kontrolę nad tym terenem przejęła Republika Turcji, a powstanie Związku Radzieckiego zatrasnęło wrota na Morze Czarne. To najbardziej szczegółowa mapa, jaką dysponujemy, ale skala jeden do pięćdziesięciu tysięcy uwzględnia tylko najogólniejsze kontury batymetryczne.
- Do czego zmierzasz?
- Rzuć okiem na wyspę. - Costas wstukał komendę i wyświetliło się zbliżenie. Jedyne nieregularności dość wielkie, żeby znaleźć się na mapie, to dwie podwodne góry naprzeciwko północno-zachodniej strony wyspy. Dziwnie symetryczne, prawda?
- Piramidy! - Jack uśmiechnął się szeroko. - Nieżli z nas detektywi. Atlantyde zaznaczono na mapie przed ponad osiemdziesięciu laty.
- Płynęli środkiem przejścia, piramidy z doskonale dopasowanych i obrobionych bloków kamienia majaczyły w mroku. Jack oszacował, że dotarli do

ich końca po sto pięćdziesięciu metrach. Schody ciągnęły się dalej, w ciemność.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, był szum strumieni wodnych, dzięki którym utrzymywali się na wysokości metra nad dnem.

- Uważaj!

Nagły ruch i stłumione przekleństwo. Costas na ułamek sekundy zapatrzył się i uderzył w przeszkodę stojącą na wprost niego.

- W porządku? - Jack płynął pięć metrów za nim, ale teraz zbliżył się i stanął obok. Na twarzy widocznej spoza wirującego mułu malował się niepokój.

- Żadnych widocznych szkód - zameldował Costas. Na szczęście wlekliśmy się w ślimaczym tempie.

Dokonał rutynowych testów wysięgnika robota i ramy z reflektorami, zanim odsunął się o kilka metrów.

- Zasada numer jeden kierowców: zawsze patrz, dokąd jedziesz - powiedział Jack.

- Dziękuję za radę.

- No więc, co to było?

Wysilali się, żeby zobaczyć coś za chmurą mułu. Ograniczała ona widoczność do niecałego metra, ale gdy muł osiadł, rozpoznali dziwny kształt, stojący na wprost nich.

- Wygląda jak przerośnięte lustro z łazienki - powiedział Costas.

Był to ogromny dysk, o jakichś pięciu metrach średnicy, stojący na dwumetrowym postumencie.

- Poszukajmy inskrypcji - zaproponował Jack. - Zdmuchnij muł, a ja podpłynę wyżej i zobaczę, czy coś się pokazało.

Costas odpiął metalową rękawicę z panelu z instrumentami, włożył w nią lewą rękę i poruszył palcami. Ramię robota umieszczone z przodu aquapoda natychmiast powtórzyło jej ruchy. Zgiął ramię w dół, do podwozia, gdzie znajdowały się dysze armatki wodnej i wybrał jedną z nich, rozmiarów ołówka. Po włączeniu strumienia zaczął metodycznie oczyszczać dysk, od środka na zewnątrz, odsłaniając coraz szersze kręgi powierzchni.

- To kamień o drobnej granulacji. - Głos dochodził z żółtej poświaty, tyle tylko Jack widział z Costasa zanurzonego pod nim w mule. - Granit podobny do egipskiego porfiru. Tyle że ma zielonkawe plamki jak lapis lazuli. Emonia ze Sparty. To musi być lokalny rodzaj marmuru, zatopiony przez potop.

Widzisz jakieś inskrypcje?

Costas łagodnie odbił się i zawisł obok Jacka. Gdy muł opadł, ukazał się cały wzór.

Jack aż krzyknął z radości.

Kamieniarz z geometryczną precyzją wyrzeźbił na wypolerowanej powierzchni układ poziomych i pionowych rowków. Pośrodku znajdował się symbol przypominający literę H, której boczne linie zaopatrzone rzędem krótkich, poziomych kresek jak ogrodowe grabie.

Jack sięgnął wolną ręką do kieszeni kombinezonu i triumfalnie podniósł plastikową kopię złotego dysku, żeby i Costas mógł to zobaczyć. Była to dokładna replika wykonana techniką laserową w muzeum w Kartaginie, gdzie w skarbcu pod kluczem znajdował się oryginał. Kopia dotarła na „Sea Venture” helikopterem, na krótko przed ich przybyciem.

- Zabrałem to na wszelki wypadek - powiedział Jack.

- Atlantyda. - Uśmiechnął się Costas.

- To musi być znak przed wejściem. Jack był uradowany, ale patrzył na przyjaciela poważnie. - Musimy się spieszyć. Już przekroczyliśmy czas przeznaczony na rekonesans i „Seaquest” będzie czekał, aż nawiążemy łączność.

Przyspieszyli i okrążyli kamienny dysk z dwóch stron, ale prawie natychmiast zwolnili, gdyż natknęli się na ostrą pochyłość w zboczu. Przejście zwężało się do stromych schodów niewiele szerszych niż dwa aquapody. Zaczęli się wznosić. Po obu stronach widzieli przyprawiające o zawrót głowy skaliste zbocza wulkanu.

Costas podniósł reflektory i z natężeniem patrzył przed siebie, pamiętając o kolizji, która zdarzyła mu się kilka minut wcześniej. Kiedy wzniesli się o kilka stopni, powiedział:

- Tu jest coś dziwnego.

Jack zobaczył serię rzeźbionych głów zwierzęcych, stojących w rzędzie po jego stronie. Zdawały się iść procesją do góry. Przy każdym stopniu była identyczna rzeźba. Z początku zdawały się podobne do warczących lwów ze sztuki sumeryjskiej lub egipskiej, ale gdy przyjrzał się bliżej, zaskoczyło go, że mają ogromne kły jak szablatozębne tygrysy epoki lodowcowej. Tyle dziwnych rzeczy, tyle materiału do przemyśleń, pomyślał.

- Co takiego? - zapytał.

W głosie Costasa brzmiało zdziwienie.

- Nad nami jest niewiarygodnie ciemno, to prawie smolista czerń. Wzniesliśmy się na wysokość stu metrów i powinno tu docierać trochę światła słonecznego. Powinno robić się jaśniej, a nie ciemniej. Tu musi być jakaś przewieszka. Proponuję, żebyśmy... stop!- krzyknął nagle.

Aquapody zatrzymały się kilka centymetrów od przeszkody.

- Chryste! - Costas aż westchnął. - Mało brakowało, a zrobiłbym to po raz drugi.

Obaj otworzyli usta ze zdumienia. Nad nimi wisiał ogromny kształt rozciągający się w całym polu widzenia. Przecinał klatkę schodową, blokując dalszą drogę. Zakrywał wejście, które mogło znajdować się dalej.

- Boże! - krzyknął Jack. - Widzę nity. To jest wrak.

Zakręciło mu się w głowie, wracał z głębi starożytności do nowoczesnego świata, który zdawał się wprost świętokradczy po tym, co zobaczyli.

- Musiał się wbić między piramidy a wulkan.

- Tego właśnie było nam trzeba. - Jack westchnął z rezygnacją. Prawdopodobnie z I albo II wojny światowej. Na Morzu Czarnym jest mnóstwo nieoznaczonych na mapach statków zatopionych przez łodzie podwodne.

- Mam pewne przeczucie. Costas skierował aquapoda ku zagięciu kadłuba. - Zobaczymy się za chwilę.

Popłynął w lewo, niemal niknąc z zasięgu wzroku, potem zawrócił i popłynął do Jacka. Jego reflektory oświetlały czarną masę. Jack zastanawiał się, ile cennego czasu trzeba będzie poświęcić, żeby pokonać tę przeszkodę i co zniszczył ten wrak.

- No i co to jest?

Costas zatrzymał się i zaczął powoli mówić. W jego głosie słychać było lęk i ogromne podniecenie.

- Zapomnij na jakiś czas o Atlantydzie. Właśnie znaleźliśmy rosyjską atomową łódź podwodną.

To atomowa podwodna łódź myśliwska klasy „Akuła”. Nie mam wątpliwości, że to „Kazbek”, który zaginął w tym rejonie w 1991 roku. - York pochylał się nad ekranami konsoli mostka „Seaquesta”, przerzucał wzrok od obrazu z sonaru, przysłanego właśnie z ROV-a, który przepłynął nad wrakiem, a specyfikacjami załadowanymi z bazy danych IMU, która zawierała informacje o statkach morskich byłego bloku sowieckiego.

Jack i Costas przybyli w aquapodach niecałą godzinę temu i udali się natychmiast na konferencję z Yorkiem i Howe'em. Burza, która przez cały rano zbierała się na północy, teraz dała o sobie znać i Howe uruchomił trymujący system balastów wodnych, żeby utrzymać stabilność. Sytuacja była groźna i Jack niecierpliwił się, kiedy znów zejdzie pod wodę. Wszyscy, którzy mogli, zebrali się przy konsoli, żeby rozwiązać ponury problem blokujący im drogę na morskim dnie.

- „Akuła” to nazewnictwo natowskie, po rosyjsku znaczy rekin. „Kazbek” to nazwa własna od najwyższej góry środkowego Kaukazu. - Katia podeszła do konsoli i z uśmiechem podała Jackowi kawę. - Nazwa radziecka to Projekt 971.

- Skąd o tym wiesz?

Pytanie zadał naukowiec o nazwisku Lanowski, który wszedł na pokład „Seaquesta” w Trabzonie. Był to łysawy mężczyzna w grubych szklach. Patrzył na Katię z nieukrywaną pogardą.

- Zanim przystąpiłam do studiów doktoranckich, przesłam przez służbę państwową jako analityk w wydziale łodzi podwodnych wywiadu radzieckiej marynarki wojennej.

Naukowiec przetarł okulary i zamilkł.

- Uważaliśmy, że to najlepsze wielozadaniowe myśliwskie łodzie podwodne, odpowiedniki amerykańskich łodzi klasy „Los Angeles” - dodała. - Stepka pod „Kazbeka” została położona w Komsomolsku nad Amurem w 1988 roku, a do służby trafił w początku 1991 roku. Ma tylko jeden reaktor, wbrew

temu, co utrzymują zachodnie wywiady. Cztery wyrzutnie torped kaliber 650 i sześć kaliber 533 milimetrów, dla różnych typów uzbrojenia, włączając w to pociski cruise.

- Ale nie ma na nim głowic jądrowych - powiedział York. - To nie jest łódź podwodna z głowicami atomowymi. Zastanawia mnie, dlaczego Rosjanie tak fanatycznie bronią tajemnicy. Większość technologii była nam znana, zanim ten typ okrętu pojawił się w połowie lat osiemdziesiątych. Tuż przed moim odejściem z Royal Navy brałem udział w wizycie, związanej z traktatem o redukcji uzbrojenia, w bazie okrętów podwodnych Floty Północnej w Jagielno, niedaleko Murmańska, gdzie oprowadzono nas po najnowszej „Akule”. Zobaczyliśmy wszystko, z wyjątkiem komory reaktora i taktycznego centrum operacyjnego.

- Zespół IMU zniszczył „Akułę I” podczas oczyszczania Władywostoku w ubiegłym roku dodał Costas. - Osobiście rozebrałem ją kawałek po kawałku.

- Co się stało z „Kazbekiem”? Awaria reaktora? - zapytał jeden z marynarzy.

- Tego się obawialiśmy - powiedział Mustafa Alkozen. - Topnienie rdzenia reaktora spowodowałoby ogromny przeciek, który zabiłby załogę i zanieczyścił radioaktywnie morze na całe mile wokół. Ale tureckie monitory wczesnego ostrzegania nie wykryły ponadnormatywnej radiacji na wodach terytorialnych.

- Awaria reaktora tylko z rzadka powoduje topnienie - powiedział York. - Częściej redukuje emisję radiacji. I nie koniec na tym. Jeśli reaktora nie można ponownie uruchomić, zawsze istnieją pomocnicze zastępcze diesle.

- To, co zobaczymy, pomoże nam odpowiedzieć na to pytanie. Costas wskazał na monitor wideo nad konsolą, do którego załadowano obrazy z jego aquapoda. Wycelował pilota i szybko przebiegł przez serię zdjęć byka-sfinksa i piramid, do momentu, kiedy kształty przestały być tak wyraźne. Zatrzymał wideo na masie splątanego żelastwa. Wrak otoczony był żółtą poświatą, gdyż światło reflektorów odbijało się od osadu zawieszzonego w wodzie.

- Rufa - powiedział Costas. Śruba albo to, co z niej zostało. Siedem łopatek jest nietkniętych, ale całość oddarta z trzpienia. Ta płatanina w tle to niższa płetwa stabilizująca, a nad nią widać charakterystyczną dla „Akuły” wysoką płetwę stabilizującą,

- Ależ to musiało być uderzenie - powiedział któryś z marynarzy.

- Sprawdziliśmy wschodnią piramidę, zanim wypłynęliśmy - mówił dalej Costas. - W rogu naprzeciwko wulkanu występują rozległe uszkodzenia.

Domyślamy się, że łódź szła na południowy zachód na najwyższej szybkości ponad trzydziestu węzłów i wykryła te budowle za późno na dokonanie manewru wymijającego. Uniknęli kolizji czołowej, skręcając na port-burtę, ale czyniąc tak, uderzyli rufą o piramidę. Rezultaty widać. Łódź przepłynęła jeszcze sto metrów, aż wreszcie jej dziób wbił się w szczeliną tuż obok starożytnych schodów. Zatonęła pomiędzy piramidą a wulkanem.

- Niewiarygodne - powiedział York. - Byłoby czystym szaleństwem iść z taką szybkością tak blisko prawie niezbadanej kartograficznie wyspy.

- Coś im się nie udało - zgodził się Costas.

- O ile wiemy, nie znaleziono rozbitków kontynuował York. - A przecież nawet na głębokości stu metrów załoga miałaby szansę, gdyby użyła radzieckiej wersji kamizelki ratunkowej Steinkego i aparatów tlenowych. Choćby jedno ciało pływające po morzu zostało wykryte przez monitory satelitarne dzięki miniaturowemu transponderowi radiowemu, w który zaopatrzona jest ta kamizelka. Dlaczego nic wyrzucili z łodzi podwodnej boi z nadajnikiem radiowym? Jeszcze bardziej zadziwiający jest sam kadłub. Mówisz, że szkody są zewnętrzne i nie widać, żeby pancierz popękał. Dlaczego nie wydmuchali zbiorników balastowych? „Akuła” ma podwójny kadłub i trzy razy większą rezerwę balastową niż łódź jednokadłubowa.

- Doskonałe pytania. Jack dotąd w milczeniu przysłuchiwał się wypowiedziom. - Możemy z powodzeniem znaleźć na nie odpowiedzi. Ale musimy trzymać się naszego celu. Czas szybko płynie.

Stanął obok Costasa przed zebranymi i popatrzył na nich.

- Mamy znaleźć serce Atlantydy, a nie rozpocząć na nowo zimną wojnę. Uważamy, że tekst prowadzi nas w głąb wulkanu, w górę drogi procesyjnej, od byka-sfinksy do jakiegoś sanktuarium. Schody idą dalej pod łodzią podwodną, a nie nad nią. Sprawdzaliśmy. Nasz cel leży za metalowym cylindrem o długości stu ośmiu metrów, ważącym dziewięć tysięcy ton. Musimy przyjąć, że zbiorniki z balastem nie mogą zostać przedmuchane. Nawet gdybyśmy mieli wyposażenie do podniesienia tej łodzi, to nasze działania byłyby widoczne na powierzchni morza i Rosjanie rzuciliby się na nas w mgnieniu oka. Przy jakiegokolwiek próbie uzyskania pomocy z zewnątrz tracimy inicjatywę. Atlantyda stanie się terenem bijatyki z Aslanem i jego złodziejską bandą. Obrazy stano-wiska, które widzieliście, byłyby naszymi ostatnimi zdjęciami.

Przerwał na chwilę i znów zaczął mówić:

- Mamy tylko jedną możliwość. Musimy wejść do środka i wyciąć sobie drogę do skały.

- Głębokość siedemdziesiąt pięć metrów i rośnie. Teraz powinniśmy znaleźć się w zasięgu światła.

Katia popatrzyła przez bulaj z pleksiglasu po lewej stronie. To, co z początku wyglądało jak nieprzenikniony mrok, stopniowo zaczęło się przekształcać w krajobraz dna morskiego pełen wielkich kształtów i cieni. Ciemny kadłub zatopionej łodzi podwodnej nagle pojawił się przed nimi w całej budzącej grozę okazałości.

Costas cofnął się od kolumny sterowniczej i zwrócił do drugiego pilota:

- Jack, zajmij się ładownikiem. Przygotujcie się na wstrząs.

Katia siedziała obok dwóch marynarzy i sterty sprzętu, leżącej pośrodku DSRV-4, podwodnej łodzi ratunkowej, która była w standardowym wyposażeniu wszystkich należących do IMU statków klasy „Sea”. W przedniej części pokładu znajdował się sprzęg pasujący do włazu ratunkowego praktycznie każdej łodzi podwodnej. Umożliwiał wydobywanie uwięzionych w kadłubie marynarzy po ośmiu albo dziesięciu naraz. Marynarze dokonywali ostatnich poprawek przy kołnierzu dokującym, żeby dopasować go do włazu rosyjskiej łodzi podwodnej.

Dwadzieścia minut temu rzucili ostatnie spojrzenie na kołyszący się na wzburzonych falach „Sequest”.

- Podchodzę pod kątem stu osiemdziesięciu stopni w stronę południową. Schodzę na głębokość dziewięćdziesięciu pięciu metrów.

Rozległ się głuchy łomot. Osiedli na przedniej części obudowy łodzi podwodnej. Przed nimi wznosiła się masa stożkowej wieżyczki, peryskop i antena widoczne w świetle reflektorów nad ciemnymi iluminatorami mostka. Po raz pierwszy mogli docenić ogromne rozmiary łodzi podwodnej, o wyporności prawie dwa razy większej od wyporności „Sequesta” i długiej jak boisko do futbolu.

Costas spojrział na Jacka.

- Okręty klasy „Akuła” były najcichsze ze stworzonych przez Sowieków łodzi podwodnych. Ten ma przeciwdziałające echu pokrycie, cienkie gumowe płytki na zewnętrznej obudowie, których zadaniem jest wychwytywanie aktywnej pulsacji sonaru. To dlatego nie trzasnęło głośniejszy, kiedy wylądowaliśmy. Dzięki temu łatwiej jest przytrzymać się kadłuba za pomocą hydraulicznych przyssawek naszego ładownika.

Popchnął drążek sterowniczy do przodu i DSRV skoczył o kilka metrów bliżej płetwy. Gdy znów opadł, w polu widzenia znalazło się wejście do szybu ratunkowego.

- Tak jak podejrzewał York. Szyb jest zamknięty i opieczętowany. Przy jakiegokolwiek próbie ucieczki zostałyby otwarte.

Costas obliczył, że starożytne schody powinny się znajdować pod komorą torpedową, w pobliżu stożka dziobowego, dzięki czemu przedni luk ratunkowy stałby się najdogodniejszym dla nich miejscem dostępu. Katia wyjaśniła, że nawet przy niskim stopniu alarmu grodzie automatycznie odcinają reaktor od przedniej części operacyjnej, nie pozwalając na dojście do komory torpedowej od tylnego włazu.

- Prowadź łagodnie.

Costas skorzystał z cyfrowego wyświetlacza nawigacyjnego, żeby naprowadzić DSRV na obiekt. Chwilę potem rozległo się wyczekiwane stuknięcie, kiedy pierścień dokujący osiadł na włazie ratunkowym. Wyłączył siatkę nawigacyjną i podniósł cztery rączki po obu stronach drążka sterowniczego. Sprowadził DSRV na pokład łodzi i rozstawił cztery stabilizujące wsporniki z przyssawkami.

- Mam miękkie połączenie. Dokowanie zakończone.

Odpiął pas bezpieczeństwa i odwrócił się do Katii i dwóch marynarzy.

- Powtórzmy to po raz ostatni. Sonar głębokiej penetracji na ROV-ie wskazuje, że przednia część łodzi podwodnej jest nadal wodoszczelna. Co do reszty, nie jesteśmy pewni, gdyż reaktor i inne maszyny wypełniają większość wewnętrznej przestrzeni, ale tam też może być sucho.

Podpełzł ku złączu. Jack podążył tuż zanim.

- Bezpośrednio pod nami jest przedni szyb bezpieczeństwa kontynuował.

- Podczas mokrej ucieczki marynarze wspinają się do komory i zakładają aparaty tlenowe. Niższy właz zamyka się, szyb wypełnia się wodą i marynarze ewakuują się przez górny właz.

- A sucha ucieczka? - zapytała Katia.

- DSRV złączy się bezpośrednio z zewnętrznym włazem ratunkowym - odparł Costas. W zmodyfikowanej „Akule I” właz osadzony jest dwa metry w głębi kadłuba, tworząc dodatkową komorę zewnętrzną, która działa jako zabezpieczenie dla załogi ratowników. Przy zamkniętym naszym włazie możemy połączyć się z kadłubem, otworzyć właz w obudowie, wypompuwać wodę z zewnętrznej komory i za pomocą zdalnie sterowanego ramienia otworzyć właz ratunkowy, znajdujący się dwa metry niżej. Potem zewnętrznymi czujnikami DSRV zbadamy warunki panujące we wnętrzu, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

Costas skinął na marynarzy, którzy zabrali się do zabezpieczania złącza. Najpierw ręcznie dokręcili pierścień, potem wpełzli do przedniej części

łącznika i usiedli obok siebie w małej konsoli. Po naciśnięciu przełącznika pokrycie włazu przed Katią wsunęło się w obudowę DSRV, ukazując wkleśłą kopułę z pleksiglasu, która rozjaśniła się, kiedy włączono reflektory, a marynarze zajęli się otwieraniem włazu do łodzi podwodnej. Kilka chwil później rozległ się ostry syk. To woda morska z komory została wypompowana i zastąpiona powietrzem z jednego z zewnętrznych zbiorników łodzi ratunkowej.

Komora oczyszczona, ciśnienie wyrównane - powiedział jeden z marynarzy. - Aktywujemy teraz ramię robota.

Katia wcisnęła się między Costasa i Jacka, żeby lepiej widzieć. Pod sobą widzieli cienką rurę kończącą się czymś, co przypominało hak bosaka. Ruchy rury kontrolowane były przez jednego z marynarzy za pomocą małego dżojstika i ekranu nawigacyjnego.

- To działa na zasadzie różnicy ciśnień - wyjaśnił Costas. - Wypełniliśmy komorę powietrzem o normalnym ciśnieniu, takim samym jak w DSRV. Zaczepiliśmy tym ramieniem właz, podciągnęliśmy je, żeby trochę się napięło, a potem będziemy powoli obniżać ciśnienie w komorze, aż będzie niższe niż na pokładzie łodzi podwodnej. Wtedy trach, sprężyny wyskakują.

Patrzyli, jak ramię otwiera zamek bezpieczeństwa i łapie za środkową rączkę. Wysięgnik wyprostował się. Marynarz po drugiej stronie konsoli koncentrował się na ekranie, który pokazywał mu zbliżenie obudowy.

- Ciśnienie. Teraz zredukować. Z trzaskiem otworzył zawór na rurze biegnącej mu nad głową i włączył pompę ssącą, która wyciągała powietrze z komory.

- Zero, koma, dziewięćdziesiąt pięć. Zero, koma, dziewięćdziesiąt. Zero koma, osiemdziesiąt pięć. Zero, koma, osiemdziesiąt. Teraz!

Kiedy z trzaskiem zamknął zawór, zobaczyli, że właz unosi się płynnym ruchem, jakby jechał na fali. Ramię automatycznie się cofnęło i pociągnęło za właz, podnosząc go do ściany komory. Patrzyli we wnętrzu łodzi podwodnej. Światło reflektorów tańczyło po rurach i grodziach w przejściu po włazem.

- Ciśnienie zero, koma, siedemdziesiąt pięć.

- Mniej więcej to, czego się spodziewałem. - Costas rzucił do marynarzy

- Podajcie pełny raport o środowisku, zanim przystąpimy do kompensacji.

Zestaw czujników składający się z spektrometru gazowego, licznika Geigera i dozymetru radiacyjnego spuszczone z zewnętrznej kapsuły.

- Radiacja zero, koma, sześć miliremów na sekundę. Mniej niż w samolocie pasażerskim. Poziom ogólnej toksyczności umiarkowany, brak wskazań

o znaczących przeciekach gazu albo chemikaliów. Wysoka zawartość amoniaku, być może związana z rozkładem organicznym. Tlen osiem, koma dwa procent, azot siedemdziesiąt procent, dwutlenek węgla dwadzieścia dwa procent, tlenek węgla zero, koma osiem procent. Trochę ryzykowne jak na dłuższe przebywanie w tej atmosferze. Temperatura plus dwa stopnie Celsjusza.

- Dziękuję, Andy. - Costas spojrział kpiąco na Jacka. Wchodzenie tam to jak lądowanie na szczycie Everestu w tropikalnym ubraniu z gębą pełną zgnitych jajek.

- Cudownie - powiedział Jack. - Dlaczego takie rzeczy się zdarzają, ilekroć to ty kierujesz?

Costas uśmiechnął się i obejrzał na konsolę.

- Andy, skompensuj do normalnego ciśnienia, używając czystego tlenu i włącz płuczkę dwutlenku węgla.

Rozległ się ostry syk. DSRV zaczął pompować do włazu tlen z zewnętrznych cylindrów.

Okręty klasy „Akuła” mają własne płuczki powiedziała Katia. - Jeśli uda się nam je włączyć, będą pracowały dla nas. Jest tam także urządzenie rozkładające wodę morską, żeby otrzymać tlen. Te okręty mogą pozostawać pod wodą miesiącami i mieć na pokładzie powietrze czystsze i lepiej natlenione niż na powierzchni.

Costas otarł pot z czoła.

- Za długo by to trwało. Bateria, która zasilala tamten system, musiała się wyczerpać w kilka miesięcy po ustaniu pracy pomocniczych diesli, a ja wolałbym oszczędzić baterię DSRV do reaktywowania awaryjnego oświetlenia. Nasze uzdatniacze obejmują tlenek węgla, palniki tlenowe oraz całą gamę filtrów chemicznych,

Z konsoli doszedł ich głos.

Osiągnęliśmy ciśnienie równe ciśnieniu otoczenia. Za dziesięć minut cykl uzdatniaczy będzie kompletny.

- Dobrze - powiedział Costas. - Czas się zbierać.

Włożyli dopasowane kombinezony, na niewzmocnione kevlarem neoprenowe pancerze, które stanowiły połączenie najnowszych ubiorów do nurkowania z używanymi przez komandosów z amerykańskich oddziałów SEAL kombinezonów ochronnych przeciwko broni chemicznej i biologicznej. Wokół łydek owinęli giętkie silikonowe płetwy, które pod wodą mogli naciągnąć na stopy.

Costas, zapinając pasy, szybko przekazał im informacje.

- Będziemy tam mogli bezpiecznie oddychać, ale proponuje, żeby mimo wszystko włożyć maski tlenowe do czasu, kiedy regulatory ogrzeją i nasycą powietrze wilgocią i przefiltrują zanieczyszczenia. Tu jest dodatkowe zaopatrzenie w tlen, które włącza się, gdy czujniki wykryją jakąś nieprawidłowość w atmosferze na okręcie.

Maskami były wzbogacone silikonem hełmy wymodelowane w kształcie twarzy. Po wciśnięciu się we własny rynsztunek Jack pomógł Katii założyć zamknięty system podtrzymywania życia, opływowy plecak z polipropylenu, który zawierał zminiaturyzowany układ dostarczania tlenu, wielostopniowy regulator i trzy wzmocnione tytanem cylindry z ośmiokrotnie sprężoną mieszanką do oddychania. Butle z wyposażenia IMU były bardzo lekkie i płaskie, ważyły mniej niż tradycyjne butle do nurkowania, a ich ergonomiczny kształt sprawiał, że nurkowie prawie nie odczuwali dodatkowego ciężaru.

Na przegubach przyczepili minikonsole, wyświetlające dane na temat otoczenia i regulujące skład mieszanki do oddychania. Gaz mieszany był automatycznie. Komputer brał pod uwagę głębokość, rodzaj nurkowania, temperaturę, a nawet indywidualne cechy fizjologiczne.

- Interkom pozwoli nam porozumiewać się z DSRV - powiedział Costas.

Sprawdzili nawzajem, czy wszystko mają dopięte, a Jack wziął też berettę kaliber 9 milimetrów z półki nad włazem. Wprowadził do niej magazynek z piętnastoma nabojami i włożył pistolet do wodoodpornej kabury. Na piersi zawiesił magazynek zapasowy.

- Standardowe wyposażenie - popatrzył uspokajająco na Katię, wspominając wczorajszą rozmowę o ryzyku związanym z ich pracą. - W tej grze nigdy nie ma dość zabezpieczeń.

- Doktorze Howard, pilna wiadomość z „Seaquesta”.

- Przełącz na fonię. - Jack otworzył przyłbicę i wziął mikrofon od marynarza. - Tu Howard. Odbiór.

- Jack, tu Tom. Głos przerywała statyka. Front burzowy wreszcie nas dopadł. Gwałtowne wyładowania elektryczne, widzialność spadła do pięćdziesięciu metrów. Siła sztormu dziesięć i rośnie. Jest znacznie gorzej, niż się obawiałem. Nie mogę utrzymać obecnej pozycji, jesteśmy za blisko wyspy. Powtarzam, nie mogę utrzymać obecnej pozycji. Odbiór.

W jego głosie mimo zakłóceń słychać było wyraźnie niepokój.

Jack wcisnął guzik przełączający radio na odpowiedź.

- Jaka jest prognoza? Odbiór.

- Jeden z największych frontów burzowych kiedykolwiek zanotowanych o tej porze roku. Masz jeszcze szansę, żeby przerwać operację. Odbiór.

DSRV był za duży, żeby się zmieścić do wewnętrznego doku „Seaquesta” i musiał być wciągany za pomocą żurawików rufowych. Wiedzieli z doświadczenia, że nie należy wracać przy wzburzonym morzu.

- Jaką mamy alternatywę? Odbiór.

Będziecie zdani tylko na siebie przez całą dobę. Mam zamiar przenieść „Seaquesta” o dwadzieścia mil morskich na północ, przebić się przez front, a potem pójść za nim z powrotem na południe. Odbiór.

- DSRV nie będzie mogła popłynąć za „Seaquestem” tak daleko pod wodą - mruknął Costas. - Baterie zostały zaprojektowane do zasilania systemu podtrzymywania życia podczas operacji ratunkowych i dadzą nam napęd tylko przez kilka mil, potem się wyczerpią.

Jack podniósł mikrofon dopiero po chwili.

- Tom, daj nam chwilę. Odbiór.

Zaległo milczenie. Jack popatrzył na obecnych. Każdy z nich kiwnął głową. Andy i Ben byli weteranami IMU. Andy był specjalistą od pojazdów podwodnych i głównym technikiem Costasa, a Ben byłym żołnierzem Royal Marines, zanim zatrudnił się w wydziale bezpieczeństwa, kierowanym przez Petera Howe'a. Obaj poszliby za Jackiem w ogień i byli głęboko oddani misji IMU.

Jack poczuł się lepiej, gdy zobaczył ich jednomyślną i natychmiastową reakcję. Zaszli za daleko, żeby pozwolić celowi wymknąć się z rąk. Do tej pory kurs „Seaquesta” mógł wzbudzić zainteresowanie ich przeciwników, a byli to ludzie, którzy bez wahania wyeliminowaliby każdego, kto stanąłby na ich drodze. Wiedzieli, że to ostatnia szansa.

Znów podniósł mikrofon.

- Zostajemy. Powtarzam, zostajemy. Obrócimy pogodę na naszą korzyść. Zakładam, że żaden wrogi statek nie będzie mógł tu podejść. Czas, kiedy was tu nie będzie, wykorzystamy na spenetrowanie łodzi podwodnej. Odbiór.

- Zrozumiałem. - Głos był ledwie rozpoznawalny w trzaskach statyki. - Schowajcie boję radiową i używajcie jej tylko w ostateczności, bo sygnał przejmie każdy odbiornik na wiele mil stąd. Czekać, aż się z wami skontaktujemy. Życzę szczęścia. Bez odbioru.

Przez chwilę słychać było tylko niskie huczenie odświeżaczy powietrza i warkot elektrycznego silnika ściągającego boję radiową.

- Minęło dziesięć minut - powiedział Ben z konsoli. - Możecie już iść.
- Dobrze. Czas zacząć przedstawienie.

Andy prześlizgnął się i otworzył zacisk dokujący. Właz otworzył się na zewnątrz bez oporu. Ciśnienie w DSRV i łodzi podwodnej wyrównało się.

Costas zwiesił nogi i znalazł szczelne drabinki na wewnętrznej ścianie. Chciał podnieść maskę, ale zatrzymał się.

- Jeszcze jedno.

Jack i Katia spojrzeli na niego.

- To nie jest „Marie Celeste”. „Kazbek” poszedł na dno z pełną załogą, liczącą siedemdziesięciu trzech ludzi. Widok może być ponury.

- Będziemy się posuwali naprzód korytarzem. Grodz za nami odcina przedział z reaktorem.

Costas zszedł z ostatniego szczelby w szybie ratunkowym i odwrócił się. Lampa, którą miał na głowie, rzucała chybotliwy promień światła na wnętrze łodzi podwodnej. Jack szedł tuż za nim. Zgiął się niemal wpół, podając rękę Katii. Spojrzała po raz ostatni na marynarzy patrzących w dół z DSRV, zanim wślizgnęła się do szybu.

- Co to za biała materia? - zapytała.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzeli, powierzchnie pokrywała biała jak lukier inkrustacja. Katia potarła rękawicą reling i substancja odpadła jak śnieg, odkrywając lśniący metal.

- To osad - odparł Costas. Prawdopodobnie wynik reakcji jonizacyjnej między metalem a dwutlenkiem węgla, którego poziom wzrósł po ustaniu pracy oczyszczaczy powietrza.

Widmowy połysk wzmagał poczucie, że miejsce to jest całkowicie odcięte od świata i tak odległe od obrazów zewnętrznych, że starożytne miasto wydawało się należeć do świata z innej baśni.

Szli powoli wznoszącym się przejściem do otwartej, całkowicie zaciemnionej przestrzeni. Kilka kroków dalej Costas zatrzymał się pod puszką elektryczną, wciśniętą między rury nad ich głowami. Poszukał w pasie z narzędziami miniaturowej pneumatycznej dmuchawy podłączonej do naboju ze sprężonym dwutlenkiem węgla i oczyścił gniazdko z nalotu. Gdy podłączył kabel, który ciągnął za sobą z DSRV, nad panelem rozbłysło pomarańczowe światło wskaźnika.

- No, proszę. Nadal działa, po tylu latach. A my myśleliśmy, że sowiecka technologia jest do niczego. - Spojrzał spod okna na Katię. - Bez obrazu.

- Nie ma sprawy.

Kilka chwil później włączyło się fluorescencyjne oświetlenie. Pierwsze rozbłyski przemknęły jak odległa błyskawica. Wyłączyli własne lampy i zobaczyli wokół siebie dziwny świat, płataninę konsoli i sprzętu pokrytą cętkowaną bielą. Jak w lodowej jaskini. Wrażenie wzmacniało niebieskie oświetlenie i kłęby pary wydobywającej się z ich masek w mroźnym powietrzu.

- To komora kontrolna centrum bojowego - powiedział Costas. Tu powinny być jakieś wskazówki, mówiące o tym, co się stało.

Przeszli ostrożnie do końca korytarza i zeszli po kilku stopniach w dół. Na pokładzie leżał stos kałasznikowów, znajome, zagięte magazynki sterczały do góry.

Jack podniósł jeden z karabinów.

- Model dla sił specjalnych ze składaną kolbą powiedziała Katia. - AK-74M, pochodna AK-47 kaliber 5,45. Gdy sytuacja polityczna pogarszała się, kierownictwo wywiadu sztabu generalnego zaokrętowało na niektóre atomowe łodzie podwodne pododdziały specnazu. GRU, wywiad wojskowy, był przerażony możliwością zdrady albo buntu, a specnaz odpowiadał bezpośrednio przed GRU, a nie przed kapitanem.

- Ale w normalnej sytuacji ich broń byłaby zamknięta w arsenałach zauważył Jack. - Jest tu jeszcze coś dziwnego. - Wyciągnął z trzaskiem magazynek i odciągnął zamek. - Magazynek jest do połowy opróżniony, a w komorze jest nabój. Z tego karabinu strzelano.

Szybko sprawdzili, że pozostałe karabiny są w podobnym stanie. Pod stosem kałasznikowów leżały pistolety, puste magazynki i opróżnione skrzynki na naboje.

- Wygląda na to, że ktoś tu posprzątał po bitwie.

- Właśnie to się zdarzyło - powiedział Costas. - Rozejrzyjcie się.

Pośrodku stał fotel dowódcy z dwiema kolumnami peryskopów po bokach. Na ścianach znajdowały się konsole z kontrolkami uzbrojenia i nawigacji. Było to centrum dowodzenia okrętem.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzeli, roztaczał się obraz zniszczenia. Monitory komputerów były roztrzaskane, ich wnętrza kłębiły się na zewnątrz. Oba peryskopy były tak zniszczone, że prawie nierozpoznawalne, ich okulary zwisały pod dziwnymi kątami. Stół z mapami został gwałtownie rozdarty, nierówne żłobki biegły po jego blacie - nieomylny ślad po ogniu z broni automatycznej.

- Mostek okrętu rozbity w drzazgi. - Costas przyglądał się zniszczeniom z drugiego kąta pomieszczenia. - Teraz rozumiem, dlaczego nie mogli się ruszyć.

- Gdzie oni są? - zapytała Katia. - Gdzie jest załoga?

- To byli ci, którzy przetrwali. - Costas zamilkł na chwilę. - Ktoś zniósł na jedną kupę broń. Domyślam się, że złożył też gdzieś ciała.

- Na pewno nie spali tutaj powiedział Jack. - Proponuje, żebyśmy przeszli do przedziału mieszkalnego.

Katia poprowadziła ich korytarzem w stronę części mieszkalnej łodzi podwodnej. Ponownie dali nura w ciemność, gdyż pomocniczy system elektryczny zaopatrywał w światło awaryjne tylko główne przedziały. Jack i Costas widzieli sylwetkę Katii. Dziewczyna szukała po omacku poręczy i grzebała w ciemności przy włączniku lampy na masce.

Nagle dał się słyszeć łoskot i rozdzierający uszy krzyk. Jack i Costas skoczyli naprzód. Katia leżała w przejściu.

Jack uklęknął nad nią i sprawdził jej regulator. Spojrzał jej w oczy z niepokojem.

Mamrotała coś bez związku po rosyjsku. Po chwili uniosła się na łokciu i obaj mężczyźni pomogli jej wstać. Głos brzmiał słabo.

- To... szok, nic więcej. Właśnie zobaczyłam.

Umilkła, wznosząc ramię. Wskazywała na komorę sonaru u końca korytarza.

Jack włączył swoją lampę. Zobaczył przed sobą horror, widmo wyjęte z najgorszego koszmaru. Z ciemności wyłaniała się biała sylwetka wiszącego człowieka, z ramionami dyndającymi jak u jakiejś upiornej lalki. Twarz trupa zwisała, spoglądając od dawna martwymi oczami.

Było to uosobienie śmierci, strażnik grobowca, w którym żywa istota nie postawiła nogi. Jackowi nagle zrobiło się zimno.

Katia doszła do siebie i stanęła. Cała trójka powoli weszła do pomieszczenia. Ciało, ubrane w czarny mundur radzieckiego oficera marynarki wojennej, wisiało na pętli z drutu. Podłoga usiana była pustymi kartonami po jedzeniu i innymi śmieciami.

- Nazywał się Siergiej Wasiljewicz Kuzniecowa. - Katia odczytała to w dzienniku, który znalazła na stole obok trupa. - Kapitan drugiej rangi radzieckiej marynarki wojennej, kawaler Orderu Gwiazdy Czerwonej za zasługi dla bezpieczeństwa państwa. Był zampolitem „Kazbeka”, *zamiestnikiem komandira po polityczeskiej czasti*, zastępcą dowódcy do spraw politycznych. Miał dbać o to, żeby kapitan wypełniał rozkazy.

- Wtyka KGB - powiedział Costas.
- Niewielu znam kapitanów floty czarnomorskiej, których nie uradowałby ten widok. Ostatnie dni spędził tutaj. Aktywny sonar został wyłączony, więc nie mógł wysłać sygnału. Ale obserwował bierny Wykrywacz fal radaru, czekając na znak, że w pobliżu przepływa jakiś statek - Odwróciła stronę. - Mój Boże. Ostatni wpis jest z 25 grudnia 1991 roku. Przypadkiem był to ostatni dzień, kiedy czerwona flaga powiewała nad Kremlm. Podniosła wzrok na Jacka i Costasa, oczy miała szeroko otwarte. - Łódź podwodna zatonięła 17 czerwca tamtego roku, co znaczy, że ten człowiek żył tutaj ponad pół roku!

Popatrzyli na trupa z przerażeniem i fascynacją,

- To możliwe - odezwał się w końcu Costas. Fizycznie możliwe. Baterie podtrzymywały oczyszczacze powietrza, a maszyna do elektrolitycznego odszukania produkowała tlen z wody morskiej. I jak widać, było tu mnóstwo jedzenia i picia. Przyjrzał się butelkom po wódce rozrzuconym wśród śmieci na podłodze. Inna sprawa, że fakt, iż nie zwariował w takich warunkach, przekracza moje pojmowanie.

- Dziennik jest pełen politycznego pustostwa, komunistycznej propagandy, którą wbijano nam do głów jak religię - powiedziała Katia. Na oficjów politycznych wybierano tylko najbardziej fanatycznych członków partii jak do gestapo.

- Zaszło tu coś bardzo dziwnego mruknął Jack. Nie wierzę, żeby przez sześć miesięcy nie znalazł sposobu na wysłanie sygnału. Mógł ręcznie wypuścić boję przez wyrzutnię torped. To nie ma sensu.

- Posłuchajcie tego. - Głos Katii zdradzał, że zaczyna rozumieć. Kartkowała dziennik, przerywając od czasu do czasu, żeby przeczytać jakiś fragment. Zwlekąła przez chwilę i zaczęła tłumaczyć „Jestem wybrańcem. Pochowałem towarzyszy z wojskowymi honorami. Poświęcili życie dla Matki Ojczyzny. Ich siła dodaje mi sił. Niech żyje Rewolucja!” - Podniosła wzrok.

- Co to znaczy? - zapytał Costas.

Według tego dziennika było ich dwunastu. Pięć dni po zatonięciu wybrali jednego, żeby przeżył. Reszta zażyła tabletki cyjanku. Ich ciała obciążono i wyrzuciono przez wyrzutnię torped.

- Czy nie mieli żadnej nadziei? - W głosie Costasa brzmiało niedowierzenie.

- Byli gotowi walczyć ponad granice rozsądku, żeby łódź podwodna nie dostała się NATO. Mieli zniszczyć okręt, gdyby jakiś przypadkowy ratownik okazał się wrogiem.

- Widzę w tym pewną logikę - powiedział Costas. - Do odpalenia ładunków wystarczy jeden człowiek. Jeden człowiek zużywa mniej powietrza i jedzenia, więc łódź podwodna może być dłużej strzeżona. Każdy dodatkowy członek załogi zużywałby tylko cenne zapasy. Musieli wybrać człowieka, co do którego wiadomo było, że jest najmniej podatny na załamanie.

Jack ukląkł przy pustych butelkach i potrząsnął głową.

- Chodziło o coś więcej. Nie wszystko tu się zgadza.

- Ich świat był na skraju przepaści - powiedział Costas. Tacy twardziele sądzili pewnie, że są ostatnim bastionem komunizmu, ostatnią linią obrony przed Zachodem.

Popatrzyli na Katię.

- Wszyscy wiedzieliśmy, że koniec się zbliża - powiedziała. - Niektórzy odmówili zaakceptowania rzeczywistości. Ale nie wprowadza się wariata na pokład łodzi podwodnej.

Jedno pytanie dręczyło ich, odkąd zobaczyli wiszące zwłoki. Wypowiedział je wreszcie Costas.

- A co się stało z resztą załogi?

Katia czytała inną część pamiętnika. Gdy zaczęła łączyć fragmenty w całość, na jej twarzy pojawił się wyraz coraz bardziej rosnącego niedowierzania.

- Jest tak, jak podejrzewaliśmy w wywiadzie marynarki wojennej, tylko gorzej - powiedziała. - To była łódź-renegat. Jej kapitan, Jewgienij Michajłowicz Antonów, wyruszył na rutynowy patrol z bazy łodzi podwodnych czarnomorskiej marynarki wojennej w Sewastopolu. Zniknął gdzieś na południu, nie nawiązując kontaktu.

- Nie mógł liczyć na to, że wydostanie się z Morza Czarnego niewykryty - powiedział Costas. - Turcy utrzymują stuprocentową kontrolę sonarową nad Bosforem.

- Nie wierzę, żeby miał takie plany. Uważam, że szedł na spotkanie, być może na tej wyspie.

- To chyba dziwny czas na zdradę zauważył Jack. - Pod sam koniec zimnej wojny, kiedy upadek Związku Radzieckiego był tuż-tuż. Każdy sprytny oficer marynarki wojennej musiał widzieć, że to nadchodzi. Większy sens miałyby, gdyby zaczął się i poczekał.

Antonów był świetnym podwodniakiem, ale też dziwakiem. Nienawidził Amerykanów tak bardzo, że uznano go za zbyt ryzykownego człowieka do obsadzenia łodzi z pociskami balistycznymi. Nie sądzę, żeby to była zdrada. Jack ciągle był zafrasowany.

- Musiał mieć coś do zaferowania, coś, co sprawiało, że całe przedsięwzięcie warte było ryzyka.

Czy w dzienniku jest mowa o tym, co się z nim stało? - zapytał Costas! Katia znów zaczęła czytać. Potem podniosła wzrok.

Nasz przyjaciel, zampolit, dowiedział się, co w trawie piszczy, na kilka godzin przed zatopieniem okrętu. Zebrał specnaz i stanął do walki z kapitanem w przedziale dowodzenia. Antonów zdążył już wydać broń boczną oficerom, ale to nie mogło się równać z kałasznikowami. Po krwawej potyczce zmusili kapitana i tych członków załogi, którzy przeżyli, do poddania się, ale wcześniej łódź wyrwała się spod kontroli i uderzyła o dno.

- Co zrobili z kapitanem?

- Przed starciem Kuzniecowa otworzył przedział maszynowni i zmienił kierunek działania wentylatorów tak, żeby pompowały tlenek węgla zebrany w oczyszczaczach powietrza. Mechanicy musieli zginąć, zanim zorientowali się, co się dzieje. Jeśli chodzi o Antonowa i jego ludzi, zostali wepchnięci za szyb ratunkowy i zamknięci w przedziale reaktora.

- Śmierć przez powolne napromieniowanie. To mogło trwać całe dni nawet tygodnie. - Costas patrzył na zmumifikowaną twarz straszliwego wartownika, który zdawał się pełnić służbę nawet po śmierci. Patrzył tak, jakby chciał rąbnąć pięścią w wyschniętą głowę. - Zasłużyłeś na taki koniec, sukiny.

14

To statek umarłych. Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej. - Katia zamknęła z trzaskiem dziennik i wyprowadziła ich z przedziału sonarowego obok dyndającego trupa. Nie spojrzała po raz ostatni na ciało. Potworny obraz zdążył się już wyryc w jej umyśle.

- Teraz nie wyłączajcie lamp - polecił Costas. - Musimy założyć, że ten człowiek zaminował okręt.

Po kilku krokach uniósł dłoń.

- Nad nami jest właz do ładowania uzbrojenia - powiedział. - Możemy przedostać się zsuwnią bezpośrednio do przedziału torpedowego. To otwarty szyb z windą, ale ma w środku szczelbę.

Przesunęli się na skraj szybu, bezpośrednio pod właz. Kiedy Costas miał już postawić stopę na pierwszym szczelbku, zatrzymał się i popatrzył na jedną z rur biegnących z przedziału sonarowego do zsuwni. Startł nalot z niewielkiej wypukłości na rurze, odkrywając dwa czerwone przewody, przyklejone do metalu.

- Poczekajcie tutaj.

Cofnął się do przedziału sonarowego, co jakiś czas przystając, żeby zetrzeć nalot. Na krótko zniknął za wiszącym trupem i zaraz wrócił.

- Tak jak podejrzewałem - powiedział. - Druty prowadzą do wyłącznika przymocowanego taśmą izolacyjną do konsoli. To urządzenie może włączyć prąd i kontrolować dwa różne obwody. Zgaduję, że druty prowadzą do przedziału torpedowego, gdzie nasz przyjaciel aktywował dwie głowice bojowe. Eksplozja rozerwałaby okręt na drobne kawałki, a nas wraz z nim.

Costas zszedł pierwszy, śledząc przebieg drutów wzdłuż zsuwni. Jack i Katia ostrożnie podążali za nim. Osad łagodził odgłos ich butów. Tylko stłumione echo złowieszczo dudniło w szybie. W połowie drogi zatrzymali się, żeby zajrzeć przez właz do mesy oficerskiej. Lampy oświetliły pościel i pakunki rozrzucone po podłodze.

Chwilę później Costas dotarł do dna zsuwni.

- Dobrze. Światła awaryjne działają także tutaj.

Przedział wypełniony był ciasno upakowanymi stojakami i tylko wąski korytarzyk dawał dostęp do przeciwległego końca. Zostało to tak zaprojektowane, żeby pociski mogły być podawane przez zsuwnię prosto na stojaki i wsuwane automatycznie do rur wyrzutni.

- Normalny zestaw na Projekcie 971U to trzydzieści pocisków powiedziała Katia. - Do dwunastu SS-N-21 samosterujących pocisków sampson i komplet pocisków przeciw okrętom. Ale największe głowice bojowe mają torpedy.

Costas precyzyjnie przeszedł wąskie przejście między stojakami po lewej stronie środkowego korytarzyka. Po chwili klęczenia na czworakach wstał z triumfalnym błyskiem w oku.

- To te dwie kołyski przed wami. Dwie torpedy 65-76 kit. Największe, jakie kiedykolwiek zbudowano, długie prawie na jedenaście metrów. Każda mieści 450 kilogramów materiału wybuchowego, co wystarczy, żeby zrobić

dziurę w opancerzonym tytanem kadłubie ciśnieniowym. Dezaktywacja głowic bojowych i usunięcie drutów nie powinno sprawić mi kłopotu.

- Od kiedy jesteś ekspertem od rozbrajania rosyjskich torped? - zapytał Jack z powątpiewaniem.

- Za każdym razem, kiedy próbuję czegoś nowego, udaje mi się. Powinieneś o tym wiedzieć. - Costas nagle spoważniał. - Nie mamy wyboru. To zapalniki elektromagnetyczne, a obwód po tylu latach w tym środowisku może być przездzewiały. Są prawdopodobnie niebezpiecznie niestabilne, a nasz sprzęt może zakłócić pole elektromagnetyczne. Tego problemu nie możemy zostawić bez rozwiązania.

W porządku, wygrałeś. - Jack spojrział na Katię, która kiwnęła głową, że się zgadza. - Zrób to, skoro zaszliśmy już tak daleko.

Costas położył się na plecach w przesmyku między stojakami i odpychał się stopami poty, póki jego głowa nie znalazła się na wysokości jednej trzeciej torped. Uniósł maskę i skrzywił nos, gdy po raz pierwszy nabrał powietrza w łodzi podwodnej, nie korzystając z dobrodziejstwa filtra.

Jack i Katia stali obok. Jack w wąskim przejściu po lewej stronie, Katia w szerszym, środkowym korytarzu. Widzieli zwróconą ku górze twarz Costasa leżącego na pokładzie między torpedami. Wsunął się pod torpedę leżącą obok Jacka, aż jego głowa znalazła się tuż pod nią.

- Mamy szczęście. Torpedy zaopatrzone są w odkręcaną wtyczkę w zewnętrznej obudowie, która pozwala na ręczne uzbrojenie torped, na wypadek awarii elektroniki. Wtyczka w tej torpedzie została odkręcona i druty wchodzi do środka. Powinno mi się udać dosięgnąć i wyłączyć zapalnik, a potem odciąć drut. - Costas odtoczył się na bok i obejrzał drugą torpedę. - Z tą jest tak samo

Pamiętaj, że te rzeczy są bardzo wybuchowe - przestrzegła Katia. - Nic są elektryczne jak większość torped, ale działają na naftę nadtlenkiem wodoru. „Kursk” został zniszczony na Morzu Barentsa w 2000 roku przez wybuch nadtlenku wodoru z torpedy 65-76, takiej jak ta.

Costas skrzywił się i kiwnął głową, że rozumie. Przetoczył się z powrotem i leżał bez ruchu między dwoma stojakami. Lampa, którą miał na głowie świeciła prosto w górę.

- O co chodzi? - zapytał Jack.

Stawiam się w sytuacji naszego przyjaciela. Jeśli on i jego kumple tak fanatycznie podchodzili do kwestii obrony łodzi podwodnej, to musieli mieć plan awaryjny na wypadek, gdyby wszyscy zginęli. Musieli założyć, że wrak zostanie w końcu znaleziony. Myślę, że zaminował ten detonator. To byłoby zbyt proste.

- Co proponujesz?
- Jest jedna oczywista możliwość. - Costas sięgnął do pasa z narzędziami i wyciągnął urządzenie wielkości kieszonkowego kalkulatora. Dostrzegli zielony poblask ciekłokrystalicznego ekranu, gdy uruchomił czujnik. Podniósł urządzenie do drutu, który biegł między torpedami tuż nad jego głową i ostrożnie przytrzymał je za pomocą miniaturowego zacisku.

- Chryste. Jest tak, jak myślałem.

- Co takiego?

- To wolt-ampereometr. Pokazuje pozytywny odczyt piętnastu miliamperów. Ten drut jest pod napięciem.

- Jak to ma znaczenie? - zapytał Jack.

- To znaczy, że druty są podłączone do baterii. Główna bateria ołowiowo-kwasowa okrętu ma prawdopodobnie wystarczająco dużo zgromadzonego napięcia, żeby dawać prąd o niskim natężeniu. Instalacja elektryczna musi być założona jako pętla od bieguna dodatniego do ujemnego baterii, z przełącznikiem w przedziale sonarowym jako aktywatorem i dwiema głowicami bojowymi łączącymi obwód. To ryzykowny układ, ale oni musieli założyć, że napięcie będzie za słabe, żeby zdetonować głowice. Zapalnikiem jest nagły przepływ prądu, gdyby ktoś próbował odłączyć druty. Gdy rozłączysz aktywator zapalnika głowic, otrzymasz natychmiastowy wzrost napięcia. Ten sam efekt uzyska się, wyłączając kontakt w przedziale sonarowym. Wyparowalibyśmy, zanim zdążyłbym zdjąć palce z drutu.

Jack westchnął głęboko i usiadł pod ścianą.

- No to co robimy?

- To prąd stały, toteż wzrost napięcia będzie jednostronny. Jeśli przetnę drut ujemny, nastąpi wzrost napięcia i nie będzie nas. Jeśli przetnę dodatni, wszystko się rozłączy, a my będziemy bezpieczni.

- Który jest który?

Costas odwrócił głowę na prawo i spojrzał z żalem na Jacka.

- Nasz przyjaciel może się śmiać ostatni. Przy takim niskim napięciu nie można tego stwierdzić.

Jack położył się w korytarzu i zamknął oczy. Po chwili Costas znów się odezwał.

- Żeby zainicjować bombę zapalnikiem elektrycznym, trzeba umieścić drut bezpośrednio w materiale wybuchowym detonatora albo głównego ładunku. Musieli otworzyć głowice, żeby wprowadzić drut. Po stronie Katii jest więcej miejsca na manewr, więc wydaje mi się, że tam podłączono przewód. To oznaczałoby, że ten po mojej lewej stronie jest dodatni.

Costas odwrócił się w stronę Katii i odepchnął jak najdalej od torpedy. Wyciągnął lewe ramię pod stojakiem i dotknął drutu wychodzącego z torpedy. Opuścił rękę na pokład i zaczął oskrobywać nalot.

- Czuję drut.

Katia odsłoniła jego dalszą część i wyciągnęła go, aż napiął się na odcinku prowadzącym do zsuwni uzbrojenia. Podbiegła i popatrzyła w górę.

- Prowadzi z powrotem do przełącznika - oznajmiła.

- Zgadza się. Teraz mam pewność. Costas cofnął ramię i sięgnął do pasa po uniwersalny przyborek. Wysunął przecinak do drutu. Guma kombinezonu chroniła go przed wstrząsem elektrycznym, chociaż mogło się zdarzyć, że nie pożyłby tak długo, żeby się tym przejąć.

Znów odwrócił głowę do Jacka.

- Zgadzasz się ze mną?

- Zgadzam.

Costas znów przyjął poprzednią pozycję. Lewą ręką trzymał przecinak przy drucie zwisającym z wtyczki w obudowie torpedy.

Przez kilka sekund leżeli bez ruchu. Słychać było tylko kapanie skondensowanej pary i płytkie, chrapliwe oddechy z ich respiratorów. Katia i Jack patrzyli na siebie ponad stojakami na torpedy.

Costas pocił się pod maską, więc podniósł ją prawą ręką, żeby lepiej widzieć. Ściągnął rękawicę, zaciskając ją między kolanami i otarł czoło. Popatrzył z determinacją na przewód.

Na ułamek sekundy, kiedy dotknął ostrzami przecinaka drut, Katia mocno zacisnęła powieki. Nacisnął, rozległo się głośnie trzaśnięcie. Potem cisza.

Cała trójka wstrzymała oddech, wydawało się, że na wieczność. Costas wypuścił powietrze i opadł na pokład. Po chwili schował przyborek z powrotem podłączył maskę i respirator. Odwrócił głowę do Jacka. Oczy mu błyszcząły.

Widzisz? Nie ma problemu.

Jack miał w oczach coś bardzo starego i zmęczonego. Patrzył wzrokiem człowieka, który o jeden raz za dużo spojrział śmierci w oczy. Przeniósł spojrzenie na Costasa i zdobył się na nikły uśmiešek.

- Nie ma problemu.

Przy wejściu do komory torpedowej Costas wyjął z pasa następny gadżet, żółte pudełko o rozmiarach telefonu komórkowego. Otworzył wieczko, pod którym znajdował się mały, ciekłokrystaliczny ekranik jarzący się ciemnozielone

GPS - oznajmił. - Powinien zadziałać.

- Może tu pracować? - zapytała Katia.

Na ekraniku pojawiła się seria liczb.

- To pudełko to nasza specjalność, połączenie podwodnego akustycznego odbiornika GPS i komputera nawigacyjnego - powiedział Jack. - Z wnętrza łodzi podwodnej nie możemy wysyłać fal akustycznych, więc nie mamy dostępu do GPS. Załadowaliśmy więc specyfikacje okrętu tej klasy wzięte z bazy danych IMU i skorelowaliśmy je z serią namiarów GPS, które zrobiliśmy za pośrednictwem boi powierzchniowej podczas porannego rekonesansu na aquapodach. Komputer pozwoli nam nawigować wewnątrz tak, jakbyśmy mieli GPS.

- Mam - oznajmił Costas. - Na aquapodzie wziąłem namiar w miejscu, w którym schody nika pod łodzią podwodną. To jest na lewej burcie, tam gdzie znajduje się przedział torpedowy. Namiar dwieście czterdzieści jeden stopni od naszej obecnej pozycji, siedem, przecinek sześć metrów w przód i dwa metry w dół. To stawia nas tuż nad stojakami na pociski, tuż przed zbiornikiem balastowym z lewej burty.

Costas zaczął szukać przejścia między ciasno ustawionymi stojakami, ale Katia złapała go za ramię.

- Zanim odejdziemy, powinniście coś zobaczyć.

Wskazała środkowe przejście w komorze torpedowej tuż za miejscem, gdzie kilka minut temu leżeli w śmiertelnym strachu.

- Ta komora powinna być pusta, żeby można było zdejmować pociski ze stojaków i przenosić je do rur. A jest zagracona.

Powinno im się to od razu rzucić w oczy, ale byli tak skoncentrowani na saperskiej pułapce, że stracili z pola widzenia resztę pomieszczenia.

- To dwie skrzynie, ustawione jedna na drugiej. - Costas wszedł w wąskie przejście między skrzyniami a stojakami. Jego głowa wystawała z nad nich. - Z tyłu są jeszcze dwie. - Głos Costasa był przytłumiony. Razem sześć, każda ma około metra długości i pół metra szerokości. Musiano je spuścić po zsuwni i ułożyć za pomocą dźwigu do torped.

- Czy to skrzynie z bronią? - zapytał Jack.

Costas wynurzył się i strząsnął biały pył, który na nim osiadł.

- Są za krótkie na torpedy czy pociski i za szerokie, żeby móc je wystrzelić przez rury. Musielibyśmy jedną otworzyć, ale nie mamy sprzętu ani czasu.

Są jakieś oznakowania. - Katia kucnęła przy niżej leżącej skrzyni i energicznie ścierała osad. Gdy biały nalot opadł, ukazała się metaliczna powierzchnia z wybitymi dwoma grupami znaków. Kody radzieckiego Ministerstwa Obrony - wskazała na wyższą grupę symboli. - To broń.

Przesunęła dłoń ku wyższej grupie i przyjrzała się jej bliżej.

- Elektro... - Głos jej się załamał. - Elektrochimprigor.

Zaczęli myśleć o czymś nie do pomyślenia.

- Kombinat Elektrochimprigor powiedziała cicho Katia. - Inaczej zwany zakładem numer 418, główna radziecka fabryka broni termojądrowej.

Costas oparł się ciężko o stojak na torpedy.

- Matko Boska. To pociski nuklearne. Każda z tych skrzyń ma mniej więcej wymiary głowic bojowych SLBM.

- Typu SS-N-20 Jesiotr, żeby być dokładnym. - Katia wstała i zwróciła się do dwóch mężczyzn. - Każda z nich jest pięć razy potężniejsza niż bomba zrzucona na Hiroszimę. Skrzyń jest sześć, po dziesięć głowic bojowych. Przerwała i zapatrzyła się na skrzynie. - Nic dziwnego, że władze zrobiły wszystko, zachować w tajemnicy stratę tego okrętu. Później zdarzyło się jeszcze kilka zniknięć, szczególnie w porcie macierzystym „Kazbeka”, w Sewastopolu. Teraz myślę, że była to czystka w stalinowskim stylu. Egzekucje nie zostały zauważone w tamtym roku, bogatym w wydarzenia.

- Sugerujesz, że te głowice zostały skradzione? - zapytał z niedowierzaniem Costas.

Sowieccy wojskowi byli bardzo rozczarowani po wojnie afgańskiej w latach osiemdziesiątych. Marynarka wojenna zaczęła się rozpadać, okręty szły w odstawkę, załogi zostawały bez pracy. Żołd był katastrofalnie mały albo w ogóle go nie było. Podczas tych kilku ostatnich lat Związku Radzieckiego sprzedano na Zachód więcej informacji wywiadowczych niż w najgorętszym okresie zimnej wojny.

- A jak do tego ma się Antonów? - zapytał Costas.

- To był człowiek dobrze działający w cuglach, ale kiedy popuszczono lejców, stał się niebezpieczny. Nienawidził głośności i pierestrojki i zaczął gardzić reżimem za jego znowę z Zachodem. Cała sprawa wygląda na jego ostateczny akt nieposuszeństwa

- Skoro władza nie mogła już uderzyć w Zachód, mógł to zrobić przynajmniej on - mruknął Costas.

- A jego załoga poszłaby za nim do piekła, szczególnie gdyby obiecano pieniądze.

- Dla kogo wiozł te głowice?

- Dla Saddama Husajna w Iraku, dla talibów w Afganistanie, dla Hamasu w Syrii, dla Koreańczyków z północy. To był rok 1991, pamiętajcie.

- Musiał być jakiś pośrednik - powiedział Jack.

- Sępy już krążyły, nawet przed upadkiem Związku Radzieckiego - odparła ponurym głosem Katia

- Nie doceniłem naszego przyjaciela, oficera politycznego powiedział cicho Costas. - Może był fanatykiem, ale uratował ludzkość od znacznie gorszej katastrofy.

- Jeszcze się nie skończyło. - Jack wyprostował się. - Gdzieś tam czeka niezadowolony klient, ktoś, kto wszystko obserwował i czekał od lat. A jego potencjalni odbiorcy są gorsi niż byli kiedyś, to terroryści powodowani nawiścią.

Niebieska poświata oświetlenia awaryjnego łodzi podwodnej zaledwie przebijała się przez mrok w przedniej części komory torpedowej. Costas włączył swoją lampę i ruszył przez labirynt stojaków na broń w stronę miejsca, którego koordynaty podał mu odbiornik. Jack i Katia szli tuż za nim, ich kombinizony nabierały widmowego odcienia od ciągłego ocierania się o pokryte białym nalotem powierzchnie. Przecisnęli się przez ostatni korytarzyk i przykucnęli w rzędki w wąskim przejściu przylegającym do kadłuba.

Costas oparł się o ścianę. Zaczepił palce o metrowej długości kratę w podłodze.

- Dalej!

Nachylił się do przodu i pociągnął z całej siły. Krata puściła z metalicznym zgrzytem, obsypując wszystko osadem. Jack podpełzł, żeby pomóc odstawić ją na bok. Costas przerzucił nogi i zajrzał w ciemność na dole. Opuścił się tak, że z góry widać było tylko hełm.

- Jestem na pokładzie nad zębami - powiedział. - Niżej już nie można zejść, chyba że chce się brodzić w toksycznej zupie. - Wyjął z kieszeni GPS.

Jack dał krok nad dziurą, żeby zrobić przejście dla Katii. Wszystkie trzy lampy na ich hełmach oświetlały teraz zielonkawy ekranik.

- No właśnie. - Costas podniósł wzrok znad urządzenia i patrzył na obudowę odległą od niego o długość ramienia. Jestem pięć metrów nad punktem, w którym schody nikną pod okrętem. Dokładnie nad celem.

- Jak wygląda obudowa? - zapytał Jack.

- Mamy szczęście. „Kazbek” prawie na całej długości ma podwójny panerz: wewnętrzną obudowę ciśnieniową i zewnętrzny kadłub hydrodynamiczny oddzielony dwudziestocentymetrową warstwą gumy. Daje to lepszą izolację akustyczną i zapewnia miejsce dla zbiorników z balastem. Ale tuż przed dziobem kadłub staje się pojedynczy, żeby zapewnić więcej miejsca w środku, tam gdzie okręt się zwęża.

Katia pochyliła się.

- Czegoś tu do końca nie rozumiem. Między nami a skałą znajduje się dwudziestocentymetrowa ściana metalu. Jak się przez to przedostaniemy?

Costas wykręcił szyję, żeby spojrzeć na Katię. Przyłbicę otworzył już przy rozbijaniu głowic i mieszanina potu z białym nalotem dawała efekt dziwnych barw wojennych.

- A amplifikacja światła przez stymulowaną emisję promieniowania?

Katia chwilę myślała.

- Laser?

- Dobra odpowiedź.

W tej chwili za nimi rozległ się metaliczny stukot. Przed opuszczeniem komory z uzbrojeniem Costas wysłał sygnał do Bena i Andy'ego w DSRV z instrukcją, jak dostać się do przedziału torpedowego. Obaj marynarze pojawili się teraz w pełnych kombinezonach, objuczeni torbami ze sprzętem.

Będzie nam potrzebna spora dziura - powiedział do nich Costas. - Chodźcie tutaj i pomóżcie mi.

Jack i Katia podnieśli dwie kolejne kraty, żeby marynarze mogli się opuszczać na pokład nad zębami. Gdy tylko znaleźli się na dole, otworzyli torby i zaczęli składać urządzenie.

Costas narysował kredą na metalowej ścianie koło mniej więcej metrowej średnicy. Odsunął się, a marynarze rozstawili urządzenie. Wyglądało jak miniatura modułu księżycowego LEM - kilka przegubowych nóg wystawało z centralnego modułu wielkości peceta. Ben trzymał moduł naprzeciwko miejsca wyznaczonego przez GPS, zaś Andy rozstawił nogi urządzenia wokół narysowanego kredą koła. Po krótkim sprawdzeniu nacisnął przełącznik

i przyssawki przylepiły się do kadłuba. Jednocześnie wysunęło się kilka prętów, spinając aparaturę w jeden nieruchomy przyrząd.

Ben wyciągnął z obu stron modułu teleskopowy tubus. Z jednej strony celował on w kredowy krąg, z drugiej mierzył w ciemność poniżej kratownic podłogi. Po lewej stronie modułu znajdowało się otwarte pudełko o szerokości około pół metra. Nad tubusem był celownik, a pod nim ręczka i spust.

Po szybkim przeglądzie Ben włączył kabel, który ciągnęli za sobą z DSRV Ciekłokrystaliczny ekran z tyłu modułu ożył. Pojawiła się na nim sekwencja odczytów. Potem ekran zrobił się pusty i wyskoczyły na nim ikony programów.

- Dobra robota, chłopaki powiedział Costas. - A teraz wprawimy dziewczynkę w ruch.

Wstukał serię komend. Jego wzrok przeskakiwał od klawiatury do ekranu. Gdy program się uruchamiał, Costas przycisnął oko do celownika i wprowadził za pomocą dwóch dżojstików małe poprawki do ustawienia tubusu.

W niecałe pięć minut po podłączeniu mocy odsunął się i popatrzył na Jacka.

- Jesteśmy gotowi.

- Zaczynaj.

Costas schwytał ręczkę spustu. Nacisnął, a lampa katodowa nad klawiaturą zaczęła migać bursztynowym światłem.

- T minus sześćdziesiąt sekund.

Światło przekształciło się w zielone i już nie mrugało.

- Można ciąć - oznajmił Costas.

- Ile to zajmie czasu? - zapytał Jack.

- Dwie minuty. Moglibyśmy przebić się przez obudowę jak przez masło, ale wyczerpałoby to baterie na DSRV. Nawet to, co teraz robimy, naruszy nasz margines bezpieczeństwa, jeśli mamy zamiar użyć DSRV do powrotu na „Seaquesta”. - Costas spojrzął na Katię, na jego twarzy malowało się tłumione podniecenie. - To, co widzisz, jest pracującym w podczerwieni, zamkniętym półprzewodnikowym laserem gazowym - wyjaśnił. Kiedy podłączy się to cacko do dwóch srebrno-cynkowych baterii DSRV, uzyska się promień o średnicy dziesięciu, koma sześć mikronów i napięciu dziesięciu kilowoltów.

Jack chrząknął zniecierpliwiony, gdy Costas sprawdzał chronometr i naciskał przełącznik na klawiaturze.

- Celownik to urządzenie naprowadzające, które pozwala nam wystrzelić promień prostopadle w stosunku do krzywizny kadłuba - mówił dalej Co-

staś. - Laser wypala teraz w obudowie dziurę o przekroju jednego centymetra. Wystrzeliłem jednostronny impuls, który pozwala wyciskać materiał, jednocześnie nie wpuszczając do środka wody morskiej.

- W teorii - dodał Jack.

- Zimny prysznic dobrze nam zrobi.

Moduł zaczął wydawać niski, ostrzegawczy dźwięk. Costas znów zajął miejsce za ekranem i przeprowadził serię przeglądów urządzenia. Po chwili znów ujął rączkę prawą dłonią.

- Promień automatycznie się wyłącza na pięć milimetrów przed ukończeniem cięcia. Teraz reaktywuję laser.

Nacisnął spust i zamarł. Po kilku chwilach zielone światło nagle zmieniło się w pulsujący bursztyn. Costas zerknął w celownik, pot z czoła kapał na tubus. Oparł się i odprężył.

Przebiliśmy się.

Costas odsunął się, żeby dać Benowi miejsce przy konsoli. Razem skończyli programowanie otwartego pudełka po lewej stronie modułu. Świeciła w nim zielono siatka linii jak zarys sceny miniaturowego teatru.

- Ben ma większą praktykę - powiedział Costas. - Niektóre z programów są tak nowe, że nie miałem okazji pobawić się nimi przed wypłynięciem na wykopaliska do minojskiego wraku.

- Chcesz powiedzieć, że wcześniej tego nie wypróbowałeś? - zapytała Katia.

- Zawsze musi być pierwszy raz.

Katia na chwilę zamknęła oczy. Mimo całej tej technologii i wojskowej strategii, wyglądało na to, że operacje IMU, nie wyłączając rozbijania saperskich pułapek, opierają się na prowizorce.

- A teraz nasze maleństwo będzie pracować samo - entuzjasmował się Costas. - To jeden z najbardziej zaawansowanych technicznie laserów wielozadaniowych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Obserwujcie to pudełko.

Zgniła zieleń luminescencji zmieniła się w błyski maleńkich cząstek, pulsujących co kilka sekund. Obraz stawał się coraz bardziej złożony, a linie wyrazistsze. Po minucie obraz stał się trójwymiarowy, jakby ktoś wcisnął do środka zielony, jarzący się kit i wymodelował miniaturową grootę.

- Hologram! - krzyknęła Katia.

- Tak. - Costas nie odrywał wzroku od obrazu. - Faza druga polega na wprowadzeniu w dziurę promienia ultrafioletowego lasera o niskiej energii. To urządzenie odwzorowujące sporządza szkic, który ukazuje się w pudełku

jako hologram. Można tak nastawić laser, żeby promień odbijał się od materiału o żądanej gęstości, w tym wypadku jest to pęcherzykowaty bazalt wulkanu.

Jack popatrzył na Katię.

- Wykorzystujemy to do sporządzania replik artefaktów - powiedział. -

Dane obiektu przenosi się na laser wysokiej częstotliwości pracujący w podczerwieni, który jest w stanie obrobić praktycznie każdy materiał z dokładnością do jednego mikrona, czyli mniejszą niż cząsteczka kurzu.

- To on stworzył syntetyczną, polimerową kopię złotego dysku z minojskiego wraku?

Jack kiwnął głową.

- IMU wyprodukowało także sprzęt potrzebny do wykonania reprodukcji rzeźb, zagarniętych przez lorda Elgina z ateńskiego Partenonu.

Costas nachylił się nad konsolą.

- Dobrze, Ben, maksymalna rozdzielczość.

Przyływ zielonego pulsowania zaczął wyostrzać obraz, którego zarys ukazał się przed chwilą. Mogli już rozpoznać bulwiaste bazaltowe występy, ścianę lawy sformowaną na tysiące lat, zanim pierwsze hominidy dotarły do tych brzegów.

Katia pierwsza spostrzegła regularny kształt u dołu obrazu.

- Widzę schody! - krzyknęła.

Patrzyli, jak poziome linie stają się jednoznaczne. Ostatnie sześć stopni wiodących z powierzchni urwiska kończyło się platformą szeroką na sześć metrów. Wyżej skalista przewieszka sięgała równie daleko jak okręt podwodny, całkowicie odcinając platformę.

Ben rozpoczął odliczanie wedle pulsowania lasera.

- Dziewięćdziesiąt siedem... dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt dziewięć... sto. Wprowadzanie rozdzielczości zakończone.

Oczy wszystkich zwróciły się na ciemną wnękę pośrodku obrazu. To, co z początku wyglądało na nieprzezroczystą mgiełkę, ukazało się jako prostokątna nisza wysoka na cztery metry i szeroka na trzy. Był to tył platformy nad schodami. Widać było, że wykuto ją w skale.

Kiedy skaner przestał pracować, nisza zaczęła być doskonale widoczna. Pośrodku zobaczyli pionową bruzdę od podłogi do sufitu. Poziome bruzdy rozciągały się wzdłuż górnego i dolnego krańca. Każdy z paneli ozdobiony był doskonale rozpoznawalnym wygiętym w kształcie litery U symbolem byczych rogów.

Costas cicho gwizdnął, a Katia nachyliła się, żeby lepiej widzieć.

Jack poszperał w kieszeni kombinezonu i wyjął Zmięty kawałek papieru. Po cichu przeczytał tłumaczenie Dillena.

- „Wielkie złote drzwi do cytadeli”.

Costas podniósł wzrok na przyjaciela i zobaczył znajomy błysk podniecenia.

- Nie ręczę, że to złoto - powiedział Jack. - Ale mogę wam powiedzieć jedno. Znaleźliśmy bramę do Atlantydy.

16

Jack obserwował Katię stojącą po drugiej stronie przejścia. Nachylała się nad dziurą, rozmawiając z Costasem, ledwie mieszcząc się między stojakami a obudową kadłuba. Tańczące światła lamp na ich hełmach zdawały się powiększać grobowy mrok panujący wokół. Chciałoby się usłyszeć chociaż jęk starych grodzi, jakieś oznaki niedoskonałości, które dodają życia kadłubom statków. Musiał przypomnieć sobie, że „Kazbeka” zwodowano niecałe dwadzieścia lat temu i okręt nadal mógł wytrzymać wielokrotnie większe ciśnienie niż to, któremu był teraz poddany. Wydawało się to sprzeczne z widmowym wnętrzem, z całunem osadu, który wyglądał tak, jakby nawarstwiał się przez całe eony, jak nacieki w jaskini z wapienia.

Jack spojrzął przypadkiem w ciemność za sobą i poczuł nagły skurcz, wstrząs wywołany pierwotnym strachem, którego nie był w stanie kontrolować.

Nie może pozwolić, żeby to się znowu stało.

Nie tutaj. Nie teraz.

Oderwał wzrok od wnętrza i skupił się na tym, co działo się pod nim. Na chwilę zamknął oczy i zacisnął zęby. Musi zebrać wszystkie siły, żeby zwalczyć koszmarny atak klaustrofobii. Nerwowość ostatnich godzin sprawiła że stał się znów wrażliwy na to uczucie, jakby w jego zbroi pojawiła się szczelina.

Trzeba uważać.

Wyrównał oddech. Costas spojrział na niego i wskazał na holograficzny obraz powierzchni urwiska. Był to ostateczny dowód, że znajdują się dokładnie nad celem.

- Faza trzecia to przebicie się przez kadłub do tego wejścia - powiedział do Katii.

- Nie ma problemu, jak byś pewnie powiedział.

Rozległ się nagły syk, jakby odgłos wody uchodzącej przez zawór chłodnicy.

- Między pancierzem łodzi podwodnej a urwiskiem jest pięciometrowa luka - wyjaśnił Costas. - Musimy stworzyć coś w rodzaju tunelu ratunkowego. - Wskazał cylinder przyłączony do modułu. - Jest wypełniony płynnym silikatem, elektromagnetycznym hydrosilikatem 4 albo EH-4. Nazywamy to magicznym szlamem. Ten syk bierze się z tego, że gaz pod ciśnieniem wyciska go przez dziurę, którą właśnie zrobiliśmy w kadłubie. Zastyga jak galareta.

Przerwał, żeby popatrzeć na wskazania ekranu. Kiedy doszły do stu, syk gwałtownie ustał.

- Dobrze, Andy, wytłaczanie zakończone.

Andy zamknął zawór i podłączył drugi cylinder.

Costas odwrócił się do Katii.

- Mówiąc zrozumiałym językiem, robimy nadymaną komorę, przedłużenie kadłuba łodzi podwodnej zrobione z silikatu.

- Z tego magicznego szlamu.

- Tak. To dzieło Lanowskiego.

- A tak. - Katia skrzywiła się na wspomnienie nowo przybyłego z Trabzonu faceta, który podał w wątpliwość jej wiedzę na temat okrętów podwodnych.

- Może nie jest idealnym kompanem na proszony obiad powiedział Costas - ale to naprawdę geniusz polimerów. Przejeliśmy go z MIT, kiedy amerykański Departament Obrony zakontraktował IMU do znalezienia sposobu na zabezpieczenie wraków okrętów z II wojny światowej, zatopionych w Pearl Harbor. Wynalazł uszczelniacz hydrauliczny, który jest w stanie potrójnie wzmocnić szczątki metalowych kadłubów, usunąć niszczący osad soli z rdzewiejącego żelaza i powstrzymać korozję. Tutaj, rzecz jasna, wykorzystujemy jego wynalazek w inny sposób. Odkrycie Lanowskiego okazało się również doskonałym czynnikiem wiążącym dla pewnych minerałów krystalicznych.

- Jak robicie z tego bańkę? - zapytała Katia.

- To najbardziej pomysłowa rzecz w całej tej historii.

Ben i Andy byli zajęci montowaniem kolejnej części modułu lasera. Wokół wyrysowanego kredą koła umieścili obręcz z małych urządzeń, które przymocowali do kadłuba przyssawkami. Od urządzeń biegły druty do panelu kontrolnego przy konsoli.

- To są diody. - Costas wskazał urządzenia. Półprzewodniki. W każdym znajduje się cewka, działająca jak magnes, przez który przepuści się prąd. Kabel z DSRV podłączony jest do panelu kontrolnego, z którego wychodzą te druty. Użyliśmy tego kabla, żeby naładować baterię rezerwową, toteż możemy działać samodzielnie, jeśli będzie taka potrzeba. Tak czy inaczej, mamy wystarczająco duże napięcie, żeby przebić promieniowaniem elektromagnetycznym pancierz kadłuba.

Costas usunął się na bok w coraz ciasniejszym pomieszczeniu, żeby marynarze mogli zająć miejsca za panelem kontrolnym.

- Wytłoczona mieszanka zawieszona jest w płynnym dwutlenku węgla wyjaśnił. - Roztwór jest gęstszy od wody morskiej, a ciśnienie na tej głębokości nie pozwala mu rozpaść się na krople. Przeciwdziałające powstawaniu echa pokrycie łodzi podwodnej działa jak papier ścierny - powstrzymuje mieszankę przed odpłynięciem.

Marynarze wywołali obraz holograficzny na monitorze komputera. Andy odczytywał koordynaty, a Ben wystukiwał liczby na klawiaturze. Każda załadowana informacja pojawiała się na ekranie w kształcie małego czerwonego krzyżyka. Zaczęły się one układać w nieregularny okrąg wokół drzwi.

- Lanowski wypracował sposób na wykorzystanie nanotechnologii kryształu do wywołania siatki magnetycznej w roztworze kontynuował Costas.

- W tej chwili mieszanina jest jak upłynnione włókno szklane, z milionami małych włókienek ściśniętych jedno przy drugim. Jeśli strzeli się w nic promieniowaniem elektromagnetycznym, szczepią się ze sobą w twardą jak skała zązębiającą się sieć, ustawioną według kierunku pulsacji.

- Jak beton wzmocniony stalą - powiedziała Katia.

- Dobre porównanie. Tylko że nasz materiał jest około stu razy silniejszy niż jakkolwiek inny materiał budowlany.

Krzyżyki ułożyły się w okrąg, a na panelu kontrolnym rozbłysło zielone światło. Andy zsunął się z miejsca i Costas zajął jego miejsce przed pudełkiem z hologramem.

- No, dobrze. - Costas wyprostował się. - Zróbmy to.

Ben nacisnął przełącznik na panelu. Rozległo się niskie buczenie i światło otaczające obraz zaczęło pulsować. Licznik procentów szybko doszedł do stu i rozbłysnął na zielono.

- Sprawa jest w toku. - Costas spojrział na Katię. Twarz miał zaczerwienioną z podniecenia. - Właśnie przepuściliśmy prąd elektromagnetyczny o napięciu stu czterdziestu woltów przez diody, magnetyzując EH-4 w kształt okręgu, który został ułożony w grubej na centymetr membranie na koordynaty, na monitorze zaznaczone jako krzyżyki. Komora ma kształt stożka, którego szerszy koniec opasuje całą skalną platformę. - Postukał w klawiaturę. - Prąd wiąże membranę z obudową kadłuba jak ciągłą stałą masę. Próbnik pokazał, że bazalt jest w wysokim stopniu namagnetyzowany, więc prąd był w stanie przebiec po ścianie mimo jej nieregularnej powierzchni.

Andy rozłączył druty wiodące od diod do panelu tranzystora.

- Teraz, kiedy wysłaliśmy już początkowy ładunek, potrzebne nam będą tylko dwa druty, żeby podtrzymać napięcie - powiedział Costas. - Usunięcie wszystkich pozwoli nam podejść do obudowy i zakończyć ostatnie stadium.

- Przecięcie kadłuba - zapytała Katia.

Kiwnął głową.

- Najpierw musimy osuszyć przedział. Andy zaraz włączy urządzenie próżniowe, które wysysie wodę przez dziurę i zrzuci ją do wnętrza kadłuba. Zęby wytrzymają jeszcze jeden metr. Ta łódka i tak już nigdzie nie popłynie.

- Na razie nie - powiedział Jack. W milczeniu przyglądał się procedurom z korytarza. Kombinezony i urządzenie laserowe wyglądały jak scena z filmu science fiction, jego myśli zaprzętała groźba atomowej zagłady. Ich obowiązkiem było jej zapobiec.

- Gotowi do włączenia pompy - powiedział Ben.

Costas nacisnął przełącznik i szum transformatora został przygłuszony wyciem silnika elektrycznego. Kilka sekund później usłyszeli wodę wlewającą się w ciemność pod pokładem.

- Jednocześnie wstrzykujemy tam powietrze o zwyczajnym ciśnieniu - powiedział Costas. - Membrana jest wystarczająco silna, żeby zapobiec implozji pod ciężarem wody morskiej.

Woda nagle przestała lecieć i Andy wskazał na ekran.

- Jest już sucho - oznajmił. - Zaczynam fazę czwartą.

Jack pochylał się i z napięciem spoglądał w pudełko z hologramem, pilnując, czy na powierzchni urwiska pojawiły się jakieś zmiany. Pulsujący obraz wskazywał, że skaner został reaktywowany i przekazuje dane do konwertera holograficznego.

- Osadzone w skale drzwi są chyba na miejscu - powiedział.
- Costas spojrział na hologram.
- Próbnik wykrył mały przeciek wzdłuż progu. Jest tak, jak przewidywaliliśmy.
- Ułożyliśmy ten scenariusz poprzedniego wieczoru na „Seaqueście” - wyjaśnił Jack. - Założyliśmy, że schody prowadzą do jakiegoś wejścia. Założyliśmy też, że woda morską dostała się do środka i zalała wszystko, co tam jest. Fakt, że drzwi nie otworzyły się pod ciężarem wody, która jest w środku, wskazuje, że musi tam być wykuty w skale próg, który nie pozwala im otworzyć się na oścież. Ze względu na obecność siarkowodoru, który wyzera wszelkie osady wapniowe, występuje tu bardzo mało narośli morskich
- Spod nich dobiegł nagle szum tryskającej wody. To włączyła się pompa próżniowa, żeby usunąć kałużę gromadzącą się po drugiej stronie komory.
- Musi tam być jakiś rodzaj zamka - mruknął Jack. Jeśli to naprawdę droga do wnętrza Atlantydy, na pewno założono skomplikowane zabezpieczenia, żeby ustrzec się przed niechcianymi gośćmi.
- Nie ma wyjścia, musimy się zamoczyć - powiedział Costas.
- Zamoczyć się? - Katia wyglądała na zdziwioną.
- To jedyny sposób, żeby dostać się za te drzwi - wyjaśnił Costas. Wyjdziemy w suchą przestrzeń, ale potem będziemy musieli uszczelnić kadłub i zalać komorę. Jeśli drzwi otwierają się do środka, trzeba będzie wyrównać ciśnienie po obu stronach. Kiedy już wejdziemy do środka, znajdziemy się pod wodą i będziemy tam aż do wyjścia na powierzchnię morza.
- Ben i Andy wprowadzali ostatnie poprawki do automatycznego ramienia sięgającego z centralnego modułu lasera do punktu tuż nad narysowanym kredą okręgiem. Po sprawdzeniu położenia Ben wepchnął na miejsce trzpień mocujący ramię, a Andy usiadł za konsolą i wstukał kilka komend.
- Costas nachylił się, żeby sprawdzić urządzenie.
- To ramię jest wysięgnikiem lasera - powiedział którego użyliśmy do wywiercenia dziury w kadłubie. Obraca się zgodnie z ruchem wskazówek zegara na centralnej osi i powinno bez trudu przeciąć kadłub. Na szczęście okręty klasy „Akuła” wykonane są ze stali, a nie z tytanu.
- Co zrobić, żeby wycięty właz nie wpadł do środka, kiedy komora napęłni się wodą? - zapytała Katia.
- Cięcie skierowane jest od środka, więc wycięta część będzie się otwierać tylko w stronę komory i osiadzie pod wpływem ciśnienia wody, gdy tylko pójdziemy dalej.

Andy odwrócił się do Costasa.

- Wszystkie systemy pracują. Jestem gotowy do rozpoczęcia ostatniej fazy. Costas schwycił za barierkę i ostatni raz dokonał przeglądu sprzętu.
- Włączać.

Katia patrzyła zafascynowana, jak laser zaczął kreślić łuk na kadłubie okrętu. Ramie manipulatora kręciło się wokół centralnego modułu jak olbrzymi cyrkiel kreślارza. Nacięcie miało tylko kilka milimetrów szerokości i biegło wzdłuż linii narysowanej kredą przez Costasa według namiarów GPS. Kiedy promień przebył już pierwszą ćwiartkę, Ben ustawił przy nacięciu małą metalową rurkę. Śmiałym ruchem zmiażdżył miniaturowy cylinderek z dwutlenkiem węgla umieszczony za rurką, z której wystrzelił magnetyczny pasek i wcisnął się w nacięcie, tworząc zawiasy. Dzięki nim wycięta część kadłuba miała się potem otworzyć na zewnątrz.

- Piętnaście minut do wyjścia - powiedział Costas. - Czas się zbierać.

Jack podał Costasowi rękę, żeby pomóc mu wspiąć się na chodnik.

- Kiedy włącz jest zamknięty, nie działa system zabezpieczeń. Nasze życie zależy wyłącznie od wyposażenia i wzajemnej pomocy.

Powoli, metodycznie sprawdził ekwipunek, który założyli na siebie w DSRV. Po skalibrowaniu komputera dekompresji, który nosił na lewym nadgarstku, obejrzał szwy na kombinezonie Katii.

- Siatka z kevlaru jest odporna na skałę i metal - powiedział. - Gumowe szwy dzielą kombinezon na kilka części, więc przeciek nie znaczy, że woda zaleje całość. Ale i tak musimy być ostrożni. Jesteśmy na głębokości prawie stu metrów, poniżej najgłębszej termokliny i temperatura wynosi tutaj zaledwie dwa stopnie Celsjusza. Jest tu równie zimno jak na Atlantyku.

Costas poczekał, aż Jack sprawdzi jego kombinezon i zdjął małą konsolę z lewego ramienia. Była podłączona do rury na plecaku i miała cyfrowy ekranik.

- Kiedy komora zostanie zalana, będziemy wystawieni na ciśnienie otaczającej nas wody, a to prawie dziesięć atmosfer wyjaśnił. - Jest to ta sama głębokość, na której spoczywa minojski wrak, będziemy więc korzystać z naszej wypróbowanej i przetestowanej potrójnej mieszanki. Głębiej mielibyśmy problem z toksycznymi własnościami tlenu. To bardzo ważne, żeby przejście prowadziło w górę, a nie w dół.

- A co z chorobą kesonową? - zapytała Katia.

- Z tym nie powinno być problemu. - Costas z powrotem przypiął konsolkę,

- Na tej głębokości w skład mieszanki wchodzi głównie hel i tlen. Poziom

azotu wzrasta wraz z wynurzaniem. Regulator automatycznie dostosowuje mieszankę wraz ze zmniejszaniem się ciśnienia. Jeśli nie będziemy za długo na dole, powinno nam wystarczyć kilka krótkich postojów dekompresyjnych, żeby nadmiar gazu wyparował z krwiobiegu podczas wznoszenia się.

Będziemy szli do góry - zapewnił ich Jack. - Uważam, że korytarz doprowadzi nas do jakiegoś sanktuarium na szczycie.

- To ma sens z geologicznego punktu widzenia - powiedział Costas. - Przewiercenie się w poziomie przez warstwy sprasowanego bazaltu byłoby zadaniem godnym Herkulesa. Natknęlibyśmy się na szczeliny, a nawet na komin z magmą. Znacznie łatwiej drążyć tunel do góry, wzdłuż jezorów zastygłej lawy, pod kątem zbliżonym do znanej nam części schodów.

No cóż, wiemy już, że ci ludzie byli genialnymi inżynierami powiedziałła Katia, dostrajając swój nadajnik UKF na częstotliwość nadajników kolegów. - Umieeli wyciąć w kamieniu salę wielkości boiska do futbolu, zbudować piramidy większe niż w starożytnym Egipcie. Nie sądzę, żeby drążenie tunelu stanowiło dla nich przeszkodę nie do pokonania. - Umieściła z powrotem konsolę komunikacyjną na hełmie. - Powinniśmy napotkać coś niespodziewanego.

Słychać było tylko niskie buczenie generatora. Laser przeciął już połowę zaznaczonego kręgu. Brzeg przecięcia, inaczej niż w przypadku cięcia za pomocą palnika acetylenowego, nie był poszarpany, ale gładki, jakby obrobiła go jakaś precyzyjna maszyna. Postępy wysięgnika zdawały się odliczać ostatnie minuty przed wkroczeniem w nieznanne.

Kiedy laser wchodził już w ostatnią ćwiartkę, dała się odczuć nagła wibracja, jakby wstrząs ziemi szarpnął całym okrętem. Potem nastąpił głuchy huk i stłumione brzęczenie. Zapadła cisza.

- Włączyć baterie rezerwowe! - rozkazał Costas.

Już są włączone. Nie stwierdzono przerwy w obwodzie.

Elektryczny pomruk powrócił i Andy pociągnął za kabel prowadzący do DSRV. Popatrzył na ekran, szukając informacji o usterekach.

- Co to było, do diabła? - zapytał Jack.

Coś przeszło po kadłubie - odparł Andy. - Nie mogę tego umiejscowić.

- Nie z przodu - dodał Ben. Jesteśmy tylko kilka metrów od dziobu i od razu byłoby wiadomo, gdyby tam coś uderzyło. To musi być rufa, może grodz oddzielająca nas od komory reaktora.

Costas popatrzył ponuro na Jacka.

- Musimy założyć, że DSRV został spalony.

- Jak to spalony? - zapytała Katia.

- Mamy gości.

Jack odciągnął zamek beretty i wprowadził nabój do lufy. Potem pozwolił zamkowi wrócić na miejsce i delikatnie odwiódł kurek bezpiecznika. Gdyby zaszła potrzeba mógłby w ciągu sekundy wystrzelić piętnaście pocisków parabellum kalibru 9 mm.

- Nie rozumiem - powiedziała Katia. - Czy to nasi?

- Niemożliwe - odparł Costas. - Sztorm potrwa do jutra rana, jeszcze dwanaście godzin. „Seaqwest” jest co najmniej dziesięć mil morskich na północ stąd. To za daleko na użycie aquapoda, a przy tej pogodzie helikopter nie może zejść tak nisko, żeby zrzucić nurków blisko stanowiska.

- Gdyby to byli nurkowie IMU, skontaktowaliby się z nami, choćby wystukując informację alfabetem Morse'a na kadłubie - powiedział Ben.

- Jak „Seaqwest” mógł ich nie zauważyć? Musieli przybyć, zanim zaczął się sztorm, a na monitorach nie było śladu żadnego statku w promieniu piętnastu mil. - Katia niczego nie rozumiała.

- W tych warunkach nadzór satelitarny jest na nic, ale radar „Seaquesta” wykryłby każdą anomalię w tym sektorze. - Costas zamilkł, bębnił palcami o reling. - Jest tylko jedna możliwość. - Popatrzył na Jacka. - Jakiś statek już wcześniej stał na pozycji po drugiej stronie wulkanu, za blisko, żeby radar go rozpoznał. Pojazd podwodny wysłany z niego mógł odnaleźć „Kazbeka” i połączyć się z DSRV, co pozwoliło zespołowi szturmowemu wejść do szybu ratunkowego.

- I stąd wziął się hałas - powiedział Ben.

- Już stał na pozycji? - Katia nie była przekonana. - Jak mogli być już na pozycji za wyspą? Nikt poza nami nie ma tekstu o Atlantydzie, nikt inny nie potrafi go przetłumaczyć i zinterpretować położenia. Spojrzała na mężczyznę. - Boję się o „Seaquesta”.

Jack długo patrzył Katii w oczy. W ułamku sekundy wyczuł, że coś jest nie w porządku, że dziewczyna ukrywa coś więcej niż tylko napięcie, które wszyscy starali się stłumić. Miał ją o to zapytać, kiedy przez okręt przeszedł jeszcze jeden wstrząs. To nie był czas na spekulacje. Wepchnął berettę do kabury na piersi.

- Costas, zostajesz tu z Andym. Ten otwór może stać się dla nas jedyną drogą ucieczki. Ben, idziesz ze mną.

- Ja też - powiedziała rzeczowo Katia. - Będzie nam potrzebna cała siła ognia na jaką nas stać. W okrętach podwodnych klasy „Akuła” jest rezerwowa brońownia w mesie oficerskiej, na pokładzie nad nami. Wiem, gdzie to jest.

Nie było czasu na sprzeczkę. Szybko zdjęli plecaki i oparli je o burtę.

Ci ludzie nie przyszli po starożytności - powiedział Jack, gdy kucali razem w przejściu. - Zakładają, że znaleźliśmy ich skarb i że jesteśmy odcięci od komunikacji z powierzchnią. Kiedy nas wyeliminują, będą mogli zakończyć transakcję, która nie powiodła się wiele lat temu. Tu już nie chodzi o Atlantydę. O pięć metrów stąd jest dość pocisków nuklearnych, żeby zniszczyć zachodnią cywilizację.

Katia postawiła nogę na pierwszym szczeblu drabinki, wiodącej na górny pokład. Odsunęła się, żeby uniknąć obsypania białym nalotem, poruszonym przez Jacka. Po wejściu na kilkanaście szczebli poklepała go po nodze, jednocześnie dając znak Benowi, który szedł za nimi.

- To tutaj - wyszeptała.

Dotarli do poziomu nad komorą torpedową. Pół godziny temu, kiedy schodzili w dół, widzieli stąd kwatery załogi.

Katia przedostała się przez właz i odsunęła na bok szczątki rozrzucone wokół przejścia. Jack posuwał się tuż za nią, trochę dalej szedł Ben. Skupili się w mroku, a Jack sięgnął ręką do hełmu Katii i zapalił jej lampę.

- Jest nastawiona na najniższy poziom światła - wyszeptał. - Będzie dobrze, dopóki nie poświecisz w zsuwnię, bo wtedy światło mogłoby odbić się w korytarzu nad nami.

Katia skierowała wąski promień na przeciwległą ścianę pomieszczenia. Za dwoma stołami mesy widać było otwarty szeroko właz. Dała im znak, żeby się nie ruszali, a sama poszła przodem, uważając, żeby nie robić hałasu. Światło z lampy na hełmie padało do przodu. Ukucnęła przy włazie, a Ben nachylił się nad zsuwnią, nasłuchując odgłosów z góry

Po kilku minutach pełnego napięcia milczenia Katia wróciła. Wyłączyła lampę, żeby uniknąć rzucania poświaty na zsuwnię. Kiedy do nich podeszła, zobaczyli, że jest obwieszona bronią.

AKS-74U - szepnęła. - Do tego dziewięćmilimetrowy pistolet Makarowa, taki sam jak walther ppk. Szafki z bronią zostały prawie całkowicie opróżnione, znalazłam tylko to. Tu jest pudło z amunicją.

- Wystarczy. - Ben zdjął karabin z ramienia Katii. AKS-74U miał podobne wymiary co Heckler&Koch MP5, znajoma broń zachodniej policji, ale w przeciwieństwie do większości pistoletów maszynowych był przystosowany do strzelania nabojami karabinowymi 5,45 o wielkiej szybkości początkowej. Konstruktorzy kałasznikowów udoskonalili tłumik tak, że nie spowalniał pocisku i przerobili komorę nabożową. Teraz broń lepiej nadawała się do strzelania ogniem ciągłym niż inne karabiny tego kalibru.

Z oddali, z wnętrzości okrętu dotarł do nich kolejny stłumiony dźwięk. Jack uniósł głowę. Wszyscy troje wyjężyli słuch. To, co z początku wydawało się metalicznym klekotem, zaczęło być coraz bardziej słyszalne jako seria głuchych uderzeń. Trwało to dwadzieścia sekund, potem ustało.

- Kroki - szepnął Jack. - Na pokładzie nad nami, w okolicy szybu ratunkowego. Wydaje mi się, że nasi przyjaciele są na mostku. Musimy ich przechwycić, zanim dotrą do zsuwni.

Jack i Katia wzięli po jednym magazynku i szybko wcisnęli do nich naboje z pudełka. Katia podała magazynek Benowi, który wsadził go do kieszeni w pasie wraz z niezaładowanymi nabojami. Drugi magazynek umieścił w karabinku, odciągnął zamek i odbezpieczył broń. Katia zrobiła to samo z markowem i włożyła go za pas z narzędziami.

- W porządku - szepnął Jack. - Ruszamy.

Zdawało się, że minęła wieczność, odkąd natknęli się na przerażające widmo u wejścia do przedziału sonarowego. Kiedy wspięli się już po drabinie, Jack pobłogosławił ciemność, która skrywała ich przed złowrogim spojrzeniem martwego wartownika.

Sięgnął w dół, żeby pomóc Katii. Kilka chwil później cała trójka stała z bronią gotową do strzału. Z tyłu korytarza docierał do nich blask oświetlenia awaryjnego z mostku.

Jack poprowadził ich rzędem lewą stroną korytarza. W wyciągniętej ręce trzymał berettę. Tuż przed wejściem zamarł i uniósł ostrzegawczo broń. Katia skuliła się za nim, a Ben wtopił się w ciemność pod drugiej stronie korytarza.

Ze swego miejsca Katia widziała tylko masę rozbitego sprzętu i potrzaskane konsole. Całun osadu nadawał scenie pozory dwuwymiarowości, jakby to był obraz zbyt abstrakcyjny, żeby można było na nim rozpoznać osobne kształty.

Nagle zrozumiała, dlaczego Jack się zatrzymał. Przy skręconej rurze peryskopu z tła wysunęła się widmowa postać, rozpoznawalna tylko wówczas, gdy się ruszała. Zaczęła się do nich zbliżać i stało się jasne, że nie zdaje sobie sprawy z ich obecności.

Rozległ się ogłuszający trzask beretty Jacka. Katia patrzyła przez zamieć bieli odpadającej ze ścian, jak człowiek potykając się, cofa się w stronę peryskopu i pada pod dziwnym kątem na podłogę. Jack strzelił szybko jeszcze pięć razy. Rykoszety z wizgiem śmigały po pomieszczeniu.

Katę zaskoczyła ostrość hałasu. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że człowiek powoli się podnosi i wymierza uzi w stronę korytarza. Prawie widziała dołki w miejscach, w których kule Jacka odbiły się od kevlarowej zbroi.

Przeciwnik zaczął strzelać. Rozległ się dziki hałas, kule ze świstem pomknęły wzdłuż korytarza, krzesząc iskry z maszyn stojących za nimi.

Z ciemności, z drugiej strony, dołączyło się staccato z AKS-74U Bena. Dzięki tłumikowi hałas nie rozdzierał uszu tak jak wystrzały z beretty, ale efekt był zabójczy. Pociski trafiły w napastnika i rzuciły nim na obudowę peryskopu. Kule z uzi zatoczyły wściekły łuk po suficie. Każdy celny strzał Bena walił jak młot pneumatyczny, wprawiając kończyny przeciwnika w szalony taniec. Gdy kevlar ustąpił, tors załamał się pod groteskowym kątem w miejscu, z którego przez plecy wyskoczył kręgosłup. Przeciwnik był martwy, zanim upadł.

Do ogłuszającego zgiewku dołączył się kolejny karabinek, strzelający gdzieś z głębi pomieszczenia. Odbijające się od kadłuba kule wprawiły okręt w drżenie.

Jack przykucnął i zakołysał się na piętach jak sprinter przed startem.

- Ubezpieczajcie mnie!

Ben opróżnił magazynek do końca, strzelając w stronę pomieszczenia, a Jack wyskoczył z ukrycia i pobiegł w stronę środkowego podwyższenia. Strzały z beretty trafiały w przestrzeń za peryskopem, skąd dochodził ogień karabinu. Rozległ się krzyk i łoskot, a potem odgłos oddalających się kroków. Katia wybiegła za Jackiem, w uszach dźwięczał jej trzask wystrzałów. Błyskawicznie dołączył do nich Ben i razem ukryli się za roztrzaskaną podstawą peryskopu.

- Ilu jeszcze? - zapytał Ben.

- Dwóch, może trzech. Jednego trafiliśmy. Jeśli uda się ich zatrzymać w korytarzu, ograniczy on pole ostrzału.

Obaj wyrzucili puste magazynki i ponownie załadowali broń. Ben wciskał luźne naboje z kieszeni do magazynka, Katia patrzyła na jatkę.

Widok był obrzydliwy. Między rozlewiskami krzepnącej krwi i łusek po pociskach do uzi siedział dziwnie skręcony trup, ze zgiętym w pół torsem i głową zwróconą twarzą w dół. Kule rozdarły mu aparat do oddychania, butle i regulator obsypane były kawałkami kości i strzępami ciała. Pod spodem, tam gdzie kiedyś były serce i płuca, widniała dziura. Rozerwany wąż biegnący od regulatora tlenu wbił się w nią, wytwarzając krwawą pianę, syczącą i bulgoczącą w groteskowej parodii ostatniego oddechu konającego człowieka.

Katia przyklękała i uniosła głowę trupa. Zadrżała i szybko ją puściła. Jack zrozumiał, że poznała tego człowieka. Sięgnął, żeby położyć dłoń na jej ramieniu, ale ona odwróciła się do niego.

- Już starczy zabijania na tym okręcie. - Nagle wydała się bardzo zmęczona. - Czas to skończyć.

Zanim Jack zdołał ją powstrzymać, wstała i podniosła ręce do góry w geście poddawania się. Weszła w lukę między peryskopami.

- Nazywam się Katia Swietłanowa. - Mówiła głośno po rosyjsku. Jej słowa rozległy się dźwięcznie w całym pomieszczeniu.

Dało się słyszeć nagłe poruszenie i dźwięk stłumionej rozmowy. Wkrótce nięski głos odpowiedział w języku, którego ani Jack, ani Ben nie umieli rozpoznać. Katia opuściła ręce i rozpoczęła zajadłą dyskusję, która trwała kilka minut. Wydawało się, że całkowicie panuje nad sytuacją, w jej głosie brzmiał autorytet i pewność siebie, tamci zaś mówili niepewnie i z widocznym szawkunkiem. Po ostatnim krótkim zdaniu usiadła i włożyła pistolet za pas.

- To Kazach - stwierdziła. - Powiedziałam mu, że zaminowaliśmy korytarz stąd do przedziału torpedowego. Powiedziałam, że będziemy pertraktować tylko z dowódcą. Tak nie będzie, ale kupiłam dla nas czas. Teraz będą niusieli obmyślić następny ruch.

Jack popatrzył na nią uważnie. Dwa razy odwróciła katastrofę, poprzednio zapobiegając atakowi „Vultury” na Morzy Egejskim, teraz pertraktując z bandytami. Dzięki jej obecności napastnicy będą się trzymać z dala, czekając na właściwy moment.

- Zdaje mi się - powiedział - że ci ludzie to nasi przyjaciele z „Vultury”.

- O, tak - odparła cicho. - Są bezwzględni.

- Co teraz robimy? - zapytał Ben.

Z odległej części okrętu doszło ich stłumione dudnienie.

- Masz swoją odpowiedź - rzekł Jack. Był to umówiony z Costasem sygnał, że operacja przecinania kadłuba została ukończona. Jack wstał i wyprowadził pozostałą dwójkę z mostka, omijając kałuże krwi, nadal sączącej się z trupa leżącego przy podwyższeniu. Kiedy wycofywali się korytarzem, Jack obejrzał się po raz ostatni, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

Zostawili Bena u szczytu zsuwni. Pokazał, co ma zamiar zrobić, i machnął na Jacka i Katię, żeby szli dalej. Z półtora magazynkiem miał niewielkie szanse, ale Jack wiedział, że kiedy dojdzie do konfrontacji, każdy nabój trafi w cel.

Jackowi i Katii przejście w dół znajomą już drogą zajęło zaledwie kilka minut. Dotarli do otworu w kratownicy i bez słowa założyli plecaki. Sprawdzili sobie nawzajem zapięcia i uaktywnili konsole regulatorów.

Wiedzieli, co muszą zrobić. Zostając z Benem i Andym, niczego by nie zyskali. Walka miałaby tylko jeden wynik. Ich obrona opierała się o moc gróźb rzuconych przez Katię i gdy tylko przestaną działać, liczba obrońców nie będzie już miała znaczenia. Mieli tylko jedną szansę, jedną nadzieję na uzyskanie pomocy, skoro na powierzchni srożył się sztorm.

Stawka była zatrważająco wysoka.

Kiedy zeszli na pokład nad zęzami, zobaczyli, że Costas zamknął już przyłbicę i uszczelnił hełm. Szybko poszli w jego ślady, ale Katia najpierw oddała pistolet Andy'emu, stojącemu przy konsoli.

- Tobie bardziej się to przyda niż mnie - powiedziała.

Andy pokiwał ze zrozumieniem głową i schował broń do kabury, a potem odwrócił się w stronę ekranu. Costas kończył demontowanie teleskopowego wysięgnika. Laser wyciął w kadłubie idealne koło, szerokie na półtora metra.

- Otwiera się na zawiasach, które założyliśmy powiedział Andy. - Teraz wystarczy, jeśli zmniejszą ciśnienie powietrza w komorze i odskoczy na zewnątrz jak właz.

Popatrzyli z mieszanymi uczuciami na ścianę kadłuba, zaniepokojeni oczekującym ich niebezpieczeństwem, ale jednocześnie podnieceni na myśl o zagubionym świecie przekraczającym ich najśmielsze wyobrażenia.

- W porządku - rzekł Costas. - Idziemy.

17

Costas przeczołgał się przez otwór, uważając, żeby nie dotknąć ostrych jak brzytwa brzegów w miejscu, gdzie laser wgryzł się w stal. Sięgnął ręką, żeby sprawdzić wytrzymałość namagnetyzowanej membrany, a potem odwrócił się, by pomóc Katii i Jackowi. Kiedy już przeszli, zamknął właz, obawiając się, że najmniejsze rozdarcie membrany spowoduje niekontrolowane zalanie łodzi podwodnej. Równa linia cięcia w miejscu, w którym właz się zamknął, była świadectwem chirurgicznej precyzji lasera.

Chociaż membrana była półprzezroczysta, na tej głębokości prawie nie było naturalnego światła, a to, które mogłoby tam przeniknąć, zasłaniał sięgający łodzi podwodnej występ skalny, który odcinał ich od reszty świata.

Włączyli lampy na hełmach i światło odbiło się od krystalicznej siatki membrany, nadając jej powierzchni biały połysk. Urwisko przed nimi było zaskakująco obce, gdyż monochromatyczna zieleń hologramu dała im wielkie wyobrażenie o jego lśniącej powierzchni. Mieli wrażenie, że patrzą na starą fotografię w sepii, przedstawiającą jakąś prehistoryczną grootę.

Poszli powoli przed siebie. Tunel rozszerzał się, więc mogli się stopniowo wyprostować. Membrana była twarda jak skała i dawała dobre zabezpieczenie mimo strumyczka wody spływającego z platformy znajdującej się przed nimi. Po jakichś ośmiu metrach dotarli do miejsca, w którym membrana łączyła się magnetycznie z licem urwiska. Costas wszedł na schody pierwszy i ukucnął, żeby przyjrzeć się ich powierzchni.

- Prawie całkowity brak osadów morskich, nie ma nawet alg. Nigdy jeszcze nie widziałem bardziej martwego morza. Gdybyśmy zdjęli hełmy, poczuliśmyby smród zgniłych jajek - to siarkowodor w wodzie morskiej.

Nastawił głośność na konsoli łączności i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Jack i Katia go słyszą. Jack mruknął coś potwierdzająco, ale był zajęty tym, co widzi przed sobą. Razem z Katią stał zaledwie kilka metrów od ciemności zalegającej nad krańcem platformy.

Gdy Costas dołączył do nich, jego lampa dodała ostrości widokowi. Na wprost nich znajdowała się czworokątna, wycięta w skale nisza, prawie dwukrotnie od nich wyższa i trzykrotnie szersza. Wbijala się na trzy metry w głąb urwiska, jej ściany błyszcząły. Na tylnej ścianie znajdował się obraz, który tak ich zainteresował, gdy pojawił się na hologramie. Były to zarysy ogromnych, podwójnych wrót.

Katia pierwsza zauważyła to, co było oczywiste; głos drżał jej z podniecenia.

- To złoto!

Gdy promienie światła lamp zeszły się w jednym punkcie, odbłask prawie ich oślepił. Katia ostrożnie wycelowała lampę na dolny skraj, poniżej blasku.

- Wykładane złotymi płytami, jak sądzę - powiedział rzeczowym tonem Costas. - Wykute i wypolerowane, a potem przytwierdzone do kamiennych płyt, które są pod spodem. Na Kaukazie w tamtych czasach złoto obficie występowało w rzekach, ale byłoby go za mało, żeby odlać z niego całe wrota. Poza tym byłyby zbyt miękkie.

Przez szparkę, z wnętrza góry za wrotami, tryskał cienki strumyk wody. Światło z ich lamp rozpraszało się w nim na miliardy maleńkich tęczy. Ta kolorowa poświata dołączała się do oślepiającego błysku złota.

- Są tarasowane niskim progiem, wykutym w skale wzdłuż całej podstawy. - Costas przyglądał się prawej, dolnej stronie drzwi. To je trzyma i nie pozwala otworzyć się w naszą stronę. Słusznie przypuszczaliśmy, że zaprojektowano je w taki sposób, by otwierały się do środka.

Odsunął się i zwrócił do Jacka.

- Musimy zalać tę komorę, żeby wyrównać ciśnienie wody po obu stronach drzwi. Jesteśmy gotowi?

Jack i Katia pokiwali głowami i nastroili regulatory, zmieniając gaz do oddychania ze sprężonego powietrza na mieszkankę niezbędną, aby przetrwać sto metrów pod poziomem morza. Katia zachwiała się lekko, czując przypływ lekkości, gdy mieszanka, do której nie była przyzwyczajona, wypełniła jej płuca. Costas podtrzymał ją.

- Przyzwyczaisz się - powiedział. - To rozjaśni ci w głowie. Przyda ci się przy tłumaczeniu wszystkich tych inskrypcji.

Katia i Jack sprawdzili sobie nawzajem ciśnienie w butlach, zanim dali Costasowi znak, że są gotowi. Grek prześlizgnął się wzdłuż membrany do łodzi podwodnej. Po włączeniu własnego regulatora uderzył kilkakrotnie w kadłub trzymany w rękę narzędziem. Kilka sekund później gwałtowny strumień wody runął na nich przez dziurę w środku wjazdu, waląc o skałę z siłą armatki wodnej. Andy odwrócił ciąg pompy wysokociśnieniowej i wyciągnął wodę z zęz przez filtr, który oczyścił ją z toksyn i stałej materii.

Przylgnęli do ściany, żeby uniknąć uderzenia wody, która waliła obok nich. Kiedy odbiła się od ściany i zaczęła ich zalewać, Jack jęknął z bólu.

- Co się stało? - zapytała Katia. - Źle się czujesz?

- To nic.

Ale wygląd Jacka mówił coś zupełnie innego, mężczyzna opierał się o ścianę zgięty w pół. Wyprostował się dopiero wtedy, gdy woda zaczęła wzbierać wokół ich nóg. Przez interkom doskonale słychać było jego chrapliwy oddech.

- To się zdarzyło podczas starcia. - Ton jego głosu przeczył bólowi.

- Dostałem w prawy bok, kiedy wpadliśmy do pomieszczenia. Nic nie mówię, bo i tak niczego nie dałoby się zrobić. Kula przeszła przez kevlar, więc jedna z komór kombinezonu przecieka. Woda jest zimna. To przejdzie.

Sytuacja była jednak poważniejsza. Mimo że dosięgną! go tylko pocisk z uzi, kula złamała żebro i zrobiła głęboką ranę w mięśniach. Jack stracił dużo krwi i wiedział, że wkrótce zacznie walczyć z czasem. Woda powstrzymała krwawienie i przyćmiła ból, ale otwór w kombinezonie był większym problemem, niż Jack się spodziewał. W temperaturze bliskiej zera wyziębienie organizmu było kwestią czasu.

Spróbował uspokoić oddech, ale poczuł zawrót głowy, co było jawnym znakiem uszczuplenia do stawy tlenu. Jego ciało wołało o wsparcie po utracie tak wielkiej ilości krwi. Zaczął gwałtownie oddychać.

Byle się to znów nie zaczęło.

Zesztywniał, kiedy ogarnęła go woda. Czuł gwałtowną potrzebę przestrzeni, a wody było coraz więcej. Zaczynał go ogarniać strach, przypominający klaustrofobię.

Rozpaczliwie wbijał sobie do głowy, że to tylko fizjologia, naturalna reakcja ciała próbującego dostosować się do nowych warunków, a nie ślepa panika.

Odpręż się. Jakoś to będzie.

Oddychał nieregularnie, klęczał na podłodze ze zwisającymi rękami i opuszczoną głową, hałas dochodzący przez jego regulator przytłumił odgłos kipiącego kotła komory. Miał świadomość, że przed nim stoją Katia i Costas, na pozór obojętni na jego los. Ogarniała ich biała, wzburzona woda, a oni przyglądali się, jak wznosi się jej poziom.

Zamknął oczy.

Nagły przyływ wody odepchnął go i obrócił, jakby znalazł się w wirze. Ciężar płynu przycisnął go do membrany.

Otworzył oczy i zobaczył coś okropnego.

Straszliwa postać pchała się na niego. Miała puste oczodoły i szydery uśmiech zidiociałej lalki, wymachiwała widmowymi ramionami, jakby chciała go objąć w śmiertelnym uścisku. Z każdym poruszeniem wody przybywało białych i szarych płatków, które zdawały się odpadać od widma jak śnieg.

Jack nie miał sił, żeby się opierać. Paraliż wywołany koszmarem zdawał się nie dawać mu szans na ucieczkę. Przyciskał go nieustannie przemożną siłą.

Przestał oddychać, w półotwartych ustach zamarł mu krzyk.

To przywidzenie.

Racjonalny umysł podpowiadał mu, że ma halucynacje. Człowiek, którego zabili podczas potyczki. Trup wiszący w przedziale sonarowym. To duchy łodzi podwodnej, widma, które zostały, żeby ich prześladować.

Zacisnął powieki, ze wszystkich sił walczył, by nie ześlizgnąć się w ciemność.

W mgnieniu oka przeniósł się o pięć miesięcy wstecz, do kopalnianego szybu, miejsca, gdzie spotkał przeznaczenie. Znów odczuł ten sam wstrząs jak wtedy, gdy gaz uderzył w górę szybu i rzucił nim o belkę, odcinając dopływ powietrza i gasząc wszystkie światła. Ten dławiący brak powietrza w ciemnościach, zanim Costas go odnalazł i podzielił się tlenem ze swojej butli. To przerażenie, kiedy kolejny wybuch wyrwał go z objęć

Costasa i rzucił ku powierzchni. Te godziny spędzone w komorze dekompresyjnej, godziny przygniatającego wyczerpania, punktowane przerażeniem, gdy co chwila przypominał sobie panikę, jakiej doznał. Takiego doświadczenia boją się wszyscy nurkowie, niszczy ono pewność siebie, wyrabianą mozolnie przez całe lata. Musiał potem cierpliwie odbudowywać wszystko z ruin.

- Jack! Spójrz na mnie. Już dobrze. Wszystko minęło.

Costas patrzył w szeroko otwarte oczy Jacka i trzymał go za ramiona. Huk strumienia wody ucichł i Jack znów zaczął słyszeć własny oddech. Odetchnął i odprężył się.

To Costas. Wciąż jest w komorze.

- To musiało być jedno z ciał, które Kuzniecow wystrzelił z wyrzutni torped. Zaklinowało się w skalnej niszy, a strumień wody je wyrzucił. Niezbyt przyjemny widok. - Costas wskazał upstrzony biało przedmiot, który teraz płynął w stronę panczerza okrętu. Tors trupa był zgnieciony w miejscu, w którym Jack uderzył, żeby odsunąć go na bok. Pod wpływem ciosu tkanka tłuszczowa, która nadal tkwiła na kościach, rozpadła się.

Zamiast obrzydzenia Jack poczuł ogromną radość. Tak czują się rozbitkowie, którzy uniknęli śmierci. Przyływ adrenaliny pchał go ku niewiadomemu, które na nich czekało.

Strumień wody rzucił również Katię na membranę, toteż nie widziała, jak Jack wpadł w panikę. Jack spojrział na nią i ochryplym głosem odezwał się przez interkom. Oddech nadal miał nierówny.

- Moja kolej na wpadnięcie w panikę. Nic takiego.

Nigdy nie dowiedziała się, jakie demony go prześladują, jaka to siła przyzywała go i o mały włos nie okazała się fatalna.

Wirowanie prądu ustało i wkrótce potem woda odzyskała przejrzystość. Costas nie spuszczał wzroku z Jacka, dopóki nie stwierdził, że wszystko z nim w porządku. Po chwili nachylił się, odwiązał paski mocujące płetwy wokół stóp Jacka i naciągnął silikonowe łopatki.

Jack odwrócił się na plecy i patrzył, jak bańki jego wydechu łączą się w małe przezroczyste jeziorka wpadające na siebie pod sufitem z membrany. Poczował, jak plecak z butlami drapie o dno i szybko wstrzyknął porcję powietrza w kombinezon, żeby osiągnąć neutralną pływalność.

Costas popłynął od panczerza okrętu w stronę skały. Gdy do niej dotarł, słuchawki wypełnił niezrozumiały, wysoki dźwięk. Jack trząsał się i nie mógł

tego opanować, przerazenie kilku ostatnich minut przekształciło się w deliryczną ulgę.

- Hej, Myszko Miki! - zawołał. - Myślę, że powinieneś włączyć swój modulator głosu.

Połączenie wielkiego ciśnienia i helu komicznie zmniejszyło głośność. IMU opracowało urządzenie kompensujące, żeby uniknąć sytuacji, w której właśnie znalazł się Jack.

- Przepraszam. Spróbuję jeszcze raz. - Costas przekręcił tarczkę z boku przyłbicy. Znalazł najlepszą częstotliwość i włączył sterowanie automatyczne, żeby modulator reagował na zmiany ciśnienia i mieszanki gazowej, które będą następowały wraz ze zmieniającą się głębokością.

- Andy obniżył magnetyzację, żeby membrana stała się trochę bardziej giętka. Pozwoli to panującemu w otoczeniu ciśnieniu wody morskiej wywrzeć wpływ na naszą przestrzeń i wyrównać do poziomu ciśnienia wody za tymi drzwiami. Tu jest dziewięć i osiem dziesiątych bara, prawie sto metrów. Na tej głębokości z mieszanką do oddychania możemy pozostawać nie dłużej niż pół godziny.

Zmniejszyli natężenie światła na hełmach, żeby ograniczyć odbłyśki. Pozwoliło to im lepiej przyjrzeć się wejściu. Na każdym z paneli widniał wspólny symbol w postaci byczych rogów, taki sam, jaki widzieli na hologramie. Były to formy naturalnej wielkości, wymodelowane w postaci płytkich reliefów w złocie.

Costas wyciągnął kolejny gadżet zza pasa.

- To coś z majstrowałem w laboratorium geofizyki IMU - powiedział. - Radar przenikający grunt. Generuje szerokopasmowe fale elektromagnetyczne, żeby ujawniać obrazy kryjące się pod powierzchniami. Nazywamy to latarką akustyczną. Sygnał wnika w materię tylko na pięć metrów, ale powie nam, czy po drugiej stronie jest jakaś masywna przeszkoda.

Wyciągnął antenę przetwornika i zaczął pływać w obie strony wzdłuż podstawy bramy. Wreszcie zatrzymał się przy szczelinie między skrzydłami drzwi.

- Pusto oznajmił. - Żadnego oporu na głębokości ponad pół metra. Taką grubość muszą mieć drzwi. Przyglądałem się uważnie progowi i nie widzę niczego, co mogłoby sprawić problem.

- Korozja metalu? - zapytała Katia.

- Złoto nie koroduje w wodzie morskiej.

Costas schował przetwornik za pas i włożył zagięte palce pod drzwi nad progiem. Kilka razy wykonał całym ciałem ruchy do przodu i do tyłu. Wreszcie przestał.

- Teraz spróbujemy.

Gwałtownie zamachał płetwami i z impetem popłynął na drzwi. Przez kilka chwil próbował je podważyć, ale wyczerpany zrezygnował. Drzwi wydawały się wykute w litej skale, a ich zarys tylko wyrzeźbiony w powierzchni urwiska.

- Nic z tego - westchnął.

- Poczekaj. Spójrz na to.

Jack unosił się metr nad Costasem, otoczony całunem bąbelków z aparatu nurkowego. Wzrok wlepił w dziwny zarys załamany przez zawirowania wody, anomalie zbyt małą, żeby wychwycił ją laser hologramu.

Wyglądało to jak płytkie, wielkości talerzyka, zagłębienie umieszczone między dwoma symbolami byczych rogów. Pod tym zagłębieniem biegła szczelina między skrzydłami wrót, co sprawiało, że wyglądało ono jak pieczęć postawiona na metalu po tym, jak odrzwia zamknięto po raz ostatni.

Katia podpłynęła do Jacka i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć zarysu.

- W dotyku to kryształ - powiedziała. - Coś skomplikowanego, mnóstwo załamań i płaszczyzn.

Kryształ był niepokalany, prawie bez skaz i prawie niewidzialny. Ruchy dłoni Katii, gdy dotykała jego kształtów, wyglądały jak gestykulacja mima. Dopiero kiedy przygasili lampy, zaczęła się wyłaniać forma, światło załamywało się na niej jak w pryzmacie, ujawniając linie i kąty.

Kiedy Jack się zbliżył, linie nagle zwały się w znajomy kształt.

- Mój Boże - szepnął. - To symbol Atlantydy!

Przez chwilę patrzyli zdumieni, zmagania ostatnich kilku godzin nagle wydały się im bardzo odległe, pochłonęło je podniecenie wynikające z niezwykłego odkrycia.

- W aquapodach widzieliśmy ten symbol wyciosany w owalnym kamieniu przed piramidami - powiedział Jack. - Wydaje się logiczne, że jest i tutaj.

- Tak - odparła Katia. - Rodzaj talizmanu, mający podkreślać świętość miejsca.

Costas przystawił przyłbicą do kryształu.

- Niewiarygodne, jak to jest rzeźbione - mruknął. - Większość związków krzemu nie przetrwałaby długo w wodzie morskiej o tak wysokiej zawartości siarki, nie pokrywając się patyną.

Jack myślał intensywnie, wpatrując się w drzwi. Nagle odchrząknął i wyciągnął wydłużony, prostokątny pakiet, który wcisnął do pasa obok beretty.

- Przyniosłem ze sobą własny talizman.

Odpakował kopię dysku z minojskiego wraku. Kiedy go obracał w rękę, żeby odsłonić symbol, światło z jego lampy odbiło się od powierzchni kopii.

- patrzcie, to klucz do Atlantydy - powiedział z entuzjazmem.

Costas rozpromienił się.

- Oczywiście! - Wziął dysk od Jacka i podniósł go. Wypukłość dokładnie pasuje do wklęsłości na drzwiach. Symbol na dysku jest rewersem, wytłoczonym w metalu, podczas gdy symbol na kryształach jest awersem, jego lustrzanym odbiciem. Dysk powinien pasować jak klucz do zamka.

- Miałem przecucie, że może się przydać - powiedział Jack.

- Te drzwi nie ustąpią ani na cal - rzekł Costas. - To może być nasza jedyna szansa.

Jack podpłynął do góry, uderzając kilka razy płetwami, aż znalazł się dokładnie naprzeciwko symbolu na drzwiach. Katia podeszła do jego lewej strony.

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

18

Kiedy Jack włożył kopię dysku w drzwi, kryształ wciągnął ją do środka, jakby jakaś pierwotna siła przyciągała połowy, które przeznaczenie zbyt długo trzymało z dala od siebie.

- Bingo - powiedział cicho.

Położył dłoń na dysku i kopnął płetwami, żeby mocniej nacisnąć. Nagle dysk wszedł do środka i obrócił się szybko zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ruch sprawił, że woda zakręciła się jak za śrubą okrętu. Kiedy dysk przestał się obracać, rozległ się niski zgrzyt, dysk odpadł, a drzwi się otworzyły. Nie stawiały wielkiego oporu, kiedy Jack popchnął je, torując przejście. Widok na chwilę przysłoniły turbulencje, zimna jak lód woda mieszała się z wodą morską otaczającą ich w komorze. Jack powstrzymał oddech, żeby ukryć spazm bólu, kłujące uczucie w klatce piersiowej, w miejscu, gdzie rozdarcie kombinezonu wystawiało ją na działanie lodowatej wody. Katia i Costas dostrzegli jego mękę, ale wiedzieli, że odrzuci ich współczucie.

Costas przepłynął nad progiem i oglądał mechanizm ukryty w brzegu drzwi.
- Fascynujące - mruknął. - Drzwi zamknięte były granitową belką jak sztabą, składającą się z dwóch połączonych części. Jej górna część została wyrzeźbiona w wypukłości i rowki jak zębatka. Kryształ osadzony został w pasującym do niej zębami kamiennym cylindrze. Kiedy Jack wcisnął dysk, obie części zazębiły się.

Costas wydobyl dysk z kryształu i oddał go Jackowi.

- Dlaczego to obraca się samo? - zapytała Katia.

- Końce belki są obciążone, ciężary znajdują się prawdopodobnie we wgłębieniach przylegających do progu. Kiedy mechanizm zazębił się, ciężary odciągały obie części belki, obracając cylinder.

- Widzom ta automatyka musiała się wydawać cudem, dziełem bogów - powiedział Jack.

- Dobra robota inżynierska.

- Prostota celu, ekonomia projektu, wytrzymałość materiału. - Costas uśmiechnął się do nich przez przyłbicę. - Zdobyliby pierwszą nagrodę w konkursie studentów MIT, kiedy tam studiowałem.

Włączyli lampy na całą moc. Woda przed nimi była kryształowo czysta, wolna od osadu. Przed tysiącami lat jej pierwsze krople przesączyły się przez szczeliny we wrotach.

Światło igrało na powierzchni skał, przenosiło się ze ściany na ścianę. Zaglądali do prostokątnej komory, wymiarami przypominającej przedział torpedowy na okręcie podwodnym. Na samym przedzie stał wielki piedestał wykuty z litej skały.

- To ołtarz! krzyknął Jack. - Widać kanaliki, którymi krew spływała na schody na zewnątrz.

- Ofiary z ludzi? - zapytał Costas.

- To długa historia dotycząca ludów semickich Bliskiego Wschodu - powiedziała Katia. - Przypomnij sobie Abrahama i Izaaka ze Starego Testamentu.

- Ale nigdy na masową skalę - sprzeciwił się Jack. - Opowieść o Abrahamie i Izaaku dlatego ma siłę nośną, bo jest wyjątkowa. Minojczycy także składali ofiary z ludzi, ale jedyne dowody na to znajdują się w sanktuarium na szczycie góry w pobliżu Knossos, gdzie trzęsienie ziemi zburzyło świątynię podczas rytuału i zachował się szkielet. Prawdopodobnie takie ofiary składano w związku z katastrofami o rozmiarach wybuchu na Thirze.

Płynęli w stronę piedestału pośrodku komory, światło ich lamp zlało się na skraju ołtarza. Kiedy w pole widzenia dostał się jego szczyt, stanęli przed

obrazem niemal zbyt fantastycznym, żeby go zrozumieć, zjawisko zniknęło, kiedy podплыnęli bliżej.

- Czy widziałeś to, co ja widziałam? - zapytała Katia.

- To nadzwyczajne - wymruczał Costas. - Kości musiały rozpaść się tysiące lat temu, ale w nieruchomej wodzie sole wapnia zostały tam, gdzie upadły. Najmniejszy ruch i rozwiały się jak dym.

Przez ułamek sekundy widzieli leżącego byka, zredukowanego do białych smug jak na wyblakłym negatywie. W rogach stołu zobaczyli dziury, do których przywiązano kończyny przed dokonaniem ofiary. Lina zniknęła już dawno, kiedy woda morska podniosła się i otuliła kadłub zwierzęcia lodowatym uściskiem.

Jack podniósł sztylet leżący na skraju stołu. Kamienna rączka była rzeźbiona w straszliwe bestie, pół byki, pół orły.

- Oto wasza odpowiedź powiedział cicho. Dziedziniec z kolosalnym posągami był pierwszą w świecie areną do walki byków. Skazane na śmierć zwierzęta prowadzono drogą procesyjną pomiędzy piramidami, a potem po schodach, do tej płyty. Było to ważne miejsce, górujące nad całym miastem leżącym na równinie, ofiara była prawdopodobnie tak zaplanowana, żeby odbywała się wraz z pojawieniem się pierwszych promieni słońca przechodzących od bliźniaczych szczytów wulkanu do rogów byka-sfinksa na dziedzińcu u podnóża góry. Całe miasto musiało wtedy zamierać.

Przerwał i z powagą spojrzął na przyjaciół.

- Byliśmy świadkami finalnej ofiary, ostatniej, rozpaczliwej próby dokonanej przez kapłanów, żeby zażegnać wznoszenie się poziomu wód morza. Później wrota do tej komory pozostawały zamknięte.

Przeплыnęli nad ołtarzem i skierowali się ku ziejącej czarnej dziurze z tyłu komory. W miarę jak płynęli, migotanie stawało się coraz bardziej intensywne, światło z lamp na hełmach wzbudzało w ścianach iskry, jakby były one zbudowane z kryształu i złota.

- „Atlantyda o złotych murach” - powiedział cicho Jack.

Tuż przed portalem Costas skręcił w prawo. Kiedy zbliżył się do ściany, światło z jego lampy zmniejszyło się do rozmiarów małej kuli.

- To piryt, złoto głupców - mówił ściszym z podziwu głosem. - Kryształy są tak duże i tak blisko siebie osadzone, że wyglądają jak złote płyty, dopóki nie podплыnie się bliżej.

- Ale wyspa jest wulkaniczna, zbudowana ze skały magmowej - powiedziała Katia.

- Głównie z bazaltu - zgodził się Costas. - Z płynnej magmy, która tak szybko wystygła, że nie zdążyła się skryształizować. Bazalt między urwiskiem

a starożytną linią brzegową ma niską zawartość krzemu, więc stygł powoli po wylaniu się na piaskowce. Wyżej sformowany jest z lawy o kwaśnym odczynie, bogatej w krzem, która krzepła, gdy tylko wypłynęła na wierzch. Pływając w aquapodach, widzieliśmy szczeliny z obsydianem, czarnym wulkanicznym szkliwem, które powstaje, kiedy lava szybko stygnie.

- Ostrza z obsydianu były najostrzejszymi narzędziami aż do czasów średniowiecza, kiedy zaczęto wytapiać stal węglową - powiedział Jack. - Ten sztylet jest z obsydianu.

Costas podpłynął do nich wzdłuż czarnej ściany.

- Niewiarygodne powiedział. - Obsydian na narzędzia, tuf na budulec, pył wulkaniczny na zaprawą, sól do przechowywania żywności. Nic mówiąc już o najżyźniejszych ziemiach ornych wszędzie wokół i morzu rojącym się od ryb. Ci ludzie mieli to wszystko.

A co z granitem, z którego zbudowali drzwi? - zapytała Katia.

- Też ze skały magmowej odparł Costas. Ale nie pochodzi on z erupcji wulkanicznej. To skała intruzyjna, która powstaje głęboko w skorupie ziemskiej, kiedy magma stygnie powoli, zamieniając się w struktury krystaliczne, głównie w skałki i kwarc. Nazywa się ją plutoniczną od imienia greckiego boga podziemi. Została wyrzucona na wierzch przez ruchy płyt tektonicznych.

- To wyjaśniałoby, skąd się wzięło kolejne bogactwo naturalne wtrącił Jack. - Ciśnienie zmieniło także wapień z dna morza w marmur, wykorzystywany do rzeźb, które widzieliśmy na zewnątrz. Niżej, na zboczu i na tym grzbiecie biegnącym na zachód muszą występować jego wychodnie.

Znajdujemy się wewnątrz wulkanu kompozytowego mówił dalej Costas. Połączenia stożka z popiołu i wulkanu tarczowego. Warstwy lawy przekładane są popiołami piroklastycznymi i skałą. Pomyślcie o Górze Świętej Heleny w Ameryce, Wezuwiuszu, Thirze. Zamiast zbierać się pod korkiem i wybuchać nagle, magma wylewa się przez pofałdowane wychodnie skał plutonicznych i twardnieje jako bazaltowa tarcza. I tak dzieje się za każdym razem, kiedy ciśnienie wzrasta. Uważam, że głębiej w tej skale znajdują się kotły z wrzącym gazem i lawą, znajdującymi ujście przez szczeliny. Zostaje po nich labirynt korytarzy i jaskiń. Ten wulkan w głębi jest dosłownie przeorany rzekami ognia.

- A złoto głupców? - zapytała Katia.

- Nadzwyczaj gruby guz żelaza był wypychany do góry razem z granitem. Powolne stygnięcie, głęboko w skorupie ziemskiej, sformowało ogromne kryształy. To bajeczne, unikatowe odkrycie.

Odwrócili się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie światu, który opuszczali. W świetle lamp woda mieniła się kolorami, skała iskrzyła się złotym blaskiem.

- Ta komora to marzenie geologa - wymruczał Costas z szacunkiem. - Wypolerować ją i ma się gotowy spektakl popularnonaukowy, który oszołomi każdego widza. Kapłani musieli uważać to za dar bogów. Fantastyczny dodatek do pirotechnicznych sztuczek wulkanu.

Za sylwetką ołtarza, przy końcu tunelu, ledwie widać było łódź podwodną. Przypominała o złym wrogu, który odciął im drogę powrotną do świata na górze i o tym, że jedyna nadzieja na ratunek dla Bena i Andy'ego leżała w smolistej czerni rozciągającej się przed nimi.

Zanim wypłynęli w odstręczające ciemności portalu, Costas wrócił na środek komory. Wyjął coś z pasa na narzędzia i opłynął ołtarz. Z jego plecaka rozwijała się pomarańczowa taśma.

- Pomyślałem o tym, kiedy opowiadałeś nam legendę o konflikcie między Mykeńczykami a Minojczykami w epoce brązu - wyjaśnił. - Kiedy Tezeusz przybył do Knossos, żeby zabić Minotaura, Ariadna dała mu zwitek nici do znaczenia drogi powrotnej przez labirynt. Pod skałą nie mamy dostępu do GPS i możemy prowadzić nawigację tylko za pomocą kompasu i głębokościomierza. Nić Ariadny jest zdaje się jedyną linią bezpieczeństwa, jaką mamy.

Jack wypłynął z komory pierwszy, jego lampa skierowana była na tunel przed nimi. Po około dziesięciu metrach przejście zwężało się i skręcało w prawo. Zatrzymał się, żeby Costas i Katia dotarli do niego. Przestrzeni było akurat tyle ile trzeba, żeby stanąć obok siebie.

Byli sami w śmiertelnej ciszy miejsca, którego nie odwiedził żaden człowiek od czasu, gdy powstawała cywilizacja. Jack doświadczył znajomego przypływu podniecenia, które na krótko pomogło na osłabienie spowodowane raną i popchnęło go do dalszej wędrówki.

Przejście zaczęło się wężać, a każdy załom wyolbrzymiał odległość od wejścia. Wywoływało to dezorientację, jakby starożytni architekci znali niepokojący efekt, który wywołuje w zmyśle orientacji brak linii prostych.

Zatrzymali się, Costas rozwinął ostatni odcinek taśmy i przytwierdził nową szpulę do plecaka. W ciasnej przestrzeni lampy rzucały jaskrawe światło na ściany. Ich powierzchnia była tak lśniąca, jakby przez wszystkie te tysiąclecia ktoś ją polerował.

Jack popłynął kilka metrów naprzód i zauważył jakąś zmianę.

- Tu są znaki.

Costas i Katia szybko podpłynęli do niego.

- Zrobione ręką człowieka — powiedział Costas. - Wyżłobione w ścianie. Są podobne do kartuszy wokół hieroglifów, które Hiebertmeyer znalazł na kamieniu w świątyni, gdzie Solon odwiedził arcykapłana.

Setki prawie identycznych znaków ustawione były w dwadzieścia poziomych linii rozciągających się za najbliższym zakrętem w głąb korytarza. Każdy znak składał się z symbolu otoczonego owalną linią jak kartusze, o których mówił Costas. Symbole wewnątrz kartuszy były prostoliniowe, od każdego odchodził pionowy ogonek z różną liczbą rozmaicie ułożonych poprzeczek z obu stron.

- Wyglądają jak runy - powiedział Costas.

- To niemożliwe - sprzeciwiła się Katia. Runy pochodzą od alfabetów etruskiego i łacińskiego. Powstały dzięki kontaktom z światem śródziemnomorskim w epoce klasycznej. O sześć tysięcy lat za późno jak dla nas.

Mężczyźni cofnęli się, żeby zostawić jej więcej miejsca. Przyjrzała się z bliska jednemu z rejestrów i odsunęła się kawałek, żeby zobaczyć więcej.

- Uważam, że to w ogóle nie jest alfabet - powiedziała. - W alfabecie występuje bezpośrednie odniesienie między grafemem a fonemem, między symbolem a dźwiękiem. Większość alfabetów ma dwadzieścia do trzydziestu symboli, tylko w nielicznych językach występuje więcej niż czterdzieści dźwięków niosących znaczenie. Tutaj mamy zbyt wiele odmian w liczbie i pozycji poziomych kresek. I na odwrót, jest ich za mało, żeby były logogramami, kiedy symbol reprezentuje słowo, jak w chińskim.

- Pismo sylabiczne? - zasugerował Costas.

Katia pokręciła głową.

- Symbole na dysku z Fajstos są fonogramami sylabicznymi. To niemożliwe, żeby Atlantydzi rozwinęli dwa systemy sylabiczne używane w kontekście sakralnym.

- Przygotujcie się na zaskoczenie. - Głos był dobrze słyszalny w interkocie, chociaż Costas zniknął za następnym zakrętem korytarza. Katia i Jack popłynęli ku niemu. Światła ich lamp zeszyły się, kiedy podążyli za jego wzrokiem. Symbole kończyły się nagle pionową linią naciętą od podłoża do sufitu. Za nią widniała wspaniała płaskorzeźba przedstawiająca byka. Była naturalnych rozmiarów, ogromna głowa z zakrzywionymi rogami zwrócona była w ich stronę, potężne ciało z rozłożonymi nogami spoczywało na platformie. Oczy wyrzeźbiono głęboko, żeby ukazać tęczę. Rozwarte były nadnaturalnie szeroko, jakby uchwycone w chwili pierwotnego strachu.

- Oczywiście! krzyknęła Katia. - To liczby!

Jack zrozumiał natychmiast.

- To rytuał ofiarny z komory wejściowej - powiedział rozentuzjzmowany. - Te symbole to rejestr, zapis wszystkich ofiar.

- Są ułożone w bustrofedon. - Katia spojrzała na Costasa. - Jak wiesz ze współczesnej greki, *bous* znaczy wół, a *strophos* zwrot. Tak jak wół zawracający podczas orki, w przeciwne kierunki. Albo jak nić i ścięgi. - Wskazała w dół, gdzie linia otaczająca każdy z kartuszy schodziła do znaków pod spodem.

Costas odwrócił się do Jacka, w oczach płonęło mu podniecenie.

- Kiedy te ofiary były składane?

- Podczas świąt związanych ze zbiorami i porami roku. W letnie i jesienne przesilenie, przy nadejściu wiosny, jako dziękczynienie za zbiory.

- Kalendarz księżycowy? - dopytywał się Costas.

- To bardzo prawdopodobne - odparł Jack. - Interwał między dwiema pełniami księżyca był prawdopodobnie pierwszą dokładną miarą czasu. Różnice między rokiem lunarnym a solarnym miały wielkie znaczenie dla ludów, których życie zależało od wiedzy, w jakim momencie cyklu wegetacyjnego się znajdują. Cykl synodyczny, cykl lunarny, jest krótszy od roku słonecznego o jedenaście dni, toteż co trzy, cztery lata wstawiano dodatkowy miesiąc. Obserwacje nieba służące pomiarom tej różnicy przeprowadzano prawdopodobnie w minojskich sanktuariach górskich. Idę o zakład, że i tutaj jest obserwatorium.

Costas wskazał na dziwny zestaw symboli tuż nad głową byka.

- Dlatego pytam - wyjaśnił.

To, co na pierwszy rzut oka wyglądało na abstrakcyjną ozdobę, nagle nabrało nowego znaczenia. Nad karkiem zwierzęcia znajdował się okrągły kształt szeroki na około dwie dłonie. Po obu stronach na łuku był szereg symetrycznie rozłożonych lustrzanych odbić. Najpierw półkole, potem ćwiartka i wreszcie pojedyncza, zakrzywiona linia.

- To cykl lunarny - oświadczył Costas. - Księżyc na nowiu, ćwiartka, półksiężyc, księżyc w pełni. Potem to samo, tylko w przeciwną stronę.

- Złoty dysk - cicho powiedział Jack. - To był symbol lunarny. Rewers przedstawiał księżyc w pełni, eliptyczny profil obrazował księżyc przechodzący przez miesięczny cykl.

Nie musiał wyjmować dysku, żeby wiedzieć, że ma rację, że soczewkowaty kształt dokładnie pasował do zagłębienia wyrzeźbionego w skale nad nimi.

Costas przepłynął parę metrów na lewo od byka. Naskalne rzeźby rozwijały się przed nim jak jakiś egzotyczny, orientalny dywan.

- Największa Liczba kresiek po prawej stronie każdego z ogonków wynosi sześć, a nacięcia przenoszą się często na lewą stronę. Fakt, że czasem jest ich siedem po tej stronie, przeczy mojej teorii.

- Jakiej teorii? - zapytał Jack.

Słyszeli, jak Costas nabiera tchu przez regulator.

Każdy kartusz przedstawia rok, każda pozioma kreska miesiąc. Należy iść najpierw w górę po prawej stronie, potem w górę po lewej. Styczeń jest nisko z prawej, grudzień wysoko z lewej.

Jack płynął wzdłuż ściany nad Costasem, tam gdzie kartusze zawierały największą liczbę linii.

- Oczywiście! zawołał. - Te z dodatkowymi liniami mają ich razem trzynaście. Muszą przedstawiać lata z dodatkowymi miesiącami kalendarza lunarne. Popatrz na tę sekwencję tutaj. Miesiąc przestępny pojawia się na przemian, co trzy i co cztery kartusze. To jest to, czego trzeba, żeby skorelować rok księżycowy z cyklem solarnym.

- A co z brakującymi miesiącami? - Katia opadła na podłogę i przyglądała się niżej położonym kartuszom. Niektóre zawierały tylko linię pionową, inne tylko jedną albo dwie poprzeczki w na pozór przypadkowych miejscach po obu stronach.

- Większość ofiar była składana w celach przebłagalnych, prawda? Dokonywano ich z nadzieją na wzajemność, na znak łaski ze strony bogów. Gdzież lepiej to zrobić niż w aktywnym wulkanie? Wpływy lawy, drgania sejsmiczne, nawet tęcze z gazu i pary.

A więc ofiary składano na początku miesiąca lunarne. - Katia natychmiast chwyciła tok rozumowania Costasa. - Jeśli zauważono znak przed pojawieniem się kolejnego księżyca, rzeźbiono linię. Jeśli nie, linii nie stawiano.

- Właśnie - powiedział Costas. W środkowej części, przed Jackiem, jest wiele symboli stawianych co miesiąc przez dwadzieścia pięć albo trzydzieści lat. Potem są długie płaszczyzny z nielicznymi symbolami. Uważam, że widzimy tu wzory aktywności tego typu wulkanu, gdzie kilka dekad aktywności przeplata się z podobnymi okresami uśpienia. Nie mówię o spektakularnych wybuchach, ale o czymś, co wrze jak kocioł, a potem powoli znów się napętnia.

- Sądząc z tych znaków, ostatnia ofiara została złożona w maju albo w czerwcu, dokładnie o tej porze roku, w której nastąpiła powódź, jeśli wierzyć analizie pyłków przeprowadzonej w Trabzonie - zauważyła Katia. - Przez kilka poprzedzających to wydarzenie lat w ogóle nie stawiano znaków. Widać mieli szczęście przy ostatniej ofierze, jaką złożyli.

- Potrzebowali go - powiedział sucho Costas.

Patrzyli na ostatni symbol, pospiesznie nabazgrany znak kontrastujący mocno ze starannymi złobieniami z poprzednich lat. Z trudem wyobrażali sobie strach tych ludzi, którzy stanęli twarzą w twarz z niewyobrażalną katastrofą i rozpaczliwie szukali jakiegoś znaku nadziei, zanim opuścili domowe pielesze, w których dobrze im się wiodło od zarania dziejów.

Jack popłynął do przeciwległej ściany, żeby objąć spojrzeniem więcej symboli naraz.

- Razem jest jakieś tysiąc pięćset kartuszy - policzył. - Cofając się od daty powodzi w 5545 roku przed naszą erą, przenosimy się w ósme tysiąclecie przed naszą erą. To niewiarygodne. Tysiąc pięćset lat nieprzerwanej egzystencji bez wojen czy naturalnych katastrof, czasy, gdy zwierząt było tyle, że co miesiąc można było składać byka w ofierze. Atlantyda nie powstała z dnia na dzień.

- Pamiętaj, że patrzymy na zapis wydarzeń od czasu, kiedy poszerzono to przejście - przypomniał mu Costas. - Z początku była to szczelina wulkaniczna dostępna od zewnątrz. Idę o zakład, że odwiedzano to miejsce na długo, zanim złożono tu pierwszą ofiarę.

- Musimy ruszać - powiedział Jack. - Nie wiemy, co leży przed nami.

Płaskorzeźba przedstawiająca byka miała falisty, wydłużony kształt, gdyż ciągnęła się za kolejny zakręt ściany. Za ogonem korytarz był prosty i ciągnął się bez zakrętów, jak daleko sięgały światła lamp. Po obu stronach w skale wykute były nisze, każda z nich wyglądała jak mały ołtarzyk.

- Na pochodnie albo świece, prawdopodobnie z łożu, ze zwierzęcego tłuszczu - zauważył Jack.

- Dobrze wiedzieć, że z ciał byków robiono jakiś użytek - dodał Costas.

Płynęli przed siebie. Po jakichś piętnastu metrach korytarz nagle się kończył trzema przejściami. Dwa z nich rozstawione były ukośnie w stosunku do centralnego. Wszystkie zdawały się prowadzić w stronę ciemnego jak smoła jądra wulkanu.

- Kolejna próba - powiedział słabym głosem Costas.

- Nie płyniemy środkowym - powiedział Jack. - To zbyt oczywiste.

Katia zaglądała w przejście po prawej stronie i obaj mężczyźni poszli za nią. Zebrali się nad progiem i bez słowa kiwnęli do siebie głowami. Katia wysforowała się naprzód i objęła prowadzenie. Przejście mogło pomieścić tylko dwoje z nich, płynących jedno obok drugiego i ledwie pozwalało na to, żeby płynąć jedno nad drugim.

Gładkie ściany poprowadziły ich prosto przez dwadzieścia metrów. Luka między Katią a Jackiem i Costasem powiększyła się, bo Costas zatrzymał się, żeby założyć kolejną szpulę z taśmą, a Jack czekał na niego. Przyłożył rękę w rękawicy do rozdarcia w boku.

Skrzywił się.

- Woda jest cieplejsza. Czuję to.

Ani Costas, ani Katia w swoich skafandrach nie czuli temperatury panującej na zewnątrz i do tej pory nie widzieli powodu, żeby spojrzeć na termometry umieszczone w konsolach.

- Mam w związku z tym złe przeczucie - powiedział Costas. - Tu musi być jakiś komin wulkaniczny, w którym się gotuje. Musimy się stąd wydostać.

Nagle zdali sobie sprawę, że Katia nie odpowiada. Gdy Jack zaniepokojony popłynął naprzód, okazało się dlaczego. W jego słuchawkach zaczęła trzeszczeć statyka, głuszająca słowa.

- Zlokalizowałam pole elektromagnetyczne. Głos stał się wyraźniejszy, kiedy Costas podpłynął. - Jakaś odmiana magnetytu w skale. Skoncentrowana ekstruzja, taka jak piryt w komorze wejściowej.

Katia zniknęła za załomem prowadzącym w prawo. Płynęli szybko, całą uwagę koncentrując na ciemnościach przed nimi. Kiedy wyłonili się zza zakrętu, ściany przestały być gładkie. Teraz wyglądały jak surowo ociosana ściana kamieniołomu. Widok był zamazany, drgał jak fatamorgana.

- Parzy - powiedział Jack. - Nie mogę płynąć dalej.

Minęli już ściany wygładzone ludzką ręką. Otaczały ich wyszczerbione kontury szczeliny wulkanicznej. Katia nagle pojawiła się w mroku jak zjawą w pustynnej burzy i w tym momencie wyczuli jakąś ciemną siłę, jakby mieszkawiec głębi nieuchronnie zmierzał w ich stronę.

Z powrotem! - krzyknęła. - Do przejścia!

Jack sięgnął ręką w jej stronę, ale odepchnął go potężny przyptyw, któremu nie miał siły stawić czoła. Koziółkowali w wodzie z zatrważającą prędkością i mogli tylko rozpaczliwie unikać zębatych krawędzi zastygłej lawy. Zanim się zorientowali, byli już z powrotem między gładkimi ścianami korytarza. Potężny wstrząs cisnął ich, zszokowanych i oszołomionych, prawie dziesięć metrów w tył.

Katia dyszała ciężko i walczyła o kontrolę nad oddechem. Jack podpłynął do niej i sprawdził jej sprzęt. Przez chwilę, ulotną chwilę, wspominał własny strach, ale udało mu się go szczelnie zamknąć w głębi mózgu. Uznał, że wspomnienie wypaliło się już do reszty.

- To chyba była zła droga - wydyszała.

Costas poprawił na sobie sprzęt i odpłynął kilka metrów do tyłu, żeby skleić taśmę rozdartą przez siłę, która o mały włos ich nie zabiła. Wrócili do strefy zakłóceń magnetycznych i jego głos zachrypiał w interkombie.

- Wybuch, który zdarza się, kiedy woda spada na stopioną lawę. Strzela wtedy jak proch. - Przerwał, żeby złapać oddech. Mówił zdaniami punktowanymi

głębokimi pociągnięciami mieszanki z regulatora. A ta szczelina jest jak lufa. Gdyby wybuch nie nastąpił gdzieś za nami, bylibyśmy ostatnim dodatkiem do rejestru ofiar.

Szybko wrócili do rozwidlenia korytarzy. Unikali środkowego, nadal ufając instynktowi Jacka. Gdy zbliżyli się do wejścia po lewej stronie, Jack opadł na podłogę, nagle poddając się fali mdłości, wywołanych przejściem od parzącego gorąca do zimnych wód korytarza.

Wszystko w porządku - wydyszał. - Dajcie mi chwilą.

Costas popatrzył na niego z troską i popłynął za Katią do wejścia. Nadal mówiła spiętym głosem.

- Twoja kolej, żeby prowadzić - powiedziała. - Chcę zostać przy Jacku.

19

Tunel po lewej rance gwałtownie schodził w dół, jego ściany zwały się i wpychały ich w wnętrze wulkanu. Jack nadal był roztrzęsiony. Teraz jego organizm musiał sobie radzić z osłabiającymi skutkami wzrastającego ciśnienia w ciemnościach schodzącego coraz niżej korytarza.

- Pod nami widzę wykute w skale stopnie powiedział Costas. Módlmy się, żeby wkrótce poziom się wyrównał. Jeszcze dziesięć metrów i po nas.

Costas podczas schodzenia nerwowo sprawdzał głębokościomierz. Automatyczne kompensatory pływalności pompowały wystarczającą ilość powietrza do ich skafandrów, żeby uchronić ich przed upadkiem w dół. Przez chwilę Jack i Katia nic nie widzieli. Otoczyła ich chmura bąbelków wydychanych przez Costasa, opadającego coraz niżej.

- W porządku. - Dobiegł ich głos. - Widzę podłogę.

Stopnie zamieniły się w oparcia dla nóg, bo ściana stała się pionowa. Jack opadł ostatnie kilka metrów i wylądował na kolanach. Katia poszła w jego ślady.

- Sto sześćdziesiąt metrów - wymruczał Costas. - Głębokość jeszcze dobra dla mieszanki, ale za kilka metrów regulatory ją wyłączą.

Jack i Katia nie odpowiedzieli i Costas z niepokojem przyjrzał się ich twarzom, szukając śladów narkozy azotowej. Kiedy wzrok akomodował mu się do nowych warunków, zrozumiał, dlaczego zamilkli. Klaustrofobiczna ciasnota tunelu została zastąpiona ogromem komory magmowej. Jej ognista zawartość dawno wywietrzała, pozostawiając po sobie wydłużoną jamę przypominającą halę w średniowiecznym zamku. Analogia wydała się Costasowi szczególnie właściwa, gdy spojrzął za siebie, na wejście. Tunel nad nimi rozwierał się jak jakiś stary komin, a skała pod nim rozpościerała się jak kominiek w siedzibie barona.

Komora wyglądała na całkowicie naturalną. Jej przypominający nawet kształt był wynikiem działalności tytanicznych sił, drzemających w skorupie ziemskiej, a nie działalności człowieka. Kiedy Costas przyzwyczaił się do rozmiarów tego pomieszczenia, zaczął widzieć wirujące wzory na bazalcie po obu stronach, natłok powyginanych kształtów, jakby zamrożony wodospad lawy. Nagle dostrzegł to, co przykuło uwagę dwojga jego towarzyszy. Przed jego oczami rozpościerała się fantastyczna scena. Ściany pokryte były niesamowitą menażerią zwierząt malowanych i żłobionych w skale. Ich kształty dostosowane były do konturów komory i wykorzystywały naturalne wzory na bazalcie. Niektóre były naturalnej wielkości, inne większe, ale wszystkie utrzymano w naturalistycznym stylu, który ułatwiał identyfikację obrazów.

Na pierwszy rzut oka rozpoznał nosorożce, bizony, jelenie, konie, wielkie koty i byki. Były ich setki, niektóre samotne, inne w zachodzących na siebie grupach, obraz za obrazem piętrzyły się jedne na drugich jak wielokrotnie używane płótna. Efekt był zaskakująco trójwymiarowy. W połączeniu z lekko halucynogennym działaniem azotu sprawiało to, że Costasowi wydało się, iż są żywe i pędzą na niego jak jakaś narowista fatamorgana.

- Niewiarygodne. - Jack wreszcie przerwał milczenie. Mówił głosem przytłumionym z szacunku. - Hala przodków.

Costas otrząsnął się z majaków i spojrzął pytająco na przyjaciela.

- Wspominałeś o tym - wyjaśnił Jack. Tu musieli mieszkać ludzie na długo przed pierwszymi ofiarami z byków. Cóż, oto dowód. Te malowidła pochodzą z górnego paleolitu, z ostatniego okresu epoki kamienia, kiedy ludzie polowali na zwierzynę wzdłuż skraju lodowców. Właśnie dopłynęliśmy do czasów pierwszego wybuchu ludzkiej twórczości artystycznej, od trzydziestu pięciu do dwunastu tysięcy lat temu.

- Skąd ta pewność?

- Popatrz na gatunki zwierząt.

Popłynęli obok siebie w stronę środka galerii, wydechane powietrze unosiło się ku pułapowi jak wielkie srebrne chmury. Wszędzie, gdzie tylko

skierowali lampy, ukazywały się nowe cuda prehistorycznej sztuki. Ogrom tego, co zobaczyli, zatrzymywał ich, mimo że musieli się spieszyć.

- Nie ma tu zwierząt udomowionych - zauważyła Katia. - Żadnych krów, owiec, świń. A niektóre z tych, które zostały przedstawione na malowidłach, wyglądają na wymarłe.

- Właśnie - powiedział Jack. - Megafauna epoki lodowcowej, ogromne ssaki, które wymarły przy końcu plejstocenu, dziesięć tysięcy lat temu. Można nawet zidentyfikować podgatunki. To zdumiewające. Byki na przykład, to nie jest współczesne bydło, ale tury, *Bos primigenius*, typ dzikiego wołu, przodka bydła udomowionego, który zniknął z tego regionu przed neolitem. Nosorożec włochaty, kolejny wymarły gatunek. Miał ponad dwa metry wysokości. Wyglądał jak przerosnięty wół piżmowy, jedyny relikwyt plejstoceńskiej megafauny, który przetrwał do chwili obecnej.

Gdy popłynęli dalej, na ścianie z lewej strony ukazała się ogromna forma. Jej tors stanowiła naturalna wypukłość skały - Była prawie trzy razy wyższa od nich i miała wielkie, zagięte kły, długie na co najmniej sześć metrów.

- Mamut! - krzyknął Jack. - Mamuty na południe od Kaukazu wyginęły podczas ostatniej epoki między lodowcowej, kiedy tak daleko na południu zrobiło się dla nich za ciepło. Albo ci artyści zapuszczali się niewiarygodnie daleko, na skraj lodowców na północnych stepach, albo patrzymy na malowidło mające co najmniej czterdzieści tysięcy lat.

- Myślałam, że paleolityczne malowidła naskalne znajdują się tylko w zachodniej Europie - mruknęła Katia.

- Głównie w Pirenejach i w Dordogne, najstynniejsza w Altamirze i Lascaux. Te tutaj są jedynymi na wschód od Włoch. Stanowią pierwszy dowód na to, że europejscy łowcy docierali do brzegów zachodniej Azji.

- Zakładam, że te malowidła mają jakieś znaczenie religijne - powiedział Costas. - Cześć oddawana zwierzętom, kult duchów zwierząt?

- U zarania sztuki wiele z tych przedstawień miało znaczenie magiczne - potwierdził Jack. - Szczególnie jeśli były dziełem szamanów albo czarowników, ludzi, którzy wyszukiwali takie miejsca, gdzie ich malowidła budziły największy respekt.

- Albo czarownic - wtrąciła Katia. - Wiele społeczności łowieckich było matriarchalnych i czciło Boginię Matkę. Kobiety zajmowały się nie tylko nianieniem dzieci i zbieraniem jagódek.

Ukazał się następny kolosalny wizerunek, tym razem ogromnego samej tura. Na przeciwległej ścianie znajdował się jego zwierciadlany odpowiednik. Zwierzęta stały jak straszliwi wartownicy atakujący każdego, kto wszedł-

by do galerii. Wysuwały się do przodu na mocno umięśnionych przednich nogach i znajdowały się w stanie podniecenia seksualnego.

- Wyglądają jak byk ofiarny w korytarzu - zauważył Costas. - A ich postawa jest taka sama jak tego gigantycznego byka-sfinksa na dziedzińcu.

Jack myślał o wnioskach wypływających z ich odkrycia.

- Do czasu powodzi większość tych zwierząt stała się już mitycznymi bestiami z przeszłości. Mamut i nosorożec były jak sfinks albo gryf dla późniejszych kultur. Jedynym wątkiem łączącym z przeszłością był byk. Dla prehistorycznych łowców stający dęba tur był największym symbolem potencji. Dla wczesnych rolników woły były bardzo ważne jako zwierzęta pociągowe oraz źródło mięsa i skóry.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że neolityczny lud Atlantydy czcił wizerunki, które miały już trzydzieści tysięcy lat? zapytał z niedowierzaniem Costas.

- Nie wszystkie malowidła są aż tak stare odparł Jack. Większość dzieł sztuki jaskiniowej nie jest jednorodna, ale przedstawia akumulację z długich okresów. Starsze rysunki są retuszowane lub zastępowane nowszymi. Ale nawet najpóźniejsze dodatki, z samego końca epoki lodowcowej, muszą mieć co najmniej dwanaście tysięcy lat. Powstały ponad pięć tysięcy lat przed upadkiem Atlantydy.

- To epoka tak odległa dla ludu Atlantydy jak wiek brązu dla nas dodała Katia.

- We wczesnych społeczeństwach sztuka mogła przetrwać z reguły tylko wtedy, gdy nadal miała kulturowe albo religijne znaczenie - powiedział Jack.

- Aż do tego miejsca wszystkie korytarze były ociosane i wypolerowane, ale strażnicy Atlantydy z rozmysłem pozostawili tę komorę bez zmian. Te malowidła były czczone jako obrazy uczynione przez przodków.

Podpłynął do ściany, żeby przyjrzeć się wielkiemu garbowi mamuta. Uważał, żeby nie zniszczyć barwników, które przetrwały w lodowatej, nieruchomej wodzie.

- Wiedziałem, że Atlantyda będzie pełna nadzwyczajnych niespodzianek - powiedział. - Ale nie spodziewałem się, że znajdziemy tutaj pierwsze oczywiste ogniwo łączące wierzenia wczesnego *Homo sapiens* z naszymi neolitycznymi przodkami, kult byka, który zaczął się u zarania czasu. Delikatnie odepchnął się, nie spuszczać z oczu wspaniałego rysunku mamuta. Ani że odkryjemy najwcześniejsze dzieła sztuki.

Znajdowali się teraz trzydzieści metrów od wejścia, w połowie galerii. Nad nimi, jak wielka katedra, piętrzyła się skała, na suficie kłębiła się lawa, która

zastygła, spływając po ścianach. Gdy postacie turów oddaliły się, w polu widzenia znalazły się kolejne grupy zwierząt, miejscami tak gęste, że zdawały się pędzić prosto na nurków.

- W Lascaux jest sześćset malowideł i dwanaście tysięcy rytów naskalnych - mruknął Jack. - Tutaj musi ich być trzy albo cztery razy więcej. To sensacja. To jest tak, jakbyśmy się natknęli na prehistoryczny Luwr.

Wraz z Katią byli tak zaabsorbowani zdumiewającymi scenami po obu stronach jaskini, że nie zauważyli drugiego końca komory. Costas przywołał ich do rzeczywistości. Podpłynął do nich i spojrzął na komputer nurkowy.

- Poparście przed siebie - powiedział.

Koniec galerii oddalony był teraz o niecałe dziesięć metrów. Gdy światło lamp padło na skałę, zobaczyli, że nie ma na niej malowideł. Powierzchnia była wygładzona i wypolerowana jak wcześniej, w tunelu. Ale zaraz zaczęli rozpoznawać zarysy płaskorzeźby. Była wielka, rozciągała się na co najmniej piętnaście metrów.

Gdy na ścianę padło również światło lampy Costasa, obraz stał się widoczny w całości.

- To drapieżny ptak! - krzyknęła Katia.

- Bóg-orzeł o rozpostartych skrzydłach - powiedział cicho Jack.

Płaskorzeźba wykonana została tą samą techniką co byk ofiarny w tunelu. Była zdumiewająco podobna do cesarskich orłów Mezopotamii albo Rzymu. Głowa ptaka zwrócona była sztywno w prawo, a jego oczy spoglądały wyniosłe nad ostro zagiętym dziobem. Ale skrzydła nie były rozwinięte, lecz wznosiły się ku rogom komory. Wyglądało to tak, jakby ptak miał się zaraz rzucić na ofiarę. Jego szpony sięgały prawie do podłogi.

- To jest późniejsze od malowideł - powiedział Jack. - Paleolityczni łowcy nie dysponowali narzędziami do rzeźbienia w bazalcie. To musi być współczesne z neolityczną płaskorzeźbą przedstawiającą byka.

Kiedy lampy oświetliły szpony, zrozumieli, że orzeł umieszczony został nad ciągiem ciemnych wejść u dołu ściany. Było ich cztery, dwa pod koniuzkami skrzydeł, dwa pod szponami.

Wygląda na to, że mamy cztery możliwości - powiedział Jack.

Zaczęli w pośpiechu szukać jakichś wskazówek na ścianie, świadomi, że zostało im niebezpiecznie mało czasu na tej głębokości. Opuścili łódź podwodną prawie pół godziny temu. Przepłynęli wzdłuż ściany, oglądając po kolei każde z wejść i spotkali się na środku.

- Są identyczne - powiedziała Katia markotnie. - Znowu będziemy musieli mieć szczęście.

Chwileczkę. Costas patrzył na płaskorzeźbę, której skrzydła ginęły w górze przepastnej jaskini. - Ten kształt, ja go już gdzieś widziałem.

- Symbol Atlantydy!

Costas triumfował.

Ramiona i skrzydła to środkowe H symbolu. Nogi to niższy szczebel. Symbolem Atlantydy był orzeł o rozwiniętych skrzydłach!

- Może to jest jak egipski symbol *ankh* - powiedziała Katia. - Hieroglif przedstawiający krzyż z pętlą u góry, który oznacza siłę witalną.

Kiedy zobaczyłem rejestr ofiar w tunelu, zacząłem myśleć, że symbol Atlantydy był czymś więcej niż kluczem, że był także przyrządem do liczenia powiedział Costas. Może to kod binarny, w którym linie poziome i pionowe odpowiadają jedynce i zeru, albo kalkulator do korelowania cyklu solarnego z lunarnym. Ale teraz wygląda na to, że było to po prostu symboliczne przedstawienie świętego orła, abstrakcja łatwa do skopiowania na rozmaitych materiałach ze względu na jej prostotę. Jednak, mimo to...

- Może w tym być zawarta jakaś wiadomość - wtrącił Jack.

- Mapa?

Jack podpłynął do Katii.

- Pamiętasz tłumaczenie dysku z Fajstos dokonane przez Dillena?

Szybko odpięła wodoszczelny palmtop z ramienia. Po chwili na ekraniku zaczęły się przewijać linijki tekstu.

Pod znakiem byka leży rozciągnięty bóg-orzeł. U jego ogona jest Atlantyda o złotych murach, wielkie złote drzwi do cytadeli. Końce jego skrzydeł dotykają wschodów i zachodów słońca. O wschodzie słońca jest góra z ognia i metalu. To jest sala arcykapłanów...

- Zatrzymaj się w tym miejscu. - Jack odwrócił się do Costasa. - Jakie mamy położenie?

Costas domyślił się, o co chodzi przyjacielowi, i już patrzył na kompas.

Jeśli wziąć pod uwagę prawdopodobne odchylenie magnetyczne, powiedziałbym, że ta ściana zorientowana jest dokładnie ze wschodu na zachód.

Dobrze. - Jack szybko porządkował myśli. „Znak byka” odnosi się do wulkanu, do bliźniaczych szczytów. „Rozciągnięty bóg-orzeł” to ta płaskorzeźba nad nami. Skrzydła są ułożone dokładnie w stronę wschodzącego i zachodzącego słońca. „Sala arcykapłanów” jest od strony wschodzącego słońca. To oznacza wschodnie wejście, pod lewym koniuszkiem skrzydła. Costas kiwał głową, oczy wlepione miał w symbol.

- W tym jest coś więcej. - Wziął od Jacka dysk. Wyobraź sobie, że to mapa. Nie odwzorowanie w jakiejś skali, ale diagram taki, jak schemat linii metra. Pionowa linia odnosząca się do nóg orła to tunel prowadzący od zboża. Te dwie linie w połowie nogi orła to ślepe uliczki, tuż za płaskorzeźbą przedstawiającą byka. Teraz jesteśmy w samym centrum symbolu, w punkcie, z którego na lewo i na prawo rozchodzą się nogi.

- Więc dwa wejścia przed nami prowadzą do szyi i głowy orła - powiedział Jack. - A w tekście na dysku zawarte jest podwójne przesłanie. Mówi on nam nie tylko, że należy skorzystać ze wschodniego wejścia, ale również to, że należy iść tunelem do punktu odpowiadającemu lewemu koniuszkowi skrzydła.

- To dokąd prowadzą pozostałe przejścia? - zapytała Katia.

- Domyślam się, że tworzą kompleks galerii i tuneli takich jak ta. Wyobraź sobie podziemny klasztor wraz z miejscami kultu, komnatami mieszkalnymi dla kapłanów i ich świty, kuchniami i spiżarniami, skrytoriami i warsztatami. Paleolityczni łowcy, którzy przybyli tutaj pierwsi, dostrzegli symetryczny rozkład, wybryk natury, który można było wyobrazić sobie jako orła z rozwiniętymi skrzydłami. Późniejsza obróbka skały mogła sprawić, że wzór stał się jeszcze bardziej regularny.

- Niestety, nie mamy czasu na eksplorację. - Costas płynął obok Jacka i z niepokojem patrzył na jego wskaźnik stanu organizmu. - Rana postrzałowa i wystawienie się na działanie wody przyspieszyły rytm twojego oddechu. Zużyłeś już prawie wszystko poza rezerwą. Masz dość mieszanki, żeby wrócić na okręt, ale to wszystko. Twój wybór.

Jack odpowiedział bez wahania. Tak długo, jak napastnicy są tam, gdzie byli, nie ma mowy o powrocie przez łódź podwodną. Ich jedyną szansą jest znalezienie drogi przez labirynt tuneli na powierzchnię.

Płyniemy dalej.

Costas popatrzył na przyjaciela i pokiwał bez słowa głową. Katia schwyciła Jacka za ramię. Razem wpłynęli w wejście po lewej stronie. Światło z lamp tańczyło po falistej powierzchni. Przedtem jednak rzucili po raz ostatni okiem na jaskinię. Zwierzęta wydawały się zniekształcone i wydłużone, jakby stały się dęba i chciały za nimi podążyć fantastyczną kawalkadą, wydobywając się z głębin epoki lodowcowej.

Kiedy dotarli do rogu, Costas zatrzymał się, żeby umocować kolejną szpule taśmy. Potem popłynęli przed siebie zmierzając się z odstraszącą ciemnością tunelu. Jack i Katia ustawili się po obu stronach Costasa.

- W porządku - powiedział. - Płynięcie za mną.

Tezeusz, tu Ariadna. Tezeusz, tu Ariadna. Czy mnie słyszysz? Odbiór. - Tom York powtórzył wezwanie, które nadawał bez przerwy przez nie pół godziny używając kodu, który uzgodnił z Jackiem i innymi, zanim odpłynęli DSRV do łodzi podwodnej. Odłożył mikrofon na odbiornik UKF obok konsoli radaru. Był wczesny ranek i „Seaquest” znajdował się prawie na poprzedniej pozycji. Szedł za sztormem przewalającym się w stronę południowego brzegu Morza Czarnego. Mimo że odkąd się rozstali, minęło dwanaście godzin, York był nie bez powodu zaniepokojony. Spenetrowanie wnętrza łodzi podwodnej musiało zająć trochę czasu, a laser Costasa nic był przetestowany. Mogli powziąć decyzją, że nic wypuszczą boi radiowej z DSRV, dopóki powierzchnia morza się nie uspokoi.

Wcześniej, dzięki kontaktom z brytyjską centralą komunikacyjną i wywiadowczą w Cheltenham, ustalili, że jeden z satelitów nowej generacji wykonujących mapy cyfrowe znajdzie się nad ich głowami w ciągu godziny. Znajdowali się na skraju jego zasięgu i mieli tam pozostawać tylko przez pięć minut, ale powinni otrzymać mapę wyspy o wysokiej rozdzielczości, jeśli chmury rozproszą się na tyle, żeby nic nie zakłócało widoku z orbity położonej sześćset kilometrów nad ziemią. Nawet gdyby pojawiły się jakieś przeszkody wizualne, to pracujące w podczerwieni czujniki termiczne będą w stanic sporządzić dokładną mapę, która chociaż zniekształcona intensywnym promieniowaniem wulkanu, pokaże pojedyncze osoby, o ile znajdą się z dala od gorącego jądra.

- Ahoj, kapitanie, ład przed nami. Południowy południowy zachód, na dziobie od sterburty.

Z nastaniem świtu razem ze sternikiem przeniósł się z wirtualnego mostka do nadbudówki. Statek kołysał się na wszystkie strony, więc chwycił za uchwyt i patrzył przez smagane deszczem okno na wyposażenie, przywiązane do pokładu. Młde promienie świtu oświetliły niespokojne morze, pofalowaną powierzchnię z białymi plamami piany. Wraz z opadaniem bladej mgły, rozpraszanej promieniami słońca, horyzont nieustannie się oddalał.

- Odległość trzy tysiące metrów - powiedział York. - Zmniejsz prędkość do jednej czwartej, zrób zwrot i ustaw nas na pozycji siedem i pół stopnia.

Marynarz sprawdził laserowy dalmierz, a York potwierdził namiar GPS i pochylił się nad mapą admiralicji leżącą obok szafki kompasowej. Kilka chwil później w polu widzenia pojawiła się wyspa. Jej lśniąca powierzchnia miała kształt niemal idealnego stożka.

- Mój Boże! - krzyknął marynarz. - Wybucha!

York odłożył cyrkiel i schwycił za lornetkę. Parasol zakrywający wyspę nie był morską mgłą, lecz pióropuszem wydobywającym się z wulkanu. Gdy podstawa chmur uniosła się, pióropusz rozciągnął się ku niebu jak wstęga. Jego górny koniec chwiał się na wszystkie strony, a potem popłynął z wiatrem na południe. Pośrodku widać było okrojony tęczę, żywe pasemko koloru, połyskujące w promieniach słońca przebijającego się przez chmury.

York przez całą minutę przyglądał się temu widowisku przez lornetkę.

- Nie sądzę - odparł. - Widziałem to już kiedyś na wyspach Vanuatu, na południowym Pacyfiku. Woda deszczowa przesiąka przez górne, porowate warstwy popiołów wulkanicznych i paruje, kiedy styka się z magmą, tworząc pióropusz, który wznosi się godzinami po rozproszeniu chmury. Ale nigdy nie widziałem czegoś takiego jak tutaj. Para wydaje się skanalizowana w jednym kominie i tworzy kolumnę nie szerszą niż dwadzieścia metrów.

- Jeśli to się zdarzało w starożytności, musiało budzić podziw i grozę.

Uważano to za wydarzenie nadnaturalne - powiedział marynarz.

- Szkoda, że Jack tego nie widzi. - York patrzył w zamyśleniu na fale.

Dodaje to wiarygodności jego teorii, że ta góra była świętym miejscem kultu jak minojskie sanktuaria na szczytach. Musiała się wydawać domem bogów.

York ponownie uniół lornetkę, żeby przyjrzeć się zboczowi wulkanu. Powierzchnia wyglądała na pustą i pozbawioną życia. Spalony popiół stożka ustępował niżej nagim złomom bazaltu. Mniej więcej w połowie wysokości zobaczył linię ciemnych plam nad prostolinijnymi nacięciami, które wyglądały jak platformy albo balkony. Zamknął na chwilę oczy, oślepiony przez słońce, spojrzął jeszcze raz i odchrząknął. Odłożył lornetkę i podszedł do teleskopu o wielkiej rozdzielczości, stojącego obok szafki kompasowej. Przeszkodził mu głos od drzwi.

- Cóż za widok. Domyślam się, że to para wodna. - Peter Howe wszedł na mostek. Miał na sobie zielone, gumowe buty, brązowe sztruksowe spodnie i biały golf. Niósł dwa parujące kubki.

- Wyglądasz jak gość z bitwy o Atlantyk - powiedział York.

Raczej jak z bitwy o Morze Czarne. To była koszmarowa noc. - Howe podał kubek i zwał się na fotel sternika. Twarz miał nieogoloną i pobrużdżoną ze zmęczenia, które wzmacniało jego nowozelandzki akcent. - Wiem, że trzymałeś nas z dala od sztormu, ale i tak mieliśmy mnóstwo roboty z przywiązywaniem wszystkiego, co się przetaczało. O mało nie straciliśmy ratunkowej łodzi podwodnej.

Wyciągnęli ją zaraz po wysłaniu DSRV. Jej pasażerowie bezpiecznie wrócili na „Sea Venture”, stojący o trzydzieści mil morskich na zachód od nich. Mimo że zabezpieczyli łódź w wewnętrznym doku, nocą wyrwała się z obejm powodując przemieszczenie ciężaru, które mogło się fatalnie skończyć dla statku i jego załogi. Gdyby wysiłki Howe'a i jego zespołu nie dały rezultatu, nie mieliby wyjścia i musieliby zatopić łódź. To posunięcie uratowałoby wprawdzie „Seaquesta”, ale w nagłym wypadku odcięłoby im jedyną drogę ratunku.

- Mamy profesjonalną załogę, tylko 12 ludzi - powiedział Howe. - Moi ludzie harowali przez całą noc. Gdzie jesteśmy?

York spojrzął na monitor nawigacji satelitarnej. Patrzył, jak wprowadzone przez nich koordynaty zaczynają się pokrywać z danymi z GPS w miejscu, w którym poprzedniego dnia zwodowali DSRV. Sztorm ustał i morze kołysało tylko umiarkowanie, a poranne słońce odbijało się od szklistej powierzchni wyspy. Idealny letni dzień.

- Jeśli w ciągu sześciu godzin nie dostaniemy informacji od Jacka, wysyłam nurków. Tymczasem możesz zwolnić załogę na następną wachtę. Należy im się wypoczynek. Zrobię pobudkę o dwunastej zero zero.

- A nasi aniołowie stróże?

- Ten sam rozkład. Jeśli nie będzie kontaktu, wyślemy sygnał ratunkowy o dwunastej zero zero.

Aniołami stróżami był zespół okrętów marynarki wojennej, który stanowił ich ostatni odwód. Turecka fregata i flotylla ścigaczy przeszły już przez Bosfor i całą naprzód podążały w ich kierunku, a w Trabzonie stała gotowa do lotu eskadra helikopterów Seahawk z pododdziałami brygady morskodesantowej tureckich sił specjalnych. Mustafa Alkozen i zespół tureckich dyplomatów wysokiej rangi wyleciał do gruzińskiej stolicy, Tbilisi, żeby dopilnować pełnej współpracy obu krajów w przypadku jakiegokolwiek interwencji.

- W porządku. Howe przyjął to z wyraźną ulgą. Mam zamiar sprawdzić przednią wieżyczkę działka, a potem sam trochę sobie pośpię. Do zobaczenia w południe.

York skinął głową i podszedł do szafki kompasowej. Dwadzieścia minut wcześniej sternik zameldował o wielkiej rozpadlinie w morskim dnie, nienaniesionym na mapy uskoku tektonicznym o długości dziesięciu kilometrów i głębokości pięciuset metrów. York patrzył, jak głębokościomierz sporządził mapę wzdłuż linii, którą płynęli od podmorskiego kanionu do starożytnej linii brzegowej położonej na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Osiągnęli teraz pozycję, na której miało się odbyć spotkanie, i stanęli półtorej mili morskiej na północny północny zachód od wyspy, prawie dokładnie w miejscu, w którym Jack i Costas poprzedniego dnia zobaczyli z aquapodów starożytne miasto.

York popatrzył na wyspę. Bliźniacze szczyty i siodło, w miejscu, w którym kaldera zapadła się przed eonami, były teraz wyraźnie widoczne. Stał bez ruchu, myśląc o tym, co może znajdować się pod wodą. To prawie niewiarygodne, że wody, na które patrzył, ukrywały największy cud starożytnego świata, miasto, które wyprzedzało wszystkie inne o tysiące lat, a w jego obrębie znajdowały się ogromne piramidy, kolosalne rzeźby i wielopiętrowe siedziby ludzkie. Musiała to być społeczność bardziej zaawansowana niż wszelkie inne prehistoryczne skupiska ludzkie. A na domiar wszystkiego, gdzieś w głębinie leży złowroga sylwetka radzieckiej atomowej łodzi podwodnej. Pół życia spędził, ćwicząc niszczenie takich okrętów.

W radiostacji zachrypiął głos.

- „Seaquest”, tu „Sea Venture”. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

York schwytał mikrofon i odpowiedział podnieconym tonem.

- Macleod, tu „Seaquest”. Podaj swoje namiary. Odbiór.

- Nadal stoimy w Trabzonie. Zatrzymał nas sztorm. - Zniekształcony głos co chwila zanikał. Był to skutek stumilowego elektrycznego bigosu. - Ale Mustafie udało się podłączyć do satelity. Jest zaprogramowany na odczyt ciepła. Już powinien przekazywać obraz.

York odwrócił się, żeby przyjrzeć się ekranowi na konsoli nawigacyjnej. Przeszedł obok marynarza trzymającego ster. Drgające, połyskliwe kolory zaczęły się przekształcać w skalisty krajobraz, a potem rozpadły się na mozaikę pikseli.

- Widzisz środkową część wyspy. - Głos Macleoda był ledwie słyszalny. - U góry jest wschodni brzeg. Mamy tylko chwilę, zanim stracimy połączenie z satelitą.

Górna część ekranu była nieczytelna, ale kolejne przejście skanera ukazało obraz pośrodku ekranu. Obok poszczerbionych rumowisk lawy rozpościerał

się brzeg szerokiej platformy, z lewej ledwie widoczne równo rozmieszczone kamienie. Po prawej zarysowywały się wycięte w skale stopnie.

- Tak! - Marynarz podniósł pięść. - Udało się!

York podniósł wzrok. Dwie czerwone plamy oderwały się od schodów i najwyraźniej zmieniały położenie. Z zamętu pikseli u góry ekranu wyłoniła się trzecia.

- Dziwne. - York był zaniepokojony. - Idą w górę od linii brzegu, a przecież Jack był przekonany, że podziemne przejście wyprowadzi ich w okolice szczytu wulkanu. I powinni nawiązać kontakt radiowy, gdy tylko wyjdą na powierzchnię.

Jak na zamówienie, jego najgorsze podejrzenia potwierdziły się. Pojawiła się czwarta, a potem piąta postać, rozeszły się po obu stronach schodów.

- Chryste! - krzyknął marynarz. - To nie nasi.

Obraz rozpadł się, trzaski w radiu zagłuszyły słowa. Marynarz odwrócił głowę w stronę światełka ostrzegawczego na drugim ekranie.

Powinien pan to zobaczyć, kapitanie.

Na monitorze widać było poruszającą się po kręgu linię wojskowego radaru Racal decca TM 1226.

- Mamy zrywający się kontakt od wschodniej strony wyspy. Nie mogę być pewien, dopóki obraz się nie ustabilizuje, ale powiedziałbym, że patrzymy na okręt rozmiarów fregaty.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy wizg nad głowami i obu mężczyzn odrzuciło gwałtownie do tyłu. York podniósł się i podbiegł do sterburty. Zdążył na czas, żeby zobaczyć pióropusz wody wyrastający pięćset metrów przed dziobem. W tej samej chwili usłyszeli odległy stukot ognia karabinowego. Dźwięk odbijał się od wyspy i toczył w ich stronę w przejrzystym, porannym powietrzu.

- Wszystkie systemy wyłączone, powtarzam, wszystkie systemy wyłączone! - krzychał marynarz. - Radar, radio, komputer! Nic nie działa!

York rzucił się z powrotem do przybudówki i szybko rozejrzał. Przez, drzwi do pomieszczenia nawigacyjnego zobaczył, że monitor jest pusty. Oświetlenie i radiostacja krótkofalowa na mostku nie działały, podobnie jak odbiornik GPS i ekrany ciekłokrystaliczne. Natychmiast pociągnął rączkę syreny i otworzył wieczko na rurze głosowej prowadzącej do wszystkich zakamarków statku.

- Posłuchajcie! - ryczał, zagłuszając wycie syreny. - Czerwony alert. Czerwony alert. Zostaliśmy zaatakowani. Wszystkie urządzenia elektroniczne wysiadły. Powtarzam, wszystkie urządzenia elektroniczne wysiadły. Niech

major Howe natychmiast zgłosił się na mostek. Reszta załogi niech zbierze się w wewnętrznym doku i przygotuje do spuszczenia ratunkowej łodzi podwodnej „Neptune II”. - Zatrzasnął wieczko i popatrzył na sternika. Twarz miał ponurą i napiętą. - Bomba E.

Marynarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Najgorszą z ostatnich nowości w arsenale terrorystów była bomba elektromagnetyczna - naładowany magnetycznie pocisk, który podczas wybuchu emituje miliardy watów w formie pulsacji mikrofalowej. W porównaniu z tym piorun jest słaby jak żarówka. W zasięgu swojego działania potrafią wyłączyć całą moc elektryczną, komputery i telekomunikację.

- Mike, czas, żebyś dołączył do pozostałych rozkazał York sternikowi. Baterie rezerwowe w łodzi podwodnej i module dowodzenia są chronione przed polem elektromagnetycznym, więc nadal powinny być zdadne do użytku. Peter i ja zostaniemy tak długo, jak się da i jeśli okaże się to konieczne, odpłyniemy w module. To niezwykle ważne, żebyście dopłynęli do tureckich wód terytorialnych, zanim nadacie swoją pozycję. Kod wywoławczy brzmi: „Ariadna potrzebuje anioła stróża”. Nadajcie to na bezpiecznym kanale IMU. Jako starszy stopniem marynarz przejmujesz dowodzenie.

- Tak jest. I życzę szczęścia, kapitanie.

- Ja tobie też.

Marynarz pospiesznie zszedł po drabinie, a York zogniskował lornetkę na wschodnim brzegu wyspy. Kilka sekund później zza skał wyłoniła się niska sylwetka. Ostry dziób budził straszne skojarzenia z pyskiem rekina. W kryształicznym porannym świetle każdy szczegół widać było dokładnie, od wieżyczki artyleryjskiej na przedzie poprzez lśniąca nadbudówki, po gondole silników na rufie.

Wiedział, że to mogła być tylko „Vultura”. Poza Amerykanami i Brytyjczykami jedynie Rosjanie opracowali pulsacyjne pociski elektromagnetyczne. Podczas ostatniego konfliktu w zatoce Rosja zachowała wystudiowaną neutralność. Pewna liczba zatwardziałych zwolenników zimnej wojny twierdziła jednak, że potajemnie zaopatrywała rebeliantów w broń. Teraz York dysponował potwierdzeniem tego, co wielu podejrzewało, że te pociski stanowiły część nielegalnego przecieku broni ze starych sowieckich arsenałów do terrorystów za pośrednictwem kryminalnego podziemia. Aslan prawdopodobnie nie był jedynym panem wojny, który pozyskał trochę tych cennych materiałów na prywatny użytek.

Gdy York zapinał kamizelkę ratunkową, po drabinie wspiął się Howe. Był już do połowy ubrany w biały przeciwodblaskowy kombinezon. Drugi rzucił

Yorkowi. Obaj szybko założyli na siebie sprzęt i wzięli hełmy z kosza pod konsolą. Kevlarowe kopuły miały wypukłe osłony na uszy i podnoszone przyłbice z bezpiecznego szkła.

- A więc zaczęło się - powiedział Howe.

- Boże, błogosław nam.

Obaj ześlizgnęli się po drabince na pokład. Lądowisko dla helikoptera za nadbudówką było puste. Lynx odleciał do Trabzonu, gdy tylko zaczęła się burza.

- Automatyczny system artyleryjski będzie bezużyteczny bez elektroniki rzekł Howe. Ale przestawiłem gondolę na sterowanie ręczne, kiedy doko-
nywałem ostatniego przeglądu, więc będziemy mogli uruchomić ją korbą

Ich jedyną nadzieją było zaskoczenie. Na „Vulturze” nie mogli wiedzieć, że dysponują stałym uzbrojeniem. Podczas normalnych operacji „Seaquesta” broń zdejmowano. Aslan bez wątpienia miał zamiar dokonać abordażu, złupić statek i posłużyć się nim wedle swojej woli. Niewiele mogli na to poradzić, ale nie musieli poddać się bez walki. Działo „Vultury” było w nich wycelowane. Wiedzieli, że pierwszy wystrzał rozpęta piekło, wściekły atak, na którego przyjęcie „Seaquest” nie był przygotowany.

Obaj ukucnęli na przednim pokładzie i unieśli okrągły właz. Pod nim ukazał się szary pancierz wieżyczki. Wystawały z niej bliźniacze lufy działka brenda kaliber 40 milimetrów.

Howe zeskoczył na platformę działonowego za zamkiem i popatrzył na Yorka.

- Musimy być gotowi do strzału natychmiast po podniesieniu wieżyczki i namierzeniu celu. Zrobimy to w tradycyjny sposób. Ja jestem działonowym, a ty obserwatorem.

W normalnych warunkach działkiem można było sterować z mostka zaopatrzonego w dalmierz boforsa 9LV 200 mark 2 z radarem i system kontroli ognia 9LV 228. Teraz jednak York nie miał pożytku nawet z ręcznego dalmierza laserowego i musiał zdać się całkowicie na swoje zdolności nawigacyjne. Na szczęście pamiętał odległość od wschodniego krańca wyspy, gdzie teraz w całej okazałości stała „Vultura”, z koordynat umówionego miejsca spotkania.

- Odległość trzy tysiące sto metrów. - York uniósł ramiona, które miały zastąpić przyrządy celownicze. Prawe ramię wystawił pod kątem czterdziestu pięciu stopni od dziobu „Seaquesta”, a lewe wycelowwał w rufę „Vultury”. - Azymut dwieście czterdzieści stopni, licząc według naszej osi.

Howe powtórzył instrukcje i kręcił kołem obok siedzenia działonowego, aż lufy nastawiły się na „Vulturę”. Szybko policzył kąt wznoszenia, przesuując

zapadkę na półkolistym metalowym kompasie, żeby lufy od razu nastawione były na właściwą trajektorię, kiedy z Yorkiem podniosą wieżyczkę.

- Ciśnienie barometryczne i wilgotność w normie, szybkość wiatru nieistotna. Na tę odległość nie trzeba wprowadzać poprawki.

York zszedł na platformę obok Howe'a, żeby pomóc mu ładować amunicję. Pas transmisyjny ładujący naboje z magazynka był pusty, gdyż statku nie przygotowano do bitwy. Elektronika nie działała, zaczęli więc wyciągać amunicję z zapasowych skrzynek umieszczonych po bokach wieżyczki.

- Będziemy musieli ładować ręcznie - powiedział Howe. Odłankowe do lewej lufy, przeciwpancerne do prawej, po pięć pocisków do każdej. Wątpię, żebyśmy mieli szansę zużyć ich więcej. Odłankowe wykorzystamy do namierzania, bo ich wybuch jest lepiej widoczny, a potem przełączymy na solidny strzał.

York zaczął układać pięciokilogramowe pociski na stojaki nad podajnikami. Z lewej strony z czerwonym zapalnikiem, z prawej - z zielonym. Kiedy skończył, Howe usiadł na miejscu działonowego i odciągnął rygle komór obu dział, żeby załadować naboje.

- To cholernie frustrujące, że ma się tylko dziesięć nabojów do działka, które może wystrzelić czterysta pięćdziesiąt pocisków na minutę - stwierdził nonszalancko. Może bogowie Atlantydy uśmiechną się do nas.

Obaj zamknęli przyłbice. York wszedł w wąską przestrzeń przed kołem kontrolującym wznios luf, a Howe chwycił za ręczną dźwignię podnoszącą i opuszczającą wieżyczkę. Zakręcił kołem na próbę i spojrzął na Yorcka.

- Gotów na wznoszenie?

York podniósł kciuki.

- Teraz!

Gdy wieżyczka uniosła się, a lufy obniżyły, York poczuł przypływ adrenaliny. Wiele razy brał udział w walce, ale zawsze z wyniosłości mostka albo z kabiny operacyjnej. Teraz miał właśnie nawiązać śmiertelny bój, stojąc przy zimnej stali działka. Po raz pierwszy zrozumiał, co czuli marynarze przykucnięci za armatami na „Victory” Nelsona albo w potężnych wieżach pancerników podczas bitwy jutlandzkiej, albo na North Cape. Ich przetrwanie wisiało na włosku, niewielkie mieli szanse, stojąc na wprost działka kaliber 130 milimetrów „Vultury”, z najnowszym systemem namierzającym podłączonym do GPS.

Wieżyczka wzniosła się nad poziom pokładu i „Vultura” znalazła się w polu widzenia. York patrzył, jak lufy ustawiają się wedle założonych koordynat

i blokują we właściwej pozycji. Trzasnął dłonią w rączkę urządzenia wznoszącego i podniósł prawe ramię.

- Na mój znak!

Howe odbezpieczył i zagiął palec wokół spustu.

- Ognia!

Rozległ się rozrywający uszy trzask i lufę po lewej stronie gwałtownie odrzuciło do tyłu. York chwycił lornetkę i śledził na niebie trajektorię pocisku. Kilka chwil później na lewo od „Vultury” pojawiła się fontanna wody.

- Dwadzieścia stopni na lewo! - ryknął York.

Howe zakręcił kółkiem namiarowym i zablokował lufy na pozycji.

Ognia!

Znów odrzut i jęzor ognia, tym razem z lufy po lewej stronie. Gazy odrzutowe w ułamku sekundy wyrzuciły łuskę i załadowały nowy nabój.

- Trafiony! - krzyknął York. Przeciwpancernym, pięć strzałów, szybki ogień!

Zobaczył czerwony rozbłysk w miejscu, gdzie trotyl wybuchł przy metalu, wyrzucając na rufę „Vultury” deszcz odłamków. Mieli teraz nadzieję, że strzał przeciwpancernym unieruchomi napęd „Vultury”, niszcząc turbiny nadające okrętowi szybkość większą od szybkości prawie wszystkich innych statków poruszających się po powierzchni wody.

- Ognia!

Howe pociągnął za spust z prawej strony i przytrzymał go. Z hałasem wielkiego młota pneumatycznego działo wypluło pięć pocisków, opróżniając magazynek w niecałą sekundę. Puste łuski śmigają z zamka przy każdym odrzucie.

Zanim huk zdążył przebrzmieć, rozległ się okropny trzask w okolicach rufy „Seaquesta” i przez kadłub przeszła silna wibracja. Patrzyli z przerażeniem, jak statek dostaje pół tuzina bezpośrednich trafień tuż nad linią wodną. Z tej odległości „Vultura”, której naboje napędzane były ładunkami nitreksu, mogła strzelać praktycznie po płaskiej trajektorii. Wzmocnione uranem pociski przeszywały „Seaquesta” od rufy po śródokręcie, jakby statek nadziano na gigantyczny widelec. Pociski waliły w grodzie i wylatywały z drugiej strony w fontannie ognia i odłamków.

- Teraz namierzają mostek! - ryknął York. - A potem na nas kolej!

„Seaquest” trzeszczał i jęczał, a York patrzył przez lornetkę na rufę „Vultury”. Kłęby dymu wskazywały, gdzie została trafiona. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę, więc zniżył lornetkę. Nadymana łódź o sztywnym kadłubie śmigła w ich stronę, jej bliźniacze silniki zaburtowe ubijały wodę w szeroki

kilwater w kształcie litery V. W środku siedziały przykucnięte postacie. Łódź przebyła już połowę drogi i szybko się zbliżała.

- Zbliża się łódź wroga. Odległość osiemset metrów! - krzyknął. - Przetawic lufy na najniższy poziom. Strzelaj wedle celownika optycznego!

York jak szalony kręcił kołem ustawiającym wysokość luf, a Howe otworzył metalowy celownik przed siedzeniem działonowego. W chwili, w której jego dłoń zamknęła się na spuście z lewej strony, rozległ się ogłuszający huk i obu mężczyzn rzuciło na pokład. Z trzaskiem tysiąca rozbijanych okien burza metalowych odłamków odbiła się od pancerza wieżyczki. Jeden z odłamków przeciął głęboko nogę Yorka i zabarwił krwią kombinezon. Kilka sekund później dwie kolejne eksplozje omiotły pokład, a suchy trzask oznajmił, że właśnie uderzył pocisk przeciwpancerny, który przeleciał przez nadbudówkę i wpadł do morza po sterburcie.

York dzwignął się na nogi. W uszach mu dzwoniło, lewą nogę miał bezwładną. Patrzył na dziurę ziejącą w miejscu, w którym był mostek. Dla człowieka morza był to koszmarny widok, jakby bezsilnie patrzył na ukochaną kobietę w objęciach śmierci, bez oczu, niemą, o zniszczonej twarzy.

- Dorwijmy tych drani. - Głos miał chłodny i równy, mimo bólu.

- Tak jest, kapitanie.

Howe wrócił na stanowisko działonowego. Na celowniku miał pędzącą w ich stronę łódź. Była o dwieście metrów od statku. Obniżył maksymalnie lufy i w sekundowych odstępach wypalił pozostałe pociski odłamkowe. Pierwszy był za krótki, ale uniósł ponton jakby do startu. Drugi przeszedł pod kilem i całkowicie zdmuchnął ponton z powierzchni wody, tak mocno przechylając rufę, że widać było sześciu ludzi w strojach nurków rozpaczliwie trzymających się pokładu. Trzeci rozerwał się przy pawęży, podpalając zapas paliwa. Łódź i jej pasażerowie zniknęli w ognistej kuli.

Nie mieli czasu na radość. Koniec był gwałtowny i bezlitosny, tak jak to sobie wyobrażali.

Kiedy pierwsze fragmenty płonącej łodzi uderzyły o wieżyczkę, poczuli, że coś się rozdziera pod ich nogami. Nity wystrzeliły i metal zwinął się groteskowo od jednej burty do drugiej. Chwilę później kolejny pocisk wyrwał wieżyczkę z podstawy i rzucił ich na reling sterburty. Otaczał ich ogień, płonący wir, który wpychał ich w zwięzającą się otchłań.

York walczył o zachowanie przytomności. W ostatniej chwili zobaczył jeszcze „Seaquesta”. Statek zamienił się w stos szczątków, ale w jakiś cudowny sposób utrzymywał się na wodzie. Zniszczony nie do poznania, pozostawał niepokonany jak nieruchomy wulkan w tle.

Wpłynęli w złowrogie ciemności tunelu pod lewym koniuszkiem orlego skrzydła i zobaczyli, że ściany są wygładzone i wypolerowane tak jak we wcześniej mijanych tunelach. Przez pierwsze kilka metrów za halą przodków prowadził Costas, ale przejście wkrótce zrobiło się szersze i Jack z Katią mogli płynąć obok niego. Po jakichś dziesięciu metrach podłogą zastąpiły niskie, wyrobione stopnie prowadzące do góry pod stałym kątem tak daleko, jak docierało światło lamp.

- Tym razem bogowie nam sprzyjają powiedział Costas. - Jeszcze kilka minut na tej głębokości i zostalibyśmy tutaj na zawsze.

Wznosząc się, korzystali z kompensatorów pływalności, żeby zaoszczędzić energię. Na ścianach ciągnął się fryz przedstawiający naturalnej wielkości byki. Ich faliste formy były zaskakująco podobne do minojskich fresków na Krecie. Byki zdawały się patrzeć na nich spode łba i grzebać kopytami.

Kiedy oddech Jacka zaczął się uspokajać, jego komputer włączył sygnał ostrzegający, że wkrótce zacznie zużywać rezerwę. Jack odczuł przez sekundę blokadę regulatora, a potem popłynęła rezerwowa mieszanka i mógł swobodnie płynąć dalej.

Kiedy będziemy wyżej i ciśnienie się zmniejszy, dostaniesz więcej mieszanki z zapasu pocieszył go Costas. Gdyby mieszanka ci się skończyła, zawsze możemy korzystać na przemian ze wspólnej butli.

- Świetnie. - Jack skrzywił się za przyłbicą i znów skupił się na utrzymaniu dodatniej pływalności.

Przez następne kilka minut, gdy stopniowo posuwali się w górę, słyszeli tylko swoje wydechy. Po około stu metrach Costas dał sygnał, żeby się zatrzymali.

- Jesteśmy teraz siedemdziesiąt metrów poniżej poziomu morza oznajmił. - Mój komputer mówi, że potrzebny jest nam pięciominutowy przystanek dekompresyjny. Bo mimo że byliśmy głównie na mieszance helowo-tlenowej, i tak wchłonęliśmy mnóstwo azotu. Musimy się odgazować.

Mimo kłującego bólu w boku Jack czynił świadome wysiłki, żeby nie zapaść w hiperwentylację. Opadł wyczerpany na schody i sięgnął po dysk.

- Czas na odczyt z mapy - powiedział.

Costas i Katia usiedli obok niego. Jack obracał dysk, aż odcisnięty na nim symbol ustawił się zgodnie z kierunkiem korytarza.

- Jeśli dobrze to odczytaliśmy, to jesteśmy tutaj, na lewym ramieniu orla - pokazał Costas.- Nie mogliśmy zejść za daleko. Zbliżamy się do zbocza.

- Kiedy ten korytarz się skończy, zrobimy zwrot w prawo - powiedziała Katia. - Potem pójdziemy wzdłuż skrzydła, aż do ostatniego skrętu w lewo, a potem do wschodniego koniuszka skrzydła.

- Jeśli zbliżamy się do kaldery, to musimy wznieść się o sto metrów i pójść czterysta metrów na południe, pod kątem trzydziestu stopni. W pewnym punkcie znajdziemy się na poziomie morza, ale nadal będziemy pod ziemią.

- Co się stanie, jeśli to przejście idzie w dół? - zapytała Katia.

- Ugotujemy się żywcem - powiedział bez ogródek Costas. - Jądro to wrząca masa stopionej lawy i rozpalonego gazu. Nawet wznosząc się, możemy trafić na przeszkodę w postaci lawy, która wylała po potopie.

Ich czasomierze jednocześnie zadzwoniły wskazując, że pięciominutowa przerwa się skończyła. Jack schował dysk do kieszeni i sztywno odepchnął się od schodów.

- Nie mamy wyboru - powiedział. - Módlmy się, żeby Ben i Andy nadal się trzymali. Jesteśmy ich jedyną liną ratunkową.

Kiedy wyszli na głębokość sześćdziesięciu metrów, ich regulatory zastąpiły hel azotem. Wkrótce mieszanka oddechowa miała się różnić od powietrza atmosfery tylko wzbogaconym tlenem, który dodaje się na ostatnich metrach, żeby oczyścić krew ze zbędnego azotu.

Schody zwały się i Costas znów popłynął pierwszy. Przy ostatnim stopniu tunel skręcił w prawo, idąc za naturalnym pęknięciem, a potem wrócił do pierwotnego kierunku i szybko doprowadził ich do wejścia do kolejnej jaskini.

- Oto nasze skrzyżowanie. Trafiliśmy prosto do celu.

Lampy oświetliły komorę długą na jakieś dziesięć metrów i szeroką na pięć. Z każdej z czterech stron były drzwi. Podczas dekompresji Jack nabrał sił i teraz popłynął naprzód, żeby dokładnie przyjrzeć się jaskini. Pośrodku stał długi stół otoczony postumentami. Był wykuty z kamienia i miał podniesione brzegi jak odwrócona pokrywa sarkofagu. Postumenty były to wolno stojące baseny jak chrzcielnice w średniowiecznych kościołach.

- Tu nie ma kanalików odpływowych krwi i nie dałoby się wprowadzić wielkiego zwierzęcia tak wysoko pod górę - powiedział. - Ofiary są zazwyczaj czynione publicznie, a tutaj świadkami ceremonii mogła być tylko garstka wybrańców.

- Stół ablucyjny do rytualnych oczyszczeń? - zasugerował Costas.

Katia podpłynęła do drzwi znajdujących się naprzeciwko tunelu, którym się tu dostali. Zajrzała do korytarza za drzwiami i na krótko wyłączyła lampę.

- Widzę światło - powiedziała. - Ledwie je widać, ale to są cztery oddzielne, równo rozmieszczone źródła.

Jack i Costas podpłynęli do niej. Oni też dostrzegli słabe, zielonkawe smugi.

- Znajdujemy się tylko pięćdziesiąt metrów pod poziomem morza i kilka metrów pod zboczem, - Costas znów włączył lampę. - Na zewnątrz jest wczesny ranek, toteż na tej głębokości może być trochę światła powierzchniowego.

- Ten korytarz odpowiada jednej z równoległych linii wystających ze skrzydła orła - powiedział Jack. Idę o zakład, że to część mieszkalna, z oknami i balkonami wychodzącymi na piramidy. Tak jak w minojskim kompleksie na urwiskach Thiry. Wspaniałe usytuowanie, które służyło klasztorным ideałom, ale także pozwalało dominować nad ludnością zamieszkałą na brzegu.

- Możemy przejść przez jedno z tych okien - zaproponowała Katia.

- Nie ma szans - rzekł Costas. - Wyglądają jak szyby wentylacyjne, o średnicy prawdopodobnie mniejszej niż metr. A my nie mamy czasu na ich zbadanie. Jak do tej pory nasza mapa podawała prawdziwe informacje i głosuję za tym, żeby się jej trzymać.

Właśnie wtedy poczuli wibracje i woda zmętniała, co sprawiło, że Jack przestraszył się, że znów zemdleje. Nastąpiły kolejne wibracje, a potem seria głuchych, mocnych dźwięków. Przed każdym z nich rozlegał się stłumiony brzęk jakby szkła tłuczonego gdzieś w oddali. Nie było sposobu, żeby sprawdzić, gdzie jest źródło tych dźwięków.

- To łódź podwodna! - krzyknęła Katia.

- Jest za daleko - powiedział Costas. - Gdyby na „Kazbeku” nastąpił wybuch, to nas już by tu nie było.

- Już słyszałem ten dźwięk. - Jack patrzył na Costasa. Jego gniew można było wyczuć nawet mimo hełmu. - Myślę, że to wibracja pocisków rozdzierających kadłub. Na powierzchni rozgrywa się pojedynek artyleryjski.

- Cokolwiek to jest, musimy znaleźć drogę do wyjścia - powiedział Costas. - Chodźmy.

Popłynęli w stronę wyjścia zaznaczonego na planie jako to po prawej ręce. Za basenami Costas zatrzymał się, żeby spojrzeć na kompas.

- Płyniemy na południe - oznajmił. - Musimy tylko podążać tą drogą tak, jak nas prowadzi, a potem skręcić na lewo.

Katia zbliżała się do wyjścia, wyprzedzając o kilka metrów Jacka i Costasa. Nagle zatrzymała się.

- Popatrzcie - powiedziała podnieconym głosem.

Nad wejściem widniała wielka soczewka wykuta w skale. Była poorana symbolami. Niektóre z nich rozciągały się na pół metra. Podzielone zostały na dwie grupy po cztery. Każda grupa otoczona była wykutą w kamieniu linią przypominającą hieroglificzny kartusz.

Nie było wątpliwości, gdzie się znajdują.

- Kłos zboża, wiosło, półksiężyc. I te główki Mohikanów - powiedziała Katia.

- To ostateczny dowód - mruknął Jack. - Dysk z Fajstos, złoty dysk z wra-ku. Oba pochodzą z tego samego miejsca. Patrzymy na święte pismo Atlantydy.

- Co to znaczy? - zapytał Costas.

Katia już konsultowała się ze swoim palmtopem. Razem z Dillenem zaprogramowała go tak, żeby zrównywał symbole z Atlantydy z ich sylabicznymi odpowiednikami pisma linearnego A. Dało to najlepsze, jak do tej pory, tłumaczenie słownictwa minojskiego.

- *Ti-ka-ti-re, ka-ka-me-re* - Katia powoli wymawiała dźwięki, naleciałości rosyjskiego akcentu przydawały końcowym sylabom charakterystycznej miękkiej wymowy.

Przewijała symbole alfabetycznie, a Jack i Costas patrzyli, jak na ekraniku pojawiają się kolejne słowa.

- Oba występują w leksykonie minojskim - powiedziała. - *Ti-ka-ti* oznacza trasę albo kierunek. *Ka-ka-me* znaczy martwy albo śmierć. Sufiks *re* znaczy „do” albo „z”. Można to zatem przetłumaczyć „droga śmierci” albo „w stronę śmierci”.

Popatrzyli na inskrypcje nad ich głowami, symbole były tak wyraźne, jakby wykuto je wczoraj.

- To nie brzmi zbyt obiecująco - powiedział ponuro Costas.

Jack skrzywił się i oboje znów popatrzyli na niego z niepokojem. Zebrał resztki sił i popłynął naprzód korytarzem.

- To chyba ostatni odcinek. Płyńcie za mną

Costas został na chwilę, żeby przymocować do plecaka ostatnią rolkę taśmy. Przed sobą widział tylko wiry pozostawione przez Jacka i Katię. Kory-

tarz prowadził pod lekkim kątem do góry. Costas płynął za nimi, prowadził go podnoszący na duchu blask ich lamp.

- Wznosicie się nie szybciej niż pięć sekund na metr - powiedział. - Nasz czas spędzony w tej komorze liczy się jako kolejny przystanek dekompresyjny, a płynąc pod tym kątem, nie będziemy musieli już się zatrzymywać przed wyjściem na powierzchnię.

Podłoga była chropawa, jakby specjalnie jej nie obrobiono, żeby dawała lepsze oparcie. Były na niej równoległe bruzdy jak wgłębienia w starożytnych drogach. Nagle znaleźli się u wejścia do kolejnej komory. Ściany rozstępowały się i ginęły w smolistej ciemności, ale schody nadal prowadziły do góry.

Komora była przepastna, nawet hala przodków wydawała się przy niej mała. Wokół nich rozciągała się pofalowana powierzchnia skał, która w ruchomym świetle lamp zdawała się marszczyć. Boki schodziły w przepaścistą otchłań. Pionowy spad zakłócały tylko bulwy lawy rozsiane na ścianie jak sęki na starym dębie. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeli, widać było poskręcane rzeki lawy, świadectwo ogromnych sił, które wydobywały się ze stopionego jądra ziemi.

- Jądro wulkanu musi być tylko kilkaset metrów stąd na południe powiedział Costas. - Magma i gaz przebijały się przez sprasowane popioły stożka, zostawiały dziury, a potem krzepły. Dało to efekt w postaci wielkiej struktury ulowej, wielkiego, pustego jądra poprzecinanego siatką formacji bazaltowych.

W krystalicznie czystej wodzie rampa wyglądała jak gigantyczna grobla, wielki kamienny kręgosłup rozciągający się w całym polu widzenia. Po lewej stronie lampy wydobyły z ciemności wielki wał, a po drugiej następny, odchodzący w tym samym miejscu. Oba wyrastały pod kątem prostym ze środkowego grzbietu i łączyły się ze ścianami komory.

To Costas zwrócił ich uwagę na oczywistość: dlaczego ta geometria wydała im się tak dziwnie znajoma.

- Centralny grzbiet to górne skrzydło symbolu. Wały to linie z lewej strony. Jesteśmy w domu.

- To musiało budzić grozę w pierwszych ludziach, którzy dotarli do tej komory - powiedział Jack. Domyślam się, że po drugiej stronie jądra także są intruzje bazaltowe, ciągnące się od środka, zgodnie ze strumieniem lawy płynącym szczelinami na powierzchnię. Jeśli wzór jest symetryczny, łatwo zrozumieć, dlaczego nabył własności magicznych. To był obraz ich świętego boga-orła.

Katię zahipnotyzowały kaskady skał rozciągające się wokół nich. Grobla wyglądała jak most do podziemnej twierdzy, ostateczny sprawdzian odwagi,

Który pokonywali tylko ludzie tak dzielni, że nie bali się przejść nad fosą pełną ognia.

Rozpoznawała wejścia u końca rozgałęzionych ramp. Sto metrów przed sobą widzieli odległy poblask kamiennej ściany. Jej ogrom ukryty były w mroku. Katię przeszedł dreszcz, gdy przypomniała sobie ponury napis nad wejściem do komory.

Costas zaczął z determinacją płynąć wzdłuż grobli.

Jackowi zostało mieszanki tylko na kilka minut. Czas znaleźć wyjście na powierzchnię.

Jack i Katia płynęli po obu stronach Costasa nad koleinami ciągnącymi się od wejścia. Gdy tylko minęli połączenie z pierwszą groblą z lewej strony, zobaczyli obniżenie pośrodku centralnego grzbietu, które nie było widoczne od wejścia. Rozciągało się ono na całą pięciometrową szerokość grobli. Miało jakieś dwa metry głębokości i z obu stron prowadziły do niego schody. Nad zagłębieniem, z prawej strony widniała rzeźba przedstawiająca rogi byka o charakterystycznych pionowych bokach i szerokim wewnętrznym zagięciu. Identyczna rzeźba wyrastała na lewo od środka, a między nimi leżała wielka kamienna płyta. Rogi wykuto ze skały. Ich końce sięgały prawie do wierzchu grobli, natomiast płyta była z lśniącego białego marmuru podobnego do kamienia, z którego wykuto fantastyczne zwierzęce posągi stojące wzdłuż drogi procesyjnej na zewnątrz wulkanu.

Opadli niżej, żeby dokładniej się przyjrzeć. Płyta była nachylona nad przepaścią.

- Oczywiście! - krzyknął Jack. - Ta inskrypcja. Nie „droga śmierci”, ale „droga zmarłych”. Odkąd pierwszy raz ujrzeliśmy Atlantyde, zastanawiałem się, gdzie są cmentarze. Teraz wiemy. Poprzednie pomieszczenie to kostnica, komora, w której przygotowywano zwłoki. A tutaj pozbywali się swoich zmarłych.

Nawet Costas na chwilę zapomniał o konieczności jak najszybszego wyjścia spod wody i podpłynął, żeby spojrzeć w czeluść. Na kilka sekund włączył halogen o wielkiej mocy, żeby nie wyczerpać baterii rezerwowych.

- Wybrali właściwe miejsce - powiedział. - Lawa tam na dole jest potrzaskana. To odmiana szybko zastygająca i wypełnia przepaść jak skamieniały nurt. Siedem tysięcy lat temu to mógł być aktywny wypływ. Lawa wrze w temperaturze tysiąca stu stopni Celsjusza. To wystarczy, żeby stopić samochód. A więc mamy tu gotowe krematorium.

Katia oglądała schody wiodące w dół, ku platformie.

- Tu musieli przynieść ciała, zanim położyli je na płycie, żeby wyprawić w ostatnią podróż - powiedziała. - Bruzdy na rampie mają rozstaw dwóch metrów, w sam raz na mury. Musieli je wydeptać żałobnicy, idący w niezliczonych tysiącach procesji pogrzebowych.

Jack patrzył w głąb przepaści. Próbował sobie wyobrazić rytuał, który po raz ostatni odprawiono tu tysiące lat temu. Uczestniczył w wykopaliskach na wielu miejscach grzebalnych. Zmarli opowiadali często lepsze historie niż te, które pozostały po żywych. Spodziewał się, że największym ich odkryciem będzie bogata w artefakty nekropolia. Teraz wiedział, że jedyne śmiertelne szczątki po ludzkiej Atlantydy zapisane były w nich samych, w genach tych nieustraszonych żeglarzy, którzy umknęli powodzi i rozsiali ziarna cywilizacji.

- A więc to jest podziemny świat starożytnych - powiedział. Oddech miał urywany. - A Styks to nie spokojna, zastała woda, ale płonąca rzeka ognia.

- Stary Charon przewoźnik musiałby poczekać, aż wystygnie - powiedział Costas. - Dla mnie to wygląda jak bramy piekieł. Chodźmy stąd, zanim bóg tego miejsca obudzi się i rozpali w piecu.

Kiedy przepływali ostatni odcinek rampy, Jack już dyszał. Jego nierówny oddech słychać było z daleka i zaniepokojona Katia odwróciła się w jego stronę. Costas podpłynął blisko i zatrzymał przyjaciela.

- Czas na wspólne oddychanie - powiedział.

Pogmerał przez chwilę przy plecaku, wyciągnął wulkanizowany wąż i wepchnął go w wylot kolektora wydechowego Jacka. Odkręcił kurek. Rozległ się syk, kiedy oba systemy wyrównywały ciśnienie.

- Dziękuję. - Jackowi nagle zaczęło się łatwiej oddychać.

- Mamy problem - oświadczył Costas.

Jack był skupiony na oddychaniu, ale teraz spojrzał w górę na skałę, która wyłoniła się przed nimi.

Korek z lawy - powiedział posępnie.

Jakieś pięć metrów przed nimi przy północno-wschodnim krańcu komory kończył się występ skalny. Mogli dostrzec wejście szerokie jak grobla, zwieńczone nadprożem. Ale przed nim leżał wielki skrzep lawy, ohydny wytrysk, który wysączył się w przepaść, pozostawiając tylko małą szczelinę od góry.

Costas zwrócił się do Jacka.

Jesteśmy osiem metrów pod poziomem morza, w dziesięciometrowym marginesie bezpieczeństwa, gdzie tlen nie ma właściwości toksycznych, to też pracując nad naszym problemem, możemy oczyścić systemy.

Przełączył komputery Katii i swój na ręczne sterowanie i otworzył zawory tlenowe na kolektorach. Potem razem z Jackiem podpłynął do dziury i zajął w nią.

- Lawa musiała przebić się przez bazalt jakiś czas po powodzi - powiedział. - Szczelinę wyłłóbił wybuch gazu. Jeśli będziemy mieli szczęście, to prowadzi ona aż do samego końca.

Jack wcisnął głowę i ramiona w postrzępiony otwór. Za przeszkodą zobaczył tunel przypominający przewód wentylacyjny. Ściany były pocętkowane kroplami skały magmowej w miejscach, gdzie gaz wydostawał się gwałtownie ze stygnącej lawy z siłą dopalacza w odrzutowcu.

- Nie da rady przecisnąć się z ekwipunkiem na plecach - powiedział. - Po wybuchu lawa krzepnąc, musiała się rozszerzyć. Pierwsze kilka metrów tunelu są tak wąskie, że ledwie starczą dla Katii, nie mówiąc o mnie czy o tobie.

Wiedzieli, co mają zrobić. Jack zaczął odpinać uprząż z butlami.

- Lepiej ja pójde pierwszy. Ty i Katia nadal macie rezerwę. A ja potrafię nurkować bez tlenu do głębokości czterdziestu metrów.

- Ale nie z kulą w boku.

- Pozwól, że przedmucharę tunel tlenem - powiedział Jack. - Widzę wgłębienia w suficie. Mogą zatrzymać gaz i posłużyć jako bezpieczne przystanki.

Costas nic nie powiedział. Instynktownie z niechęcią odnosił się do pomysłu wypuszczenia choćby niewielkiej ilości kurczących się zapasów, ale zobaczył sens w słowach Jacka. Odpiął regulator drugiego stopnia od plecaka i podał mu. Jack wypuścił wąż tak daleko, jak tylko mu się udało i nacisnął zawór. Rozległ się ryk i tlen buchnął jak spieniona woda wzdłuż skalnego sufitu.

Costas patrzył z napięciem, jak wskaźnik zawartości tlenu spada poniżej pięćdziesięciu barów i zaczyna mrugać światelko ostrzegawcze rezerwy.

- Wystarczy! - powiedział.

Jack zwolnił zawór i położył regulator na występie szczeliny. Zdjął plecak i wetknął go w załamanie skały. Costas zdjął taśmę z pleców i przywiązał ją Jackowi do przedramienia.

- Standardowe sygnały - powiedział. - Jedno pociągnięcie znaczy, że wszystko w porządku. Dwa, że chcesz jeszcze tlenu. Wiele pociągnięć jedno po drugim znaczy, że przeszedłeś, jesteś bezpieczny i mamy iść za tobą.

Jack kiwnął głową. Sprawdzał, czy taśma na szpuli nie jest splątana. Będzie odcięty od interkomu, kiedy w kieszeniach powietrznych odsłoni przyłbicę. Zwolnił zamek bezpieczeństwa na hełmie i popatrzył na Costasa, który właśnie sprawdzał na komputerze, czy właściwie przeprowadzili dekompresję.

- Gotów.

- Przełącz się na regulator.

Costas odłączył przewód, a Jack mocno zamknął oczy i odrzucił do tyłu hełm. Jednocześnie zagryzł w ustach regulator drugiego stopnia i wyciągnął z bocznej kieszeni maskę trzymaną tam na wypadek awarii. Przycisnął ją do twarzy i dmuchnął przez nos, żeby usunąć wodę. Przez moment nie poruszał się, żeby wyrównać oddech.

Odpiął ręczną latarkę i podciągnął się przez szczelinę. Costas podążał zaraz za nim, żeby nie dopuścić do napinania się węża. Jack złapał za nadproże i wyczuł wgłębienie w miejscu, w którym lawa załamała się na licu skały. Palcami wyczuł symbol głęboko wyrzeźbiony w bazalcie.

Odwrócił się do Katii i zaczął w podnieceniu gestykulować. Mocno kiwnęła głową i znów spojrzała na niego. Najwyraźniej bardziej niż na archeologii podmorskiej zależało jej na tym, żeby przedostał się przez tunel.

Jack znów odwrócił się w stronę szczeliny i całkowicie się odprężył. Jego ciało zwisało z nadproża, oczy miał zamknięte. Wykorzystując technikę wolnego nurkowania, oddychał powoli i głęboko, żeby nasycić ciało tlenem. Po jakiejś minucie dał sygnał Costasowi, że wszystko w porządku i położył rękę na regulatorze. Pięć razy szybko odetchnął, wypluł ustnik i rzucił się naprzód w chmurze bąbelków.

Costas sięgnął po taśmę, która teraz stała się dla nich cenną liną ratunkową. Kiedy zaczęła mu się prześlizgiwać między palcami, powiedział do siebie: Życzę szczęścia, przyjacielu. Będzie nam potrzebne.

22

Przez pierwsze kilka metrów Jack musiał przeciskać się nad wybrzuszoną przy wejściu lawą. Czuł, jak ostre krawędzie skały rozrywają mu kombinizon. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy taśma nie uległa uszkodzeniu, a potem szybko ruszył wzdłuż tunelu, z wyciągniętymi rękami i latarką świecącą przed nimi.

Wyczuwał lekką pochyłość w miejscu, w którym strumień lawy dostosował się do nachylenia chodnika. Odwrócił się do góry brzuchem i zobaczył błyszczące bajorka tam, gdzie zebrał się tlen z regulatora Costasa. Prawie równo minutę po nabraniu ostatniego oddechu wsunął głowę w bajorko wypełniające pęknięcia w lawie. Zrobił trzy szybkie oddechy, jednocześnie patrząc na głębokościomierz. Złamał pałeczkę chemicznej pochodni i zostawił ją pływającą w bańce powietrza jako drogowskaz dla Katii i Costasa.

- Trzy metry pod powierzchnią morza - powiedział do siebie. - Bułka z masłem.

Zanurzył się i odepchnął od ścian tunelu. Przejście niemal natychmiast rozwidliło się. Domyślił się, że jedna odnoga prowadzi w bezpieczne miejsce, a druga do komina, przez który buchała lawa. Była to decyzja, od której zależało życie całej trójki.

Po sprawdzeniu wskazań kompasu Jack popłynął przejściem po lewej stronie, robiąc łagodne wydechy, żeby uchronić płuca przed rozerwaniem, gdyż ciśnienie coraz bardziej się zmniejszało. Pojawiły się przed nim połyskujące soczewki o zbyt dużej powierzchni jak na bajorka tlenu pod sufitem.

Płuca zaczęły go palić, gdy rozpaczliwie przedzierał się przez coraz węższą skalną szczelinę. Wydobył się spod nawisu lawy i wychynął na powierzchnię, mało nie rozbijając sobie głowy o skalny sufit. Dysząc, wyszedł z wody. Osiągnął poziom morza, ale nadal był głęboko wewnątrz wulkanu. We wznoszącym się nieustannie tunelu nie było widać wyjścia.

Odkąd opuścił Costasa i Katię, minęły tylko trzy minuty, ale jemu wydawało się, że to wieczność. Przewyciężył omdlenie i skoncentrował uwagę na pomarańczowej taśmie. Pociągał ją raz za razem, aż zwiotczała mu w rękach. Położył się i leżał bez ruchu.

W wielkiej fontannie wody wyłonił się Costas. Wskoczył na powierzchnię jak wieloryb. Kilka sekund później pojawiła się Katia i natychmiast zajęła się raną Jacka. Na jej twarzy pojawiła się troska, gdy zobaczyła zaskurupiałą krew, która wyciekła przez szczelinę w kombinezonie.

Costas zerwał maskę i oddychał ciężko. Ciemne włosy opadły mu na czoło, twarz miał obrzękłą i czerwoną.

- Przypomnij mi, że muszę się odchudzać - wydyszał. - Miałem trochę kłopotów na tym ostatnim odcinku.

Doczłapał do brzegu bajorka i zdjął płetwy. Jack doszedł do siebie na tyle, żeby unieść się na łokciach i odkręcić obudowę lampy. Odstłonięta żarówka rzucała teraz przyćmione światło na otoczenie.

- Witam w klubie - powiedział. - Ja się czułem, jakbym wpadł do maszyny do mięsa.

Ich głosy brzmiały dźwięcznie po długim czasie posługiwania się interkmem. Jack podczołgał się wyżej na pochyłość i wzdrygnął z bólu.

- Zostawiłem butlę Katii w tunelu - powiedział Costas. - Jest tam tyle mieszanek, że wystarczy dla nas dwojga, na wypadek gdybyśmy musieli wspólnie oddychać po drodze do łodzi podwodnej. Przywiązałem też chemiczną pochodnię do taśmy w tej poduszce powietrza. Gdybyśmy musieli wracać, wystarczy pamiętać, żeby skręcić w prawo.

W wodzie unosiły się bąbelki i z sykiem wypływały na powierzchnię. Patrzyli na nie, głęboko oddychając.

- Dziwne rzekł Costas. Wygląda, jakby tego było więcej niż tlenu z regulatora. Z komina wulkanicznego musi uchodzić jakiś gaz.

Teraz, kiedy bezpiecznie dotarli na miejsce, mogli się rozejrzeć po nowym otoczeniu. Wyżej, na zboczach, znajdowało się kolejne wycięte w skale przejście prowadzące do góry, ale wyglądało dziwnie.

- To algi - powiedział Costas. - Tu musi wystarczać naturalnego światła dla fotosyntezy. Jesteśmy bliżej szczytu, niż myślałem.

Kiedy bulgotanie w bajorku ustało, usłyszeli odgłos kapania.

- Woda deszczowa powiedział Costas. - Wulkan jest nasycany wodą po sztormie. Powinien się nad nim wznosić pióropusz pary rozmiarów grzyba atomowego.

- Przynajmniej „Seaquest” nie będzie miał problemów z odnalezieniem nas. - Jack mówił z trudem. Ukłął. Tlen podtrzymywał go przy życiu w tunelu, ale teraz jego ciało pracowało na pełnych obrotach, żeby pozbyć się pozostałości azotu. Zachwiał się, gdy stanął na nogach. Uważał, żeby nie nastąpić na śliskie plamy po wodzie deszczowej. Wiedział, że jego męki jeszcze się nie skończyły. Dał sobie radę pod wodą, ale teraz czeka go jeszcze większy ból, niełagodzony lodowatym zimnem.

Jack zobaczył, że Costas i Katia patrzą na niego z troską.

- Nic mi nie będzie. Masz rację, Costas.

Katia już miała pójść dalej, ale spojrzała na Jacka.

- Prawie zapomniałam.

Jej oliwkowa skóra i gładkie czarne włosy błyszcząły od wilgoci.

- Ta inskrypcja na nadprożu – powiedziała. - Przyjrzałam się jej, kiedy czekaliśmy, aż się przedostaniesz. Pierwszym symbolem była główka Mohikanina, sylaba *at*. Jestem pewna, że dalej był symbol przedstawiający kłos, *al* albo *la*. Nie mam wątpliwości, że cały napis brzmiał „Atlantyda”. To nasz ostatni drogowskaz.

Jack kiwnął głową, był zbyt oszołomiony, żeby mówić.

Ruszyli po zboczu. Teraz, kiedy zrzucili butle, nie mieli już lamp, które zostawili razem z hełmami. Latarki ręczne w zamierzeniu miały służyć jako sygnalizatory i ciągłe ich używanie szybko wyczerpywało baterie. Podczas marszu po pochyłości światła zaczęły słabnąć i wreszcie zgasły wszystkie naraz.

- Czas na oświetlenie chemiczne - powiedział Costas.

Schowali latarki do kieszeni, a Costas i Katia złamali laski pochodni. W połączeniu ze słabym światłem dziennym wytwarzały one niesamowitą aurę przypominającą oświetlenie awaryjne, które włączyli w łodzi podwodnej.

- Trzymajmy się bliżej - ostrzegł ich Costas. Te pochodnie płoną godzinami, ale ledwie oświetlają podłogę. Nie wiemy, czego możemy się spodziewać.

Kiedy wyszli zza zakrętu, ostry odór, który drażnił ich powonienie odkąd wyszli z wody, stał się nie do zniesienia. Ciepły powiew niósł ze sobą wymiotnie słodki smród rozkładu, jakby zmarli Atlantydy nadal rozkładali się w swoich wulkanicznych grobowcach.

- Dwutlenek siarki - oznajmił Costas, z lekka marszcząc nos. Nieprzyjemny, ale nie trujący, jeśli nie będziemy tu przebywać za długo.

W dalszej drodze zobaczyli kolejną rzekę lawy, która przebiła się na wierzch, rozrzucając swoją zawartość na podłogę tunelu jak krople cementu. Lawa była poszarpana i krucha, ale nie blokowała przejścia jak poprzedni strumień. Dziura, z której się wylała, była otoczona pajęczyną pęknięć i szczelin. To stamtąd wydostawał się smród i zwiększał się w miarę, jak podchodzili.

- Te dwa wypływy lawy, które napotkaliśmy, są względnie świeże - powiedział Costas. - Musiały nastąpić już po powodzi. W przeciwnym wypadku kapłani kazaliby je usunąć i naprawić tunel.

Za czasów Atlantydy musiały być podobne erupcje powiedziała nieśmiało Katia. - To miejsce jest znacznie bardziej aktywne, niż geologowie kiedykolwiek podejrzewali. Znajdujemy się wewnątrz bomby zegarowej.

Jack walczył z bólem. Dobijało go to, odkąd ogłuszający efekt zimna zaczął ustępować. Teraz każdy oddech był jak wbijany sztylet, każdy krok wywoływał męczarnie prowadzące na skraj omdlenia.

- Wy idźcie dalej. Musimy jak najszybciej skontaktować się z „Seaquestem”. Ja pójdę za wami, jak tylko będę mógł.

- Nie ma mowy. - Costas jeszcze nie widział, żeby przyjaciel przyznawał się do porażki i wiedział, że Jack jest w stanie zmusić się do wysiłku do

upadłego, wbrew wszystkim przeciwnościom. - Poniosę cię na plecach, jeśli będzie trzeba.

Jack zebrał wszystkie siły, jakie jeszcze mu zostały i powoli, w bólach, poszedł za Katią i Costasem po lawie, ostrożnie wybierając drogę na nierównej powierzchni. Szło się coraz łatwiej, a pochyłe podłoże przeszło w serię niskich stopni. Około dwadzieścia metrów za miejscem, gdzie wyciekła lawa, tunel skręcał na południe i stopniowo tracił regularne kontury. Obrobione ściany zaczęły ustępować przed naturalnymi kształtami wulkanicznej szczeliny. Tunel zwężał się, więc musieli iść gęsiego. Prowadził Costas.

- Widzę światło przed nami - oznajmił. - To powinno być to.

Podłoże wznosiło pod coraz większym kątem i wkrótce musieli wdrapywać się na czworakach. Im bardziej zbliżali się do światła, tym trudniej było poruszać się po śliskich algach. Costas wpełznął na ostatnią półkę i odwrócił się, żeby podać rękę Jackowi.

Wyszli przy kanale szerokim i głębokim na trzy metry. Jego ściany wygładzone były przez tysiąclecia erozji. Dołem płynął płytki strumyk, który nikał w głębi kanionu. Słyszał było ryk wody, ale pole widzenia przesłaniała wodna mgiełka. Po prawej stronie kanał otwierał się i widać było światło. Costas zerknął na wysokościomierz.

- Obliczyliśmy wysokość wulkanu przed powodzią na trzysta pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Jesteśmy na stu pięćdziesięciu metrach nad obecnym poziomem morza, tylko osiemdziesiąt metrów poniżej wierzchołka stożka.

Weszli do wulkanu od północy. Teraz stali zwrócenii na zachód. Nachylenie tunelu odzwierciedlało krzywiznę wyższej części zbocza. Przed nimi czarny wylot tunelu zdawał się prowadzić z powrotem do labiryntu.

- Bądź ostrożny - powiedział Costas. - Jeden fałszywy krok i spadniemy do piekła.

Stracili poczucie czasu, odkąd poprzedniego dnia z „Seaquesta” wyładowano DSRV. W skalnej dżungli panował półmrok pełen cieni i migotliwych kształtów. Kiedy pokonali krótki odcinek wyciętych w skale schodów, kanał na powrót ogarnęły ciemności, a oni znów musieli oświetlać drogę pochodniami.

Tunel prowadził zgodnie z układem warstw bazaltu widocznych na ścianach. Wyptyw lawy podminował nasycony gazem stożek wulkanu. Popiół ściśnięty był jak beton. Uwięzły w nim kawałki pumeksu. Im wyżej się wspinali, tym ściana była bardziej porowata. Woda deszczowa przenikała przez szczeliny w suficie. Temperatura zauważalnie się podniosła.

Po jakichś dwudziestu metrach tunel zwęzał się i kanalizował spływającą z góry wodę w wartki strumień. Jack zachwiał się i nagle zwinął z bólu. Katia podeszła do niego, brodząc w wodzie, żeby pomóc mu stanąć w nurcie, który sięgał teraz do pasa.

Z bolesną powolnością oboje przeciskali się przez zwężenie. Costas poszedł naprzód i zniknął za zasłoną mgiełki. Poruszali się z trudem. Nagle korytarz znów się rozszerzył, a strumień zmniejszył się do rozmiarów małej strużki. Wyszli za róg i zobaczyli, że Costas stoi bez ruchu. Jego ociekająca wodą sylwetka rysowała się na tle bladego światła.

- To świetlik - rzekł z podnieceniem. - Musimy być tuż pod kalderą

Otwór w suficie był tak duży, że wpadające przez niego dzienne światło ukazywało imponującą komorę rozciągającą się przed nimi. Była to potężna rotunda o średnicy co najmniej pięćdziesięciu metrów; jej ściany zbiegały się przy okrągłym otworze obramowującym niebo niczym okulus. Jackowi przypominała rzymski Panteon, świątynię poświęconą wszystkim bogom, której niebosiężna kopuła symbolizowała panowanie nad przestworzami.

Jeszcze większe wrażenie robiło zjawisko optyczne pośrodku komory. Od świetlika do podłogi ciągnął się słup wirującego gazu o średnicy okulusa. Wyglądało to, jakby ściągał w dół promienie dziennego światła.

Przez chwilę patrzyli w zachwycie, aż zrozumieli, że gaz strzela w górę z olbrzymią prędkością, stwarzając iluzję, że to oni spadają w dół, w płomieniste głębie wulkanu. Instykt podpowiadał im, że powinni słyszeć ogłuszający huk, ale w komorze panowała niesamowita cisza.

- To para wodna - powiedział Costas. - A więc to się dzieje z wodą, która nie wypływa na zewnątrz. Tam w dole musi być gorąco jak w piecu.

Gorąco, które czuli podczas wspinaczki, emanowało teraz z komina przed nimi.

Stali na skraju szerokiej platformy otaczającej rotundę, wznoszącej się kilka metrów nad podłożem. Wykute w skale wejścia, identyczne jak to, z którego przed chwilą wyszli, rozmieszczono w równych odstępach wokół całej jaskini. Nad każdym widniały znajome symbole. Pośrodku wznosiło się podium. Wokół słupa pary wodnej stały cztery kamienne trony w kształcie byczych rogów, każdy skierowany w inną stronę świata. Ten naprzeciwko nich był zasłonięty przez podium, ale i tak widać było, że jest większy od pozostałych. Końce rogów sięgały wysoko w stronę okulusa.

- To musiało być coś w rodzaju sali tronowej powiedział Costas. - Sala audiencyjna dla arcykapłanów.

- Hala przodków, komora grzebalna, a teraz sala audiencyjna - rzekła Katia. - To musiał być ostatni etap w drodze do świętego świętych.

Cieszyły ich kolejne odkrycia dokonywane od chwili opuszczenia łodzi podwodnej, ale teraz, kiedy stanęli przed jądrem wulkanu, ich radość przysgasła, jakby wiedzieli, że to najważniejsze odkrycie będzie miało swoją cenę. Nawet Costas posmutniał na myśl o wyjściu z tunelu i rzuceniu się na oślep w nieznaną.

Jack, świadomy, że nie mają czasu na żadne rozterki, spojrzął na towarzyszy. Twarz miał pokrytą smugami brudu, wykrzywioną z bólu.

- Tu doprowadził nas tekst. Sanktuarium Atlantydy musi być już blisko - powiedział i ruszył naprzód.

Costas szedł obok niego, a Katia tuż za nimi. Gdy dotarli do skraju platformy, oślepiło ich światło. Instynktownie cofnęli się i osłonili oczy. Po chwili dostrzegli dwie postacie wyłaniające się z lewej i prawej strony.

Światło zgasło równie niespodziewanie, jak rozbłysło. Kiedy odzyskali ostrość widzenia, zobaczyli, że mężczyźni ubrani są czarno jak ci, którzy zaatakowali ich w łodzi podwodnej. Każdy trzymał automat Heckler&Koch MP5. Jack i Costas podnieśli ręce. Nie mieli szans; zanim sięgnęliby po broń, skosiłby ich huragan ognia.

Do podium prowadziło dwanaście schodków, u których stał wycelowany w nich przenośny reflektor. Za największym z kamiennych tronów stała rzeźba przedstawiająca byka, którego rogi widzieli nad krawędzią platformy.

Tron był zajęty.

- Doktorze Howard, cieszę się, że wreszcie mogę pana poznać.

Jack rozpoznał gardłowy głos, który trzy dni temu przemówił do nich z „Vultury” przez radiostację „Seaquesta”. Podniósł wzrok i zobaczył Asłana, który rozpiął się na tronie. Stopy mocno opierał o ziemię, a wielkie dłonie położył na poręczach. Jego blada, pozbawiona znamion wieku twarz mogłaby należeć do jakiegoś kapłana z dawnych czasów, ale korpulentna sylwetka zdradzała, że nie stronił od uciech tego świata. W obszernej, czerwonej szacie i z orientalnymi rysami wyglądałby jak dostojnik z dworu Dżyngis-cha, gdyby nie na wskroś współcześni wojownicy z pistoletami maszynowymi, którzy stali po jego bokach.

Po prawej, tuż obok Asłana stała postać całkowicie różniąca się od reszty jego świty. Była to kobieta, ubrana w szary płaszcz, z włosami upiętymi w kok.

- Olga Iwanowna Borcewa - wyszczała Katia.

- Twoja asystentka okazała się bardzo pomocna - powiedział dobrodusznym basem Asłan. Odkąd przybyła do mnie z informacjami, trzymałem wasz statek pod stałą obserwacją. Już od dawna chciałem odwiedzić tę wyspę. Na szczęście moi ludzie znaleźli drogę do tej komory. Zdaje się, że

przybyliśmy we właściwym czasie. - Nagle zaczął mówić surowym tonem.

- Przybyłem tu, żeby upomnieć się o zgubioną własność.

Costas nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Rzucił się naprzód, ale natychmiast padł na ziemię, uderzony kolbą w żołądek.

- Costas Demetrios Kazantzakis - powiedział Aslan. - Grek - dodał z pogardą.

Costas zaczął wstawać, a Aslan przeniósł wzrok na Katię. Zmrużył czarne oczy, w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu.

- Katia Swietłanowa. A może powinienem powiedzieć Katia Pietrowna Nazarbetowa.

Katia patrzyła na Asłana z wyzywającym wyrazem twarzy. Jack poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, i wreszcie upadł. Jej odpowiedź zdawała się dochodzić z innego miejsca, z mrocznych zaświatów.

- Ojcze.

23

Ben uniósł się prawie niezauważalnie, ani na chwilę nie spuszczać z oczu smugi światła dobiegającej z mostka w końcu korytarza. Siedział w tej samej pozycji od wielu godzin. Tylko na krótko zmieniał go co jakiś czas Andy, który został w przedziale torpedowym. Przyciśnięty do kadłuba, pokryty białym nalotem, Ben wyglądał niemal jak część tkanki okrętu podwodnego.

Mimo kombinezonu drżał z zimna, a palce zaciśnięte na osłonie spustu kałasznikowa całkiem mu zdrętwiały. Potrafił jednak odseparować się od bólu, odsunąć od siebie wszystko, co nie było potrzebne, żeby trwać i patrzeć. Przed wielu laty nauczył się, że prawdziwą miarą twardości jest wytrzymałość w skrajnych warunkach; ta rzadka cecha wyróżniała go pośród wszystkich innych kandydatów do służb specjalnych.

Ostry zapach dotarł do niego, zanim wyczuł ruch.

- Udało mi się to uwarzyć. Andy podpełził z tyłu i podstawił mu pod nos parujący kubek. - Trochę sowieckiego łąjna. Ben odchrząknął, ale z wdzięcznością otoczył kubek wolną ręką. Nie mieli żywności, nie licząc wysokoenergetycznych batonów w żelaznych racjach. Udało im się jednak znaleźć w mesie oficerskiej kilka zapieczętowanych butli z wodą, więc nie cierpieli pragnienia.

- Coś się dzieje? - zapytał Andy.

Ben potrząsnął głową. Minęło już prawie osiemnaście godzin, odkąd Jack i pozostali wyszli, i cała doba, odkąd ostatni raz widzieli słońce. Zegarki wskazywały, że jest wczesny wieczór, ale brak łączności ze światem zewnętrznym sprawiła, że stracili poczucie upływu czasu. Naprzeciwko nich przeciwnicy umacniali swoje pozycje pod włazem ratunkowym. Momenty aktywności i krzyków były przerywane długimi okresami ciszy. Godzinami znosili jęki i zawodzenia rannego, aż stłumiony wystrzał przyniósł temu kres. Przed półgodziną doszły ich odgłosy dużego zamieszania. Ben wiedział, że to łódź podwodna wroga dokowała na ich podwodnym pojeździe ratunkowym DSRV. Usłyszał kroki we włazie wejściowym. Oczekując najgorszego, wystukał umówiony sygnał, żeby Andy do niego dołączył.

- Zaczyna się.

Nagle w głębi korytarza rozbłysła latarka, skierowana prosto na nich. Żaden nawet nie drgnął. Ben odstawił kubek i odbezpieczył karabin. Andy wyciągnął makarowa i roztopił się w ciemnościach po drugiej stronie grodzi.

Męski głos, który do nich dotarł, był ochrypły i napięty. Mężczyzna mówił, mieszając słowa angielskie z rosyjskimi.

- Marynarze „Seaquesta”, chcemy rozmawiać.

Ben odpowiedział po rosyjsku:

- Podejdźcie bliżej, a zniszczymy łódź.

- To nie będzie konieczne. Tym razem słowa były angielskie i wypowiedziała je kobieta.

Ben i Andy mieli odwrócony wzrok, świadomi, że nawet sekunda oślepienia światłem latarki może ich kosztować utratą przewagi. Słyszeli więc tylko, że kobieta stanęła przed mężczyzną, jakieś pięć metrów od nich.

- Jesteście pionkami w grze innych ludzi. Przejdźcie na naszą stronę, a zostaniecie szczerze wynagrodzeni. Możecie zachować broń. Jej przypochlebny ton nie wywarł wrażenia na Benie.

- Ostrzegam - powiedział. - Ani kroku bliżej.

- Czekacie na przyjaciół. - Kobieta roześmiała się kpiąco. - Katia - niemal wypluła z siebie to słowo - jest nieistotna. Ale miałam przyjemność

spotkać doktora Howarda w Aleksandrii. Bardzo interesujące było to poszukiwanie Atlantydy. I bardzo miło było mi ponownie spotkać się dziś rano z nim i z doktorem Kazantzakisem.

- To było ostatnie ostrzeżenie.

- Wasi tak zwani przyjaciele nie żyją albo zostali schwytani. Wasz statek został zniszczony. Nikt inny nie zna położenia tej łodzi podwodnej. Wasze przedsięwzięcie jest skazane na niepowodzenie. Dołączcie do nas i uratujcie życie. Ben i Andy nie wierzyli ani jednemu jej słowu. Ben spojrzął na Andy'ego i odwrócił się do kobiety.

- Nie ma mowy.

Jack obudził się, czując na twarzy promienie słońca. Otworzył zapuchnięte oczy, rozejrzał się i znów zamknął powieki. Pomyślał, że śni. Leżał na plecach w królewskim łożu pokrytym świeżą pościelą. Łoże zajmowało środek ogromnego pokoju o białych ścianach, na których wisiało kilka modernistycznych obrazów. Wydały mu się jakby znajome. Naprzeciwko niego znajdowało się wielkie wykuszo we okno. Za witrażowymi szybami widać było bezchmurne niebo i linię skąpanych w słońcu wzgórz.

Chciał się podnieść, ale poczuł ostry ból w boku. Spojrzął w dół i zobaczył, że pierś ma owiniętą bandażem, a spod niego wyłaniają się ogromne sińce. Nagle wszystko sobie przypomniał: tę niesamowitą przygodę w wulkanie, przejście do sali audiencyjnej, Costasa leżącego w bólu na ziemi i Katię stojącą obok niego. Usiadł gwałtownie, kiedy przypomniał sobie jej ostatnie słowo. Nie był w stanie w to uwierzyć.

- Dzień dobry, doktorze Howard. Pański gospodarz czeka na pana.

Jack podniósł wzrok i zobaczył w drzwiach mężczyznę w nieokreślonym wieku. Miał mongolskie rysy twarzy, ale jego angielski akcent był równie nieskazitelny jak uniform służącego.

- Gdzie jestem? - zapytał Jack.

- Wszystko we właściwym czasie, proszę pana. Zechce pan skorzystać z łazienki?

Jack popatrzył w stronę, którą wskazywał mężczyzna. Wiedział, że protesty nie miałyby sensu, stanął więc na mahoniowej podłodze i poczłapał do łazienki. Zignorował jacuzzi i zadowolił się prysznicem. Kiedy wrócił, znalazł nowe ubranie: czarny golf od Armaniego, białe spodnie i skórzane buty od Gucciego, wszystko w jego rozmiarze. Z trzydniowym zarostem i ogorzałą od słońca twarzą nie najlepiej czuł się w markowych ciuchach, ale cieszył się, że nie musi już nosić kombinezonu sztywnego od zakrzepłej krwi i wody morskiej.

Służący dyskretnie czekał na niego pod drzwiami.

- W porządku - powiedział Jack ponuro. - Chodźmy poszukać twojego pana i władcy.

Jadąc za służącym po ruchomych schodach, Jack zobaczył, że pokój, który zajmował, jest jednym z kilkunastu samodzielnych konstrukcji wzniesionych na zboczach pagórków i połączonych siecią korytarzy z budynkiem znajdującym się u podnóża doliny.

Kiedy się zbliżali do wielkiej, okrągłej budowli zwieńczonej błyszczącą białą kopułą, zauważył zewnętrzne panele nachylone pod takim kątem, żeby chwycić promienie słońca padające na dno doliny. Niżej, obok budowli, która wyglądała jak stacja generatora, znajdowała się druga bateria paneli słonecznych. Cały kompleks, dziwaczny i futurystyczny, przypominał mu stację księżycową. Ale stopniem skomplikowania przewyższał wszelkie wytwory NASA.

Służący otworzył drzwi i Jack wszedł ostrożnie do środka. Oniemiał, zdumiony tym, co zobaczył. Była to wierna replika rzymskiego Panteonu. Ogromna kopuła miała wymiary oryginału; można byłoby w niej pomieścić kulę o średnicy ponad czterdziestu metrów. Była większa nawet od kopuły Bazyliki św. Piotra w Watykanie. Światło padające z otworu w górze na kasetonowe sklepienie iluminowało wnętrze tak jak w oryginalnej budowli zII wieku naszej ery.

Wokół rotundy ciągnęły się głębokie nisze na przemian z płytkimi wnękami oflankowanymi kolumnami z marmuru. Podłoga i ściany były wyłożone odmianami marmuru z okresu rzymskiego. Jack rozpoznał egipski czerwony porfir, ulubiony przez cesarzy, zielony lapis *lacedaemonis* ze Sparty i piękny, sprowadzany z Tunezji *giallo Antico* w kolorze miodu.

Było to coś więcej niż kaprys miłośnika starożytności zrealizowany na wielką skalę. W niszach, zamiast nagrobków władców, ustawiono regały z książkami, a we wnękach rzeźby. Ogromna absyda stanowiła audytorium z rzędami luksusowych siedzeń, przed którymi rozpościerał się ekran kinowy, a po całym pomieszczeniu rozsiane były terminale komputerów. Przez wielkie okno wychodzące na północ widać było góry i morze.

W samym środku gigantycznej konstrukcji znajdowało się coś, co łączyło starożytność ze współczesnością - planetarium. Projektor lśnił na postumencie niczym sputnik. W starożytności nowicjusz mógł popatrzeć w górę i zobaczyć porządek triumfujący nad chaosem; tutaj fantazja uczyniła kolejny krok naprzód, wkraczając w niebezpieczne królestwo nieposkromionej pychy, do którego starożytni nie śmieliby wejść. Obraz nocnego nieba rzucony na wnętrze kopuły był fantazmatem totalnej kontroli nad niebiosami.

Oto salon człowieka ceniącego kulturą i nauką, pomyślał Jack. Człowieka posiadającego ogromne bogactwa i niezmiernie pysznego, którego ja" nie zna granic. Człowieka, który zawsze będzie chciał dominować nad otaczającym go światem.

- To mój pomysł - zahuczał czyjś głos. - Nie mogę mieć oryginału, więc zbudowałem kopię. Zgodzi się pan ze mną, że to wersja ulepszona. Teraz chyba pan rozumie, dlaczego tam, w komorze wulkanicznej, czułem się jak w domu.

Właściwości akustyczne budowli powodowały, że Jackowi trudno było określić, skąd dochodzi głos. Dopiero po chwili zorientował się, że dociera do niego z krzesła stojącego przy oknie po drugiej stronie hali. Krzesło odwróciło się i Jack zobaczył Aśłana. Był w tej samej czerwonej szacie, którą miał na sobie poprzednio.

- Mam nadzieję, że noc spędził pan wygodnie - rzekł Aśłan. - Moi lekarze zajęli się pańskimi ranami. - Wskazał niski stół stojący przed nim. - Śniadanie.

Jack jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Olga Borcewa, asystentka Katii, stała w jednej z nisz przed stołem z otwartymi księgami. Jack popatrzył na nią z odrazą, a ona odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

- Gdzie jest doktor Kazantzakis? - zapytał.

- Ach, pański przyjaciel Costas. - Aśłan roześmiał się. - Nie musi się pan martwić. Żyje. Pomaga nam na wyspie.

Jack niechętnie podszedł do stołu. Natychmiast pojawili się dwaj kelnerzy z tacami zjedzeniem. Jack wybrał miejsce z dala od Aśłana i chwiejnie usiadł na miękkich skórzanych poduszkach.

- Gdzie jest Katia? - spytał.

Aśłan zignorował pytanie.

- Mam nadzieję, że podobają się panu moje obrazy - powiedział. - Kazałem powiesić w pańskim pokoju niektóre z moich ostatnich nabytków. O ile wiem, pańska rodzina interesowała się kubistami i ekspresjonistami z początku XX wieku.

Dziadek Jacka był wielkim mecenasem europejskich artystów po I wojnie światowej, a Howard Gallery słynęła z modernistycznych obrazów i rzeźb.

- Ładne płótna - mruknął Jack ironicznie. - Picasso *Kobieta z dzieckiem* z 1938 roku W ubiegłym roku zginął z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu. Widzę, że pańskie zbiory nie ograniczają się do obrazów. - Wskazał szklaną gablotę w jednej z nisz.

Wewnątrz znajdował się przedmiot znany na całym świecie jako złota maska Agamemnona, największy skarb Myken epoki brązu. Należała do zbiorów

Muzeum Narodowego w Atenach, ale tak jak obraz Picassa została skradziona w jednym ze śmiałych skoków, które miały miejsce ubiegłego lata w Europie.

- Jestem znawcą sztuki arabskiej i to jest moja pasja powiedział Aslan. - Ale nie ograniczam zbiorów do tych czternastu stuleci, które minęły od czasu, gdy na Mahometa spłynęły słowa Allaha. Chwała boska objawia się dzięki sztuce poprzez wszystkie wieki. Dzięki błogosławieństwu Najwyższego mam dar, który pozwala mi zebrać kolekcję w pełni oddającą Jego chwałę.

- Udawanie Boga nie przysporzy panu wielu przyjaciół w świecie islamu - odparł Jack cicho.

Zadzwońta komórka Asłana. Odebrał i zaczął coś mówić w gardłowym języku.

Pewnie to jego ojczysty kazachski, pomyślał Jack. Był bardzo głodny, a potrawy na stole wyglądały apetycznie. Postanowił coś zjeść.

- Przepraszam. Aslan zakończył rozmowę i włożył telefon z powrotem do kieszeni - Cóż, najpierw praca, a potem przyjemność. Drobna kwestia opóźnionej dostawy dla ważnego klienta. Rozumie pan.

Jack zignorował tę uwagę.

- Zakładam, że jestem w Abchazji - powiedział.

Słusznie. - Aslan nacisnął guzik i fotel odwrócił się w stronę mapy Morza Czarnego wiszącej na przeciwległej ścianie. Wycelował wskaźnik laserowy na rejon między Gruzją a rosyjskim Kaukazem. - To wybrzeże było letnią rezydencją chanów Złotej Ordy, zachodniomongolskiego imperium z centrum nad Wołgą. Jestem bezpośrednim potomkiem Dżyngis-chana i Tamerlana Wielkiego. Historia, doktorze Howard, lubi się powtarzać. Tyle że ja nie zatrzymam się tutaj. Podejmę miecz tam, gdzie moi przodkowie go wypuścili.

Abchazja była wymarzoną kryjówką dla panów wojny i terrorystów. Niegdyś stanowiła region autonomiczny w granicach sowieckiej republiki Gruzji. Wraz z upadkiem Związku Sowieckiego w 1991 roku, rozpoczęła się tu podsycana przez Rosjan krwawa wojna domowa i czystki etniczne. Gdy rozwinął się ekstremizm islamski, walki znów wybuchły i rząd gruziński, nic mając innego wyjścia, zrezygnował z tego regionu. Od tego czasu Abchazja stała się jednym z najbardziej zanarchizowanych miejsc na ziemi; rządząca nią junta utrzymywała się z łapówek od gangsterów i terrorystów, którzy zjechali tu z całego świata i przekształcili stare sowieckie uzdrowiska na wybrzeżu we własne udzielne księstwa.

- Granica Abchazji przebiega sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od wulkanu - zauważył Jack. - Co pan ma zamiar z nami zrobić?

Asłan zacisnął palce na poręczach fotela, aż zbieleły mu kostki.

- Ciebie wydam za okup - rzucił, ledwie tłumiąc wściekłość. - Dostanę dobrą cenę za twoją głowę od tego Żyda. - Ostatnie słowo nasycone było jadem. W tej nienawiści łączyły się antysemityzm z zawiścią, bo Efram Jacobovich odnosił spektakularne sukcesy jako finansista i biznesmen.

- A pozostali?

- Grek będzie z nami współpracował, kiedy mu powiem, że poddam cię torturom i każę zabić, jeśli odmówi. Poprowadzi nas z powrotem przez wulkan do „Kazbeka”.

- A Katia?

Przez twarz Asłana znów przemknęła chmura.

- Na Morzu Egejskim postanowiłem odpuścić, kiedy powiedziała, że doprowadzi nas do większego skarbu. Dałem jej dwa dni, ale nie skontaktowała się ze mną. Na szczęście Olga zdążyła skopiować starożytne teksty w Aleksandrii i wykonała swoją robotę. Wiedzieliśmy, że przybędziecie właśnie tutaj.

- Gdzie jest Katia? - Jack starał się kontrolować głos.

- To było kochane dziecko. W oczach Asłana błysnęła prawdziwa czułość. - Nasze wakacje na dacy, jeszcze przed przedwczesną śmiercią jej matki, cóż to była za radość. Olga i ja staraliśmy się jak najlepiej.

Popatrzył na Olgę, a ta uśmiechnęła się do niego znad stołu z księgami. Kiedy odwrócił się do Jacka, jego głos znów był ostry i szorstki.

Moja córka okryła hańbą mnie i naszą wiarę. Nie miałem kontroli nad jej edukacją w okresie sowieckim, a potem uciekła na Zachód i tam uległa demoralizacji. Obraziła mnie, odrzucając moje patronimicum i przyjmując nazwisko matki. Zatrzymam ją na „Vulturze” i zabiorę do Kazachstanu, gdzie zostanie potraktowana zgodnie z prawem szariatu.

- Czyli okaleczona i uwięziona - powiedział Jack lodowatym tonem.

- Po rytuale obrzezania zostanie wysłana do szkoły religijnej dla oczyszczenia moralnego. Potem znajdę jej odpowiedniego męża. Jeśli taka będzie wola Allaha.

Asłan na chwilę zamknął oczy, żeby się uspokoić. Potem strzelił palcami i zmaterializowało się dwóch służących, którzy pomogli mu wstać. Wygładził czerwoną szatę i położył ręce na brzuchu.

- Chodźmy - skinął głową w stronę okna. - Pokażę panu coś, zanim zajmujemy się interesami.

Idąc za Asłanem, Jack spostrzegł kolejną szklaną gablotkę. Rozpoznał dwie płytki z kości słoniowej pochodzące ze stanowiska w Begramie na Jedwabnym Szlaku. Uznano je za stracone na zawsze, kiedy talibowie zniszczyli

muzeum w Kabulu podczas rządów terroru w Afganistanie. Przystanął, żeby obejrzeć zawile rzeźby na płytkach. Cieszył się, że skarby przetrwały, ale martwiło go, że znalazł je w tym pomniku wystawionym przez Aśłana same-mu sobie. Uważał, że pamiątki przeszłości sprzyjają jednoczeniu narodów poprzez oddawanie czci wspólnemu dziedzictwu ludzkości. Ale im więcej wielkich dzieł sztuki znika w czarnej dziurze bankowych skarbców i prywatnych galerii, tym dalej do osiągnięcia tego celu.

Aśłan, widząc zainteresowanie Jacka, uznał je za przejaw zazdrości.

- To moja pasja, ustępuje tylko mojej wierze - powiedział. Już się zastanawiam, których eksponatów z waszego muzeum w Kartaginie zażądać jako części okupu. Kilka obrazów w Howard Gallery też bardzo mnie zainteresowało. Poprowadził Jacka do wypukłego okna otaczającego rotundę. To było tak, jakby patrzyło się z wieży kontrolnej na lotnisku. Wrażenie potęgował widok kompleksu pasów startowych rozpościerających się wzdłuż dna doliny.

Jack próbował zapomnieć o Aśłanie i skupić się na widoku. Pasy łączyły się w wielkie L. Ten biegnący ze wschodu na zachód mijał południowy stok doliny, a ten z północy na południe leżał bardziej na zachód, gdzie wzgórza były niższe. Stała koło niego grupa budynków przypominających magazyny. To był terminal. Dalej znajdowało się lądowisko dla helikopterów. Trzy z czterech stanowisk były zajęte. Stały na nich śmigłowce Hind E, Havoc i Kamow Ka-50 werwolf. Wilkołak rywalizował z amerykańskim apache'em jeśli idzie o możliwości manewrowe i siłę ognia. Każdy był w stanie przeprowadzić skuteczny atak na okręt patrolowy albo policyjny helikopter na tyle bezczelny, żeby przeszkadzać w operacjach Aśłana.

Jack przeniósł wzrok na rząd czarnych otworów po drugiej stronie doliny, za końcem pasa. Były to schrony dla samolotów wykute w skalistym zboczu. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że dwa szare kształty na przedzie to harriery, samoloty pionowego startu. Ich dzioby wystawały spod kamuflujących przykryć, które czyniły je niewidzialnymi dla oka satelity.

Jak pan widzi, mój sprzęt nic ogranicza się do arsenału byłego Związku Sowieckiego - chwalił się Aśłan. Ostatnio wasz rząd rozwiązał jednostkę taktyczną harrierów Royal Navy. Oficjalnie wszystkie poszły na złom, ale były minister, zainteresowany handlem bronią, okazał się otwarty na propozycje. Na szczęście nie zbywa mi na fachowym personelu. Olga była pilotem rezerwy w sowieckim lotnictwie wojskowym i ostatnio wykonała pierwszy eksperymentalny lot.

Jack z coraz większą konsternacją śledził wzrok Aśłana, który właśnie nacisnął guzik na balustradzie. Regały z książkami po obu stronach rozstały

się, żeby ukazać linię wybrzeża. Górskie grzbiety tworzące dolinę wychodziły w morze, tworząc szeroki naturalny port. Z jednej z górskich ostróg wystawało wielkie betonowe nabrzeże, które zakreślało na północ, żeby ukryć zatokę przed przepływającymi statkami.

Najnowszym okrętem Asłana był rosyjski Projekt 1154, fregata klasy „Nieustraszimyj” pochodząca z tej samej stajni co Vultura, ale o trzykrotnie większej wyporności. Na okręcie kończono montowanie uzbrojenia, dźwigi podnosiły właśnie na pokład kapsuły komunikacyjne. Snop iskier wskazywał, że spawacze ciężko pracują przy wysuniętym lądowisku śmigłowców i platformie dla harriera.

Jack pomyślał o „Seaqueście”. Powinien był przybyć nad Atlantyde, wracając na południe za cichnącym sztormem. Nie ośmielił się wspomnieć nazwy statku, na wypadek gdyby pozostał niewykryty. Ale wydawało się nieprawdopodobne, żeby nie zauważono go, gdyby znalazł się w zasięgu radaru „Vultury”. Przypomniawszy sobie, jak w komorze pogrzebowej zdawało mu się, że słyszy odległy huk armat. Zaczął się obawiać, że stało się najgorsze.

- Jesteśmy prawie gotowi do dziewiczego rejsu. Będzie pan moim gościem honorowym podczas odbierania okrętu. Asłan złożył ręce na brzuchu, wyraźnie zadowolony. - Z dwoma okrętami będę mógł do woli buszować po pełnym morzu. Nic nie stanie mi na drodze.

Jack popatrzył na dolinę. Zaczęła do niego docierać przerażająca potęga Asłana. Na wschodzie, przy zwięzieniu, były strzelnice i budynki, które wyglądały jak atrapy do trenowania walki w mieście. Między terminalem lotniczym a morzem wznosił się okrągły budynek przystrojony talerzami anten satelitarnych i radiowych. Wzdłuż grzbietu górskiego stały zakamuflowane stacje radarowe, a na plaży, między palmami i drzewami eukaliptusowymi, które zostały po ośrodku wypoczynkowym dla partyjnych dostojników, ciągnęły się stanowiska obronne.

- Teraz widzi pan, że nie ma co marzyć o ucieczce. Na wschodzie ciągną się góry, a na północy i południu są tereny opanowane przez bandytów, gdzie nie przeżyje żaden obcokrajowiec. Tuszę, że skorzysta pan raczej z mojej gościnności. Będę szczęśliwy, mając towarzysza, z którym mogę porozmawiać o sztuce i archeologii.

Asłana ogarnęła euforia. Uniósł ręce, na jego twarzy malował się zachwyt.

- To mój Kehlsteinhaus, moje orle gniazdo rzekł. - Moja świątynia i forteca. Zgodzi się pan, że widok jest równie piękny jak w Alpach Bawarskich?

- Podczas wojny, która pan nazywa Wielką Wojną Ojczyźnianą, mój ojciec był pilotem rozpoznawczym RAF-u - odparł Jack. - W czterdziestym

piątym prowadził nalot na Obersaltzberg w Berchtesgaden. Ani willa Fuhre-
ra, ani kwatery SS nie okazały się tak wytrzymałe, jak sądził ich twórca. -
Odwrócił się i spojrział prosto w czarne jak smoła oczy Asłana. - A historia,
jak pan powiedział, profesorze Nazarbetow, ma ten przykry zwyczaj, że lubi
się powtarzać.

24

Prawie nie było czuć ruchu, kiedy wahadłowiec przyspieszał, bo po-
duszka powietrzna amortyzowała wstrząsy. Jack i Asłan siedzieli na-
przeciwko siebie. Asłan zajmował całą szerokość przedziału. Jack domyślił
się, że zjechali na dno doliny i teraz zbliżają się do centralnego budynku,
który widział z gmachu przerobionego na Panteon.

Chwilę wcześniej zatrzymali się, żeby zabrać jeszcze jednego pasażera,
który stał teraz między nimi. Był to potężny mężczyzna w czarnym kombine-
zonie. Miał szeroką twarz ze spłaszczonym nosem i skośne oczy, które pa-
rzyły bez wyrazu spod krzaczastych brwi.

Pozwoli pan, że mu przedstawię osobistego ochroniarza - powiedział
Asłan. Władimir Jurijewicz Dalmotow. Były komandos ze specnazu, wete-
ran wojny afgańskiej. Zdezerterował, gdy stracono jego brata za zabicie ofi-
cera, który wysłał jego pluton na śmierć w Groźnym, a potem został najem-
nikiem wojowników al-Kaidy walczących o wyzwolenie Abchazji. Znalazłem
go, idąc za tropem zostawianych przez niego trupów. Nie wierzy w Boga, ale
Allah mu to wybaczy.

Wahadłowiec zatrzymał się, drzwi się rozsunęły i do środka weszło dwóch
służących, żeby pomóc Asłanowi wstać. Dalmotow przyskoczył do Jacka
i wyprowadził go na zewnątrz. Jack zauważył, że nosi on na ramieniu uzi,
ale nie ma kamizelki kuloodpornej.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, pozostawało w jaskrawym kontra-
ście z narkotycznym przepychem części mieszkalnej. Był to wielki hangar.

Przez otwarte drzwi widać było lądowisko helikopterów, na które Jack zwrócił uwagę już wcześniej. Na asfalcie stał opasył śmigłowiec Hind. Wokół niego kręcili się mechanicy, a obok czekała cysterna z paliwem.

- Tym dostaliśmy się ostatniej nocy na wyspę - powiedział Asłan. - Teraz wypełni zadanie, dla którego został zbudowany.

Widok na zewnątrz przesłaniała częściowo platforma drogowa zaparkowana tuż za drzwiami. Ekipa robotników zaczęła wyładowywać z niej skrzynie i ustawiać pod ścianą obok wieszaka z uniformami pilotów.

Dalmotow powiedział coś do Asłana, podszedł do ściany, wziął jedną ze skrzyń i zerwał z niej wieko. Wyjął i złożył to, co w niej było, a potem podniósł, żeby sprawdzić celownik. Jack rozpoznał najbardziej bodaj śmiertelny karabin snajperski Barrett M82A1, którego pociski były w stanie przebić pancierz czołgu z odległości pięciuset metrów albo zdmuchnąć głowę człowieka z odległości półtora kilometra.

Mój skromny wkład w dżihad. - Asłan uśmiechnął się szeroko. Musiał pan zauważyć naszą szkółkę dla snajperów za pasem startowym. Dalmotow jest szefem instruktorów. Wśród naszych klientów jest zarówno Nowa Brygada IRA, jak i al-Kaida. I nigdy nie odeszli stąd niezadowoleni.

Jack przypomniał sobie serię zamachów snajperskich, która miała miejsce w tym roku. Była to nowa, niszcząca faza wojny terrorystycznej przeciwko Zachodowi.

Dalmotow nadzorował montowanie karabinów, a Jack poszedł z Asłanem do magazynu po drugiej stronie hangaru, gdzie mężczyźni w kombinezonach mechaników sprawdzali i zamykali skrzynki. Obok przejechał wózek widłowy. Jack dostrzegł napis wykonany czerwonymi literami. Jednym z pierwszych jego zadań w wywiadzie wojskowym było przechwytywanie libijskich frachtowców z identycznymi skrzynkami. Zawierały semtex, śmiertelny materiał wybuchowy z Czech używany przez IRA w kampanii terroru w Wielkiej Brytanii.

- To nasz główny budynek przeładunkowy - wyjaśnił Asłan. - Na ogół to stanowisko jest odcięte od reszty ze względu na ładunki broni biologicznej i chemicznej, ale właśnie wyprawiłem ostatnią partię towaru do kolejnego zadowolonego klienta na Bliskim Wschodzie. - Przerwał, klepnął się po brzuchu, zmrużył oczy i zaczął wpatrywać się w przestrzeń.

Jack rozpoznawał oznaki irytacji wybuchowego Asłana.

- Mam klienta, którego cierpliwość jest poddawana próbie od 1991 roku. Kiedy „Seaquest” wypłynął z Trabzonu, wiedzieliśmy, że może się kierować tylko w jedno miejsce. Miejsce, które określiła Olga na podstawie analizy

starożytnego tekstu. Podeszliśmy do wulkanu, a wy stanowiliście dla mnie doskonałą osłonę. Od lat chciałem się tam wybrać, ale nie mogłem, bo czyjakolwiek obecność na tej wyspie wywołałaby natychmiastową reakcję militarną. Teraz, jeśli nawet satelity wysledzą jakąkolwiek aktywność, wywiady dojdą do wniosku, że to wy. To miało być nasze miejsce spotkania z Rosjanami, ale ten dureń Antonów zatopił łódź podwodną, a mój interes poszedł na dno razem z nią.

- Kapitan Antonów dostarczyłby ładunek - powiedział Jack - ale na pokładzie wybuchł bunt wywołany przez oficera politycznego. To była prawdopodobnie jedyna dobra rzecz, jaką zrobiło KGB.

- A głowice jądrowe? - zapytał Asłan ostro.

- Widzieliśmy tylko broń konwencjonalną - skłamał Jack.

- To dlaczego moja córka groziła zagładą jądrową, kiedy negocjowała z moimi ludźmi?

Jack zamilkł, zbity z tropu. Katia nie ujawniła tej części rozmowy na mostku łodzi podwodnej.

- Moi ludzie powstrzymają was powiedział wreszcie. Pańscy przyjaciele fundamentalisci nie są jedynymi ludźmi gotowymi umrzeć za sprawę.

- Mogą zrobić coś innego, gdy się dowiedzą, jaki los czeka pana i Greka, jeśli nie skapitulują. - Asłan uśmiechnął się ponuro, ale już po chwili odzyskał pogodę ducha. - Myślę, że kolejne miejsce uzna pan za niezwykle interesujące.

Opuścili hangar inną drogą i otwartym wózkiem poruszającym się na pasie konwejera dojechali do centralnej budowli położonej mniej więcej kilometr bliżej morza. Weszli na ruchome schody, które zawiozły ich pod drzwi windy. Weszli i służący nacisnął guzik najwyższego poziomu.

Sceneria była jak żywcem wzięta z centrali lotów NASA. Pomieszczenie miało takie same rozmiary jak Panteon, ale było wypełnione komputerami i sprzętem obserwacyjnym. Gdy wysiedli, Jack zobaczył, że jechali w górę wewnątrz bębna, który wyrastał pośrodku niczym ucięta kolumna. Wyglądał jak arena współczesnego amfiteatru otoczona koncentrycznymi stopniami stacji komputerowych w różnych kolorach. Na ścianie z tyłu na wielkich ekranach wyświetlone były mapy i obrazy telewizyjne. Cały kompleks przypominał moduł dowodzenia „Seaquesta”, tylko powiększony do ogromnych rozmiarów. Monitorów i systemów komunikacyjnych było tyle, że wystarczyłyby do przeprowadzenia małej wojny. Dwaj służący posadzili Asłana na elektronicznym wózku inwalidzkim. Rzędy postaci skulonych przed monitorami wydawały się nieświadome ich przybycia.

- Wolę podniety, które niesie „Vultura”. Są bardziej bezpośrednie. - Asłan usadowił się wygodniej. - Ale stąd mogę kontrolować wszystkie moje operacje równocześnie. Mogę, nie ruszając się z miejsca, obejrzeć każdy ekran.

Służący, który czekał niespokojnie z boku, nachylił się i szepnął coś szefowi do ucha. Twarz Asłana pozostała nieruchoma, ale jego palce zaczęły bębnić po poręczu wózka. Bez słowa nacisnął guzik i wózek ruszył w stronę konsoli, przy której zbierali się ludzie. Jack, z Dalmotowem depczącym mu po piętach, poszedł za nim. Kiedy zbliżali się do konsoli, spostrzegł, że ekrany z prawej strony to monitory bezpieczeństwa podobne do tych, których używano w muzeum w Kartaginie. Pokazywały obrazy z wnętrza kompleksu.

Mężczyźni przy konsoli rozstąpili się, żeby dać Asłanowi dostęp do ekranu. Jack stanął tuż za wózkiem i operatorem pracującym przy klawiaturze. Dalmotow stanął koło niego.

- Wreszcie się połączyliśmy powiedział operator po angielsku. SAT-SURV powinien teraz wejść *online*.

Operator miał rysy Azjaty, ale nosił dżinsy i białą koszulę, a nie czarny kombinezon jak pozostali mężczyźni w tym miejscu. Po akcencie Jack domyślił się, że wykształcenie odebrał w Wielkiej Brytanii.

Operator spojrział najpierw na Jacka, a potem pytająco na Asłana. Ten kiwnął ospale głową, ale nie był to gest wyrażający obojętność, lecz całkowitą pewność, że jego gość nie będzie w stanie ujawnić czegokolwiek z tego, co zobaczy albo usłyszy.

Mozaika pikseli ułożyła się w Morze Czarne. Jego południowy kraniec nadal był częściowo przysłonięty chmurami burzowymi. Obrazowanie termiczne przekształciło tę scenę w spektrum kolorów. Linia wybrzeża była wyraźnie widoczna, bo satelita wychwycił promieniowanie podczerwone spod podstawy chmury. Operator wyizolował mały kwadracik i powiększył go do rozmiarów ekranu. Powtarzał ten proces, aż na ekranie pojawiła się wyspa. Jej środek zajmowało mieniące się halo różu i żółci w miejscu, gdzie jądro wulkanu emitowało silną radiację cieplną.

Na morzu w pobliżu ukazał się skrawek koloru oznaczający statek. Operator znowu dokonał powiększenia, aż obraz wypełnił cały ekran. Rozdzielczość wynosiła teraz mniej niż metr. Statek leżał nieruchomo na wodzie; kadłub był przechylony na lewą burzę, dziób zanurzony, a śruba zwisała nad szczątkami steru.

Ku swemu przerażeniu Jack rozpoznał „SeQUESTA”. Promieniowanie ciepłe ukazywało miejsca, w których pociski przeciwpancerne uderzyły w kadłub i zostawiły ziejące otwory, podobne do tych, jakie kule robią w ludzkim ciele. Jacka ogarnął gniew. Odwrócił wózek inwalidzki i stanął na wprost Asłana.

- Gdzie są moi ludzie? - warknął.

- Nie widać emanacji cieplnej ludzkich ciał odparł Aślan spokojnie. -
Wczoraj rano dwóch twoich marynarzy było na tyle głupich, żeby nawiązać walkę z „Vulturą”. Zdajesz sobie sprawę, że w tej bitwie tylko jedna strona miała szansę. Wkrótce wyślemy hinda, żeby pozbył się wraku.

Na potrząskanym pokładzie przednim „Seaquesta” Jack dostrzegł wieżyczkę artyleryjską Lufy ustawione były pod dziwnym kątem. Był to najwyraźniej rezultat bezpośredniego trafienia. Jack wiedział, że York i Howe nie opuściliby statku bez walki. Miał cichą nadzieję, że udało im się potem uciec z resztą załogi w łodzi podwodnej.

- To byli naukowcy i marynarze, a nie fanatycy i zbóje - powiedział lodowatym tonem.

Aślan wzruszył ramionami i odwrócił się do ekranu.

Pokazywał on teraz inny statek, kołyszący się u brzegów wyspy. Gdy obraz został powiększony, oczy wszystkich skierowały się na rufę. Widać tam było grupę postaci rozbierających dwie wielkie rury ukazujące nieregularne wzory promieniowania cieplnego, jakby się paliły. Jack zrozumiał, że patrzy na uszkodzenia, które „Vultura” odniosła w starciu. W tym momencie Aślan strzelił palcami i czyjaś dłoń, jak imadło, chwyciła Jacka za ramię.

- Dlaczego mi nie powiedziano?! wrzasnął Aślan. - Dlaczego ukrywano to przede mną?!

W pomieszczeniu zaległa cisza. Aślan wskazał na Jacka.

- On nie jest wart okupu. Zostanie zlikwidowany tak jak jego załoga. Zabierzcie mi go z oczu!

Zanim Jacka odciągnięto, zdążył zapamiętać koordynaty GPS na ekranie pokazującym obraz z satelity. Gdy Dalmotow go popchnął, udał, że się potknął o monitory ochrony. Wcześniej na dwóch najbliższych ekranach rozpoznał drogę i wejście do hangaru. Potykając się, nacisnął klawisz pauzy. Inne ekrany pokażą ich przejście, ale skoro wszystkie oczy utkwione były w obraz „Vultury”, istniała szansa, że nikt tego nie zauważy.

Jack wiedział, że Aślan ma zmienne nastroje, że wściekłość znów zamieni się w pozorną uprzejmość, ale wolał nie pokładać nadziei w kapryсах megalomana. Wstrząsający obraz „Seaquesta” i niepewny los załogi utwierdziły go w tym postanowieniu. Miał zobowiązania wobec ludzi, którzy być może zapłacili najwyższą cenę. Wiedział też, że losy Costasa i Katii spoczywają w jego rękach.

Okazja nadarzyła się, kiedy wahadłowiec pędził z budynku centralnego do hangaru. W połowie drogi Dalmotow przeszedł do przodu, żeby spojrzeć na plac przeładunkowy. Nie popełniłby tego błędu, gdyby tak długo nie przebywał

w gnieździe Asłana. Jack z szybkością, błyskawicy rąbnął Dalmotowa pięścią w plecy, aż zabolą go ręka, a siła uderzenia sprawiła, że stracił równowagę.

Użył całej siły, żeby zadać cios w punkt tuż pod żebrami. Szok wywołany takim uderzeniem może zatrzymać pracę serca. Patrzył więc z niedowierzaniem, że Dalmotow nie rusza się, jakby nic nie poczuł. Dopiero po chwili mruknął coś niezrozumiałego i osunął się na kolana. Przez kilka sekund kłęzczał wyprostowany, wreszcie przewrócił się do przodu i znieruchomiał.

Jack odciągnął ciało, żeby znalazło się poza zasięgiem kamer dozoru. Plac przeładunkowy był pusty. Tylko na lądowisku dla helikopterów, przed wejściem do hangaru, stały jakieś postacie. Kiedy wahadłowiec się zatrzymał, Jack wyszedł i nacisnął guzik powrotu, wysyłając wóz razem z nieprzytomnym pasażerem do budynku dowodzenia. Kupował sobie cenny czas. Wiedział, że liczy się każda sekunda.

Pewnym krokiem ruszył w stronę wejścia na lądowisko, modląc się w duchu, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dotarł do wieszaka z kombinezonami lotniczymi, wybrał największy i wcisnął się w niego. Założył kamizelkę ratunkową i hełm, zamykając przyłbicę tak, żeby nie było widać twarzy.

Chwycił torbę i podniósł jeden z karabinów snajperskich Barretta. Przyglądał się, jak Dalmotow składał broń, więc szybko znalazł trzpień łączący. Zdjął nakładkę z podajnika i włożył broń do torby. Obok leżały kartony oznakowane BMG, z pociskami do karabinu maszynowego Browninga kaliber 50 mm. Jack wziął garść czternastomilimetrowych nabojów i schował je do torby obok broni.

Zapiął torbę i zdecydowanym krokiem poszedł w stronę wejścia do hangaru. Tam, pod pretekstem, że poprawia pasek na kostce, przykleknął, żeby się rozejrzeć. Asfalt był gorący, letnie słońce wysuszyło wodę deszczową z nocy. Budynki wydawały się równie spalone upałem jak okoliczne wzgórza.

Już wcześniej zdecydował się na wybór helikoptera. Najnowocześniejszy był werewolf, ale stał obok havoca po drugiej stronie lądowiska. Hind znajdował się tylko dwadzieścia metrów przed nim i był gotowy do lotu. Ten śmigłowiec był wołem roboczym rosyjskiej maszyny wojennej. Jego dziób z pochyłym dwuosobowym kokpitem budził zaufanie.

Jack wyprostował się i podszedł do szefa mechaników, który ładował pas z amunicją do magazynka broni pokładowej.

- Rozkazy priorytetowe - warknął Jack. - Skrócono rozkład zajęć. Mam lecieć natychmiast.

Mówił chropawym, ciężko akcentowanym rosyjskim, ale miał nadzieję, że to wystarczy; tyłu tu było Kazachów i Abchazów.

Mechanik wydawał się zaskoczony, ale nie był podejrzliwy.

- Komory nabojoye są jeszcze puste. Masz tylko czterysta nabojów, ale poza tym maszyna jest gotowa. Możesz startować i wykonać lot próbny.

Jack przewiesił torbę przez ramię i wspiął się do drzwi po prawej stronie. Zanurkował do kokpitu i wczłgał się na miejsce dla pilota. Odsunął torbę na bok. Panel nie wyglądał na zbyt trudny do opanowania, ogólna konfiguracja nie różniła się wiele od stosowanej w innych wojskowych śmigłowcach, którymi latał.

Zapiął pasy i spojrzął przez osłonę. Nad bulwiastą gondolą strzelca pokładowego zobaczył grupę mechaników toczących dwa wózki załadowane rurowymi wyrzutniami sterowanych radiem pocisków przeciwpancernych. Śmigłowiec przygotowywano do misji zatopienia „Seaquesta”. W tej samej chwili dostrzegł dwóch mężczyzn w kombinezonach pilotów, idących w jego stronę od wejścia do hangaru. Bez wątplenia byli to pilot i strzelec. Jednocześnie zobaczył, jak szef mechaników podnosi z niepokojem w oczach telefon komórkowy. Zrozumiał, że jego podstęp został wykryty.

Ogromny rotor o pięciu łopatach już się obracał. Przed startem rozgrzewano rutynowo turbiny Isotow TV3- I17 o mocy dwudziestu dwóch tysięcy koni mechanicznych. Jack spojrzął na wskaźniki. Zbiornik paliwa był pełny, a ciśnienie oleju i hydrauliki w normie. Modlił się gorączkowo, żeby obrona przeciwlotnicza imperium Aślana nie dostała rozkazu zestrzelenia jednego ze swoich. Chwycił stery: lewą ręką przekręcił manetkę gazu, a prawą pochylił śmigło najdalej do przodu.

W ciągu sekund obroty rotora wzrosły do potężnego crescendo i helikopter wyrzucił w powietrze z nisko pochylonym dziobem. Przez kilka strasznych chwil maszyna nie ruszała z miejsca, walcząc z grawitacją. Jack umiejętnie, lekko muskał pedały, żeby hind nie ześlizgiwał się na boki. Wtedy zobaczył ogromnego jak niedźwiedź mężczyznę biegnącego od strony hangaru. Dalmotow odepchnął dwóch oszołomionych pilotów. Nawet nie wziął swojego uzi do ręki. Wiedział, że dziewięćmilimetrowe pociski rozplaszczą się na pancerzu helikoptera, nie czyniąc nikomu krzywdy. Uniósł znacznie bardziej śmiertcioną broń, którą chwycił, gdy biegł przez hangar.

Pierwszy pocisk z karabinu snajperskiego przebił gondolę strzelca. Jack usiadłby tam, gdyby tylko wiedział, że helikopter ma podwójny system sterowania. Kiedy maszyna gwałtownie skoczyła do przodu, dragi pocisk trafił gdzieś z tyłu. Uderzenie zahubiło kadłubem na boki i zmusiło Jacka do wyrównania za pomocą śmigła ogonowego.

Kiedy mocował się z manetkami, helikopter wzleciał nad hangarem i pomknął na południe, w stronę morza. Z lewej strony Jack widział futurystyczny kompleks pałacu Aślana na zboczu wzgórza, a z prawej smukły kształt fregaty.

Chwilę później przeleciał nad nabrzeżem i znalazł się nad otwartym morzem. Podwozie zawadzało o fale, gdyż trzymał maszynę na najniższej wysokości, żeby uniknąć namierzenia radarem. Otworzył maksymalnie przepustnicę i wkrótce osiągnął maksymalną prędkość trzystu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Gdy znalazł przełącznik do chowania podwozia, był w stanie jeszcze nieco ją zwiększyć. Linia brzegowa oddalała się teraz błyskawicznie. Przed nim rozpościerało się tylko bezchmurne poranne niebo przechodzące w niebieskoszarą mgiełkę na horyzoncie.

Piętnaście mil morskich dalej Jack przesunął w lewo pedał kontrolujący śmigło ogonowe i zaczął łagodnie skręcać, aż uzyskał na kompasie odczyt stu osiemdziesięciu stopni w kierunku wschodnim. Zdążył już się zorientować, jak włącza się radar i GPS. Wprowadził koordynaty wyspy, których nauczył się na pamięć trzy dni temu na „Seaqueście”. Komputer obliczył, że zostało jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów, czyli przy tej szybkości pół godziny lotu. Mimo wysokiego zużycia paliwa Jack postanowił zostać na niskiej wysokości przy otwartej maksymalnie przepustnicy. Pełne zbiorniki zapewniały pokazny margines bezpieczeństwa.

Włączył autopilota i podniósł przyłbicę hełmu. Wziął z podłogi torbę i zaczął składać karabin. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na rozproszenie uwagi nawet na chwilę. Asłan zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby sprowadzić go z powrotem.

25

Zatrzymać helikopter i czekać na eskortę. Wykonać natychmiast, bo zniszczymy maszynę. Nie będzie kolejnego ostrzeżenia.

Jack słyszał ten głos tylko raz, przeklinający gardłowo po rosyjsku, ale nie miał wątpliwości, że w trzaskach statyki przez interkom dobiegają go słowa wypowiedziane przez Dalmotowa. Utrzymywał przez cały czas nasłuch radiowy. Oczekiwał kontaktu, gdy tylko ścigający go znajdą się w zasięgu ra-

diostacji. Przez ostatnie dziesięć minut patrzył, jak na monitorze radaru dwie czerwone kropki zbliżają się do niego od północy. Po szybkości i trajektorii poznał, że to havoc i werewolf z bazy Asłana.

Był tylko dziesięć mil morskich na północ od wyspy. Zostało mu niecałe pięć minut lotu. Zredukował prędkość, trzymając helikopter tuż nad falami, żeby zmniejszyć jego odbicie radarowe. Ryzyko niemal się opłacało, bo mimo wieku hind był minimalnie szybszy i silniejszy od tamtych dwóch maszyn. Dopędziły go jednak, lecąc na większej wysokości, gdzie opór powietrza był mniejszy.

Obok zamontowanego na stałe trzydziestomilimetrowego szybkostrzelnego działka i dwóch gondoli na dwadzieścia rakiet kaliber 80 milimetrów havoc i werewolf miały na pokładach śmiertelnie skuteczną mieszankę naprowadzanych laserem pocisków powietrze-powietrze i powietrze-woda. Tę broń Jack widział na placu przeładunkowym. W przeciwieństwie do tamtych maszyn magazynki na dzwigarach uzbrojenia hinda były puste. Siłę ognia zapewniał tylko czterolufowy karabin maszynowy kaliber 12,7 mm zamontowany w wieżyczce pod kadłubem. Była to potencjalnie zabójcza broń, wypróbowana z dobrym skutkiem w Afganistanie i Czeczenii, ale z braku strzelca Jack mógł operować karabinem tylko na stałych trajektoriach, posługując się celownikiem optycznym. Przy szybkostrzelności tysiąca dwustu pocisków na minutę z każdej z luf z osobna amunicji starczyłoby za ledwie na pięciominutową salwę. Na bliski dystans mogło to spowodować ogromne zniszczenia, ale nie w starciu z dwoma tak groźnymi przeciwnikami.

Jack wiedział, że ma beznadziejnie małe szanse. Jego jedyną nadzieją była brutalna strzelanina na krótki dystans.

- OK, Dalmotow, tym razem wygrałeś - mruknął ponuro i zawrócił helikopter, żeby stanąć twarzą w twarz z wrogiem. Ale nie liczył na to, że jeszcze zobaczy dom.

Trzy helikoptery zawisły ramię przy ramieniu trzydzieści metrów nad falami. Śmigła ubijały wodę w pianę. Hind znajdujący się w środku, był większy od pozostałych dwóch maszyn. Znajdujący się po prawej stronie Mi-28 havoc, z nisko osadzonym kokpitem i wysuniętym dziobem, wyglądał jak głodny szakal. Ka-50 werewolf z lewej przypominał insekta, pomniejszony pozornie przez charakterystyczne dwa rotory.

Za płaskim kuloodpornym okienkiem werewolfa Jack widział złowrogą postać Dalmotowa.

Kazał on Jackowi lecieć pięćdziesiąt metrów przed eskortą. Klekot rotorów przerodził się w ogłuszający wżg i trzy maszyny, pochylone do przodu, poleciały w ścisłej formacji na północny wschód.

Jack wyłączył, tak jak mu kazano, radiostację, przez którą mógłby wezwać ewentualną pomoc z zewnątrz. Włączył autopilota i rozsiadł się w fotelu. Karabin położył na kolanach, tak żeby nie było go widać. Zmontowany, miał prawie półtora metra długości i ważył czternaście kilogramów, musiał więc wyjąć magazynek z dziesięcioma pociskami, żeby ukryć go pod maską maszyny. Prawą ręką sprawdził komorę, do której wsunął ogromny nabój BMG kaliber 50 mm. Szanse Jacka malały z każdym kilometrem. Musiał działać szybko.

Okazja nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewał. Po pięciu minutach natrafili na ciepły efekt nocnego sztormu. Helikoptery zaczęły się chwiać w wirach powietrznych. Opanowanie maszyn zajęło prześladowcom ułamek sekundy dłużej i wtedy Jack postanowił działać. Przy kolejnym wstrząsie spowodowanym turbulencjami zamknął przepustnicę. Prąd wstępujący był tak silny, że mimo odciążenia mocy śmigłowiec wzniósł się z nachylonymi maksymalnie łopatami wirnika. Hind podskoczył dwadzieścia metrów nad wcześniejszy kurs, a potem opadł. Dwa pozostałe helikoptery przeleciały niżej w zwolnionym tempie, prawie muskając podbrzusze hinda swoimi rotarami. Niespodziewanie Jack znalazł się za nimi. Był to klasyczny manewr stosowany podczas potyczek powietrznych podczas I wojny światowej. Wykorzystywały go brytyjskie harriery przeciwko szybszym argentyńskim mirage'om w trakcie konfliktu falklandzkiego.

Lufa karabinu była zaklinowana pod okienkiem z lewej strony, więc Jack postanowił użyć siły ognia z wieżyczki przeciwko maszynie po prawej. Otworzył maksymalnie przepustnicę i poleciał w bok, aż havoc znalazł się w celowniku. Cały manewr nie zajął nawet pięciu sekund, za mało, żeby tamci mogli zauważyć jego nieobecność, nie mówiąc już o zrobieniu uniku.

Kiedy hind odbił pięćdziesiąt metrów w bok i zajął pozycję, Jack otworzył wieczko zabezpieczające na drążku sterowniczym i nacisnął czerwony guzik spustu. Cztery działka z wieżyczki pod kadłubem rzygnęły ogniem. Odrzut popchnął Jacka do przodu. Każda z luf wypluwała dwadzieścia pocisków na sekundę. Przez pięć sekund jęzory ognia strzelały spod dziobu, a grad pocisków mknął w stronę przeciwnika.

Z początku wydawało się, że havoc przyjmuje pociski przebijające tylny pancierz kadłuba. Ale po chwili pojawiła się dziura na przestrzał. Kule rwały na strzępy wszystko, co stało im na drodze. Pilot w kokpicie zamienił się w krwawą miazgę. Hind podskoczył wyżej i ostatnie serie trafiły w silnik havoca, odcinając rotor, który odleciał, kręcąc się jak szalony bumerang. Kilka sekund później, gdy wybuchło paliwo lotnicze i amunicja, kadłub zamienił się w gigantyczną kulę ognia.

Jack ostro zahamował i wleciał nad zniszczony helikopter. Ustawił się na równym poziomie z werewolfem, którego złowroga sylwetka była teraz lekko z przodu, trzydzieści metrów na lewo od niego. Jack widział, jak pilot zмага się z kontrolkami, żeby zrównoważyć prądy termiczne i wstrząs po wybuchu. Dalmotow zdawał się nie wierzyć własnym oczom, nie był w stanie zaakceptować tego, co się stało, ale Jack wiedział, że to tylko chwila słabości; miał kilka sekund, żeby wykorzystać przewagę.

Wycelował karabin przez okno i strzelił. Kula wyleciała z głośnym trzaskiem, który rozbrzmiał w słuchawkach. Jack zaklął, gdy zobaczył, jak z górnej części kadłuba werewolfa lecą iskry, i szybko załadował następny nabój. Tym razem wycelował na prawo, uwzględniając prąd powietrza. Strzelił w momencie, gdy Dalmotow odwracał głowę, żeby na niego spojrzeć.

Jak większość helikopterów bliskiego wsparcia, werewolf był dobrze zabezpieczony przed atakiem z ziemi; pancerna tarcza wokół kokpitu mogła wytrzymać uderzenia pocisków artyleryjskich kaliber 20 milimetrów. Słabymi punktami śmigłowca były górna część kadłuba i obudowa silnika, mniej narażone na ogień z ziemi. Dodatkowy rotor, obracający się w przeciwną stronę, stanowił zarówno siłę, jak i słabość tej maszyny. Była dzięki temu bardzo zwrotna, ale trzpień mocujący śmigła wystawał wysoko nad kadłub, żeby pomieścić dwa wspólniowe, trzyłopatowe śmigła.

Drugi pocisk uderzył tuż poniżej niższego rotora. Wbił się w mechanizm i przeciął linkę kontrolną. Przez chwilę nic się nie działo, helikopter nadal leciał z obniżonym dziobem. Potem zaczął gwałtownie hamować i podrywać się pod dziwnym kątem. Jack widział, jak Dalmotow gorączkowo szarpie stery. Zrozumiał, że mechanizmy wysiadły i pedały nie reagują. Dalmotow sięgnął ręką do góry, żeby pociągnąć za czerwoną rączką nad głową.

Werewolf stanowił wyjątek wśród helikopterów bojowych, bo miał wyrzucany fotel pilota. W przypadku katapultowania się ze śmigłowców kłopoty zawsze sprawiał rotor, ale Kamow opracował pomysłowy system, przy którym łopaty były odrzucane, a fotel pilota wyrzucany na bezpieczną wysokość, żeby zdążył się otworzyć spadochron.

Już w chwili pociągnięcia za rączkę Dalmotow musiał wyczuć, że dzieje się coś złego. Łopaty wirnika zostały na miejscu, kiedy ładunki wybuchowe rozmieszczone wokół osłony kabiny pilota detonowały jeden za drugim. Osłona wystrzeliła prosto w rotor i została wyrzucona w przestrzeń. Łopaty wygięły się, ale nadal działały. Kilka sekund później, w kłębach dymu, katapultował się fotel. Koszmarny przypadek sprawił, że trafił między dwa zestawy łopat i zaczął się kręcić jak karuzela, krzesząc przy tym ogień. Po

dwóch pełnych obrotach wszystkie wystające części ciała Dalmotowa zostały odcięte, a jego głowa w hełmie poleciała w dal jak piłka. Po ostatnim obrocie rotory wypluły to, co zostało, do morza.

Jack patrzył bez emocji, jak werewolf wykonuje szalony taniec i spada w coraz ciaśniej szych kręgach, a łopaty śmigieł łamią się jedna po drugiej pod coraz większym naporem powietrza, aż wreszcie kadłub wpada do morza i eksploduje.

Nie zwlekając, zrobił zwrot na południe, wszedł na poprzedni kurs i maksymalnie przyspieszył. Dalmotow musiał nadać automatyczny sygnał ratunkowy i swoje zamiary. Technicy w centrum kontroli przestawią kamery satelity na płamę ropy i szczątków w miejscu, w którym śmigłowiec rozbił się o powierzchnię morza. Widok tylko podsyci wściekłość Asłana już rozżarzoną widokiem uszkodzeń „Vultury”. Jack wiedział, że stracił wszelką wartość jako zakładnik, że przyćmiła ją żądza zemsty Asłana.

Z niepokojem stwierdził, że wskaźnik pokazuje prawie całkowity brak paliwa w zbiornikach. Kiedy dziesięć minut temu ostatni raz sprawdzał, ile paliwa mu zostało, odczyt głosił, że baki są zapełnione w trzech czwartych. Akcja nie mogła spowodować zużycia połowy paliwa. Przypomniał sobie, że gdy startował z lądowiska, kula z karabinu snajperskiego Dalmotowa trafiła w tył maszyny. Jeśli uszkodziła przewód paliwa, to wstrząsy wywołane turbulencjami musiały powiększyć dziurę, przerwać przewód i spowodować poważny wyciek.

Nie miał czasu, żeby potwierdzić swoje przypuszczenie. Przymknął przepustnicę, żeby zminimalizować zużycie, i zszedł na wysokość trzydziestu metrów. Z porannej mgiełki wyłonił się odległy zarys wyspy. Te bliźniacze szczyty o charakterystycznym kształcie byczych rogów zobaczył po raz pierwszy trzy dni temu z pokładu „Seaquesta”. Pokładał nadzieję w tym, że śmigłowiec dowiezie go na odległość, którą będzie w stanie przeplłynąć, żeby dotrzeć do północnego brzegu.

Bliźniacze turbiny zaczęły parskać i dyszeć, a widoczność przesłoniły kłęby czarnego dymu. Jacka poczuł ostrą woń kordytu i płonącego plastiku. Kilka sekund później dym się rozwiął i niecałe dwieście metrów przed sobą zobaczył kadłub „Seaquesta”.

Obrazy z satelity nie przygotowały go na wstrząsającą rzeczywistość. Flagowy statek IMU przewalał się po falach z niemal całkowicie zanurzonym przednim pokładem. Nadbudówki były doszczętnie zniszczone, a sterburta podziurawiona w miejscach, w które trafiły pociski z „Vultury”. Zakrawało na cud, że statek wciąż utrzymuje się na powierzchni, ale Jack domyślał się,

że przednie grodzie wkrótce zostaną przełamane i „Sequest” zostanie wciągnięty pod wodę.

Śmigłowiec, ledwie zawisł nad wrakiem, zatrząsł się i zaczął opadać. Rotor nie był już w stanie utrzymać maszyny w powietrzu. Silnik wydawał ostatnie tchnienia i Jackowi zostały tylko sekundy na działanie.

Szybko odpiął uprząż i mocno pchnął dźwignię od siebie. Nachylając helikopter do przodu, unosił skrzydła z uzbrojeniem, a jednocześnie zmusił maszynę do nurkowania na dziób. Zrzucił hełm, skulił się i wytulął na zewnątrz. Nogi przyciągnął do ciała, a ręce skrzyżował na piersi, żeby nie wyrwały się do góry, kiedy będzie uderzał w wodę.

Zrzucając hełm, zmniejszył ryzyko uszkodzeń spowodowanych upadkiem, ale i tak od uderzeń zatrzeszczały mu kości. Zanurkował nogami do przodu i opadł aż do termokliny. Rozpostarł kończyny, żeby zahamować nurkowanie. Płynąc ku powierzchni, poczuł silny ból. To otworzyła się rana w boku. Gdy przebył już część drogi, poczuł straszny wstrząs, od którego po wodzie rozeszła się fala uderzeniowa. Wypłynął na powierzchnię i w niewielkiej odległości zobaczył płonące szczątki helikoptera. Ta scena zniszczenia mogła być jego stosem pogrzebowym.

Rozbił nabój z dwutlenkiem węgla przy kamizelce ratunkowej i popłynął w stronę „Sequesta”. Nagle ogarnęło go zmęczenie. To była cena za przyływ adrenaliny.

Dziób „Sequesta” był zanurzony tak głęboko, że Jack przepłynął nad zatopionym mostkiem i wciągnął się po pochyłym pokładzie do stanowiska działek. To było ostatnie stanowisko bojowe Yorcka i Howe’a. Jack z ponurą miną przyjrzał się scenierii, zdjął kamizelkę ratunkową i zaczął ostrożnie posuwać się w stronę resztek nadbudówki. Nim zdążył złapać się uchwyty włazu, stracił równowagę i upadł. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że poślizgnął się na skrzepniętej krwi, purpurowej plamie, która ciągnęła się w stronę sterburty.

Wiedział, że niczego nie zyska, rozmyślając o ostatnich chwilach załogi. Usiadł obok włazu, żeby odpocząć, zebrać resztki sił i woli.

W ostatniej chwili kątem oka dostrzegł helikopter. Był daleko, ledwie wyłonił się zza wyspy i ryk jego rotora został przygłuszony hałasem trzaskających grodzi. Widząc wolne stanowisko na pasie dla helikopterów, wywnioskował, że Aslan ma jeszcze jeden śmigłowiec bojowy. Domyślił się, że był to Kamow Ka-28 helix z „Vultury”. Zmrużył oczy w porannym słońcu i zobaczył maszynę sunącą nisko nad wodą, prosto w jego stronę. Wiedział, czego może się spodziewać. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezbronny.

Zobaczył odległy błysk i charakterystyczny świecący krążek zaczął się zbliżać z przerażającą szybkością. Był to ciężki pocisk powietrze-woda, prawdopodobnie jedna z głowic Exocet am.39, których stos widział przy kwatrze głównej Asłana. Jack rzucił się do włazu i sturlał na niższy pokład, dosłownie wpadając do modułu dowodzenia. Właśnie odkręcał koło zamykające wejście do niego, kiedy rozległ się wielki huk. Jackiem rzuciło o grodz i świat pociemniał.

26

Drzwi się zatrzasnęły i Costas poleciał prosto na grodz. Wystające metalowe żebro wbiło mu się w pierś tak mocno, że musiał walczyć o oddech. Zdarł już opaskę z oczu, ale widział przed sobą tylko purpurową mgłę. Odtoczył się lekko do tyłu, cały obolały. Powoli podniósł rękę, żeby dotknąć twarzy. Prawe oko miał opuchnięte i nieczułe na dotyk. Przeniósł rękę na lewe oko i stał lepką substancją, zanim je otworzył. Stopniowo wzrok zaczął mu się ogniskować. Z miejsca, w którym leżał, widział pobielane rury biegnące wzdłuż grodzi i litery, które rozpoznał jako cyrylicę.

Nie miał poczucia czasu ani miejsca. Jego ostatnim klarownym wspomnieniem był Jack tracący przytomność w sali audiencyjnej. Potem była ciemność i niejasne wspomnienie ruchu i bólu. Oprzytomniał przywiązany do krzesła. W oczy świeciło mu oślepiające światło. Potem przyszyły godziny męczarni, krzyku i bicia. Ciągłe te same, ubrane na czarno postacie, ciągle te same pytania wykrzykiwane łamaną angielszczyzną. „Jak się tu dostałeś z łodzi podwodnej?” Domyślał się, że jest na „Vulturze”, ale umiejętności analityczne opuściły go, bo umysł skoncentrował się na przetrwaniu. Ciągłe wrzucano go do tego pokoju, a potem wyciągano, kiedy już myślał, że jest po wszystkim.

Teraz znów się to działo. Tym razem nie było chwili wytchnienia. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Costas dostał silny cios w plecy, który wycisnął

z niego mieszaninę krwi i wymiocin. Podniesiono go na kolana i z powrotem założono opaskę na oczy. Była zawiązana tak ciasno, że poczuł krew wypływającą z nabrzmiałego oczodołu. Miał odruchy wymiotne i kaszłał. Myślał, że już więcej nie będzie czuł takiego bólu, ale to było właśnie to. Skupił całe jestestwo na jednej linii ratunkowej: że to on jest bity, a nie Jack. Musiał wytrzymać bez względu na wszystko, aż nadpłynie „Seaquest” i odkrycie głowic bojowych stanie się powszechnie znane.

Wylądował twarzą na stole. Ręce miał związane za oparciem krzesła, na którym siedział. Nie miał pojęcia, jak długo tu jest, i widział tylko wywołujące mdłości mroczki tam, gdzie opaska naciskała na oczy. Przez pulsowanie w głowie słyszał głosy. Nie były to głosy jego katów, ale mężczyzny i kobiety. Wcześniej odtworzył z fragmentów zasłyszanej rozmowy, że jego oprawcy spodziewają się przybycia Asłana. Miał przylecieć helikopterem z kwatery głównej. Nawet najgorszy z siepaczy wydawał się pełen obaw. Zdarzył się jakiś wypadek, jakiś helikopter został zestrzelony, jakiś więzień uciekł. Costas modlił się, żeby to był Jack.

Głosy dobiegały jakby z oddali, z korytarza albo z przyległego pokoju, ale kobieta mówiła głośno i w gniewie, więc słyszał dobrze. Przeszli z rosyjskiego na angielski i zrozumiał, że to Asłan i Katia.

- To sprawy osobiste powiedział Asłan. Będziemy mówili po angielsku, żeby moi mudżahedini nie słyszeli tych bluźnierstw.

- Twoi mudżahedini głos Katii przesycony był pogardą to dżihadyści. Walczą w imię Allaha, a nie Asłana.

- Jestem ich nowym prorokiem. Są lojalni wobec Asłana.

- Asłan. - Katia wypluła to słowo z ironią. - Kto to jest Asłan? Piotr Aleksandrowicz Nazarbetow. Nieudany profesor prowincjonalnego uniwersytetu z manią wielkości. Nawet nie masz brody świętego człowieka. I pamiętaj, że wiem o naszych mongolskich korzeniach. Dżyngis-chan był niewiernym, który spustoszył połowę świata islamu. Ktoś powinien powiedzieć o tym twoim wojownikom za świętą sprawę.

- Zapominasz się, moja córko. - Głos Asłana był lodowaty.

- Pamiętam, czego musiałam się uczyć jako dziecko. Ten, kto przestrzega nakazów Koranu, ma boże błogosławieństwo, ten, kto bluźni Koranowi, ginie od miecza. Wiara nie pozwala na zabijanie niewinnych. Jej głos przeszedł w szloch. - Wiem, co zrobięs mojej matce.

Ciężki oddech Asłana brzmiał w uszach Costasa jak sapanie zaworu bezpieczeństwa maszyny parowej tuż przed eksplozją.

- Twoi mudzahedini czekają na właściwy moment ciągnęła Katia. - Będą cię wykorzystywać do czasu, kiedy okażesz się zbędny. Ta łódź podwodna będzie twoim grobowcem. Wszystko, co zrobisz, żeby stworzyć to terrorystyczne sanktuarium, przyspiesza twój koniec.

- Milcz!

Po tym oszalałym wrzasku rozległy się odgłosy zamieszania. Coś odciągało na bok. Chwilę potem rozległy się kroki. Zatrzymali się za Costasem. Jakies dłonie chwyciły go za ramiona i oparły z powrotem o krzesło.

- Twoja obecność kala to miejsce - wyszczał mu w ucho głos przerywany ciężkim sapaniem. - Zaraz rozpoczniesz swoją ostatnią podróż.

Ktoś pstryknął palcami i dwie pary dłoni postawiły go w pionie. W swoim świecie ciemności nie był świadom, że nadchodzi cios. Po sekundzie bólu przyszła miłosierna nieświadomość.

Jackowi wydawało się, że przeżywa senny koszmar. Wokół były tylko nieprzeniknione ciemności zasłaniające wszystkie punkty odniesienia. Słysząc było straszny hałas punktowany trzaskami i jękami. Jego umysł walczył, żeby wydobyć jakiś sens z niewyobrażalnego. Gdy leżał zwinięty pod grodzia, poczuł się dziwnie lekki, jego ciało niemal lewitowało, jakby w objęciach jakiejś demonicznej gorączki.

Wiedział teraz, jak to jest, kiedy tkwi się we wnętrzościach statku nurkującego w otchłań. Ratunek stanowił moduł dowodzenia „Seaquesta”. Ściany z piętnastometrowej stali wzmocnionej tytanem chroniły go przed miazdzącym ciśnieniem, które do tej pory zdążyłoby już rozerwać mu bębenki uszne i zmiażdżyć czaszkę. Słyszał odgłosy wyginania i rozdzierania, kiedy imploowały resztki kieszeni powietrznych. Ten hałas oznaczałby natychmiastową śmierć, gdyby nie zdążył wejść do modułu.

Teraz mógł tylko czekać na to, co nieuchronne. Upadek zdawał się trwać wiecznie. Był dłuższy, niż Jack się spodziewał, a hałas narastał jak wrzaskliwe crescendo nadjeżdżającego ekspresu. Koniec był równie gwałtowny co niespodziewany. Kadłub rąbnął o dno z wywołującym mdłości wstrząsem, wytwarzając przy tym przeciążenie, które zabiłoby go, gdyby nie siedział skulony z głową w ramionach. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby nie rzucało go do góry, kiedy kadłub odbił się od dna. Skokowi towarzyszył przerażający odgłos darcia. Potem wrak osiadł i zapadła cisza.

- Włączyć światła awaryjne.

Jack mówił do siebie, jednocześnie obmacując ciało w poszukiwaniu kolejnych ran. Jego głos był dziwnie bezcielesny, bo modulację pochłaniały

dźwiękochłonne panele na ścianach, niemniej dodawał jakiejś realności w świecie pozbawionym wszelkich punktów odniesienia.

Jako nurek Jack był przyzwyczajony do orientowania się w kompletnych ciemnościach i teraz przywołał całe swoje doświadczenie. Najpierw pokoziołkował przez właz, potem uderzenie pocisku rzuciło nim obok schowka na broń w stronę panelu z kontrolkami po drugiej stronie modułu. Na szczęście „Seaquest” osiadł w miarę równo. Jack wstał niepewnie i wyczuł nachylenie pokładu spowodowane wryciem się dzioba w dno. Znow kłękął. Doskonała znajomość statku pomogła mu w odnalezieniu drogi wzdłuż konsoli otaczających wnętrze.

Dotarł do ściany z bezpiecznikami na lewo od włazu wejściowego i po omacku zaczął szukać przełącznika, który podłączał baterie rezerwowe w ochronnej ołowianej obudowie do głównej sieci elektrycznej. Jego ręka znalazła dźwignię aktywującą oświetlenie awaryjne. Nie po raz pierwszy tego dnia zamknął oczy i modlił się o łut szczęścia.

Ku jego uldze pomieszczenie natychmiast skąpało się w zielonej fluorescencji. Gdy oczy przyzwyczały się do światła, rozejrzał się po pomieszczeniu. Moduł znajdował się poniżej linii wodnej statku i pociski, które przecięły „Seaquesta”, przeszły nad nim. Wyposażenie i instalacje wydawały się być w dobrym stanie. Moduł został przecież tak zaprojektowany, żeby przetrwać właśnie tego rodzaju atak.

Jego pierwsze zadanie polegało na odłączeniu modułu od kadłuba. Niepewnym krokiem podszedł do centralnego podium. Wydawało się nieprawdopodobne, że jeszcze niecałe dwie doby temu zebrał tu załogę na odprawę. Opadł ciężko na fotel dowodzenia i włączył panel kontrolny. Na monitorze pojawiła się seria pytań o hasła potrzebne do odłączenia modułu. Po trzecim hasle samoczynnie otworzyła się szuflada. Wyjął z niej klucz, wpasował w panel i przekręcił zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Napęd elektroniczny i systemy kontroli atmosfery włączą się, kiedy moduł znajdzie się w bezpiecznej odległości od wraku.

Bez czujników „Seaquesta” Jack nie dysponował danymi na temat głębokości czy otoczenia statku. Mógł je uzyskać dopiero po odłączeniu się od kadłuba, gdy moduł włączy własną elektronikę. Domyślał się, że wpadł w szczelinę zanotowaną przez „Seaquesta” na północ od wyspy, rów długi na dziesięć i szeroki na pół kilometra uskoki tektoniczny, na którym leżał wulkan. Jeśli tak, to trafił do kosza na śmieci południowo-wschodniej części basenu Morza Czarnego, punktu zbiorczego mułu i solanki z epoki lodowcowej. Z każdą minutą wrak będzie się zanurzał głębiej w osady mniej przewidywalne od ruchomych piasków. Jeśli nawet uda mu się oderwać od kadłuba,

może po prostu wepchnąć moduł jeszcze głębiej i zakopać go tak, że straci nadzieję na ucieczkę.

Zapiął pasy i położył głowę na zagłówku. Komputer trzy razy ostrzegał go przed odpaleniem i Jack trzy razy naciskał „kontynuuj”. Po ostatnim razie na środku ekranu pojawił się czerwony trójkąt ostrzegawczy z napisem „odłączanie”. Na pełną napięcia chwilę w pomieszczeniu znów zapanowała ciemność. Komputer przełączał obwody elektryczne do wewnętrznej kapsuły z bateriami.

Kilka sekund później ciszę przerwało głucho staccato dochodzące z zewnątrz, z lewej strony kadłuba. Każdy stłumiony wstrząs odpowiadał maleńkiemu wybuchowi ładunku wybijającego nity, żeby stworzyć otwór, przez który mógłby przejść moduł. Kiedy płyta została wycięta, przestrzeń wokół modułu wypełniła się wodą morską i włączył się czujnik batymetryczny. Jack odwrócił się w stronę trajektorii wystrzelenia modułu i mocno się zaparł. Z wrastającym do crescendo niskim pomrukiem włączył się odrzut wodny. Silniki szarpały się z trzpieniami mocującymi moduł do kadłuba. Rozległa się seria detonacji, gdy moduł zrywał się z uwięzi. Jednocześnie rozsunęły się klamry mocujące i Jacka rzuciło silnie na oparcie fotela. Wystrzelenie spodka dawało przeciążenia porównywalne ze startem rakiety.

Moduł zaprojektowano tak, żeby wyleciał poza zasięg wiru zasysającego wytwarzanego przez tonący statek. Jack doświadczył tego podczas testów przeprowadzonych przez IMU na pełnym morzu u wybrzeży Bermudów. Wtedy spodek zatrzymał się po stu metrach. Tutaj siłę ciężenia przeciwstawiła się równie potężna siła działająca w przeciwnym kierunku, więc moduł zatrzymał się zaledwie kilka metrów za wrakiem. Jack wystawił głowę do przodu, przyjmując standardową pozycję bezpieczeństwa, i obrażenia ograniczyły się do bolesnych pręg w miejscach, gdzie pasy werżnęły mu się w ciało. Wziął głęboki oddech, odpiął uprząż i odwrócił się w stronę komputera. Prawą ręką opierał się o panel kontrolny, żeby nie ześlizgnąć się z fotela, bo moduł zarył ukośnie w dnie.

Z lewej strony znajdował się mniejszy monitor wyświetlający dane batymetryczne. Zaczęły się na nim przewijać liczby. Zatrzymały się na oszalałym odczycie siedemset, pięćdziesiąt metrów pod poziomem morza, pełne sto metrów poniżej dopuszczalnej głębokości, na jakiej może przebywać moduł. Dno uskoku było znacznie głębiej, niż sądzili, ponad pół kilometra poniżej zatopionej linii starożytnego wybrzeża.

Jack włączył sonar i czekał, aż na ekranie pokażą się odczyty. Przetwornik wyemitował wąskopasmowy promień pulsacyjny wysokiej częstotliwości

i omiótł nim okolicę, żeby stworzyć profil dna morskiego i wszelkich zawieszonych nad nim obiektów, aż do powierzchni. Kiedy dwa dni temu „Seaquest” przepływał nad rowem, ustalili, że uskoki ciągnie się z północy na południe, toteż ustawił trajektorię sonaru ze wschodu na zachód, żeby uzyskać poprzeczny namiar swojej pozycji w wąwozie.

Promień zataczał kręgi błyskawicznie, co sprawiało, że na ekranie od razu ukazał się cały profil. Cętkowana zieleń była tam, gdzie wyrastały ściany kanionu oddalone od siebie o jakieś czterysta metrów. U szczytu znajdował się zębaty występ zwężający profil szczeliny. Rów miał wszelkie cechy charakterystyczne poziomego rozdarcia tektonicznego wywołanego faktem, że płyty skorupy ziemskiej rozchodziły się, a nie nacierały na siebie. Był to geologiczny rarytas, który zafascynowałby Costasa, ale dla Jacka stanowił źródło bardziej przyziemnych problemów, gdyż pogarszał jego i tak ciężkie położenie.

Zdawał sobie sprawę, że do tej pory przeżył dzięki przypadkowi astronomicznych wręcz rozmiarów. Gdyby „Seaquest” zatonął zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, na zachód, uderzyłby o brzeg wąwozu i starł Jacka w proch, nim wrak dotarłby do samego dna.

Jack skupił teraz uwagę na dnie uskoku. Sonar pokazał tu masę jasnej zieleni oznaczającej setki metrów osadu. Kawałek wyżej znajdowała się pozioma linia równoległa do krawędzi obrazu, zbita warstwa, która stała się miejscem ostatniego spoczynku „Seaquesta”. Jaśniejszy kolor nad nią oznaczał zawieszoną ciągnącą się do miejsca, w którym ekran stawał się zupełnie czysty; tam zaczynała się woda bez zanieczyszczeń.

Jack wiedział, że siedzi na wierzchu zasy w równie głębokiej jak wody nad nim, na ogromnych ilościach mułu naniesionego z lądu, wymieszanego z obumarłymi organizmami morskimi, naturalnymi glinkami dna morskiego, osadami wulkanicznymi i solanką z okresu wysychania w epoce lodowej. Zaspą nieustannie rosła, zasilana opadającym materiałem, i w każdej chwili mogła go połknąć jak ruchome piaski. A jeśli to zostałyby mu oszczędzone, mógł zostać zasypany przez lawinę. Mulista zawieszona nad wrakiem została wzniesiona przez prądy. Naukowcy IMU obserwowali prądy zawieszinowe na Atlantyku. Spadały one z szelfu kontynentalnego z szybkością stu kilometrów na godzinę, żłobiąc podwodne kaniony i odkładając w nich miliony ton mułu. Tak jak w przypadku lawin śnieżnych, fala uderzeniowa wywołana jedną mogła pociągnąć kolejne. Gdyby wpadł pod taką gdziekolwiek w pobliżu wielkiej szczeliny, byłby zgubiony.

Wiedział, że nic z tego nie będzie, jeszcze zanim włączył silniki. Nierówny szum, gdy dodawał mocy, tylko potwierdził, że napędzane wodą silniki

odrzucone zatkały się i nie są w stanie unieść modułu z grobu, który sam sobie wyżłobił. Inżynierowie IMU nie mogli przewidzieć, że ich wynalazek po raz pierwszy zostanie zastosowany pod dwudziestoma metrami namułu, na dnie nieoznaczonej na mapie otchłani.

Jedynie, co Jackowi zostało, to śluza, która umożliwiała nurkom wchodzenie do modułu i wychodzenie z niego. Zewnętrzna obudowa była okryta wirującą chmurą osadu. Mógł on nadal być na tyle płynny, żeby umożliwić ucieczkę, ale z każdą upływającą minutą szanse były coraz mniejsze, bo opadające drobinki materii grzebały moduł coraz głębiej pod warstwą osadu.

Jeszcze raz rzucił okiem na obraz uzyskany z sonaru, żeby zapamiętać szczegóły, i poszedł do komory śluzy. Odkręcił koło zamykające właz i wszedł do środka. Były tam dwa przedziały niewiele większe od szafy. W pierwszym znajdował się skład wyposażenia i przebieralnia. Drugim była właściwa śluza. Przepchnął się obok stojaka ze strojami do nurkowania i regulatorami butli i stanął przed metalicznym potworem, który wyglądał jak żywcem wzięty z filmów ścieńce fiction klasy C.

Jack pomyślał, że ma kolejny dług wdzięczności wobec Costasa. Ponieważ moduł nie został jeszcze przetestowany, Grek nalegał, żeby na wszelki wypadek zaopatrzyć go w odporne na ciśnienie stroje do nurkowania, co Jack zaakceptował dość niechętnie, bo wydłużało to czas wyposażania statku. W końcu jednak sam pomagał upchnąć kombinezony w komorze, był więc dobrze zaznajomiony z procedurą ewakuacji.

Stanął na kracie przed skafandrem, otworzył pierścień łączący i odchylił do przodu hełm, odsłaniając wewnętrzny panel sterowania. Gdy już sprawdził, że wszystkie systemy skafandra działają, odpiął pasy, które łączyły go z grodzia, i obejrzał materiał, żeby się upewnić, że złącza stawów są szczelne.

Skafander, noszący oficjalną nazwę autonomicznego głębinowego antropoda - ADSA podobnie jak aquapod miał więcej wspólnego z pojazdem podwodnym niż z konwencjonalnym strojem do nurkowania. Mark 5 ADSA pozwalał na indywidualną penetrację głębin morskich w zasięgu czterystu metrów. System podtrzymywania życia wstrzykiwał tlen i oczyszczał dwutlenek węgla z wydychanego powietrza, zaopatrując nurka w zapas wystarczający na dwie doby. Tak jak jego poprzednicy, ADSA był odporny na ciśnienie, miał wypełnione płynem stawy i metalowy pancerz, ale materiał, z którego został wykonany stal wzmocniona tytanem - nadawał mu bezprecedensową wytrzymałość na nacisk, dzięki czemu mógł operować na głębokości dwóch tysięcy metrów.

ADSA był przykładem wielkich postępów czynionych przez IMU w technologii głęboko morskiej. Poddźwiękowy wielokierunkowy sonar przekazywał trójwymiarowy ruchomy obraz na ekranik opuszczany przed oczami, dzięki czemu w warunkach braku widoczności można było prowadzić nawigacją wirtualną. Do poruszania się w wodzie skafander wyposażono w urządzenie do zmiany pływalności i plecak z kierunkowymi strumieniami wody. Takie połączenie zapewniało mobilność astronauty podczas spaceru na orbicie, ale bez potrzeby korzystania z uwięzi.

Po odpięciu kombinezonu Jack cofnął się do głównego przedziału i podszedł do schowka na broń. Wziął z górnej półki dziewięćmilimetrową berrettę i włożył ją za pasek kombinezonu lotniczego. Potem zdjął ze stojaka karabinek SA80-A2 i chwycił trzy magazynki. Zawiesił broń na ramieniu i wyciągnął dwie paczki semteksu, którego w normalnych warunkach używano do robót podwodnych, oraz dwa pudła o rozmiarach teczki z siecią zaopatrzoną w miny pęcherzykowe i zdalny detonator.

Kiedy wrócił do śluzy, powiesił obie paczki na karabińczykach z przodu ADSA i przykleił je taśmą. Sięgnął do środka i wepchnął karabinek z magazynkami do kieszeni pod panelem kontrolnym. Broń z krótką kolbą doskonale mieściła się w skafandrze. Zamknął właz do komory, zakręcił koło uszczelniające, a potem wszedł po drabince i wślizgnął się do skafandra. Było w nim zaskakująco dużo miejsca, mógł wyciągnąć ręce z metalowych ramion i położyć je na panelu sterowniczym. Chociaż maszyna ważyła razem pół tony, bez trudu zginał stawy kolanowe i zamykał szczypce umieszczone na końcach ramion. Sprawdził zapas tlenu, zamknął kopułkę i uszczelniał szew na szyi. Teraz jego ciało znalazło się w zamkniętym systemie podtrzymywania życia, a świat za wizjerem stał się odległy i nieistotny.

Po raz ostatni miał opuścić „Seaquesta”. Wierzył, że strata statku nie pójdzie na marne.

Włączył wewnętrzne oświetlenie o małej intensywności, nastawił termostat na dwadzieścia stopni Celsjusza i włączył odczyt czujników. Po sprawdzeniu pływalności i kontrolki napędu wyciągnął szczypce prawego ramienia do przełącznika na drzwiach. Fluoroscencyjne oświetlenie przygasło i do pomieszczenia zaczęła wpadać woda. Gdy płyn wezbrał i zakrył wizjer, Jack poczuł wilgoć tam, gdzie sączyła się krew z rany odniesionej poprzedniego dnia. Spróbował pozbyć się napięcia nerwowego.

- Jeden mały krok dla człowieka – mruknął - ale wielki skok dla ludzkości.

Właz się otworzył i dźwig wyniósł Jacka ponad moduł. Ogarnęły go ciemności, czarna nieskończoność, która zdawała się nie dawać szans na ucieczkę. Włączył reflektory.

Czegoś takiego nie widział nigdy w życiu. Był to świat pozbawiony standardowych punktów odniesienia, w którym zwyczajne wymiary przestrzeni i kształtu wydawały się nieustannie zachodzić na siebie. Promień rozświetlił błyszczącą chmurę mułu wirującą we wszystkich kierunkach, falującą jak rój miniaturowych galaktyk. Jack wysunął ramiona manipulatora i patrzył, jak muł rozszczepia się na macki i strumyczki, które wkrótce znów łączą się i znikają. W ostrym świetle świat miał odcień śmiertelnej białości jak wulkaniczny pył. Promień odbijał się od cząsteczek sto razy mniejszych niż ziarenka piasku.

Jack wiedział, że jest jedyną żywą istotą, która weszła do tego świata. Część zawiesiny pochodziła od organizmów, które opadły tu z wyższych warstw, ale w przeciwieństwie do równin głębinowych Atlantyku i Pacyfiku dno Morza Czarnego było pozbawione nawet mikroskopijnych form życia. Przebywał w krainie cieni, w pustce, której nie znajdzie się nigdzie na świecie.

Przez chwilę zdawało mu się, że wirująca masa zmaterializuje się w postaci widmowych twarzy zmarłych dawno temu marynarzy skazanych na tańczenie makabrycznego tańca przez całą wieczność, wraz z przyptykami i odpływami mułu. Zmusił umysł do skupienia się na zadaniu, które musiał wykonać. Osad opadał znacznie szybciej, niż to przewidział. Już zakrył szczyt modułu dowodzenia i podpełzał niebezpiecznie na nogi ADSA. Jackowi zostały tylko sekundy na działanie, nim stanie się nieruchomym sarkofagiem na dnie morza.

Włączył kompensator pływalności i znów napełnił zbiornik na plecach powietrzem, neutralizując ciężar skafandra. Kiedy odczyt wskazał pływalność pozytywną, pchnął dźwignię i odkręcił przepustnicę. Z szarpnięciem skoczył do przodu, osad opływał go z wzrastającą szybkością. Wyłączył strumienie wody, żeby uniknąć zatkania wlotów, i kontynuował wznoszenie, wykorzystując jedynie pływalność. Miał wrażenie, że wznosi się przez wieczność w niekończącym się prądzie morskim. Potem, prawie trzydzieści metrów nad wrakiem, wydostał się z niego. Wzniósł się jeszcze dwadzieścia metrów i zneutralizował pływalność. Skierował reflektory w dół, w stronę osadu, który przykrył już „Seaquesta” całunem.

Spojrzał na skaner przed chwilą aktywowanego sonaru. Okrągły ekranik ukazywał przypominający rów profil szczeliny. Zarysy były teraz wyraźniejsze, bo muł opadł z czujników. Jack wywołał program NAVSURV i wstukał

współrzędne ostatniej pozycji „Seaquesta” na powierzchni oraz północnego brzegu wyspy. Znając te odniesienia, program mógł określić jego obecne położenie, wyznaczyć najlepszy kurs i dokonywać bieżących poprawek wraz z odsłanianym przez sonar obrazem terenu.

Włączył autopilota i patrzył, jak komputer przekazuje komendy zespołom zawiadującym napędem i pływalnością. Kiedy program skończył ładowanie danych, Jack wyjął ruchomy ekranik z obudowy i ściągnął przezroczystą płytkę przed oczy. Ekranik był połączony z komputerem za pomocą kabla, ale i tak pozwalał na całkowitą swobodę ruchu. Można było przez niego patrzeć, więc Jack nadal mógł prowadzić obserwację przez bulaje hełmu.

Nacisnął klawisze i ekranik ożył. Widok był filtrowany przez jasnozieloną siatkę, która zmieniała kształty z każdym ruchem głowy. Jak pilot w trenażerze lotów widział wirtualny obraz otaczającej go topografii, trójwymiarową wersję obrazu z sonaru. Lekko zabarwione linie stanowiły dowód, że nie uwiązał w jakimś niekończącym się koszmarze, że jest to świat, który ma granice, więc może się z niego wyrwać, jeśli szczęście go nie opuści.

Gdy strzeliły strumienie wody i zaczął poruszać się do przodu, zauważył, że metalowe stawy na ramionach zabarwiły się jaskrawą żółcią. Przypominał sobie, dlaczego głębiny Morza Czarnego były tak sterylne. To siarkowodór, produkt uboczny bakteryjnego rozkładu materii organicznej wpływającej wraz z wodą rzek. Był zanurzony w kadzi z trucizną, której było więcej niż we wszystkich chemicznych arsenalach na świecie, w cuchnącej miksturze, która zniszczyłaby jego zmysł powonienia przy pierwszym pociągnięciu nosem i zabiła przy pierwszym oddechu.

ADSA zbudowano wedle ostatnich wymogów odporności na środki chemiczne, biologiczne i wysokie ciśnienie. Ale Jack wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim siarkowa korozja przeżre się przez stawy, gdzie metal był wystawiony na bezpośrednie działanie wody. Nawet małeńki otwór może się okazać śmiertelny w skutkach. Przeszedł go zimny dreszcz na myśl, że znajduje się w świecie, w którym nawet zmarli nie są mile widziani.

Po sprawdzeniu urządzeń chwycił manetkę przepustnicy i popatrzył w otchłań, która rozciągała się przed nim.

- W porządku - mruknął. - Czas ponownie odwiedzić starych przyjaciół.

Niecałe pięć minut po wynurzeniu się z burzy mułu Jack dotarł do zachodniej ściany kanionu. Trójwymiarowa sieć wyświetlana na płycie układała się precyzyjnie na konturach skalnej ściany, która ukazała się przed nim. Była to kolosalna przepaść wznosząca się na czterysta metrów. Kiedy omiótł ścianę

reflektorami, zobaczył, że skała jest dziewicza jak świeżo wykuty kamieniołom. Jej powierzchni nie tknęły morskie porosty odkąd tytaniczne siły przed milionami lat rozdarły dno morza.

Włączył poprzeczny odrzut rufowy i wprowadził ADSA na kurs południowy, równoległy do lica skały. Dwadzieścia metrów pod nim osad zdawał się wrzeć jak forpoczta zaświatów, na pół płynna, na pół stała, uderzająca o ściany kanionu. Utrzymując stałą wysokość nad zboczem, nieustannie się wspinał. Głębokościomierz zarejestrował prawie stumetrowy wzlot na pierwszej połowie kilometra drogi przebytej wzdłuż ściany kanionu.

Gdy pochyłość stała się większa, ukazał się fragment dna pozbawiony osadu. Jack domyślił się, że w tym miejscu osady zebrały się i jak lawina zeszły w dół zbocza. Wiedział, że to strefa zagrożenia; każde zakłócenie może poluzować osad leżący wyżej. Wtedy pochłonie go muł.

Nagie dno było pokryte dziwnymi nalotami, jakąś krystaliczną masą poplamioną chorobliwą żółcią siarkowodoru zatruwającego wodę. Opróżnił częściowo zbiornik balastowy odpowiedzialny za pływalność i opadł niżej, jednocześnie wysyłając sondę próżniową, żeby zebrać próbkę osadu. Kilka chwil później na ekranie zajaśniał wynik. To był chlorek sodu, zwykła sól. Patrzył na resztki pozostałe po parowaniu sprzed tysięcy lat, na wielką wannę z solanką, która skryształizowała się w otchłani, kiedy Bosfor odcinał Morze Czarne w epoce lodowcowej. Kanion, który Jack nazwał Rowem Atlantydy, był zbiornikiem ściekowym dla całego południowo-wschodniego sektora morza.

Płynął dalej. Dywan solny stawał się coraz bardziej łaciaty, aż ustąpił przed nierównym krajobrazem cienistych kształtów. To było pole lawy, płatanina piruetów zastygłych w miejscach, w których wyptywająca lawa stężała pod wpływem zetknięcia się z wodą.

Widok przesłoniła mu półprzezroczysta mgiełka. Wskaźnik temperatury zewnętrznej wleciał do przerażającego poziomu trzystu pięćdziesięciu stopni Celsjusza, temperatury topnienia ołowiu. Ledwie to zauważył, coś gwałtownie pchnęło go naprzód i ADSA zaczął opadać korkociągiem na dno kanionu. Jack w ostatniej chwili wyłączył napęd i maszyna uderzyła o dno, a potem upadła przodem w dół. Kapsuła z bateriami została unieruchomiona między fałdami lawy, a bulaj przywarł do zębatej powierzchni skały.

Jack stanął na czworakach wewnątrz ADSA i ukucnął nad panelem sterowniczym. Z ulgą stwierdził, że ekrany ciekłokrystaliczne nadal działają. Jeszcze raz miał niewiarygodne szczęście. Gdyby doszło do jakiegoś znacznego uszkodzenia, byłby już martwy, bo ciśnienie panujące na zewnątrz zmiażdżyłoby go.

Wolał nawet nie myśleć o straszonym świecie na zewnątrz skafandra, skoncentrował się więc na wyrwaniu ADSA z załamów lawy. Moduł napędowy nie miał tu większego zastosowania, bo był zamontowany z tyłu i dawał wyłącznie odrzut poziomy i boczny. Będzie musiał użyć kompensatora pływalności. Sterowanie ręczne odbywało się za pomocą dwustronnego spustu na dżojstiku. Pchnięcie go do tyłu wypompowywało powietrze, a do przodu - napełniało zbiornik.

Ustabilizował pozycję i mocno pchnął. Usłyszał syk powietrza wpadającego do zbiornika i patrzył, jak wskaźnik na tarczy pełnie ku oznaczeniu maksymalnego napełnienia. Niestety, maszyna nawet nie drgnęła. Opróżnił zbiornik i znów go napełnił, z takim samym rezultatem. Wiedział, że nie może powtarzać procedury, nie zużywając rezerwy powietrza.

Mógł tylko podnieść maszynę ręcznie. Do tej pory korzystał z ADSA jak z pojazdu podwodnego, ale skafander został zaprojektowany także do podwodnej odmiany spacerów księżycowych. Mimo topornego wyglądu był bardzo mobilny. Ważył pod wodą trzydzieści kilogramów i pozwalał na ruchy, których mogliby mu pozazdrościć astronauty.

Jack ostrożnie wyciągał ręce i nogi, aż rozpostarł je całkowicie. Wbił szczytce w dno, zablokował stawy i oparł łokcie o pancierz, podpierając się na dłoniach. Teraz wszystko zależało od tego, czy będzie w stanie wyrwać baterie spomiędzy skał, gdzie utkwily.

Napiąwszy każde włókienko mięśni, dźwignął się. Kiedy wyginał się w przęży, poczuł przeszywający ból rany postrzałowej. Zrozumiał, że to będzie teraz albo nigdy, że jest na skraju wytrzymałości i wkrótce straci siły. Już miał się poddać, kiedy rozległ się zgrzyt. Po nim nastąpił ledwie wyczuwalny ruch do góry. Jack rzucił do boju wszystkie rezerwy sił i napiął się po raz ostatni. ADSA uwolnił się i skoczył do pozycji pionowej, rzucając Jacka na konsolę.

Był wolny.

Zalał zbiornik pływalności, żeby maszyna nie wyskoczyła do góry, i rozejrzał się. Przed nim rozpościerały się fale lawy zestalonej w bulwiaste poduchy skalne. Po prawej miał filar wysoki na pięć metrów i pusty w środku. Lawa zamknęła się tu na wodzie, która gotując się, wypchnęła stygnącą skałę do góry. Obok była kolejna formacja zastygłej skały, która wyglądała jak miniaturowy wulkan. Jack domyślił się, że uderzenie gorąca, które go strąciło, pochodziło z otwartego poru w dnie morskim, z którego wydobywała się wrząca woda znad jeziora magmowego pod uskokiem. Kiedy patrzył na miniaturowy wulkan, ze stożka, jak z komina fabrycznego, wystrzelił smolisty

dym. Taka chmura naładowana jest minerałami, które opadając, ścielą się na dnie wokół otworu. Przypomniał sobie niezwykle wejście do Atlantydy i ściany lśniące od minerałów.

Otwory termiczne powinny kipieć życiem, myślał. Każdy jak miniaturowa oaza przyciągająca larwalne organizmy dryfujące ze znacznie wyższych warstw wody. W ten sposób powstawały unikatowe ekosystemy oparte nie na fotosyntezie, ale na zdolności mikroorganizmów do przetwarzania siarkowodoru. Tak powstawało pierwsze ogniwo łańcucha pokarmowego, całkowicie odseparowane od życiodajnych własności słońca. Ale tu nie było ani śladu życia. Kominy lawy stały wokół niego jak poczerniałe pnie drzew po pożarze lasu. W trujących głębinach Morza Czarnego nie przeżyłaby nawet najprostsza bakteria. To był ugór, na którym cud stworzenia został przyćmiony przez siły ciemności. Nagle Jack zapragnął znaleźć się jak najdalej od tego miejsca tak całkowicie pozbawionego życia.

Oderwał wzrok od ponurej scenerii i spojrzął na instrumenty. Sonar wskazywał, że znajduje się w odległości trzydziestu metrów od zachodniego lica rozpadliny i sto pięćdziesiąt nad wrakiem „Seaquesta”. Wskaźnik głębokości pokazywał nieco ponad trzysta metrów. Był w jednej trzeciej drogi do wyspy, od której teraz dzieliły go dwa kilometry w kierunku południowym.

Spojrzął przed siebie i zobaczył mleczną mgłę. To było czoło niestabilnego osadu, znak, że obszar odkryty przez lawinę już się kończy. Wszędzie dokoła widniały zadrapania spowodowane lawinami. Musiał się znaleźć nad strefą turbulencji, na wypadek gdyby jego ruch uruchomił kolejną lawinę. Zacisnął lewą dłoń wokół manetki pływalności, a prawą na drążku sterowniczym napędu. Jednocześnie pochylił się do przodu, żeby ostatni raz popatrzeć na okolicę.

To, co zobaczył, było przerażające. Ściana mułu zbliżała się nieubłaganie jak jakieś ogromne tsunami. Wyglądało to tym straszniej, że zjawisku nie towarzyszył żaden dźwięk. Ledwie zdążył nacisnąć spust pływalności, a potem ogarnęła go wirująca burza ciemności.

Costas mrugał jak szalony, a ukrop skapywał mu z twarzy. Leżał na kamiennej podłodze półprzytomny z bólu. Wrzucono go na straszną chwilę w kolumnę pary, ten wielki filar bieli wyrastający aż pod sklepienie z otworem.

Znów był w sali audiencyjnej, gdzie po raz ostatni widział Jacka. W ciągu kilku ostatnich godzin mdlał tyle razy, że stracił poczucie czasu, ale domyślał się, że noc już przeszła i minął kolejny dzień odkąd wyszli z labiryntu prosto pod reflektory Aślana.

A potem pytanie: „Jak się tu dostałeś z łodzi podwodnej?” Znowu i znowu, tak często, że jego ciało stało się jedną wielką masą ran i sińców. Ale Costas był urodzonym optymistą, więc za każdym razem, kiedy były go zbiry Aślana, chwycił się skrawka nadziei, że Ben i Andy wytrzymali i nadal bronią się przed intruzami.

Twarz miał przyciśniętą do podłogi i ledwie widział zawołowaną postać z opaską na oczach siedzącą na tronie kilka metrów dalej. Dopiero kiedy opaska została zerwana, rozpoznał Katię. Napotkał jej przerażony wzrok i uśmiechnął się z trudem.

To, co stało się potem, sprawiło, że poczuł się bezsilny. W pole widzenia weszła niska, krępa postać w standardowym czarnym kombinezonie, ale natychmiast rozpoznawalna jako kobieta. Trzymała zakrzywiony w arabskim stylu nóż, który przystawiła do gardła Katii, a następnie powoli w stronę jej brzucha. Katia zamknęła oczy; zbielełe kostki palców wskazywały, jak mocno trzyma się tronu.

- Gdybym mogła, skończyłabym z tobą od razu. Kobieta mówiła po rosyjsku, ale Costas, choć nie rozumiał słów, rozumiał jej intencje. I skończę. Ten welon będzie twoim całunem.

Costas rozpoznał Olgę, kobietę, którą widział na lądowisku w Aleksandrii. Wiele razy słyszał jej głos podczas ostatnich piekielnych godzin. Musi być potworem. Nie przestawała szydzić z Katii, więc próbował wstać, ale powalił go silny cios w plecy.

Ledwie zdążył ochłonąć, usłyszał odgłos kroków na szczycie schodów wiodących do sali. Podniósł głowę i zobaczył Asłana w asyście dwóch mężczyzn w czarnych kombinezonach. Podtrzymywali Asłana, gdy świszcząc i dysząc, schodził po stopniach. Zatrzymał się przed Olgą i niecierpliwym gestem kazał mężczyznom odejść.

Przez sekundę wzrok Asłana przenosił się od jednej kobiety do drugiej. Wreszcie spoczął na Oldze. W tej chwili Costas zrozumiał, że ta kobieta nie jest tylko totumfackim, że dzierży znacznie większą władzę. Wyraz twarzy Katii wskazywał, że i ona pojęła, że megalomania jej ojca jest podsycana przez drugą złą siłę, która pozbawiła go resztek ojcowskich uczuć.

- Teraz odejdz - zwrócił się Asłan do Olgi. - Polecisz helikopterem z „Vultury” do Abchazji, gdzie skontaktujesz się z naszym klientem. Mam nadzieję, że nasz towar będzie wkrótce gotowy do wysyłki.

Olga przesunęła nóż przed twarzą Katii, odwróciła się i weszła na schody.

Kiedy odeszła, Asłan nachylił się do Costasa. Aż kipiał z gniewu. Gwałtownym ruchem wepchnął mu w podbródek lufę pistoletu. Costas poczuł jego cuchnący oddech. Odsunął się, ale wytrzymał spojrzenie Kazacha.

- Zanim wczoraj wyszliście, wysłałem trzech moich ludzi tym samym tunelem - warknął Asłan. - Nie wrócili. Gdzie są?

Costas przypomniał sobie bąbelki wylatujące z komina wulkanu na ostatnim odcinku podwodnego przejścia.

- Pewnie skęcili w złą stronę.

Asłan uderzył go pistoletem w twarz. Krew trysnęła na tron.

- Więc poprowadź nas właściwą drogą. - Asłan wskazał lufą pistoletu sprzęt do nurkowania leżący na podłodze, a potem tron, na którym Katia próbowała się wyrwać dwóm jego pacholkom. - Albo moja córka zostanie poddana rytuałom szariatu szybciej, niż się spodziewała.

Jack przedzierał się w górę przez zawieszinę mułu. Spojrzał na przyrządy. Wznosił się niebezpiecznie blisko wschodniej ściany przepaści; jej brzeg znajdował się teraz niecałe pięćdziesiąt metrów nad nim. Szybkość wzniesienia wynosiła ponad dwa metry na sekundę i rosła wraz ze zmniejszaniem się ciśnienia na zewnątrz. Ale Jack nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa, zanim wypłynie z uskoku.

Nagle zamigotało czerwone światelko, a radar ostrzegł go przed niebezpieczeństwem czającym się nad głową. W tej samej chwili, w której zobaczył nad sobą nawis, skręcił na wschód i uruchomił napęd rufowy. Przygotował się na uderzenie, to jednak nie nadeszło. ADSA ominął na-

wis, który wypatroszyłby moduły napędu i pływalności i strącił go w objęcia śmierci.

Gdy tylko wydostał się z kanionu, napełnił zbiorniki powietrzem i osiągnąwszy neutralną pływalność, nachylił się do przodu, używając do tego odrzutu wodnego. Miał wrażenie, że leci nad spiętrzoną falą masy, która uderza o brzeg kanionu i przesłania ziejącą pod spodem czeluść.

Na głębokościomierzu pojawił się odczyt 148 metrów, prawie równy zatopionej starożytnej linii brzegowej. Jack nadal znajdował się w martwym środowisku poniżej warstwy nasyczonej tlenem. Po kilku minutach dostrzegł jakiś grzbiet. Zrozumiał, że to skarpa starożytnego brzegu.

Wpłyne do zagubionego miasta od wschodu, ze strony przeciwnej niż ta, którą dwa dni temu razem z Costasem eksplorowali w aquapodach. Widok pokrytych mułem budowli sprawił, że znów poczuł dreszcz emocji. Z wzrastającym podnieceniem uniósł się nad grzbietem i objął wzrokiem scenerię, która się przed nim otwierała.

Natychmiast wrócił myślami do przyjaciół. „Sea Venture” od dawna nie miała kontaktu z siostrzanym statkiem, powinna więc do tej pory zawiadomić władze tureckie i gruzińskie. Ale zgodzili się, że najpierw poinformują Rosjan o odnalezionym okręcie podwodnym, skoordynowane działania zaczynają się więc dopiero po wielu dniach.

Pomoc może nadejść za późno.

Modlił się, żeby Ben i Andy nadal się trzymali. Ludzie Asłana spróbują się przedostać przez labirynt, żeby dopaść ich z zaskoczenia. Ale to mogli zrobić tylko wtedy, gdyby Costas albo Katia posłużyli im za przewodników. Dopiero gdyby zastukali umówionym kodem w kadłub okrętu, marynarze otworzyliby właz. Jack wiedział, że musi jakoś skontaktować się z Benem i Andym, potem dostać się do sali audiencyjnej i ze wszystkich sił bronić przejścia.

Bateria wyczerpywała się. Musiał ją oszczędzać na ostatni wysiłek. Opadł na dno i zaczął iść szeroką drogą. Każdy krok ADSA podnosił chmury mułu. Z prawej strony ciągnęły się dziwnie znajome kształty pokryte osadem. Jack zdał sobie sprawę, że patrzy na najwcześniejsze okazy wozów, ponad dwa tysiące lat starsze niż pierwsze relacje o transporcie kołowym pochodzące z Mezopotamii.

Po lewej stronie miał głęboki jar. Kiedyś była to morska zatoczka. Rozszerzała się, tworząc czworokątny basen o szerokości trzydziestu metrów. Przeszedł obok starannie ułożonych bali, jodłowych, osikowych i jałowcowych. Takie lasy do tej pory pokrywają północno-wschodnią część Turcji. Wszystko

świetnie się zachowało w pozbawionym tlenu środowisku. Widok, który rozciągał się dalej, przekraczał wszelkie oczekiwania. Na brzegu stały niedokończone statki. Miały około dwudziestu metrów długości i trzymały się na drewnianych wręgach. Wyglądało to jak obrazek ze współczesnej stoczni. Statki, o odkrytych i wąskich kadłubach, były przystosowane do wolno trzymanyh wiosł. Podeszedł do pierwszego i delikatnie dotknął go ramieniem manipulatora, żeby zmieść muł. Ukazały się deski wiązane szwem. Mustafa zakładał, że właśnie tę technikę stosowali neolityczni żeglarze.

Dalsza część nabrzeża była usiana stosami obrobionych toporkiem desek i zwojami grubego sznura. Między nimi, nad basenem, stało bok w bok pięć zestawów wręgów. Każdy mógł posłużyć do budowy kadłuba długości czterdziestu metrów. Przedsięwzięcie na taką skalę powtórzyli dopiero egipscy budowniczywie piramid. Kiedy woda zalała niżej położone obszary, ludzie musieli przenieść narzędzia i drewno w górę stoku, nieświadomi, że wkrótce na zawsze stracą swoją ojcowiznę. Jack odnalazł jedno z kluczowych ogniw historii, miejsce, w którym cała energia i mądrość Atlantydy przygotowywała się do rozpalenia ognisk cywilizacji od zachodniej Europy po dolinę Indusu.

Radar zaczął ukazywać kontury zbocza. Jack włączył napęd i przeskoczył starożytną równinę przybrzeżną. Znalazł się nad płaskowyżem rozmiarów toru wyścigowego z wielkim otworem pośrodku. Przypomniał sobie, jak wyglądał przepływ wody w wulkanie, i pomyślał, że to jest drugi stopień systemu, wielki wykuty w skale zbiornik, który służył jako rezerwuuar dla akweduktów rozchodzących się do rzemieślniczych i mieszkalnych dzielnic miasta.

Płynął dalej na południe w górę zbocza. Według planu, który wprowadził do komputera, powinien zbliżyć się do wyżej położonego odcinka drogi procesyjnej. Kilka sekund później radar potwierdził jego przypuszczenia. Trójwymiarowy obraz ukazał strome lico wschodniej piramidy. Tuż za nią zaczął się materializować nieregularny zarys wulkanu, a pośrodku cylindryczny kształt blokujący drogę między piramidą a nierówną powierzchnią skały.

Z ciemności wyłoniła się masa poskręcane go żelastwa. ADSA wyglądał jak pyłek obok ogromnego cielska łodzi podwodnej; kadłub był wyższy od czteropiętrowego budynku i dłuższy od boiska piłkarskiego. Jack ostrożnie przepłynął nad rozdartą śrubą napędową, zadowolony, że elektryczny silnik skafandra był ledwie słyszalny, a strumienie wody wytwarzały minimalną turbulencję. Wyłączył reflektory i przyciemnił ekrany ciekłokrystaliczne.

Kiedy przepływał nad tylnym włazem ratunkowym za komorą reaktora, pomyślał o kapitanie Antonowie i jego załodze, których napromieniowane zwłoki pochłonęło to ponure morze. Zbliżając się do wysokiej wieży okrętu, próbował odegnać te myśli. W mroku zobaczył halo reflektorów nad sterbur-

tą przedniego pokładu. Światła zamontowane były na podwodnym pojeździe, który rozsiadł się jak drapieżny owad na DSRV zacumowanym przy przednim włazie ratunkowym okrętu. Ludzie Asłana uzyskali dostęp do „Kazbeka”, cumując przy tylnym włazie DSRV, do którego podłączyli się za pomocą pierścienia uszczelniającego.

Jack osadził ADSA na rozpraszającej echo wykładzinie kadłuba okrętu podwodnego. Włożył ręce w ramiona manipulatora i wysunął je do przodu tak, żeby widzieć stawy, łokcie i nadgarstki. Metal był zażółcony i nadgryziony przez siarkowodór, ale uszczelnienia wytrzymały. Zgiął ramiona do środka, aż dotknęły jednego z dwóch metalowych pudełek, które umocował z przodu nad obudową z bateriami. Za pomocą trzech metalowych palców znajdujących się na końcu ramion podważył wieka pudełek i wyjął ich zawartość. Potem przeciął szczypcami łączenie i rozwinął sieć z kulkami wielkości piłek do ping-ponga połączonymi cienką pajęczyną włókien.

Min podzielonych na pasma używano jako pływającego parasola nad stanowiskami archeologicznymi. Każda z dwustu wybuchała przy kontakcie i była potencjalnie śmiertelna dla nurka. Zwinięte razem tworzyły silny ładunek wybuchowy wystarczający, żeby wykluczyć z akcji pojazd podwodny.

Po uruchomieniu detonatora Jack wyjął ręce z manipulatorów i chwycił za drążek sterowniczy. Użył regulatora pływalności, żeby ostrożnie unieść się nad łodzią podwodną. Chociaż znajdował się poza najlepiej oświetloną strefą, uważał, żeby go nie dostrzeżono. Upłynął szerokim łukiem lewą burtę „Kazbeka” i znów znalazł się za rufą pojazdu podwodnego wroga. Zbliżył się do bębna chroniącego śrubę pojazdu. Przełączył system pływalności na regulację automatyczną, żeby zachować pozycję, kiedy zdejmie ręce z przyrządów sterowniczych. Lekko przekręcił manetkę odrzutu rufowego ADSA, podpłynął jak najbliżej i włożył ręce w ramiona manipulatorów.

Już miał przymocować karabińczykiem miny pod szybem, kiedy odrzuciło go od obudowy śruby. Zaczął zataczać spiralne kręgi jak astronauta, który utracił kontrolę. Kula światła na pojeździe podwodnym szybko malała, a on próbował wrócić do pionu, wykorzystując boczny odrzut. Gdy w końcu się zatrzymał, obejrzał się i zobaczył turbulencje wydostające się z obudowy śruby. Już to, że podwodny pojazd miał włączone reflektory, nic spodobało mu się, a teraz zobaczył, że wypuszczono tam boję radiową.

Uruchomił napęd rufowy i popłynął z powrotem w stronę wieży „Kazbeka”. Miny balansowały niebezpiecznie tam, gdzie je zostawił, na obudowie śruby pojazdu podwodnego napastników. Gdyby się ześlizgnęły, jego akcja zakończyłaby się niepowodzeniem. Musiałby wysadzić ładunki, gdy tylko znajdzie się za płetwą „Kazbeka”, poza zasięgiem fali uderzeniowej.

Sięgnął do kieszeni na piersi, żeby przygotować zdalny detonator, urządzenie identyczne z ręcznym radyjkiem. Nastawił je już wcześniej na kanał ósmy. Kiedy zbliżał się do górnej części kadłuba „Kazbeka”, pozwolił sobie na rzut okiem w stronę sterburty. Ku jego przerażeniu pojazd podwodny odłączył się od włazu awaryjnego i był teraz niecałe dziesięć metrów od niego. Jakiś mężczyzna patrzył przez bulaj prosto na Jacka. Twarz napastnika wyrażała szok i wściekłość.

Jack musiał szybko myśleć. Nie miał szans na wyprzedzenie pojazdu. Dobrze znał ten typ, pochodną brytyjskiej ratunkowej łodzi podwodnej LR5 z odrzutowym napędem hydraulicznym. Cylindryczny pojazd mógł się obracać po łuku 180 stopni, co nadawało mu ruchliwość śmigłowca. Był za blisko, żeby ryzykować wysadzanie ładunków nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, ale i dlatego, że fala uderzeniowa mogłaby uszkodzić awaryjne systemy podtrzymywania życia na „Kazbeku” i doprowadzić do destabilizacji głowic bojowych. Miał tylko jedną szansę: podjąć walkę i liczyć na to, że z kompletem pasażerów LR5 jest ociążały, więc każdy atak będzie wymagać powrotu po szerokim łuku, co może wyprowadzić pojazd poza strefę niebezpieczeństwa.

Jack, jak kosmiczny matador, stanął wyprostowany na kadłubie „Kazbeka” twarzą do napastnika. Ledwie zdążył ugiąć nogi, a pojazd już był przy nim. Jego pontony, gdy przepływał nad okrętem podwodnym, chybiły Jacka o włos. Przygotował się do drugiej szarży. Rozłożył ramiona jak torreador drażniący byka i patrzył, jak pojazd przedmucha zbiorniki balastowe, zwalnia, wspinając się w górę zbocza, obraca wokół własnej osi i przygotowuje do kolejnego zanurkowania. Pomknął w dół z zastraszającą prędkością. Reflektory oślepiły Jacka, który rzucił się na kadłub. Kiedy pojazd przemykał mu nad głową, prąd odwrócił go na plecy, a dyndające miny śmignęły niebezpiecznie blisko. Siatka mogła nie wytrzymać kolejnej takiej szarży i ześlizgnąć się albo wplątać w śrubę, co byłoby śmiertelną pułapką, gdyby wybuch nastąpił za blisko pancierza okrętu.

Pojazd płynął na nowy punkt startowy. Oddalająca się sylwetka widniała na tle ogromnego południowego lica piramidy. Jack szacował odległość: dwadzieścia metrów, dwadzieścia pięć, trzydzieści. Teraz albo nigdy. W chwili, gdy pojazd zaczął skręcać, Jack włączył kanał ósmy.

Nastąpił jaskrawy błysk, a po nim seria wstrząsów. Wybuch oderwał stery pojazdu podwodnego i sprawił, że wrak opadł w szalonej spirali na dno morza. Sam szok wywołany uderzeniem musiał w jednej chwili zabić całą załogę.

Czy systemy podtrzymujące życie działają? Odbiór.

Jack wystukał pytanie przez ścianę okrętu podwodnego w punkcie, gdzie wykute w skale stopnie znikają pod kadłubem. Mimo tłumiącego działania pokrycia neutralizującego echo po chwili dostał odpowiedź. Z kilku zdań w alfabecie Morse'a dowiedział się, że Katia zagroziła zniszczeniem okrętu, więc napastnicy wycofali się, a Andy i Ben utrzymali pozycję u szczytu zsuwni i pełną tam służbę na zmianę.

- Mamy co pić. Odbiór.

Angielskie śniadanie w drodze - wystukał Jack. - Czekajcie na powrót. Bez odbioru.

Dwadzieścia minut później ADSA opłynął wschodni skraj wyspy i podniósł się na wysokość trzydziestu metrów poniżej poziomu morza. Jack wiedział, że zanim znajdzie na wulkanie drogę do sali audiencyjnej, musi złożyć pewną wizytę. W kwaterze głównej Asłana zapamiętał koordynaty GPS pozycji „Vultury”. Teraz wprowadził je do nawigacyjnego systemu śledzącego skafandra. Radar dowiódł swojej wartości. Trójwymiarowy wirtualny obraz przekazywał szczegółowe dane batymetryczne dotyczące okolicy w promieniu setek metrów, a także obiektów na powierzchni, niewidocznych w tym piekielnym mroku.

Wielki statek powierzchniowy był dwieście metrów z przodu. Jack czuł się jak kapitan łodzi podwodnej zakradającej się do portu wroga, w którym nikt nie spodziewa się intruza. Jego wrogowie byli pewni, że już dawno nie ma go wśród żywych, a roztrzaskany kadłub „Seaquesta” stał się jego grobowcem w głębinie.

Radar wskazywał, że podchodzi do okrętu od rufy. Na ekranie było wyraźnie widać bliźniacze śruby i ster. Jack rozpoczął wynurzenie. Powoli pompował powietrze do zbiornika pływalności i wznosił się korkociągiem w górę. Z odległości piętnastu metrów ciemny zarys kadłuba był już widoczny gołym okiem. Jack podszedł bliżej i zobaczył szramy zadane przez Yorka

i Howe'a w nierównym boju. Tuż nad głową słyszał stłumione odgłosy prac naprawczych przy rurach turboodrzutowych.

Osadził ADSA przy sterze i powtórzył procedurę, którą niecałą godzinę temu wykonał przy pojeździe podwodnym. Wyciągnął drugą sieć z minami i omotał nią stery, tym razem mocując ją dodatkowym pasem nad śrubą. Włączył detonator i spojrział w górę. Zobaczył zarysy dwóch postaci nachylających się przy okrężnicy prawej burty. Na szczęście aparat tlenowy skafandra nie wytwarzał bąbelków, które zdradziłyby nurka w zwykłym kombinezonie, więc Jacka nie było widać na tle czarnych jak atrament głębin.

Wiedział, że Katia i Costas mogą być na okręcie. Ładunek powinien uszkodzić ster i spowodować straty w ludziach, ale wybuch zostanie odbity przez płyty pancerne kadłuba. To ryzyko musiał jednak podjąć.

Założył, że załoga będzie zajęta na pokładzie usuwaniem szkód z wczorajszego pojedynku artyleryjskiego i że już przeprowadzono inspekcję poniżej linii wodnej. Aby zminimalizować ryzyko wykrycia, postanowił zejść w dół za pomocą odrzutu bocznego, a nie zbiornika pływalności, choćby miało to znaczyć wyczerpanie rezerw baterii.

Zaledwie dziesięć minut po odwiedzinach pod „Vulturą” ADSA zniknął równie cicho, jak się pojawił. Opadł w mroczne głębin, niezauważony przez marynarzy.

Jack popłynął pół kilometra w stronę zachodniego brzegu wyspy i znalazł niewidoczną z „Vultury” zatoczkę. Kiedy skaliste dno uniosło się na jego spotkanie, wyczerpała się bateria. Zredukował pływalność i opadł na dno, żeby przejść ostatni odcinek pieszo. Szedł pod górę po poduchach lawy w stronę linii przyboju.

Znalazłszy płaską skałkę w dwumetrowej wodzie, ostrożnie się wynurzył. Zaklinował nogi ADSA i odłączył pierścień spinający. Otworzył hełm, zmrużył oczy w słońcu i odetchnął głęboko. Po raz pierwszy od trzech godzin, odkąd stoczył się do modułu dowodzenia na „Seaqueście”, napełniał płuca świeżym powietrzem.

Wydostał się ze skafandra i przykucnął na skalnym parapecie. Było pięknie letnie popołudnie, słońce lśniło w falach omywających mu stopy. Przed nim z jałowego brzegu wyspy wyrastały strome zbocza. Nad najwyższym założeniem skalnym widział pióropusz bieli na tle błękitnego nieba.

Nie miał czasu cieszyć się, że przeżył. Musiał się spieszyć.

Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy jest sam i sięgnął do schowka na broń. Nadal nosił kombinezon pilota śmigłowca. Do jednej kieszeni wepchnął zdalny detonator, a do drugiej dwa ładunki semteksu. Berettę zabezpieczył i wsunął

do kabury na piersiach. Potem wyciągnął karabinek SA80 i trzy magazynki. Jeden zamontował, a dwa schował w kieszeni na biodrze. Sprawdził tłumik, zabezpieczył i zawiesił broń na ramieniu.

Zamknął hełm skafandra i ostrożnie przewrócił ADSA pod wodę. Ten skafander uratował mu życie i przypominał, że Costas był z nim duchem. Ale teraz żadna technologia mu nie pomoże. Był zdany tylko na siebie, na swoją wytrzymałość fizyczną i siłę woli.

Spojrzał na skaliste zbocze.

- Czas na rewanz - mruknął.

Nad Jackiem wznosiła się osiemdziesięciometrowa skalna ściana wiodąca na płaskowyż. Przecinały ją jęzry tarasy, każdy przechodzący w ostry jak brzytwa rząd pinakli przerywanych rowami i pęknięciami. Twardy i szorstki bazalt stanowił doskonałe podparcie. Jack nie miał wyboru. Musiał się wspiąć.

Skrócił ramię karabinka i ruszył w górę pionowym kominem prowadzącym do pierwszego tarasu. Mniej więcej w połowie drogi komin zwęzał się i rozszepiał. Wreszcie Jack dotarł do wąskiej platformy jakieś trzydzieści metrów nad brzegiem. Druga platforma była stroma, ale szeroka. Długie ręce Jacka okazały się sporym atutem, kiedy szukał kolejnych podpór pod stopy i palce. Przeszedł obok rzędu pinakli i wdrapał się na trzecią platformę, tuż pod szczytem. Tam natknął się na przewieszkę wystającą prawie na metr na całej długości urwiska.

Balansował rozpostarty na ścianie, wiedząc, że zwłoka tylko go osłabi. Nie myśląc o konsekwencjach upadku, wyrzucił rękę w górę i wczepił palce w brzeg skały. Kiedy był już pewien chwytu, uwolnił drugą rękę i złapał się nią za krawędź. Wisiał nad osiemdziesięciometrowym pionowym urwiskiem. Gdyby spadł, zostałaby z niego miazga. Zaczął kołysać nogami, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Za drugim podejściem zaczepił prawą nogę o krawędź i wspiął się na szczyt.

Widok, który zobaczył, zapierał dech w piersiach. Jakieś dwieście metrów na prawo wznosił się stożek wulkanu. Wypluwał ogromną chmurę pary, która wirującą kolumną uciekała w niebo. Pod stożkiem zobaczył niskie drzwi u szczytu wykutych w skale schodów, które wiły się wokół płaskowyżu i zniknęły z lewej strony. Najwyraźniej była to starożytna droga, którą szedł Aślan ze swoimi ludźmi, kiedy dotarli na wyspę.

Niższy szczyt, mniej więcej trzydziestometrowe ogromne wybrzuszenie czarnej lawy, został wyrównany i - o czym świadczył stojący pośrodku Kamow Ka-28 helix - służył jako lądowisko dla helikopterów. Wokół kamowa

Jack naliczył czterech odzianych na czarno mężczyzn, wszyscy uzbrojeni w kałasznikowy albo pistolety maszynowe Heckler&Koch.

Najbardziej zaskakująca była konstrukcja otaczająca helikopter. Wokół platformy stał pierścień megalitów, pionowych głazów wysokich na co najmniej pięć metrów, a o obwodzie dwóch. Kamienie były zwietrzałe po tysiącach lat działania czynników atmosferycznych, ale kiedyś musiały mieć gładko obrobione powierzchnie. Były zwieńczone wielkimi, płaskimi głazami, które tworzyły koliste nadproże. W środku znajdowało się pięć wolno stojących kamiennych bram, par pionowych głazów z nadprożami, ustawionych w podkowę skierowaną otwartym końcem na zachód, na stożek wulkanu.

Jack zrozumiał, że patrzy na starszy odpowiednik Stonehenge. To tu mieszkańcy Atlantydy obliczali różnice między rokiem słonecznym a księżycowym, które spisywali w tunelu wiodącym przez wnętrze wulkanu. Stożek był celownikiem. Położenie słońca po obu jego stronach wskazywało, jaka jest pora roku.

Teraz Jack mógł wykorzystać kamienną konstrukcję do osiągnięcia przewagi taktycznej. Odbezpieczył karabinek i wślizgnął się w szczelinę biegnącą w stronę platformy. Szybko dotarł do najbliższego megalitu. Przywarł do niego, rozejrzał się ostrożnie i stwierdził, że helikopter jest pusty, a w zasięgu wzroku nie ma straży. Wyciągnął semtex i błyskawicznie przebiegł przez wnętrze podkowy. Jeden kawałek materiału wybuchowego umieścił w rurze wydechowej, drugi pod kokpitem. Jednocześnie włączył detonatory.

Odwrócił się, żeby odejść, i stanął twarzą w twarz z odzianym na czarno mężczyzną, który wynurzył się zza jednego z głazów. Zaskoczenie na ułamek sekundy sparaliżowało ich obu. Jack zareagował pierwszy. Dwa stęknienia SA80 i mężczyzna runął martwy na ziemię.

Odgłos upadku zaalarmował pozostałych wartowników. Jack przeciął im drogę, kiedy biegli do helikoptera. Nim zdążyli unieść broń, wystrzelał, mierząc z biodra, wszystko, co mu zostało w magazynku. Położył całą trójkę.

Jack założył nowy magazynek i rzucił się pędem po rampie w stronę schodów. Miał nadzieję, że pozostali ludzie Asłana są albo na „Vulturze”, albo w wulkanie.

Dotarł do wejścia u szczytu schodów. Z bliska portal wyglądał bardziej imponująco, był wystarczająco szeroki, żeby pomieścić procesje, które zapewne przechodziły między kamiennym kręgiem a salą audiencyjną. Przejście ostrym łukiem skręcało w lewo, a w dali widać było światelko. Jack uspokoił oddech, uniósł broń i ostrożnie wszedł po startych schodach w mrok.

Po dziesięciu metrach skręcił za róg i zobaczył zamglony czworokąt światła. Potem w polu widzenia pojawiła się kolumna pary i Jack zrozumiał, że zbliża się do tej samej platformy, na której stał wczoraj. Tyle że tym razem nadszedł z innej strony. Skrył się w cieniu i przemknął cicho, żeby zajrzeć do środka.

Wysoko w górze zobaczył świetlik w kopule. Przed nim biegła rampa prowadząca w dół. Nic nie zasłaniało mu widoku na środkową część sali. Na centralnym podium dostrzegł pięć postaci. Dwie z nich byli to odziani na czarno wartownicy, którzy stali z obu stron kobiety siedzącej na tronie. Welon na jej głowie nie zakrywał twarzy.

To była Katia. Jack odetchnął z ogromną ulgą.

Na prawo od Katii stał potężny mężczyzna. Obszerna czerwona szata i nimb pary wodnej za głową sprawiały, że wyglądał jak kapłan z dawnych wieków, przysłany z Hadesu, żeby odprawić jakiś makabryczny rytuał i zbezczcić Atlantydę na zawsze.

Asłan przesunął się i Jack zobaczył piątą osobę. Mężczyzna klęczał między tronami z głową nachyloną niebezpiecznie blisko nad kominem z parą. Miał związane ręce i nogi i był w podartym kombinezonie do nurkowania. Jack patrzył z przerażeniem, jak Asłan unosi pistolet i mierzy w tył głowy Costasa.

Instynktownie poderwał się i skoczył na rampę. Już kiedy biegł, wiedział, że nie ma szans. Dostał silny cios w plecy i ktoś wyrwał mu karabin z rąk.

- Doktor Howard. Co za miła niespodzianka. Podejrzewałem, że nie pozbędziemy się pana tak łatwo.

Strażnik czający się przy wejściu brutalnie zepchnął Jacka w dół. Jego kolega wyjął mu berettę z kabury na piersiach i podał Asłanowi, który zaczął wyrzucać naboje z magazynka. Katia patrzyła na Jacka, jakby był duchem. Powiedzieli nam, że nie żyjesz - wykrztusiła. - Ten wybuch, helikopter...

Wyglądała na oszołomioną. Oczy miała zaczerwienione i podkrążone.

Jack uśmiechnął się do niej.

Asłan machnął pistoletem i odwrócił się do Costasa klęczącego między tronami.

- Twój przyjaciel nie miał dobrej nocy. Gdyby moja córka powiedziała nam, co wie, byłoby mu łatwiej.

Costas podniósł głowę i zdobył się na słaby uśmiech, zanim jeden ze strażników uderzył go w twarz. Jack był wstrząśnięty wyglądem przyjaciela. Jego kombinezon był w strzępach, a twarz pokryta opuchlizną i siniakami. Tam,

gdzie skóra zetknęła się z parą z komina wulkanicznego, widniały zaczerwienienia. Jack domyślał się, że bito go nie tylko po głowie.

- Twój przyjaciel właśnie się zgodził zaprowadzić moich ludzi do łodzi podwodnej. - Aslan wskazał butle z mieszanką do oddychania ułożone obok rampy. - Ale skoro ty tu jesteś, on nie jest potrzebny. Zniszczyłeś trzy moje helikoptery i musisz za to zapłacić.

Wycelował berettę w głowę Costasa i odciągnął kurek.

- Nie! - krzyknął Jack. - Tylko on zna drogę powrotną. Jego zadanie polegało na zapamiętywaniu znaków, podczas gdy ja i Katia zajmowaliśmy się archeologią.

Aslan uśmiechnął się lekko i puścił kurek.

- Nie wierzę ci. Ale mogę na jakiś czas oszczędzić twojego greckiego przyjaciela, jeśli przystaniesz na moje żądania.

Jack nic nie powiedział, świadomy, że terroryście trzeba dać poczucie, że wszystko kontroluje. Gdyby Aslan wiedział, że połowa jego ludzi nie żyje, a jego ulubione pływające żelastwo lada chwila wyleci w powietrze, prawdopodobnie sam by eksplodował w ślepej furii.

- Najpierw mały rewanż za moją gościnność. - Aslan wyjął z fałd szaty replikę złotego dysku. - Pozwoliłem sobie uwolnić cię od tego, kiedy byłeś moim gościem. Domyślałem się, że to forma klucza, może do jakiejś tajnej krypty. - Rozpostarł ramiona. - Chcę posiadać wszystkie skarby tego miejsca.

Położył dysk na tronie obok Katii i wszedł na okrągłą platformę. Kolumna pary zmniejszyła się i mogli zajrzeć w szczelinę. Głęboko pod nimi wzbierał przypływ magmy, jej macki strzelały nad rzeką lawy. Słyszeli dochodzące z głębi trzaski. To bąble gazu wyrywały się z siłą eksplozji.

Aslan odwrócił się od szczeliny. Gorąco przydawało jego nabrzmiałej twarzy demonicznego żaru.

- I kolejne żądanie - powiedział. - Domyślałem się, że wasz drugi statek, „Sea Venture”, jest już w drodze. Odwołasz ich i powiesz, że z „Seaquestem” wszystko w porządku. Na pewno macie porozumienie z rządami Turcji i Gruzji. Powiesz kapitanowi, żeby im przekazał, że niczego nie znaleźliście i odpływacie z wyspy. Masz przy sobie nadajnik? Przeszukać go!

Strażnicy znaleźli w lewej kieszeni Jacka zdalny detonator.

Dajcie mi go! - warknął Aslan. - Jaki to kanał?

Jack dostrzegł spojrzenie Costasa i niemal niezauważalnie skinął głową.

- Kanał ósmy - odpowiedział.

W chwili, gdy Aslan nacisnął numer, na zewnątrz rozległy się dwa wybuchy. Kilka sekund później znad morza dobiegł ich głębszy odgłos. Ułamek

sekundy bezruchu wystarczył, żeby ludzie Asłana stracili przewagę. Costas przeturlał się w bok i podciął nogi strażnikowi, a Jack unieszkodliwił swojego silnym uderzeniem w kark. Katia natychmiast zrozumiała, co się dzieje, i z szybkością błyskawicy kopnęła trzeciego z ludzi Asłana w splot słoneczny. Mężczyzna upadł, wijąc się z bólu.

Asłan ryknął wściekle, cisnął detonator w szczeliną i zachwiał się niebezpiecznie nad jej brzegiem. Machał jak szalony rakami, próbując utrzymać równowagę.

Ale było już za późno. Ziemia gwałtownie się zatrzęsała i Asłana wessała siła odśrodkowa komina. Na jego twarzy przez moment malowała się świadomość człowieka stojącego w obliczu śmierci. Potem rozgorzał płomieniem niczym bożek, który sam siebie składa w ofierze. Gorąco strawiło jego szatę i stopiło skórę, aż na wierzch wyszły kości dłoni i czaszki. Z przerażającym wrzaskiem runął w przepaść jak żywa kula ognia połykana przez interno wulkanu.

Rzeka śmierci upomniała się o ostatnią ofiarę.

29

Jack Howard. Tu „Sea Venture”. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Jack poczuł radość i ogromną ulgę, słysząc głos Toma Yorka. Spodziewał się najgorszego. Bał się, że York nie przeżyje ataku, który zniszczył przedni pokład „Seaquesta”.

Costas podał mu przenośny odbiornik UKF, który niedawno zabrali z „Vultury”.

- Słyszę cię wyraźnie. Co z tobą? Odbiór.

- Stoimy trzy mile morskie na północny zachód od wyspy. Eskadra czterech seahawków z tureckimi marines i gruzińskimi antyterrorystami zmierza w waszą stronę. Lada moment powinniście ich zobaczyć.

Jack już wcześniej słyszał odległy warkot i domyślił się jego źródła.

- Jak udało się wam na „Seaqueście”? - zapytał.

- Zdmuchnęło mnie, kiedy „Vultura” zaatakowała. Na szczęście marynarz dowodzący ratunkową łodzią podwodną rozpoznał wibracje pojedynku artyleryjskiego i wrócił, żeby sprawdzić. Mam paskudną ranę na nodze, ale poza tym jestem OK.

- A Peter?

- Nadał go szukamy. - York milczał chwilę, a potem dodał: Będę z tobą szczery, Jack. To nie wygląda dobrze.

- Wiem. Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy.

Jack cieszył się, że Yorkowi się udało, ale Peter Howe był jego przyjacielem od dzieciństwa. To było jak utrata brata i nagle koszt operacji wydał mu się zbyt wysoki. Zamknął oczy.

York odłożył słuchawki i wrócił po minucie.

- Właśnie dostaliśmy wiadomość od Bena i Andy’ego na „Kazboku”. Udało im się wypuścić boję radiową. Trzymają się.

Ryk nadlatujących helikopterów zaczął zagłuszać rozmowę.

- Musimy przerwać, kawaleria przybywa! - krzyknął Jack. - Powiedz kapitanowi, żeby popłynął do tych współrzędnych i tam czekał na dalsze polecenia. - Odczytał współrzędne z mapy. Opisywały punkt położony kilometr na północ od podwodnych piramid. Mam tam niedokończoną sprawę, którą muszę się zająć. Jeszcze się skontaktujemy. Bez odbioru.

Jackiem targały sprzeczne uczucia. Martwił się o los Howe’a i zarazem cieszył, że inni przeżyli ciężką próbę. Spojrzał na pokiereszowaną twarz Costasa i zdziwił go spokój przyjaciela.

Siedzieli przykucnięci na stopniach przed wyciętymi w skale drzwiami. Katię zostawili w hali audiencyjnej z pistoletem maszynowym na podolku. Jack próbował ją pocieszyć po śmierci ojca, ale dziewczyna nie była w stanie mówić, nie była nawet zdolna do nawiązania kontaktu wzrokowego. Wiedział, że nic nie da się zrobić, dopóki nie minie pierwszy szok.

Poza trzema strażnikami, którzy leżeli związani na centralnym podium, było jeszcze dwudziestu ludzi z „Vultury”. Załoga poddała się, kiedy Jack i Costas weszli na pokład uszkodzonego okrętu i powiedzieli o śmierci Asłana. Mimo obrażeń Costas nalegał, że też tam pójdzie. Tłumaczył, że nie jest w gorszym stanie niż Jack podczas przeprawy przez wnętrze wulkanu. Katia poprosiła, żeby pozwolili jej pilnować jeńców. Po prostu chciała zostać sama ze swoimi myślami.

- Wreszcie wygrywają pozytywni bohaterowie - powiedział Costas.

- To jeszcze nie koniec - odparł Jack.

Costas podążył za jego wzrokiem za wyspę, gdzie helikopter z „Sea Venture” prowadził poszukiwania nad ostatnią pozycją Yorka i Howe'a. Pod spodem cztery pontony przeszukiwały fale.

Nad ich głowami przeleciał pierwszy ze śmigłowców Sikorsky S-70A Seahawk. Ciąg jego rotora przynosił odświeżający powiew chłodnego powietrza. Drzwi maszyny otworzyły się nad kamiennym kręgiem obok jednego ze szczytów i wyskoczyli z nich uzbrojeni po uszy mężczyźni. Przebiegli obok dymiących szczątków KA-28 helixa. Kiedy biegli w stronę Jacka i Costasa, ci spojrzeli na siebie i obaj powiedzieli to samo:

- Czas się zbierać.

Godzinę później obaj, ociekając wodą, stali w przedziale torpedowym okrętu podwodnego. Z nowym wyposażeniem dostarczonym drogą powietrzną z „Sea Venture” przeszli labirynt, idąc za taśmami, które rozwinął Costas podczas wędrówki pod górę. W komorze membranowej zamknęli inkrustowane złotem drzwi i wystukali sygnał w kadłub „Kazbeka”. Chwilę później pompa opróżniła komorę i otworzył się właz, w którym ukazały się wymizerowane twarze Bena i Andy'ego.

- Nie mamy dużo czasu ostrzegł ich Ben. Oczyszczacze dwutlenku węgla są już pełne, a zbiorniki rezerwowe na DSRV prawie puste.

Szybko zebrali sprzęt i poszli za marynarzami pod ścianą przedziału torpedowego, a potem pod górę zsuwni. Drzwi przedziału sonarowego z jego makabrycznym wartownikiem były zamknięte. Ze środka dochodziło stłumione walenie.

- Dwaj ludzie Asłana - wyjaśnił Andy. Zostali jako straż, kiedy reszta uciekła pojazdem podwodnym. Poddali się prawie natychmiast. Pomyśleliśmy, że chętnie dotrzymają towarzystwa naszemu przyjacielowi z KGB.

Pozostali nic mieli tyle szczęścia powiedział ponuro Jack.

Ben i Andy byli wyczerpani, ale Jack podziwiał ich energię po tylu godzinach spędzonych w okręcie podwodnym.

Parę minut później znaleźli się w przedziale dowodzenia. Jack stanął w miejscu, w którym dostał kulę i o mało nie pożegnał się z życiem. W rogu leżało przykryte kocem ciało kazachskiego bandyty. Widać było, że niedawno odbyła się tu walka.

- Gdzie jest kontrolka balastu? - zapytał Jack.

- Tam odparł Andy. Jest nieźle rozwalona, ale na szczęście nie musimy robić niczego skomplikowanego. Sądzimy, że w zbiornikach zapasowych zostało dość ciśnienia, żeby go użyć w sytuacji krytycznej. Wystarczy szarpnąć

za te dźwignie i otworzyć ręcznie zawory. - Wskazał dwie podobne do grzybów wypukłości na panelu.

- Dobrze powiedział Costas. - Czas siadać na koń. Zastużyliście, chłopaki, na trochę rytm and bluesa.

Poszedł z marynarzami, żeby odłączyć DSRV, a Jack rozpoczął ostatni akt swojego planu, który stanie się końcem imperium zła zbudowanego przez Asłana.

Kiedy Costas wrócił z wjazdu ratunkowego, siedział za panelem uzbrojenia w komorze kontroli ognia. Było to jedno z nielicznych miejsc, które uniknęły zniszczenia.

- Co robisz? - zainteresował się Costas.

- Mam rachunki do wyrównania - odparł Jack. - Możesz to nazwać nadrabianiem strat.

Costas wyglądał na oszołomionego.

- Ty jesteś szefem.

- Jeśli zostawimy kwaterę główną Asłana nietkniętą, możemy sobie napisać biedę. Ani Turcy, ani Gruzini nie tkną jej z obawy przed eskalacją wojny domowej i nie chcą prowokować Rosjan. I nie mówię tu o jakimś kolejnym panu wojny. To miejsce jest wymarzone ośrodkiem terroryzmu, marzeniem bojowników al-Kaidy, którzy na pewno mają numer telefonu Asłana i tylko czekają na taką sposobność. - Jack przerwał. Pomyślał o Peterze Howie. - Ale to także sprawa osobista. Jestem to winien staremu przyjacielowi.

Włączył dwa ekrany ciekłokrystaliczne i przeprowadził kilka prób.

- Zanim odeszliśmy, Katia dała mi instrukcje. Najwyraźniej nawet młodszy oficerowie wywiadu byli uczeni operowania taką bronią. Gdyby nastąpiła zagłada nuklearna, mogliby być ostatnimi, którzy przeżyli na okręcie lub w bunkrze. Wszystkie systemy były samopodtrzymujące się i zaprojektowane tak, żeby funkcjonowały w warunkach ekstremalnych. Katia uważa, że komputer pomocniczy będzie działał nawet po tych wszystkich latach.

- Chyba nie chcesz wystrzelić pocisku? - szepnął Costas.

- Cholera, jasne, że chcę.

- A co z dziełami sztuki?

- Większość jest w kompleksie mieszkalnym. Ale to ryzyko, które muszę podjąć. - Jack przyjrzał się monitorom. - Sprawdzam, których nie rozbroiliśmy. W rurze numer cztery jest rakietą gotową do użycia. Kanister nadal jest uszczelniony membranową pokrywą ciśnieniową. Długość osiem metrów, zasięg trzy kilometry, szybkość przelotowa siedem dziesiątych macha, tysiąc

kilogramów materiału wybuchowego aktywowanego uderzeniem. Sowiecka wersja tomahawka wystrzeliwanego z wyrzutni naziemnych.

- System naprowadzania?

- Tak jak w tomahawku, software porównujący kontury terenu oraz GPS.

Na szczęście trasa przelotu prowadzi nad morzem i nie trzeba wprowadzać zakrętów. Mam dokładne namiary celu, więc nie będzie mi potrzebne wyszukiwanie i system poszukiwania wzoru. Mogę ominąć większość skomplikowanych procedur programowania.

- Ale jesteśmy za głęboko na strzelanie - zaprotestował Costas.

- Dlatego chcę, żebyś sterował awaryjnym systemem opróżniania balastu.

Jak tylko znajdziemy się na dwudziestu metrach, wydasz rozkaz odpalania.

Costas pokiwał głową i uśmiechnął się krzywo. Bez słowa zajął miejsce przed panelem sterowniczym balastu. Jack nachylił się nad konsolą i podniósł wzrok z ponurą determinacją.

Procedury kontroli ognia.

Po ich ruchach nic widać było, że za chwilę uwolnią potężne siły. Jack skupił się na monitorze. Wstukiwał sekwencje komend i robił krótkie przerwy, czekając na wyniki. Wprowadził niezbędne dane początkowe i na ekranie pojawił się wzór z linii i kropek. W przypadku typowej operacji na monitorze ukazałyby się obraz najlepiej pasujący do poszukiwanego, ale skoro znane były namiary, na ekranie pojawiła się linearna projekcja zasięgu i kursu pocisku.

- Załadowałem profil misji i rozgrzewam pocisk - oznajmił Jack. - Inicjuję sekwencję odpalania.

Odwrócił się z fotelem do konsoli z kontrolkami odpalania i stał warstwą osadu, żeby odstąpić czerwony guzik odpalania. Sprawdził, czy elektronika jest włączona, i spojrzał na Costasa siedzącego przy stacji kontrolnej pływalności. Nie potrzebował potwierdzenia, że Costas robi to, co trzeba, ale widok posiniaczonej twarzy przyjaciela wzmacniał jego determinację. Obaj kiwnęli w milczeniu głowami i Jack wrócił do ekranu.

- Włączać!

Costas sięgnął do dźwigierek i pociągnął je w dół z głośnym szczękiem. Z początku nic się nie działo, ale potem ogłuszające syczenie gazu pod wysokim ciśnieniem wypełniło wszystkie rury biegnące nad nimi. Chwilę później dołączył do tego odległy grzmot sprężonego powietrza wypychającego wodę ze zbiorników balastowych między dwoma warstwami kadłuba.

Powoli, prawie niewyczuwalnie, okręt ruszył. Towarzyszyły temu trzaski wrzastające do wrzeszczącego crescendo, które zdawało się przebiegać z jednej

strony łodzi na drugą. Odnosiło się wrażenie, jakby budził się jakiś śpiący stwór, jakby zaspany olbrzym wstawał po wiekach niezakłóconej drzemki.

Nagle dziób poszedł w górę pod niebezpiecznym kątem, rzucając ich obu w dół. Rozległ się rozdzierający dźwięk darcia, gdy szczątki śruby i steru odrywały się od reszty.

- Trzymaj się! - krzyknął Costas. - Zaraz będzie szedł w górę!

Z ostatnim piskiem ogon podskoczył w górę i tysiące ton uwolniły się. Głębokościomierz zaczął się kręcić z zatrważającą szybkością.

- Na mój znak! - ryknął Grek. - Osiemdziesiąt metrów... sześćdziesiąt... czterdzieści... trzydzieści... strzelaj!

Jack nacisnął czerwony guzik i od dziobu dotarł do nich dźwięk jakby próżniowej ssawy. Automatycznie otworzyły się drzwi rury i wypalił ładunek, który wypchnął pocisk do wody. Zaledwie kilka metrów od kadłuba rakietka dopalacza skierowała go w stronę powierzchni. Podązał teraz na północny wschód według uprzednio ustawionej trajektorii.

Tom York stał na mostku „Sea Venture” obok kapitana i sternika. Patrzyli, jak ostatnie seahawki startują z wyspy, żeby zawieźć jeńców do Gruzji, do specjalnego więzienia dla terrorystów. Teraz przenieśli wzrok na „Vulturę”, którą uszkodziły ładunki założone przez Jacka.

York spojrzął do tyłu i na morzu, około kilometra od statku, zauważył coś, co wyglądało na fale uderzeniowe wywołane podwodną eksplozją. Zanim zdążył ostrzec innych, fale przebiła stalowa dzida, wyrzucając wielką kulę pyłu wodnego, jak pióropusz dymu po starcie rakiety. Trzydzieści metrów wyżej pocisk nachylił się i na chwilę zawisł bez ruchu. Zużyty dopalacz odpadł, a z kadłuba wyłoniły się skrzydełka. Potem uruchomiło się turbośmigło i pocisk pomknął po płaskiej trajektorii na wschód, osiągając wkrótce prędkość poddźwiękową. Muskał fale jak oddalająca się błyskawicznie ognista kula.

Kilka sekund później wszyscy na „Sea Venture” spojrzeli w stronę wielkiej fontanny na falach. Na powierzchni, niczym ogromny wieloryb, wypłynął „Kazbek”. Jego dziób wyskoczył ponad fale i opadł w dół z głośnym hukiem. Gdy wielki czarny kształt osiadł na morzu, jedynym znakiem, że długo przebywał w zanurzeniu, był lekki żółty nalot na niektórych fragmentach kadłuba i zniszczenia w części rufowej. Przez krótką chwilę, nim okręt opadł niżej, widzieli okrągłą dziurę, z której zerwana została membrana. Przewodziła ona do przedziału torpedowego, zalanego teraz wodą, ale odizolowanego przez Costasa. Same rozmiary okrętu budziły respekt. Był to przera-

żający obraz najbardziej śmiertelnej maszyny wojennej, którą wymyślił człowiek.

Wśród marynarzy zatrudnionych na „Sea Venture” widok ten kiedyś wzbudziłby strach, jaki pokolenie wcześniej wywoływały niemieckie U-Booty. Ale teraz powitali okręt chórem wiwatów, jedna sposobność mniej, żeby broń masowego rażenia wpadła w ręce terrorystów.

- „Sea Venture”, tu „Kazbek”. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Przerywany trzaskami głos dochodził z radiostacji na mostku. York podniósł słuchawkę.

- „Kazbek”, słyszymy cię dobrze. Dziękujemy za fajerwerki. Odbiór.

Oto współrzędne. - Jack odczytał dwunastocyfrową liczbę i powtórzył ją.

- Może chcielibyście nawiązać łączność z satelitą. Powinien być teraz nad waszymi głowami. Na wypadek, gdyby ktoś z załogi zastanawiał się, o co chodzi, to są faceci, którzy zatopili „SeQUESTA”.

Kilka minut później wszyscy stłoczyli się w kabinie łączności na „Sea Venture”. Ustępowano miejsca członkom załogi „SeQUESTA”, którzy ocalili dzięki ratunkowej łodzi podwodnej. Dołączyli do nich Ben i Andy, którzy właśnie zakończyli dokowanie DSRV. Wszyscy trzymali się czegoś, żeby nie upaść, gdy dotrą do nich ostatnie fale wzbudzone przez wyłaniającego się „Kazbeka”, i z napięciem patrzyli w ekran, na którym pojawił się obraz *online*.

Ukazywał on grupę budynków ustawionych jak szprychy wokół środkowej piasty. Po prawej stronie czujnik podczerwieni znalazł źródła ciepła. Pochodziło od kilkunastu postaci krzątających się wokół dwóch dużych helikopterów transportowych, które przybyły po ucieczce Jacka. Podobnie jak druga grupa, widoczna nad brzegiem morza, bardzo się spieszyli. Nieśli przedmioty przypominające obrazy i posągi.

Nagle rozbłysło oślepiające światło i od środka obrazu rozeszły się koncentryczne kolorowe kręgi. Kiedy ustały, ukazał się obraz totalnego zniszczenia. Centralna piasta zniknęła, jej kopia rozpadła się na milion odłamków. Obraz termiczny pokazywał, że wybuch rozszedł się przejściami prowadzącymi od piasty. Fala uderzeniowa dotarła dalej, przewracając helikoptery i wszystkich widocznych na ekranie ludzi. Ich martwe ciała leżały wśród pakunków, które nieśli. Nawet nie wiedzieli, co ich uderzyło.

Rozległ się stłumiony aplauz. Członkowie załogi wiedzieli, że nie był to tylko akt zemsty, że stawka była znacznie wyższa.

Bardzo nas zmartwiło to, co usłyszeliśmy o Peterze Howie. Maurice Hiebermeyer, wygramoliwszy się ze śmigłowca, podszedł prosto do Jacka i położył mu dłoń na ramieniu. Był to wzruszający gest, dowód przyjaźni, która łączyła ich bardziej niż wspólna zawodowa pasja.

- Jeszcze nie straciliśmy nadziei.

Jack stał z Katią i Costasem u podstawy schodów wiodących w stronę wejścia do wulkanu. Noc spędzili na pokładzie „Sea Venture” i teraz pławili się w porannym słońcu, które wstało znad kamiennego kręgu. Niebieski kombinezon IMU zakrywał świeżo zabandażowany bok Jacka, ale twarz Costasa zdradzała, przez co przeszedł. Katia nadal była przygaszona i milcząca.

- Moje gratulacje z powodu odkrycia. I z powodu pokonania kilku przeszkód po drodze - powiedział James Dillen, podając dłoń Jackowi. Spojrzał na Katię i Costasa.

Za Dillenem z helikoptera wyszła Aisza Farouk, asystentka Hiebermeyera, która znalazła papirus atlantydzki na pustyni i teraz została zaproszona na spotkanie. Z boku stał genialny Efram Jacobovich, miliarder, który sponsorował ich badania.

Jackowi wydawało się, że od konferencji w Aleksandryjskim Zamku minęły wieki. A to były zaledwie cztery dni, a oni zaś nadal byli o krok od celu, od skarbnicy, którą kapłani przez tyle pokoleń utrzymywali w sekrecie.

Właśnie mieli wejść na schody, gdy nadbiegł Mustafa Alkozen z dwoma reflektorami do nurkowania.

Przepraszam za spóźnienie wydyszał. - Mieliśmy pracowitą noc. Wczoraj wieczorem turecki samolot wojskowy wczesnego ostrzegania wykrył falę wybuchu na wybrzeżu Abchazji, w pobliżu granicy z Gruzją. - Mrugnął do Jacka. - Uznaliśmy, że to zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i wysłaliśmy zespół szybkiego reagowania, żeby to zbadał.

- Dzieła sztuki? - zapytał Jack.

- Większość była nadal w kompleksie mieszkalnym Aślana, a te, które wyniesiono, znalazły się poza zasięgiem fali uderzeniowej. Właśnie są transportowane śmigłowcami marynarki wojennej do Stambułu, gdzie zostaną poddane identyfikacji i konserwacji w muzeum archeologicznym, a potem zwrócone prawowitym właścicielom.

- Szkoda - wtrącił się Costas. - Byłaby to niezła wystawa. Przykłady najpiękniejszych dzieł sztuki ze wszystkich okresów i kultur nigdy wcześniej niewystawiane razem.

- Kilku zaniepokojonych kuratorów mogłoby chcieć je zobaczyć, zanim inni to zrobią - odparł Jack.

- Ależ to doskonały pomysł - powiedział Efram Jacobovich. - Idealne wykorzystanie pieniędzy skonfiskowanych z kont Aślana. Tymczasem znam pewnego prywatnego dobroczyńcę, który zapewni pieniądze na dobry początek.

Jack uśmiechnął się z wdzięcznością i zwrócił się do Mustafy.

- A jak wygląda bezpieczeństwo?

- Od jakiegoś czasu szukaliśmy pretekstu, żeby wejść do Abchazji - odparł Mustafa. Stała się głównym punktem przerzutowym narkotyków z Azji Środkowej. Teraz, gdy potwierdzono, że mieliśmy do czynienia z działalnością terrorystyczną, zapewniono nas o pełnej współpracy rządów Gruzji i Rosji.

Jack z trudem ukrył sceptycyzm. Wiedział, że Mustafa jest zobowiązany do przedstawiania wersji oficjalnej, chociaż doskonale wie, że szanse na skoordynowaną akcję są minimalne.

Patrzyli na niską sylwetkę „Kazbeka” i flotyllę tureckich i rosyjskich kutrów, które przyplłynęły w nocy. Był to dowód, że proces usuwania głowic jądrowych jest w toku i że łódź podwodna wróci do portu macierzystego, gdzie zostanie wycofana ze służby. Po pozbyciu się reaktora, ciała kapitana Antenowa i jego załogi zostaną na pokładzie i okręt zostanie zatopiony, stając się ich grobem.

- Co ze sprzętem wojskowym? - spytał Jack.

- Wszystko, co nadaje się do użytku, zostanie przekazane Gruzinom. Oni najbardziej tego potrzebują. Chcieliśmy przekazać im „Vulturę”, ale widzę, że to niemożliwe. Mustafa uśmiechnął się do Jacka. Dostaną w zamian nowiutką fregatę klasy „Nieustraszimyj”.

- A co się stanie z „Vulturą”?

Wszyscy popatrzyli na widniejący w oddali kadłub, który odholowano nad podwodny kanion. Był to żaloszny widok; kopący stos, ostatnie świadectwo chciwości i pychy jednego człowieka.

Mustafa spojrzął na zegarek.

- Sądzę, że za chwilę dostaniecie odpowiedź.

W tym momencie powietrze rozdarł huk silników odrzutowca. Kilka sekund później dwa tureckie F-15E strike eagles przeleciały im nad głowami. Ich bliźniacze dopalacze żarzyły się czerwono, gdy leciały w ścisłej formacji nad wyznaczony cel. Jakies dwa kilometry za wyspą spod odrzutowca lecącego z lewej oderwał się kanister i zaczął się ślizgać po powierzchni wody niczym bomba do burzenia tam. Kiedy oba samoloty odleciały na południe, z morza wyrosła ściana płomieni i ogarnęła wrak.

- Bomba termobaryczna - powiedział Mustafa. - Niszczyciel tuneli po raz pierwszy użyty przez Amerykanów w Afganistanie. Potrzebowaliśmy prawdziwego celu, żeby sprawdzić celność naszych nowych odrzutowców. - Odwrócił się, gdy dotarł do nich pogłos wybuchu, i wskazał wejście. - Chodźmy.

Chłodne powietrze w tunelu stanowiło miłą odmianę po słońcu, które zaczęło niemiłosiernie prażyć skałę na zewnątrz. Dla tych, którzy jeszcze tu nie byli, widok hali audiencyjnej z ogromną kopułą przewyższał wszystko, co mogli sobie wyobrazić. Po usunięciu wszystkich śladów zostawionych przez Asłana hala była dziewiczo czysta, jakby czekała na powrót arcykapłanów, którzy opuścili ją siedem tysięcy lat temu.

Komin był teraz uspiiony, resztki wody deszczowej zniknęły przez noc, a zamiast kolumny pary lśniący słup słonecznego światła iluminował podium jak reflektor teatralny.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Nawet Hiebermeyer, któremu rzadko brakowało słów, zdjął zamglone okulary i stał w milczeniu.

Dillen odwrócił się do nich.

- Teraz powiedział możemy zacząć w miejscu, w którym kończy się tekst. Uważam, że jesteśmy o krok od najbardziej niezwykłego odkrycia.

Jacka nigdy nie przestała zadziwiać łatwość, z jaką jego mentor potrafił tłumić w sobie podniecenie płynące z odkrycia. W białym garniturze i muszce wydawał się postacią z minionego stulecia, kiedy bezpretensjonalna elegancja należała do atrybutów uczonego, tak jak skomplikowane gadżety stanowiły znak firmowy pokolenia jego studentów.

- Mamy niewiele wskazówek - podjął Dillen. - Papirus to podarty strzęp, a dysk z Fajstos jest równie ulotnym źródłem. Możemy wnosić, sądząc po napisie przy wejściu, że pojęcie Atlantyda odnosi się do tej cytadeli, tego klasztoru. Dla ludzi z zewnątrz oznaczało zapewne także miasto. Ale mieszkańcy mogli w tak szczególny sposób nazwać swoje najświętsze miejsce, skaliste stoki i jaskinie, od których zaczęło się osadnictwo.

- Jak Akropol w Atenach - powiedział Costas.
- Otóż to. Z dysku wynikałoby, że wewnątrz Atlantydy znajduje się miejsce, które ja przetłumaczyłem jako „miejsce bogów”, a Katia jako „święte świętych”. Wzmiankowana jest również Bogini Matka. Jak do tej pory, żadne z odkryć nie pasuje do tych określeń.

- Najbliższa byłaby sala przodków. Tak nazwaliśmy galerię malarstwa jaskiniowego - wyjaśnił Jack. - Ale pochodzi z paleolitu i nie zawiera przedstawień postaci ludzkich. W sanktuarium neolitycznym spodziewałbym się bóstw antropomorficznych, jakiejś wspanialszej wersji domowej świątyni, którą widzieliśmy w zatopionej wiosce pod Trabzonem.

A co z tym pomieszczeniem, z halą audiencyjną? zapytał Efram Jacobovich. Jack pokręcił głową.

- Jest za duża. To miejsce było przeznaczone do większych spotkań, jak kościoł. My szukamy czegoś bardziej elitarnego, ukrytego przed ludźmi. Im świętsze jest miejsce, tym bardziej ograniczony do niego dostęp. Tylko kapłani mieli prawo tam wchodzić, co pasowało do ich statusu pośredników między ludźmi a bogami.

Tabernakulum - zasugerował Efram.

Katia i Aisza pojawiły się na parapecie obok rampy. Kiedy mężczyźni rozmawiali, wybrały się na krótki rekonesans i wchodziły do drzwi otaczających halę.

- Chyba znalazłyśmy powiedziała Katia. Tu jest dwanaście wejść. Dwa możemy sobie darować, bo wiemy, dokąd prowadzą, jedno z zewnątrz, drugie z dołu. Z pozostałych dziewięć jest ślepych albo prowadzą w górę.

Jeśli to jest naprawdę matka wszystkich sanktuariów na szczytach gór odparł Jack - to im wyżej, tym lepiej.

Katia wskazała drzwi przy wschodnim krańcu hali, dokładnie naprzeciwko wejścia.

- To te. Tak się składa, że też są zwieńczone znakiem boga-orła o rozpostartych skrzydłach.

Jack uśmiechnął się do Katii, zadowolony, że zaczyna wychodzić z szoku, i odwrócił się do Dillena.

- Panie profesorze, może nas pan poprowadzi.

Dillen uprzejmie skinął głową i ruszył obok Jacka ku zachodnim drzwiom. Jego elegancka sylwetka kontrastowała z wysmaganą wichrami postacią byłego studenta. Za nimi szli Katia i Costas, a dalej pozostała czwórka z Eframem Jacobovichem zamykającym pochód. Gdy zbliżali się do wejścia, Jack obejrzał się na Costasa.

- Więc mamy to. Dżin z tonikiem czeka na brzegu basenu.

Costas rzucił przyjacielowi krzywy uśmiech.

- Mówisz tak za każdym razem.

Dillen przystanął, żeby przyjrzeć się rzeźbie na nadprożu. Była to miniaturowa kopia boga-orła o rozpostartych skrzydłach, którego czwórka odkrywców widziała w hali przodków. Jack i Costas włączyli reflektory i skierowali je w ciemność. Bazalt został wypolerowany na lustro, jego cętkowane lico skrzyło się od mineralnych inkluzji, które wydobyły się z płaszczka Ziemi, kiedy powstawał wulkan.

Jack odsunął się na bok, żeby puścić Dillena przodem. Po jakichś dziesięciu metrach profesor raptownie się zatrzymał.

- Mamy problem.

Jack podszedł i zobaczył, że wielki kamienny portal blokuje przejście. Zlewał się prawie bez szczelin ze ścianami, ale z bliska dostrzegli, że dzieli się na połowy. Na środku widniało charakterystyczne wgłębienie.

- Chyba mam klucz - powiedział Jack.

Sięgnął do kieszeni kombinezону i wyciągnął kopię złotego dysku, którą uratował z podium po nagłym upadku Asłana. Włożył ją w talerzowate wgłębienie. W momencie, w którym odsunął rękę, dysk zaczął się kręcić zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kilka sekund później drzwi odskoczyły w ich kierunku. Nagromadzona patyna stawiła lekki opór ciężkim płytom, kiedy otwierały się na obie strony.

Costas z podziwem pokręcił głową.

- Dokładnie ten sam mechanizm, co w drzwiach na ścianie klifu. Nadal działa po siedmiu i pół tysiącach lat. W epoce brązu ci ludzie wymyśliliby chipy komputerowe.

- I wtedy ja wypadłbym z branży - zachichotał Efram.

Odór, który ich przywitał, przypominał ciężki zapach krypty grzebalnej, jakby powiew stęchłego powietrza niósł z sobą samą istotę śmierci, ostatki łożu świec i kadzideł, które płonęły tu, kiedy kapłani dokonywali ostatnich ablucji, nim na zawsze zamknęli drzwi świętego miejsca. Efekt był niemal halucynogeny, mogli wyczuć strach i pośpiech zawarte w tych ostatnich działaniach. Jakby dwieście pokoleń zostało odsunięte na bok, a oni przyłączyli się do ostatniej, rozpaczliwej ucieczki strażników Atlantydy.

- Teraz wiem, jak czuli się Carter i Carnavon, kiedy otwierali grób Tutanchamona - powiedział Hiebermeyer.

Katia zadrżała w chłodnym powietrzu. Tak jak groby faraonów w Dolinie Królów, przejście za drzwiami nie było ozdobione. Nie można było poznać, co leży dalej.

- To musi być już blisko - powiedział Costas. - Według mojego wysokościomierza znajdujemy się niecałe trzydzieści metrów pod szczytem.

Dillen zatrzymał nagle się i Jack wpadł na niego. Promień reflektora zatańczył dziko. To, co wydawało się kolejnymi drzwiami, okazało się skrzętem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo. Tunel biegł ku górze serią niskich stopni.

Dillen ruszył do przodu i znów się zatrzymał.

- Widzę coś przed sobą. Poświećcie na lewo i prawo. - W jego głosie była tak rzadka u niego nutka podniecenia.

Jack i Costas oświetlili ściany korytarza. Widok był niesamowity. Ściany po obu stronach zdobiły płaskorzeźby przedstawiające ogromne byki. Ich łby były zwrócone w górę tunelu. Wydłużone szyje i krzywe, sięgające wysoko rogi sprawiały, że wydawały się mniej opanowane niż bestie w podwodnym tunelu, jakby próbowały wyrwać się na wolność i skoczyć w ciemność na górze.

Idąc po schodach, patrzyli na płaskorzeźby na niższym reliefie. Wszystkie detale zostały wiernie oddane w drobnoziarnistym granicie.

- To postacie ludzkie - powiedział Dillen z entuzjazmem, zapominając o swojej zwykłej rezerwie. - Proszę państwa, oto lud Atlantydy.

Płaskorzeźby po obu stronach stanowiły swoje lustrzane odbicie. Były to naturalnych rozmiarów postacie maszerujące pojedynczym szeregiem. Każda miała wyciągniętą jedną rękę, z dłonią obejmującą otwór, w którym kiedyś musiała się znajdować płonąca pochodnia albo świeca. Charakteryzowała je hieratyczna, dwuwymiarowa poza, jak w reliefach starożytnego Bliskiego Wschodu i Egiptu, ale zamiast sztywności kojarzonej zwykle z profilowym oddaniem sylwetki ludzkiej miały w sobie jakąś pełnię i wdzięk, które wyglądały na bezpośrednie zapożyczenie z przedstawiających zwierzęta malowideł epoki lodowcowej.

Płaskorzeźby przedstawiały obie płcie. Kobiety miały obnażone piersi, obcisłe suknie ujawniające zaokrąglone i zarazem perfekcyjne kształty, oczy w kształcie migdałów i włosy opadające na ramiona w trefionych puklach. Mężczyźni mieli długie brody i luźne szaty.

Kobiety są atletycznie zbudowane - zauważyła Aisza. - Może to one walczyły z bykami, a nie mężczyźni.

- Przypominają mi Waregów powiedziała Katia. Tak w Bizancjum nazywano wikingów, którzy przyплыwali Dnieprem na Morze Czarne. W katedrze Świętej Zofii w Kijowie są malowidła ściennie ukazujące wysokich mężczyzn takich jak ci, tylko że z zakrzywionymi nosami i blond włosami.

- A dla mnie to Hetyci z Anatolii, z drugiego tysiąclecia przed naszą erą - wtrącił Mustafa. — Albo Sumerowie i Asyryjczycy z Mezopotamii.

- Albo ludy epoki brązu z Grecji i Krety - mruknął Jack. - Te kobiety mogłyby być damami o nagich piersiach z fresków w Knossos, a mężczyźni mogli zejść prosto ze złotych waz wojowników znalezionych w ubiegłym roku w królewskim kręgu grobowym w Mykenach.

- To po prostu ludzie powiedział cicho Dillen. - Pierwotni Indoeuropejczycy, pierwsi mieszkańcy Kaukazu. Od nich pochodzą niemal wszystkie ludy Europy i Azji. Egipcjanie, Semicci, Grecy, budowniczy megalitów z zachodniej Europy, pierwsi władcy Mohendžo Daro w dolinie Indusu. Czasem całkowicie zastępowali pierwotną ludność, czasem się z nią mieszała. We wszystkich tych ludach widzimy ślady przodków, założycieli cywilizacji.

Spojrzeni z jeszcze większym szacunkiem na te postacie, które ucieleśniały siłę i zdecydowanie, jakby maszerowały niepowstrzymane ku swojemu miejscu w dziejach.

Pochód mężczyzn i kobiet idących na przemian wiodło trzech mężczyzn, którzy dzierżyli w dłoniach rzeźbione laski, a na głowach mieli stożkowate czapki sięgające aż do sufitu.

- Arcykapłani - powiedział Jack.

- Wyglądają jak czarodzieje - rzekł Costas. - Jak druidzi.

- Może to nie jest naciągane porównanie - stwierdziła Katia. - Słowo druid pochodzi od indoeuropejskiego *wid*, wiedzieć. To byli ludzie przechowujący wiedzę neolitycznych mieszkańców Atlantydy, odpowiednik klasy kapłańskiej w celtyckiej Europie pięć tysięcy lat później.

- Fascynujące - rzekł Hiebertmeyer. Te czapki są zadziwiająco podobne do czapek z kutego złota znajdujących w depozytach wotywnych epoki brązu. Jedną odkryliśmy w ubiegłym roku w Egipcie, kiedy otwarto tajny skarbiec w piramidzie Chefrena.

Podszedł do pierwszej z figur przedstawiającej kobietę i zdjął okulary, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Tak jak myślałem! zawołał. Jest pokryta maleńkimi kółeczkami i symbolami lunarnymi, jak te czapki z epoki brązu. - Przetarł okulary i powiedział:

- Jestem pewien, że to logarytmiczne przedstawienie cyklu Metona.

Jack zauważył zdumione spojrzenie Costasa.

- Meton był ateńskim astrologiem wyjaśnił mu. - Współczesnym Sokratesa i mentorem Platona. Jako pierwszy z Greków ustalił różnicę między miesiącem solarnym a lunarnym, czyli cykl synodyczny. Skinął głową w stro-

nę płaskorzeźb. - A ci goście wymyślili kalendarzowy zapis ofiar z miesiącami przestępnymi, który widzieliśmy w tamtym tunelu.

Dillen odłączył się od grupy i stanął przed portalem u szczytu schodów, obok płaskorzeźby kapłana.

- Byli panami czasu - oświadczył. Przy użyciu kamiennego kręgu potrafili opisać ruchy Słońca w stosunku do ruchów Księżyca i konstelacji. Ta wiedza dawała im siłę wyroczni, które mają dostęp do boskiej wiedzy i potrafią zajrzeć w przyszłość. Potrafili określić czas siewu i dorocznych zbiorów. Panowali swą sztuką nad niebiosami i ziemią.

Szerokim gestem wskazał wejście.

- A teraz prowadzą nas do wewnętrznej świątyni, do świętego świętych.

31

Stali skupieni przy portalu i zaglądali w ciemne przejście. Znowu poczuli woń tysiącleci, która zdawała się nieść przedestylowaną wiedzę minionych wieków. Jack wyrzesał w wyobraźni obraz Solona Prawodawcy i tajemniczego kapłana w świątynnym sanktuarium w Sais. Fantazmat ulotnił się, ale Jackowi pozostało przekonanie, że oto zanurzają się w najświętsze tajemnice ludu, który odszedł w niepamięć tysiące lat temu.

Po przebyciu kilku metrów dotarli do końca korytarza i Jack włączył reflektor. Dillen stojący obok zamrugał. Musiał przyzwyczaić się do jaskrawego światła padającego na to, co znajdowało się przed nimi.

- Co to jest? - Hiebermeyer nie mógł opanować podniecenia. Co widzicie?

- To pojedyncza komora, jakiś dziesięć metrów na sześć odparł Jack opanowanym tonem zawodowca. - Pośrodku stoi kamienny stół, a za nim ekran. Och, jest jeszcze złoto. Grube złote panele na ścianach.

Nachylił się i wszedł razem z Dillenem, a pozostali ruszyli za nimi. Kiedy znaleźli się w środku, Jack i Costas ustawili reflektory tak, żeby oświetlały całą komorę.

Lakoniczny opis Jacka nie oddawał wszystkiego. Ściany po obu stronach ozdobione były wielkimi płacami wypolerowanego złota o rozmiarach dwa metry na metr. Świeciły olśniewająco, ich powierzchnia w ochronnej otoczce atmosfery wnętrza góry zachowała czystość lustra. Było dziesięć paneli, po pięć na każdej ścianie, rozwieszonych równo, w półmetrowych odstępach. Pokrywały je znaki przedstawiające symbole Atlantydy.

- Popatrzcie na nią - wyszeptał Costas.

Promień jego latarki oświetlił gargantuiczny kształt u krańca komory. W tej groteskowej parodii kobiety z obwisłymi piersiami, wystającymi pośladkami i rozdętym brzuchem, który nadawał torsowi niemal sferyczny kształt, ledwie można było rozpoznać rysy ludzkie. Po obu bokach stały naturalnych rozmiarów byki zwrócone pyskami w jej stronę.

Jack popatrzył na kolosa i zwrócił się do Costasa.

- Archeolodzy zajmujący się prehistorią nazywają ją pochlebnie posągiem Wenus - powiedział z uśmiechem. - W Europie i Rosji znaleziono około osiemdziesięciu takich, głównie małych statuetek z kości słoniowej albo kamienia. Ten posąg jest fenomenalny, jedyny ponadnaturalnych kształtów, jaki znam.

- Trochę się różni od tych ładnych dziewczyn w tunelu - zauważył Costas.

- W założeniu nią była to dziewczyna na okładkę - powiedziała lekko karzącym tonem Katia. - Popatrz, nawet nie zatroszczyli się, żeby wykończyć nogi i ręce, a głowa nie ma twarzy. Wszystko jest celowo przesadzone, żeby podkreślić płodność i zdrowie. Może nie pasuje do współczesnego zachodniego ideału piękna, ale dla ludzi żyjących w ciągłym strachu przed głodem otyle kobiety symbolizowały dobrobyt i przetrwanie.

- Uwagę przyjąłem. - Costas uśmiechnął się. - Ile lat ma ta dama?

- Górny paleolit - odparł Jack. - Wszystkie figurki Wenus pochodzą z okresu między czterdziestoma a dziesięcioma tysiącami lat temu, tego samego, co malowidła w hali przodków.

- Uważa się je zazwyczaj za boginie-matki - dodał w zamyśleniu Hiebertmeyer. - Ale nie ma pewności, czy europejskie społeczności epoki kamienia były matriarchalne. Prawdopodobnie widziano w nich boginie płodności, czczono wraz z bóstwami męskimi i duchami zwierząt oraz siłami nieożywionymi. Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Jack.

- Przez setki tysięcy lat, w starszej epoce kamienia, w egzystencji hominidów nic się nie zmieniło, aż do rewolucji neolitycznej. Nie ma się co dziwić, że mieszkańcy Atlantydy nadal czcili okryte patyną czasu bóstwa swoich przodków, łowców i zbieraczy, którzy malowali dzikie bestie w hali przodków podczas epoki lodowcowej.

- Starożytni Izraelici ze Starego Testamentu nadal czcili boga płodności - wtrącił Efram Jacobovich. Nawet wcześnie chrześcijanie znad Morza Śródziemnego włączyli bóstwa płodności do swoich rytuałów, czasem pod przebraniem świętych albo Dziewicy Maryi. Wenus z Atlantydy może nie być tak bardzo odległa od naszych wierzeń, jak nam się wydaje.

Kamienny stół przed bóstwem był ogromny. Sięgał prawie do wejścia i kończył się tuż przed nimi podniesioną krawędzią o nieregularnym kolistym kształcie i średnicy około metra. W świetle odbitym od złota wydawał się nienaturalnie biały, jakby wypolerowali go niezliczeni wierni, którzy przyszli się modlić przed boginią.

- Wygląda na święty kamień powiedział Jack. Starożytni Grecy nazywali je baetylami albo omfalosami, czyli środkiem lub pępkiem. Były to skały pochodzące z meteorytów. Na Krecie epoki brązu baetyly znajdowały się u wejść do świętych jaskiń. W Grecji klasycznej najśłynniejszy omfalos leżał przed szczeliną, nad którą zasiadała wyrocznia w Delfach.

- Zaznaczał próg domu bóstwa, jak misa z wodą święconą w kościołach katolickich - wtrącił Efram.

- Coś w tym stylu - zgodził się Jack.

- Jest zdecydowanie pochodzenia pozaziemskiego - rzekł Costas, przyglądając się wypukłej formie. Ale wygląda raczej na wypaczony arkusz metalu niż na litą skałę.

- Coś takiego łowcy epoki kamienia mogli znajdować na pokrywie lodowej - powiedział Jack. Większość odłamków meteorów jest znajdowana na lodzie, bo łatwo je zauważyć. To mógł być obiekt sakralny stanowiący spuściznę po ich przodkach, kolejne ogniwo łączące Atlantyde z prehistorią.

Aisza przecisnęła się wzdłuż krawędzi stołu i zatrzymała niedaleko bogini.

- Chodźcie, popatrzcie na to! - zawołała.

Oba snopy światła przesunęły się po powierzchni stołu. Był zaśmieszony drewnianymi listwami, niektóre zostały połączone pod kątem prostym jak boki pudelka. Zobaczyli też znajome formy narzędzi ciesielskich, wśród nich dłuta i pilniki, przebijaki i drewniane młotki pobijaki. Wyglądały na wyposażenie warsztatu ebenisty, porzucone w pośpiechu, ale świetnie zachowane w wolnym od kurzu powietrzu.

- W tym jest więcej, niż nam się zdaje. - Dillen nachylił się obok Aiszy i ostrożnie zmiotł ścinki z drewnianej ramy przypominającej przenośny pulpit. Kiedy się wyprostował, błysnęło złoto. - To stół kopisty oznajmił triumfalnie. - A na wierzchu leży arkusz złota.

Stłoczyli się wokół niego i zobaczyli, że arkusz w górnej części jest gęsto pokryty symbolami z Atlantydy. Niektóre wypisane były krzywo, jakby w pośpiechu, ale wszystkie układały się w grupy jak na dysku z Fajstos. Z małego pudełka stojącego z boku Dillen wyjął trzy kamienne przebijaki wielkości cygara, każdy zakończony wypukłością rozpoznawalną jako głowa Mohikana, kłos zboża i wiosło. Inne przebijaki leżące na stole zakończone były symbolem Atlantydy.

- To jest takie samo jak inskrypcja na ścianie po przeciwnej stronie powiedziała Katia. - Kopista spisywał symbole z drugiego panelu od lewej.

Spojrzeli w kierunku, który wskazywała, i zaczęli rozpoznawać poszczególne symbole, sekwencje wiernie przepisane aż do dwunastego wiersza, kiedy kopista nagle porzucił robotę.

Efram Jacobovich patrzył na drewniane listwy, najwyraźniej zatopiony w myślach. Odchrząknął i nie podnosząc wzroku, zaczął recytować:

- „Stało się tedy dnia trzeciego po ranu, że były grzmienia i błyskawice i gęsty obłok nad górą, i głos trąby bardzo potężny, a bał się wszystek lud, który był w obozie. I wywiódł Mojżesz lud naprzeciwko Bogu z obozu, a stanęli pod samą górą. A góra Synaj kurzyła się wszystka, przeto, iż zstąpił Pan na nią w ogniu, i występował dym z niej, jako dym z pieca, i trzęsła się wszystka góra bardzo”.

Zamknął oczy i mówił dalej:

- „Uczył też Besaleel skrzynię z drzewa sytym, a była półtrzecia łokcia długość jej, a półtora łokcia szerokość jej, także półtora łokcia wysokość jej. I powłókł ją złotem szczerem wewnątrz i zewnątrz, i uczynił jej koronę złotą wokoło. Ulał też do niej cztery kolce złote do czterech węglów jej: dwa kolce po jednej stronie jej, a dwa kolce po drugiej stronie jej. Uczynił i drążki z drzewa sytym a powłókł je złotem. I przewlekl drążki przez kolce po stronach skrzyni, aby na nich noszona była skrzynia”.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Potem podniósł wzrok.

- Księga Wyjścia - wyjaśnił. - Ludzie mojego wyznania wierzą, że Bóg zawarł z Mojżeszem przymierze, dał mu dziesięcioro przykazań i wypisał je na tablicach, które lud Izraela nosił w arce. Biblijne odniesienia do faraonów umiejscawiają to wydarzenie w drugiej połowie drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Ale zastanawiam się, czy w tej opowieści nie ma jądra mówiącego

o wydarzeniach znacznie starszych, o ludzie starszym o tysiące lat, który musiał uciekać z ziemi rodzinnej i zabrał ze sobą kopie dziesięciu świętych tekstów przechowywanych w sanktuarium u szczytu wulkanu.

Jack oderwał wzrok od stosu pustych złotych arkuszy.

- Oczywiście! - wykrzyknął. - Każda z migrujących grup musiała dysponować własną kopią. Gliniane tablice byłyby zbyt kruche, wykonanie inskrypcji na kamieniu zabrałoby zbyt wiele czasu, a miedź pokryłaby się patyną. Było tu pod dostatkiem kaukaskiego złota, wytrzymałego i dość miękkiego, żeby szybko pokryć je inskrypcjami za pomocą przebijaka. Każdy z dziesięcioarkuszowych zestawów był zamykany w drewnianej skrzyni, takiej jak Arka Przymierza. Kapłani pracowali do ostatniej chwili i zostawili ostatnią kopię, dopiero gdy miasto zalały wody powodzi.

- Możliwe, że to są święte teksty, ale na pewno nie dziesięcioro przykazań. - Katia wyjęła palmtopa i zaczęła przeglądać konkordancję znaków symboli z Atlantydy z minojskim pismem linearnym A. Dokładne tłumaczenie zajęło trochę czasu, ale już mam ogólny sens. Tablica pierwsza z lewej odnosi się do ziarna, warzyw, a nawet winorośli i do pór roku. Druga, ta, którą kopiował nasz skryba, dotyczy zwierząt gospodarskich. Trzecia mówi o wytapianiu miedzi i złota, a czwarta o architekturze i wykorzystaniu kamienia jako budulca. Przerwała i podniosła wzrok. - Jeśli się nie mylę, te tablice stanowią rodzaj encyklopedii, kalki do naśladowania w neolitycznej Atlantydzie.

Jack potrząsnął ze zdziwieniem głową.

Aslan czułby się rozczarowany. Ani królewskiego skarbu, ani fortuny w dziełach sztuki. Tylko skarb największy, bezcenny. Klucze do cywilizacji.

Kiedy Katia i Dillen byli zajęci tłumaczeniem tablic oświetlonych reflektorem Jacka, Costas podszedł do bogini i byków. Przestrzeń między nogami zwierzęcia z prawej strony i potężnym biodrem bogini tworzyła niskie wejście wygładzone przez pokolenia użytkowników. Costas przykucnął i zniknął w otworze. Jego obecność zaznaczał tylko promień światła podkreślający kontury byków.

- Chodźcie za mną. - Jego głos był stłumiony, ale wyraźny.

Wszyscy przecisnęli się przez otwór i stanęli plecami do posągu. Znaleźli się w wąskim aneksie przed nieregularnym licem skały.

- Tu musiało być święte świętych. Dillen rozglądał się dokoła. Jak cella w greckiej świątyni albo sanktuarium w kościele chrześcijańskim. Ale jest zaskakująco nagie.

- Nie licząc tego. - Costas oświetlił reflektorem powierzchnię skały.

Były na niej namalowane trzy postacie. Środkowa prawie tak wysoka jak Bogini Matka, te po bokach trochę niższe. Zdawały się naśladować ustawienie bogini i byków. Były ciemnoczerwone, namalowane takim samym pigmentem jak użyty w hali przodków, tylko że tutaj kolor trochę zbladł. Stylistycznie też przypominały sztukę epoki lodowcowej. Namalowane szerokimi, impresjonistycznymi pociągnięciami dającymi silne wrażenie animacji, ale ich forma nie dawała się przyrównać do niczego, co widzieli w Atlantydzie.

Nie były to ani potężne zwierzęta, ani statyczni kapłani. Z trudem można było w nich rozpoznać ziemskie istoty. Abstrakcyjne kształty ledwie oddawały istotę cielesności. Każda postać miała potężne, groszkowate ciało z kończynami wystającymi niezgrabnie po bokach. Dłonie i stopy kończyły się dziesięcioma albo dwunastoma rozcapierzonymi palcami. Głowy były nieproporcjonalnie duże w stosunku do ciała, a oczy - wielkie soczewki z czarną otoczką - przypominały symbole kohl na staroegipskich portretach. Wyglądały jak nieporadne rysunki dziecka, ale we wszystkich trzech postaciach było coś wspólnego i zamierzonego.

- Są bardzo stare mruknął Jack. - Późna epoka lodowcowa, jakieś pięć tysięcy lat przed powodzią. Namalowano je na gołej skale, tak jak zwierzęta w hali przodków. Istnieje mnóstwo minimalistycznych przedstawień sylwetki ludzkiej w sztuce naskalnej na całym świecie. Są petroglify w Afryce i Australii, i w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Ale jeszcze nigdy nie widziałem takich malowideł.

- To nie mogą być poważne próby przedstawienia ludzkich postaci. Coś tam kręcił głową z niedowierzaniem. - Niemożliwe, żeby sztuka epoki lodowcowej była aż tak prymitywna. Zwierzęta w hali przodków są zaskakująco naturalistyczne.

- One są raczej humanoidalne niż antropomorficzne odparł Jack. - Pamiętaj, że są o tysiące lat starsze niż płaskorzeźby z korytarza przedstawiające mieszkańców Atlantydy. To chyba wizerunki szamanów albo duchów czy bogów, którzy nie mają określonej formy fizycznej. W niektórych społeczeństwach istota ludzka była uświęcona i nawet nie próbowano jej portretować. Artyści epoki żelaza z celtyckiej Europy byli obdarzeni wspaniałym talentem, ale gdybyś zobaczył przedstawienia ludzi, które zaczęli tworzyć pod panowaniem rzymskim, pomyślałbyś, że byli skrajnymi prymitywami.

Snop światła z reflektora Jacka ukazał małą płaskorzeźbę u góry środkowej postaci. Był to pojedynczy kartusz długości pół metra. Zawierał dwa symbole Atlantydy, orła i pionowo ustawione wiosło.

- Są nowsze od malowideł - powiedział Jack. Ich powierzchnia jest czystsza, a wyrycie linii wymagało metalowych narzędzi. Ktoś wie, jak to przetłumaczyć?

Katia znalazła na pamięć większość sylabariusza, więc nie zwracała sobie głowy włączaniem komputera.

- Tego nie ma w konkordancji - stwierdziła z przekonaniem. To może być rzeczownik albo czasownik, których nie napotkaliśmy. Ale z kontekstu wnioskuję, że jest to prawdopodobnie imię własne.

- Jak sieje wymawia? - spytał Efram.

- Każdy z symboli Atlantydy przedstawia sylabę. Spółgłoskę poprzedzoną albo zakończoną samogłoską odparła Katia. Orzeł to zawsze Y, a pionowe wiosło to W. Proponowałabym odczytanie tego jako *ye-we* albo *ya-wa*.

- Tetragrammaton! - Efram wykrzyknął to słowo z niedowierzaniem. - Imię, którego nie wolno wymawiać. Pierwsza Przyczyna wszystkiego, Pan Nieba i Ziemi. - Jakby instynktownie cofnął się przed obrazami na ścianie. Odwrócił wzrok i z szacunkiem schylił głowę.

- Jahwe. - Dillen był nie mniej zaskoczony. - Najważniejsze z imion Boga w hebrajskim Starym Testamencie, imię, które mógł wypowiadać tylko arcykapłan w Świętym Świętych w Dniu Pojednania. Po grecku było to „słowo składające się z czterech liter”, tetragrammaton. Wcześni chrześcijanie tłumaczyli je jako Jehowa.

- Bóg Mojżesza i Abrahama. Efram stopniowo się uspokajał. - Bóg plemienny z Synaju w czasie wyjścia z Egiptu, ale mógł się ujawnić znacznie wcześniej. W przeciwieństwie do innych bogów, którzy kusili Izraelitów, bardzo często interweniował, i to z pozytywnym skutkiem dla jego czcicieli. Był w stanie zmienić wydarzenia na ich korzyść. Wiódł ich do bitwy i podczas ucieczki i dał im dziesięcioro przykazań.

- I uratował ich przed powodzią. - Te słowa wypowiedział Costas, który niespodziewanie zaczął cytować z Księgi Rodzaju: - „Zatem rzekł Bóg do Noego: Ten ci jest znak przymierza, którym postanowił między mną i między wszelkim ciałem, które jest na ziemi. A byli synowie Noego, którzy wyszli z korabia. Sem i Cham, i Jafet; a Cham jest ojcem Chanaan. Ci trzej są synowie Noego, przez które się napełniła ludem wszystka ziemia”.

Jack pokiwał głową. Gdy się odezwał, w jego oku błysnęła iskierka objawienia.

- Oczywiście. Bóg żydowski sprawił, że ziemia została zalana, a potem objawił przymierze, zawieszając tęczę. Jest tak, jak myśleliśmy. Budowa arki, wybór par zwierząt do hodowli, rozproszenie się potomków Noego po całej ziemi. Starożytne mity o potopie mówią nie tylko o wylaniu rzek i wielkim

topnieniu z końca epoki lodowcowej. Mówią także o innym kataklizmie, o potopie z VI tysiąclecia przed naszą erą, który pochłonął pierwsze miasto na świecie i zniszczył rozwiniętą cywilizację, której przez kilka następnych tysiącleci nic nie było w stanie dorównać. W końcu Platon nie jest jedynym źródłem opowieści o Atlantydzie. Przez cały czas patrzyła na nas, zakodowana w największym dziele literackim świata.

32

Po dokładnym obejrzeniu świętego miejsca wrócili do głównej komory i zebrali się po jej drugiej stronie wokół tajemniczej metalowej kuli. Dillen, który wyszedł ostatni, wziął ze stołu dłuto.

- To brąz - powiedział. - Stop miedzi z cyną wyprodukowany jakiś czas przed opuszczeniem tego pomieszczenia, czyli w połowie szóstego tysiąclecia przed naszą erą. Nadzwyczajne odkrycie. Do dzisiaj każdy archeolog powiedziałby, że brąz wytopiono po raz pierwszy około połowy czwartego tysiąclecia przed naszą erą, prawdopodobnie w Anatolii, a rozpowszechnił się dopiero w następnym.

Odłożył dłuto i oparł dłonie na stole.

Pytanie brzmi: dlaczego brąz po powodzi na Morzu Czarnym pojawia się ponownie tak późno?

- Prawdopodobnie cywilizacja Atlantydy rozwijała się w izolacji - zasugerował Costas. - I znacznie szybciej niż gdzie indziej.

Jack pokiwał głową i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- We właściwym czasie i korzystnych okolicznościach można osiągnąć fenomenalne postępy. Kiedy dziesięć tysięcy lat temu skończyła się epoka lodowcowa, okolice na południe od Morza Czarnego obfitowały w florę i faunę. Ponieważ Bosfor był zablokowany, wielkie topnienie wywarło tylko ograniczony skutek. Gleba wokół wulkanu była niezwykle żyzna, morze kipiało od ryb, a na lądzie roilo się od turów, zwierzyny płowej i dzików. Dodajmy

do tego surowce naturalne, o których wiemy: drewno z górskich lasów, sól z nabrzeżnych solanek, kamień wulkaniczny, złoto, miedź i prawdopodobnie cyna. Była to kraina obfitości, jakby jakaś siła skupiła w jednym miejscu wszystkie składniki niezbędne do dobrego życia.

Costas patrzył w zamyśleniu na figurę bogini-matki.

- A zatem powiedział - grupa łowców i zbieraczy przeniosła się w tę okolicę około czterdziestu tysięcy lat temu. Odkryli labirynt wewnątrz wulkanu. Malowidła zwierząt z hali przodków są ich autorstwa, a ta komora była ich świętym miejscem. Pod koniec epoki lodowcowej zostali rolnikami.

- Prawie dobrze - rzekł Jack. - Tyle, że rolnictwo powstało prawdopodobnie jednocześnie na całym Bliskim Wschodzie i błyskawicznie się rozpowszechniło. Zaawansowane osiedla neolityczne istniały wszędzie już w dziesiątym tysiącleciu przed naszą erą. Najśłynniejsze z nich to Jerycho w Palestynie i Catal Huyuk w południowej Anatolii. Te dwa miejsca są najbliższe naszej podwodnej neolitycznej wiosce niedaleko Trabzonu.

- Rozumiem. - Costas skinął głową. Więc tak jak ludzie z wioski w Anatolii mieszkańcy Atlantydy wykuwali miedź, ale dokonali wielkiego skoku naprzód i nauczyli się wytapiać ten metal oraz sporządzać z niego stopy. Tak jak mieszkańcy Jerycha tworzyli monumentalną architekturę, ale zamiast murów i wież budowali areny, drogi procesyjne i piramidy. Na początku ósmego tysiąclecia przed naszą erą zaczęło się dziać coś niewiarygodnego. Osada rybaków i rolników przekształciła się w metropolię liczącą pięćdziesiąt, może sto tysięcy mieszkańców. Mieli własne pismo, ośrodek religijny porównywalny ze średniowiecznym klasztorem, publiczne areny, które wzbudziłyby zachwyty Rzymian, skomplikowany system doprowadzania wody pitnej. To naprawdę niewiarygodne.

- I nic podobnego nie zdarzyło się gdziekolwiek indziej dodał Jack. Catal Huyuk zostało opuszczone pod koniec szóstego tysiąclecia przed naszą erą i nigdy nie zasiedlono go ponownie. Jerycho przetrwało, ale jego słynne mury z czasów biblijnych były bladym cieniem ich neolitycznego poprzednika. Kiedy mieszkańcy Atlantydy budowali piramidy, większość Bliskiego Wschodu uczyła się garncarstwa.

- A brąz musiał ułatwić tak wspaniały rozwój. Mustafa pochylił się nad stołem. Pomyślcie o zastosowaniach twardych, ostrych narzędzi, które można było ukształtować praktycznie dowolnie, a potem przetopić i używać ponownie. Bez toporków i dłut żadna arka nie zesłaby z deski kreślarskiej. Narzędzia z brązu były niezwykle przydatne w kamieniarstwie i rolnictwie.

Okucia pługów, widły, motyki, łopaty i sierpy. Brąz stał się bodźcem drugiej rewolucji w rolnictwie.

- W Mezopotamii, współczesnym Iraku, zapoczątkował także pierwszy na świecie wyścig zbrojeń - zauważył Hiebermeyer, przecierając okulary.

- Trafna uwaga - powiedział Dillen. - Wojna występowała endemicznie we wczesnych państwach Mezopotamii i Lewantu, częściej jako wynik chciwości moźnych niż z autentycznej potrzeby walki o surowce. To niebezpieczne nowoczesne kłamstwo, że wyścig zbrojeń stymuluje postęp technologiczny. Korzyści z postępów w dziedzinie inżynierii i nauki są znacznie mniejsze niż szkody wynikające z wykorzystywania ludzkiej wynalazczości do obmyślania metod zniszczenia. Być może mając całkowitą kontrolę nad produkcją i wykorzystaniem brązu, kapłani Atlantydy byli w stanie zapobiec używaniu go do wytwarzania broni.

- Wyobraźcie sobie pokojowe społeczeństwo posiadające brąz w obfitości, i to wkrótce po epoce lodowcowej powiedział Hiebermeyer. To przyspieszyłoby rozwój cywilizacji jak nic innego.

- Skoro mieszkańcy Atlantydy byli jedynymi, którzy nauczyli się wytwarzać brąz, to czy ta wiedza zaginęła wraz z potopem i zalaniem ich miasta? - spytał Costas.

- Nie zaginęła, ale była utrzymywana w tajemnicy - odparł Dillen. - Musimy wrócić do Amenhotepa, egipskiego arcykapłana ze skryptorium świątynnego w Sais. Uważam, że był kustoszem tej wiedzy, jednym z ogniw nieprzerwanej tradycji sięgającej pięć tysięcy lat wstecz, do czasów Atlantydy. Pierwsi kapłani w Sais byli ostatnimi kapłanami Atlantydy, potomkami mężczyzn i kobiet, którzy uciekli z tej właśnie komory i wyruszyli w niebezpieczną podróż na zachód od Bosforu. Ich rola polegała na regulowaniu zachowań ludzkich wedle interpretowanej przez nich woli bogów. Osiągnęli to nie tylko poprzez wprowadzenie kodeksu etycznego, ale także czyniąc siebie strażnikami wiedzy. Również tej, o której wiedzieli, że może się stać źródłem zniszczenia. Przypuszczam, że kiedy Atlantyda znikła, przekazywali tajemnicę produkcji brązu z pokolenia na pokolenie, z mistrza na czeladnika, z nauczyciela na ucznia. Dillen wskazał tablice połyskujące na ścianach. - Tu znajduje się skarbnica wiedzy kapłanów Atlantydy. Część tej wiedzy była dostępna dla wszystkich, jak choćby podstawy rolnictwa. Część była wyłączną domeną kapłanów. Na przykład wiedza medyczna. Wskazał na nieprzetłumaczone tablice po lewej stronie. Może w tych inskrypcjach zawarta jest starożytna wiedza, którą arcykapłani zachowywali wyłącznie dla siebie, i ujawniali tylko w czasie wyznaczonym przez bogów.

- Ale podstawy technologii wytwarzania brązu mogły być wiedzą powszechną, dostępną dla wszystkich - stwierdził Costas.

- Niekoniecznie. - Jack podszedł do kuli. - Kiedy płynąłem w ADSA nad wschodnią dzielnicą miasta, widziałem miejsca, gdzie obrabiano drewno, podwórce kamieniarzy, wytwórnie ceramiki, piece do suszenia ziarna i pieczenia chleba. Ale nie było pieców do wytapiania metalu ani kuźni. Spojrzał pytająco na Mustafę, którego doktorat opierał się na tezie, że w Azji Mniejszej metalurgia rozwinęła się stosunkowo wcześniej.

- Przez długi czas sądzono, że cyna używana w epoce brązu pochodziła z Azji Środkowej - powiedział Mustafa. - Ale analiza narzędzi wykazała, że kopalnie cyny istniały również w południowo-wschodniej Anatolii. Teraz, jak mi się zdaje, patrzmy na kolejne źródło tego surowca. Nie domyśliłoby się jego istnienia przed dokonaniem tego odkrycia.

Jack przytaknął skinieniem głowy.

- Wytapianie i kucie metalu to nie jest działalność, którą można prowadzić we własnym gospodarstwie ciągnął Mustafa. - Jack ma rację. Społeczności tych rozmiarów potrzebny byłby zakład metalurgiczny położony z dala od dzielnic mieszkalnych. Najlepiej w miejscu, gdzie ruda pochodziłaby z naturalnego źródła.

- Jasne! - krzyknął Costas. - Wulkan! Minerale wyrzucone podczas erupcji musiały zawierać rudę cyny. Ten plaster miodu złożony z chodników to była kopalnia. Chodniki szły za żyłami kruszcu, sięgając głęboko we wnętrza góry.

- A skoro góra była miejscem świętym - dodał Dillen - kapłani mogli kontrolować nie tylko dostęp do środków produkcji brązu, ale także do jego istotnego składnika. Mogli też wznieść inne ograniczenie: mur pobożności. Istotą kapłaństwa jest rozumienie prawd leżących poza zasięgiem laików. Uświęcając brąz, byli w stanie podnieść metalurgię do rangi sztuki.

Jack spojrział na stół.

- Stoimy na katakumbach starożytnej technologii - powiedział. W kuźni zasługującej na ogień samego Hefajstosa.

- Więc co właściwie stało się w czasie ucieczki znad Morza Czarnego? spytał Costas.

- Teraz dochodzimy do sedna sprawy - odparł Dillen. Kiedy wody przelały się przez Bosfor, ludzie zrozumieli, że koniec jest bliski. Nawet kapłani nie potrafili wyjaśnić, dlaczego poziom morza nieustannie się podnosi, a był to fenomen równie nadnaturalny jak grzmoty wydawane przez wulkan. - Zaczął się przechadzać. Gestykułując, rzucał dziwne cienie na ściany. - Żeby ułagodzić

bogów, uciekli się do ofiar błagalnych. Może zaprowadzili wielkiego byka drogą procesyjną w górę i zabili go na ołtarzu. A kiedy to zawiodło, może zwrócili się ku ofierze ostatecznej - z człowieka. Zabijali ofiary w komorze pogrzebowej i rzucali ciała w serce wulkanu. A potem... - Przerwał i podniósł wzrok. - Potem to się stało. Nagły wypływ magmy, któremu towarzyszyła gwałtowna burza z opadami deszczu. Takie połączenie dałoby niezwykle pióropusz pary, a potem wspaniałą tęczę. To był ten długo oczekiwany znak. Na ścianie wyryto w pośpiechu ostatnie symbole - Jahwe ich nie opuścił. Nadal mieli nadzieję. To ich przekonało, że lepiej odejść, niż czekać na zgnębienie.

- I wtedy wyruszyli w łodziach - powiedział Costas.

- Jedni wybrali drogę na wyżej położone łądy na wschód w stronę Kaukazu i na południe, przez równiny zalewowe, w stronę Mezopotamii i doliny Indusu. Inni powiosłowali na zachód, do ujścia Dunaju. Niektórzy z nich dotarli w końcu do wybrzeży Atlantyku. Ale największa grupa przeszła wokół Bosforu nad Morze Śródziemne. Osiedlili się w Grecji, w Egipcie i w Levancie. Niektórzy dotarli nawet do Italii i Hiszpanii.

- Co zabrali ze sobą? - spytał Efram.

- Przypomnijcie sobie arkę Noego - odparł Dillen. - Pary rozplodowe zwierząt domowych. Bydło, świnie, owce, kozy. I kosze z nasionami. Pszenica, jęczmień, groch, nawet drzewa oliwne i winorośl. Ale była jedna bardzo ważna rzecz, którą zostawili.

Costas popatrzył na niego.

- Brąz?

Dillen skinął głową.

- To jedyne sensowne wyjaśnienie nieobecności brązu w rejestrach archeologicznych obejmujących następne dwa tysiąclecia. Znalazłoby się miejsce w łodziach na potrzebne narzędzia, ale myślę, że kapłani zakazali tego. Może był to ostatni akt pojednania, ofiara, która miała strzec uciekinierów z Atlantydy podczas wyprawy w nieznaną. Może nawet wyrzucili narzędzia do morza, jako ofiarę dla siły, która zniszczyła ich miasto.

- Ale kapłani zabrali ze sobą wiedzę metalurgiczną - powiedział Costas.

- W rzeczy samej. Uważam, że kapłani zawarli przymierze z bogami. Kiedy omen dał im nadzieję na ucieczkę, zasiedli do pracy i skopiowali słowa świętych tekstów, przepisując je na arkusze z kutego złota. Wiemy, że ich mądrość obejmowała podstawy rolnictwa i hodowli, kamieniarstwa i czegoś więcej, co odkryjemy, kiedy tłumaczenie będzie gotowe. - Popatrzył na Katię. - Wszystkie zestawy tablic zostały spakowane do drewnianych pudeł i powierzone arcykapłanom, którzy towarzyszyli każdej z odpływających flotylli.

- Jedna grupa miała niekompletny zestaw - wtrącił Jack. - Ten niedokończony złoty arkusz przed nami zostawiono w trakcie kopiowania czwartej tablicy.

Dillen pokiwał głową.

- Uważam, że jedna z grup była liczniejsza od pozostałych. Było w niej najwięcej kapłanów. Wysyłając kopie świętych tekstów z każdą grupą, kapłani mieli gwarancję, że ich wiedza przetrwa, cokolwiek stanie się z główną flotyllą. Ale ich zamiarem było znalezienie nowej świętej góry, nowej Atlantydy.

- Chce pan powiedzieć, że ich potomkowie nie korzystali z tej wiedzy przez kolejne dwa tysiąclecia? - zdziwił się Costas.

- Pomyślcie o kapłanach z Sais - odparł Dillen. - Przez całe pokolenia ukrywali wiedzę o Atlantydzie, cywilizacji, która zaginęła tysiące lat przed wstąpieniem na tron pierwszego faraona. O ile wiemy, Solon był pierwszym cudzoziemcem, którego dopuścili do tej tajemnicy.

- A kapłani mieli wiele do zaoferowania poza wiedzą na temat metalurgii - powiedział Jack. - Mogli korzystać z wiedzy astronomicznej, żeby określać najkorzystniejsze pory siewu i żniw. W Egipcie mogli przewidywać coroczne wylewy Nilu, które uważano za cud wymagający boskiej interwencji. Tak samo było w innych kolebkach cywilizacji, gdzie rzeki zalewały ląd: nad Tygrysem i Eufratem w Mezopotamii i w dolinie Indusu w Pakistanie.

- Nie zapominajmy o czymś, co mogło być znacznie bardziej bezpośrednią spuścizną czasów, kiedy w Atlantydzie wytapiano brąz - dodał Mustafa.

- W szóstym i piątym tysiącleciu przed naszą erą rzemieślnicy pracujący w krzemieniu i polerowanym kamieniu osiągnęli szczyt swoich umiejętności, wytwarzając wspaniałe noże i sierpy. Niektóre z nich tak bardzo przypominają formy metalowe, że być może wytwarzano je, mając w pamięci narzędzia z brązu. W Warnie na bułgarskim brzegu Morza Czarnego znaleziono cmentarzysko obfitujące w olśniewające ozdoby ze złota i miedzi. Stanowisko datowane jest na połowę piątego tysiąclecia przed naszą erą, więc pierwszymi osadnikami mogli tam być mieszkańcy Atlantydy.

- Nie powinniśmy też zapominać o językach - powiedziała Katia. - Największym darem mieszkańców Atlantydy mógł być język indoeuropejski spisany na tych tablicach. To oni posługiwali się mową, od której pochodzą pierwsze pisane języki starego świata. Greka. Łacina. Języki słowiańskie. Perski. Sanskryt. Języki germańskie i wywodzący się z nich staroangielski. Rozwinięte słownictwo i zaawansowana składnia języka mieszkańców Atlantydy przyspieszyły rozprzestrzenianie się abstrakcyjnych idei dotyczących

nie tylko religii i astronomii, ale i bardziej przyziemnych spraw. Słownictwo związane z rolnictwem i hodowlą jest wspólne dla języków indoeuropejskich.

- Te abstrakcyjne idee obejmują monoteizm, cześć dla jednego Boga. - Głos Eframa Jacobovicha drżał z emocji. - Żydowska tradycja głosi, że opowieści starotestamentowe odwołują się do wydarzeń z późnej epoki brązu i wczesnej epoki żelaza, czyli z drugiego i początku pierwszego tysiąclecia przed naszą erą. Teraz okazuje się, że sięgają wydarzeń znacznie starszych. Potop znad Morza Czarnego i Noe. Złote tablice i Arka Przymierza. Dowody na składanie ofiar, nawet ofiar z ludzi, jako dowód na skrajne oddanie Bogu przywodzą na myśl historię Abrahama i jego syna Izaaka na górze Moria. Za dużo tego, żeby to był zwykły zbieg okoliczności.

- Wiele z tego, co uważaliśmy za prawdę, trzeba będzie zrewidować i napisać od nowa - powiedział Dillen. - Kilka ważnych odkryć doprowadziło do tego najważniejszego. Papirus znaleziony na pustyni. Wrak minojski i złoty dysk z cenną konkordancją symboli. Tłumaczenie glinianego dysku z Fajstos. - Patrzył kolejno na Aiszę i Hiebermeyera, Costasa, Jacka i Katię, podkreślając wkład każdego z nich w odkrycie. - Wszystkie te znaleziska łączył jeden wątek, coś, co początkowo odrzuciłem jako zwykły zbieg okoliczności.

- Minojska Kreta - domyślił się Jack.

Dillen pokiwał głową.

- Przekręcona wersja opowieści o Atlantydzie przekazana przez Platona wydaje się odnosić do Minojczyków epoki brązu, do ich zniknięcia po erupcji na Thirze. Ale fragment papirusu, który zachował się do naszych czasów, dowodzi, że Solon opisał dwa różne wydarzenia. Jedna relacja rzeczywiście dotyczy kataklizmu na Morzu Egejskim w połowie drugiego tysiąclecia przed naszą erą, ale druga opisuje zniknięcie Atlantydy w Morzu Czarnym cztery tysiące lat wcześniej.

- Oba wydarzenia nie miały ze sobą nic wspólnego - wtrącił Costas.

Dillen pokiwał głową.

- Uznałem, że Amenhotep uraczył Solona opowieścią o wielkich katastrofach naturalnych z przeszłości, dał mu listę cywilizacji, które zginęły w wyniku powodzi i trzęsień ziemi. To musiało odpowiadać greckiemu upodobaniu do dramatycznych wydarzeń. Sto lat później egipski kapłan opowiedział Herodotowi rozmaite historie o dziwnych wydarzeniach w odległych krajach. Niektóre z nich były całkowicie zmyślane. Teraz trzeba założyć, że Amenhotep kierował się wyższą racją.

Costas wyglądał na zdziwionego.

- Myślałem, że jedynym powodem, dla którego kapłani interesowali się Solonem, było jego złoto. Inaczej nigdy nie zdradziliby swoich tajemnic, zwłaszcza cudzoziemcowi.

- Sądzę, że to tylko część prawdy. Amenhotep zapewne przeczuwał, że dni Egiptu faraonów są policzone i tajemnice przekazywane przez jego poprzedników z pokolenia na pokolenie nie będą bezpieczne. Grecy już wtedy zakładali faktorie handlowe w delcie, a zaledwie dwieście lat później Aleksander Wielki przeleciał jak burza przez egipską ziemię i zmiotł na zawsze stary porządek. Ale Amenhotep mógł patrzeć na Greków także z nadzieją. Ich społeczeństwo zmierzało do demokracji, pragnęło zaspokoić ciekawość świata. Tam filozofowie naprawdę mogli być królami. W greckim świecie ludzie mogli ponownie odkryć utopię.

- A widok uczonego, który przyszedł jako suplikant, mógł rozbudzić wspomnienia o bajecznym lądzie za północnym horyzontem, o wyspiarskiej cywilizacji, której legenda stanowiła największą nadzieję na odnowę kapłaństwa. - Oczy Jacka rozbłysły. Ja też uważam, że Amenhotep był jednym z ostatnich kapłanów Atlantydy, bezpośrednim potomkiem świętych mężów, którzy pięć tysięcy lat wcześniej doprowadzili grupy uchodźców do egipskiego brzegu i stali się przeznaczeniem tej ziemi. Kapłani, patriarchowie, prorocy, nazwijcie ich, jak chcecie. Inne grupy wylądowały w Lewancie, w zachodniej Italii, gdzie stały się przodkami Etrusków i Rzymian, oraz w południowej Hiszpanii, gdzie rozkwitło Tartessos. Ale uważam, że największa flotylla dotarła nie dalej niż do Morza Egejskiego.

Thira! - wykrzyknął Costas.

Jack skinął głową.

- Przed wybuchem na Thirze był największy wulkan na całym Morzu Egejskim. Ogromny stożek dominujący nad archipelagiem przypominał uciekinierom utraconą ojczyznę. Najnowsze rekonstrukcje wskazują, że wulkan na Thirze miał dwa bliźniacze szczyty. Widok był podobny do tego, jaki my mieliśmy z „Seaquesta”.

Chcesz powiedzieć, że ten klasztor, który odsłonił się na urwiskach Thiry po trzęsieniu ziemi w ubiegłym roku, zbudowali Atlantydzi? spytał Costas.

- Od czasu odkrycia w 1967 roku prehistorycznego Akrotiri archeolodzy zastanawiali się, dlaczego tak duże osiedle nie miało pałacu - powiedział Jack. - Ubiegłoroczne odkrycie dowodzi tego, o czym niektórzy z nas myśleli już dawno: że ośrodkiem wyspy był krąg religijny, który obejmował

wspaniałe sanktuarium na szczycie góry. Nasz wrak to potwierdza. W jego łacunku znajdowały się przybory ceremonialne i święte przedmioty, które ukazują, że kapłani dysponowali królewskimi bogactwami.

- Przecież ten wrak pochodzi z epoki brązu, o wiele późniejszej niż exodus nad Morza Czarne - odparł Costas.

- Samo Akrotiri powstało w epoce brązu jako nadmorskie emporium handlowe, ale na całej wyspie znajdujemy ceramikę neolityczną i kamienne narzędzia. Najwcześniejsze osiedle leżało prawdopodobnie w głębi wyspy, na stoku. Było to korzystniejsze położenie w czasach częstych napadów z morza.

- Jak datowany jest ten klasztor? - spytał Costas.

- Pochodzi z piątego albo szóstego tysiąclecia przed naszą erą. Widzisz, jak wszystko dobrze do siebie pasuje. Prawdopodobnie nie tylko złoty dysk, ale wiele innych świętych przedmiotów z wraku okaże się znacznie starszych. Była to otoczona czcią spuścizna sprzed tysięcy lat, sprzed epoki brązu.

- Jak do tego pasuje minojska Kreta

- Kiedy myślimy o starożytnym świecie przed Grekami i Rzymianami, wymieniamy Egipcjan albo Asyryjczyków i inne ludy Bliskiego Wschodu wzmiankowane w Biblii. Ale pod wieloma względami najwspanialsza była cywilizacja, która rozwinęła się na Krecie. Co z tego, że nie budowali piramid i zikkuratów, skoro wszystko inne wskazuje, że była to unikatowo bogata kultura, cudownie twórcza i doskonale dostosowana do zasobności krajiny. - Jack wyczuwał wzrastające napięcie, kiedy słuchacze zaczęli układać sobie w głowach wszystko, czego dowiedzieli się od czasu konferencji w Aleksandrii. - Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale z miejsca, w którym jesteśmy, Atlantydzi zarządzili rozległą równiną rozciągającą się od starożytnej linii brzegowej po wzgórza Anatolii. Thira też jest niezwykle żyzna, ale za mała, żeby utrzymać populację podobnych rozmiarów. Kapłani popatrzyli więc na południe, na pierwszy ląd, który musiał wyglądać w ich oczach jak nowy kontynent.

- Kreta została skolonizowana po raz pierwszy w neolicie - dodał Hiebertmeyer. - O ile pamiętam, najstarsze artefakty wydobyte spod ruin pałacu w Knossos są datowane na siódme tysiąclecie przed naszą erą.

- Czyli tysiąc lat przed zagładą Atlantydy. Była to część wielkiej fali osadnictwa na wyspach, przypadającej na koniec epoki lodowcowej - powiedział Jack. - Druga fala osadników przybyła W szóstym tysiącleciu, przywożąc ze sobą garncarstwo i nowe idee z dziedziny architektury i religii. - Przerwał, żeby uporządkować myśli.

- Uważam, że byli to Atlantydzi, którzy przyплыли z Thiry. W dolinach wzdłuż północnego brzegu Kreta uprawiali winorośl i drzewa oliwne, hodowali owce i bydło, które przyплыło z nimi. Używali obsydianu z wyspy Melos i kontrolowali jego handel oraz wydobycie, tak jak kapłani z Atlantydy kontrolowali produkcję brązu. Przez ponad dwa tysiące lat kapłani rządili wyspą. Dzięki sieci sanktuariów na szczytach gór sprawowali dobroczynne przywództwo, a osadnicy stopniowo zakładali wsie i miasta i bogacili się wraz z rozwojem rolnictwa.

- Jak wytłumaczysz fakt, że brąz pojawił się mniej więcej jednocześnie na całym Bliskim Wschodzie w trzecim tysiącleciu przed naszą erą? zapytał Costas.

Odpowiedział mu Mustafa.

- Cyna zaczęła docierać na obszar śródziemnomorski ze wschodu. To umożliwiło eksperymenty ze stopami w całym regionie.

A ja uważam, że kapłani ugięli się przed nieuchronną perspektywą i postanowili ujawnić największy sekret dodał Jack. - Tak jak średniowieczni mnisi i celtyccy druidzi byli oni arbitrami w kwestiach kultury i sprawiedliwości, emisariuszami i pośrednikami, którzy łączyli rozwijające się nacje epoki brązu i gdy mogli, utrzymywali pokój. Zadbali, żeby spuścizna Atlantydy stała się powszechna w kulturze regionu, łącznie z tak wspaniałymi jej osiągnięciami, jak pałace na Krecie i Bliskim Wschodzie.

- Sądząc z tego, co znajdujemy na wrakach, zajmowali się handlem powiedział Mustafa.

- Zanim odkryliśmy nasz wrak, we wschodnim basenie Morza Śródziemnego znaleziono trzy wraki z epoki brązu. Żaden nie był minojski, pochodziły z późniejszego okresu - kontynuował Jack. - Znaleźiska sugerują, że to kapłani kontrolowali zyskowny handel metalem i to oni, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, towarzyszyli ładunkom podczas długich wypraw. Uważam, że kapłani odślepnili cuda technologii brązu równocześnie w całym regionie, ale najsumienniej podeszli do tego na Krecie, gdzie powstały odpowiednie warunki do powtórzenia wielkiego eksperymentu.

- A potem przyszedł efekt pomnożenia - podjęła Katia. - Narzędzia z brązu przyspieszyły drugą rewolucję w rolnictwie. Z wiosek zrobiły się miasta, miasta zrodziły pałace. Kapłani wprowadzili pismo linearne A, żeby ułatwić spisywanie relacji i administrację. Na minojskiej Krecie wyrosła najwspanialsza cywilizacja na Morzu Śródziemnym, a jej potęga nic opierała się na sile wojska, ale na sukcesie gospodarczym i wielkości kultury. - Popatrzyła na Jacka, a ten pokiwał głową. - Miałeś rację. Kreta jest Platońską Atlantydą.

Tyle że była to nowa Atlantyda, drugi wielki projekt realizujący odwieczne marzenie o raję na ziemi.

- Szczyt rozwoju osiągnęła minojska Kreta przed połową drugiego tysiąclecia przed naszą erą - powiedział Dillen. - Tak właśnie została opisana w papirusie Solona. Wybuch na Thirze wstrząsnął fundamentami tego świata.

- Był większy niż wybuch Wezuwiusza i Góry Świętej Heleny razem wzięte - dodał Costas. - Czterdzieci kilometrów sześciennych materii i fala płytowa wystarczająco wysoka, żeby zatopić Manhattan.

- Ten kataklizm objął znacznie szerszy region, nie tylko ziemie Minojców. Kiedy wyginał prawie cały stan kapłański, gmach epoki brązu zaczął się kruszyć. Zamożny i bezpieczny świat pogrążył się w anarchii, chaosie i konfliktach wewnętrznych. Nie był w stanie odeprzeć najeźdźców z północy.

- Ale niektórym kapłanom udało się ujsć z życiem - wtrącił Costas. - Pasażerowie z naszego wraku zginęli, ale innym się udało, tym, którzy wypłynęli wcześniej.

- W rzeczy samej rzekł Dillen. Podobnie jak mieszkańcy Akrotiri, kapłani z klasztoru nie zbagatelizowali ostrzeżenia, prawdopodobnie gwałtownego trzęsienia ziemi, które wstrząsnęło wyspą jakieś dwa tygodnie przed kataklizmem. Sądę, że większość kapłanów zginęła na waszej łodzi, ale inni dotarli do bezpiecznego portu w swoim seminarium w Fajstos na południowym brzegu Krety, a nieliczni popłynęli dalej, żeby dołączyć do swoich braci w Egipcie i na Bliskim Wschodzie.

- I nie było już kolejnych prób ożywienia Atlantydy, żadnych eksperymentów z utopią - powiedział Costas.

Tymczasem na świat epoki brązu kładły się już cienie - podjął Dillen. Na północnym wschodzie Hetyci panoszyli się w swojej anatolijskiej twierdzy Boghazkoy. Zbierała się burza, która miała dotrzeć aż do bram Egiptu. Na Krecie Minojczycy, którzy przetrwali kataklizm, byli zbyt słabi, żeby oprzeć się mykeńskim wojownikom, którzy przybyli z Grecji kontynentalnej. Byli to przodkowie Agamemnona i Menelaosa, których tytaniczna walka ze Wschodem została unieśmiertelniona przez Homera. - Przerwał i popatrzył na słuchaczy. - Kapłani wiedzieli, że nie dysponują już potęgą, która umożliwiałaby im kształtowanie losów świata. Nadmierne ambicje wzbudziły gniew bogów, ponownie prowokując niebiańską zemstę, która zniszczyła już ich pierwszą ojczyznę. Wybuch na Thirze musiał być przyjęty jako apokalipsa. Od tej pory kapłani nie będą odgrywać aktywnej roli w ludzkich sprawach, lecz

zanikną się w swoich świątyniach i okryją swoją spuściznę całunem tajemnicy. Wkrótce minojska Kreta, tak jak wcześniej Atlantyda, stała się tylko mglistym pamiętanym rajem, przypowieścią o pysze człowieka wobec bogów, historią, która przeszła do królestwa mitów i została zamknięta na zawsze w mantrach ostatnich kapłanów.

- W świątynnym sanktuarium w Sais - dodał Costas.

Dillen pokiwał głową.

- Cywilizacja egipska jako jedyna znad Morza Śródziemnego przetrwała zniszczenia z końca epoki brązu. Tylko tam kapłani mogli mówić o nieprzerwanej ciągłości przez tysiące lat wstecz, aż do Atlantydy. Uważam, że Amenhotep był ostatnim z linii. Jedynym, który przetrwał do świtu epoki klasycznej. A i ta skazana była na zagładę dwa wieki później, kiedy przybył Aleksander Wielki.

- A jednak spuścizna przetrwała - zauważył Jack. - Amenhotep przekazał pochodnię Solonowi, człowiekowi, którego wykształcenie i kultura niosły obietnicę, że ideały Atlantydy zostaną pewnego dnia wskrzeszone. - Przerwał i ciągnął dalej cichym głosem, ledwie tłumiąc emocje: - Teraz ten święty obowiązek spadł na nas. Po raz pierwszy od starożytności spuścizna Atlantydy została objawiona przed ludzkością.

Wyszli z komory i ruszyli po schodach w stronę światła na dnie tunelu. Figury kapłanów i kapłanek po obu stronach zdawały się podążać obok nich w uroczystej procesji ku świętemu świątyni.

33

Na końcu korytarza powstało jakieś zamieszanie. W ich stronę biegł Ben z dwoma marynarzami z „Seaquesta”.

- Musicie natychmiast wyjść. Chyba mamy intruza.

Jack rzucił szybkie spojrzenie Costasowi i obaj ruszyli za marynarzami.

- Jakie jest nasze położenie? - spytał Jack.

- Niezidentyfikowany samolot leci na niskim pułapie w naszą stronę. Radar wychwycił go pięć minut temu. Nie odpowiada na żadne sygnały. Jest szybki. Prędkość poddźwiękowa.

- Namiar?

- Trajektoria sto czterdzieści stopni. Południowo południowy zachód.

Dotarli do hali audiencyjnej, a stamtąd skierowali się do wyjścia po drugiej stronie. Chociaż szli tuż przy ścianie, czuli gorąco dobywające się z komina pośrodku. Kiedy byli w tunelu, nastąpiło wzmożenie aktywności wulkanicznej.

- Wygląda na to, że coś zaczyna się dziać.

- I to niejedno.

Jack skinął na pozostałych i poczekał chwilę, aż Hiebermeyer i Dillen dołączą do reszty. W tunelu zajął miejsce na końcu grupy. Fala gorącego gazu przeszła obok nich. Przywarli do ściany.

- W jądrze burzy się magma. - Costas podniósł głos, bo z komory, którą właśnie opuścili, dochodził coraz głośniejszy ryk. - To jedno z wydarzeń, które Atlanci zapisywali w kalendarzu. Możliwe, że wypłynęło trochę lawy.

- Ze względu na intruza Tom York nakazał już ewakuację! - krzyknął Ben.

- To dla waszego bezpieczeństwa.

- Idziemy z tobą.

Poszli za Benem w stronę tymczasowego lądowiska helikopterów. Ostatni seahawk zajął już pozycję nad brzegiem i na wyspie został tylko lynx z „Sea Venture”. Rotory już się kręciły, a w bocznych drzwiach stanęli dwaj marynarze, żeby im pomóc wejść na pokład.

- To wojskowy odrzutowiec. - Ben biegnąc, przyciskał słuchawki do uszu ze względu na wzrastający hałas. - Jeszcze takiego nie widzieli. Rosyjski kapitan kutra sądzi, że to harrier.

Jack, który pomagał Dillenowi, nagle poczuł mdlącą falę pewności.

Odporne na wybuch hangary Asłana. Olga Iwanowna Borcewa.

- Uważają, że zmierza w stronę łodzi podwodnej. Namierzili go i nie będą ryzykować. Strzelają.

Jack wskoczył do helikoptera i zobaczył smugi dwóch pocisków wystrzelonych z kutra stojącego najbliżej „Kazbeka”. Kiedy szukały celu, na horyzoncie nad falami ukazała się czarna kropka.

- Jazda! - ryknął Jack. - Leci na nas!

Gdy pilot oderwał helikopter od ziemi, zobaczyli, jak samolot pędzi nad okrętem podwodnym, a za nim śmigają dwa pociski. Jack odwrócił się w stronę otwartych drzwi w samą porę, by dostrzec, jak pociski trafiają w cel i od-

rywają ogon hamera. Śmigłowiec wzniósł się z oszałamiającą prędkością, a wrak samolotu przeleciał pod nim. Przez chwilę było widać postać w hełmie siedzącą w kokpicie, a potem wybuch ogarnął dolną część kadłuba. Zanim zdolali się zorientować, co się dzieje, fala uderzeniowa rzuciła helikopterem do góry, niemal wyrzucając Jacka i jednego z marynarzy przez drzwi.

Płonący harrier z siłą komety uderzył w ścianę urwiska. Samolot zmierzał prosto ku wejściu do wulkanu i jego szczątki dotarły aż do hali audiencyjnej. Zostały wessane do paszczy wulkanu. W jednej chwili ogień i hałas zniknęły.

- Będzie wybuchać! - ryknął Costas.

Patrzyli z przerażeniem na scenę, która rozgrywała się pod nimi. Sekundy po uderzeniu rozległ się potężny ryk i z wejścia, jak z dopalacza, buchnął jezior ognia. Uderzenie harriera sprasowało i zapaliło gazy, które zebrały się w hali audiencyjnej. Stożek wulkanu zdawał się rozmazany i wtedy dotarł do nich huk potężnej detonacji. Tam, gdzie wcześniej był słup pary, wystrzelił na setki metrów gejzer ognia.

Z brzegów skłębionej chmury pyłu przesłaniającej zapadający się stożek wyłonił się pierścień ognia, języki płynnej magmy zaczęły się toczyć po zboczach w stronę morza.

Atlantyda po raz ostatni ujawniła swoje tajemnice.

EPILOG

Ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały ciepły poblask na fale uderzające o rufę „Sea Venture”. Na wschodzie morze łączyło się z niebem w krwawej mgiele, a na zachodzie tonąca w falach kula zostawiała za sobą zbiegające się pasma światła. Po wybuchu wszystko było skąpane w pastelowych barwach, a sylwetkę wulkanu, przysłoniętą wirami pyłu i pary, otaczało różowopomarańczowe halo.

Jack i inni siedzieli na górnym pokładzie i patrzyli na scenię, w której rozgrywały się wydarzenia ostatnich dni. Po nadzwyczajnych odkryciach dokonanych tego ranka i ucieczce w ostatniej chwili czuli się wyczerpani i zarazem szczęśliwi, a teraz pławili się w ciepłe gasnącego dnia.

- Zastanawiam się, co zrobiłby ten twój stary Grek. - Costas spojrział na Jacka.

- Pewnie podrapałby się w głowę, powiedział „och”, wziął papirus i zaczął wszystko spisywać. To był taki facet.

- Typowy archeolog - westchnął Costas. - Całkowity brak entuzjazmu.

Wyspę nadal zakrywały chmury pary w miejscach, w których lawa spłynęła do morza, ale wiedzieli, że nad wodą nic nie zostało. Podziemny labirynt zapadł się pod ciężarem wypełnionej magmą hali audiencyjnej. Przez kilka pełnych napięcia godzin tego popołudnia doświadczali na mniejszą skalę tego, co dotknęło mieszkańców Thiry. Nawet stabilizatory „Sea Venture” miały problem z falami wywołanymi przez wstrząsy sejsmiczne. Wiedzieli, że erupcja wciąż trwa głęboko pod wodą, a rzeki lawy płyną starożytnymi drogami, biorąc w objęcia zatopione miasto.

- Wykopaliska nadal są możliwe - powiedział Costas. - Spójrz na Pompeje i Herkulanum, a nawet na Akrotiri na Thirze.

- W Pompejach kopią od dwustu pięćdziesięciu lat i nie dotarli nawet do połowy - odparł Jack. - A tam miasto spoczywa pod popiołem, a nie lawą. I nie jest pod wodą.

Pocieszali się, że wzdłuż starożytnej linii brzegowej czekają na odkrycie inne cuda, stanowiska takie jak wioska pod Trabzonem, które mogłyby dać odpowiedź na pytanie, jak żyli ludzie z tej niezwykłej kultury sprzed ponad siedmiu tysięcy lat.

Dla Jacka nic nie było ważniejsze niż Atlantyda i jej miejsce w historii. Gdyby wiedzieli, że tak ryzykują, pewnie nie weszliby do wulkanu. Teraz nurkowanie w labiryncie i odkrycie sanktuarium były drogimi sercu wspomnieniami, doświadczeniami, których już nigdy nie da się powtórzyć.

Był pewien, że obrona łodzi podwodnej i zniszczenie Asłana zapobiegły zagładzie nuklearnej. Ich wyczyn był promykiem nadziei, znakiem, że ludzie nadal mają zdolność kształtowania swojego losu. Ze względu na pamięć kapłanów-wizjonerów żyjących u świtu cywilizacji musieli sprawić, żeby ich znalezisko zapamiętano nie tylko jako odkrycie dawnej chwały, ale jako obietnicę na przyszłość. Taka była prawdziwa spuścizna Atlantydy.

Zamierające podmuchy wiatru marszczyły wodę, rozbijając powierzchnię morza na pomarańczowo zabarwione arkusze. Na północy widać było oleistą smugę. Tyle zostało z „Vultury”. Jej spalony kadłub prawie niezauważony ześlizgnął się w odmęty godzinę temu. Blżej brzegu unosiła się ogromna sylwetka „Kazbeka”. Okręty eskorty przepuściły do łodzi podwodnej rosyjski statek techniczny. Dalej stał kolejny kordon okrętów wojennych. W ciągu całego dnia ich liczba stale rosła. Nikt nie chciał ryzykować. Wydarzenia ostatnich dni pokazały, że margines przestępczy dysponuje bezwzględnością i śmiałością, która pozwala mu targnąć się na największe międzynarodowe siły.

Efram Jacobovich stał tyłem do grupy i rozmawiał przez komórkę. Wykorzystując swoje talenty kupieckie, zdołał wynegocjować układ, zgodnie z którym bogactwa Asłana zostały rozdzielone między trzy główne strony. Turcy dostali rezerwy na pomoc ofiarom trzęsień ziemi, a Gruzini środki na zbudowanie potężnych sił bezpieczeństwa. IMU będzie mogło zbudować „Seaquest II”, a resztę funduszy przeznaczyć na sfinansowanie programu badawczego obejmującego całe wybrzeże Morza Czarnego.

Jack popatrzył na Costasa.

- A tak przy okazji, dziękuję za ADSA. Gdybyś nie nalegał, żeby go zainstalować w module dowodzenia, byłbym teraz fragmentem dna morskiego, Costas podniósł szklanekę, w której miał zasłużony dżin z tonikiem.

- A ja dziękuję, że pojawiłeś się w odpowiedniej chwili - powiedział. - Tam, gdzie byłem, zaczynało się robić bardzo gorąco.

- Mam pytanie - rzekł Jack. - Co byś zrobił, gdybym się nie pojawił?

- Po prostu zgodziłbym się zaprowadzić ludzi Asłana przez wulkan do łodzi podwodnej. Pamiętasz ostatni odcinek podwodnego tunelu zablokowany częściowo przez lawę? Poprowadziłbym ich korytarzem z lewej.

Prosto do komory magmowej.

- Tak czy inaczej i tak bym tam trafił - odparł Costas. - W ten sposób przynajmniej zabrałbym ze sobą paru ludzi Asłana i dał Katii szansę. Dla wyższego dobra, jakbyś powiedział.

Jack popatrzył na zamyśloną Katię. Opierała się o reling i patrzyła w morze. Słońce oświetlało jej twarz. Przez kilka ostatnich dni odkryli niewiarygodne rzeczy, ale ona przeszła przez straszne próby.

Spojrzał na posiniaczoną twarz przyjaciela.

- Dla wyższego dobra - powtórzył cicho.

Dillen siedział przy burcie i patrzył na horyzont, paląc swoją starą glinianą fajkę. Odwrócił się do Jacka.

- Chciałbym cię o coś spytać - powiedział. - Ten niekompletny zestaw złotych arkuszy. Jak myślisz, która grupa go dostała?

Jack zastanawiał się chwilę.

- Mieli wszystko aż do czwartej tablicy - rzekł. Podstawy rolnictwa, hodowli i kamieniarstwa. Mogli pójść do zachodniej Europy, gdzie epoka brązu zaczęła się później niż na Bliskim Wschodzie, do Hiszpanii, Francji albo Brytanii.

Albo dalej - dodał Dillen.

- Niektóre artefakty z wczesnej prehistorii znalezione w Ameryce Środkowej i w Chinach nigdy nie zostały odpowiednio zinterpretowane - powiedział Jack. Kiedy w Amerykach powstały pierwsze miasta, formy architektoniczne okazały się bardzo podobne do form występujących w starym świecie. Piramidy, dziedzińce, drogi procesyjne. Możliwe, że dziedzictwo Atlantydy stało się fenomenem na skalę globalną, że świat był wtedy tak ściśle złączony jak nigdy wcześniej ani później.

Rozbłysły światła na lądowisku dla helikoptera i Jack odwrócił się, żeby popatrzeć. Na lądowisku przez cały dzień coś się działo. Wcześniej tego popołudnia śmigłowiec z „Sea Venture” przyleciał z inspekcją ONZ do spraw broni atomowej i przewiózł inspektorów na „Kazbeka”. Teraz wylądował po drodze z Abchazji, żeby napęlić zbiorniki. Na pokładzie miał dzieła sztuki z rozbitej kwatery Asłana. Kiedy wystartował i skierował się do Stambułu, usłyszeli warkot dwóch helikopterów transportowych Westland, które czekały w kolejce do lądowania.

Jack był zmęczony, ale wiedział, że dobrze zrobił, zwołując konferencję prasową. Za niecałą godzinę reporterzy wrócą do kwatery IMU w Trabzonie i wiadomość o odkryciu obiegnie cały świat, by trafić na czołówki porannyh gazet.

Kiedy pierwszy helikopter usiadł na statku i zaczęli z niego wybiegać operatorzy kamer, Jack wstał. Zanim zszedł po schodkach, żeby stanąć w blasku reflektorów, zwrócił się do pozostałych.

- Zostanę tu do czasu zakończenia poszukiwań - powiedział. - Jestem to winien Peterowi. To ja go tutaj sprowadziłem i był moim przyjacielem.

- Był bohaterem rzekła - cicho Katia. - Świat jest lepszym miejscem, niż był pięć dni temu.

Popatrzyli w jej stronę. Nadal stała oparta o reling i patrzyła na wschód. Odwróciła się i spojrzała Jackowi w oczy. Emocje ostatnich dni nadal odbijały się na jej twarzy, ale łagodne, miedziane odcienie wieczornego światła zdawały się ścierać troski i nasycać ją ciepłem nadziei na lepszą przyszłość. Wstała i ze zmęczonym uśmiechem podeszła do niego.

Jack wziął głęboki oddech i spojrzał na innych.

- Zapraszam wszystkich na obiad.

- Przykro mi, stary. Dillen uśmiechał się, nie wypuszczając fajki z ust. - Przewodniczę konferencji paleolingwistycznej i ta mała wycieczka zakłóciła mi przygotowania. Obawiam się, że jutro muszę wracać do Cambridge.

- A ja muszę znaleźć arkę Noego - rzekł nonszalancko Mustafa. - Nie na górze Ararat, ale na wybrzeżu, gdzie wylądowała grupa południowa. Muszę zorganizować zespół badawczy IMU.

Jack zwrócił się do Hiebermeyera i Aiszy.

- A wy pewnie macie jakieś stare, nudne mumie do wykopania.

Hiebermeyer pozwolił sobie na uśmiech.

- Faktycznie.

- Tylko nie znajdź już więcej map prowadzących do skarbów.

- Skoro już o tym wspomniałeś, to dysponuję intrygującą relacją o odkryciu w hellenistycznej części nekropolii. Coś z czasów Aleksandra Wielkiego. Tajny transport przez Ocean Indyjski do odległego górskiego królestwa.

Jack natychmiast zaczął rozważać w duchu różne możliwości.

- A na wypadek, gdybyś zapomniał, to ten minojski wrak czeka na dalsze badania. - Costas odstawił drinka i przeglądał ostatnie wiadomości na ekranie palmtopa. Właśnie wydobyli kilka artefaktów, złote arkusze pokryte znajomymi symbolami. Uśmiechnął się i popatrzył na przyjaciela. - To kiedy zaczynamy następną wyprawę?

- To już zupełnie inna historia.

OD AUTORA

Odkrycie, które stanowi kanwę tej opowieści, jest fikcją. Niemniej tło archeologiczne jest na tyle wiarygodne, na ile tylko pozwala narracja. Uwzględniony został stan współczesnej wiedzy i debaty naukowej. Celem tej noty jest objaśnienie faktów.

Potop na Morzu Czarnym

Messyński kryzys zasolenia jest ustalonym faktem, rezultatem procesów tektonicznych i lodowcowo-eustatycznych, które odcięły Morze Śródziemne od Atlantyku. Kryzys datowany jest na 5 960 000 do 5 330 000 lat temu. Zalanie gibraltarskiego pomostu lądowego gwałtownie zakończyło ten okres. Poziom Morza Śródziemnego wzrósł o kolejne 130 metrów podczas „wielkiego topnienia” pod koniec epoki lodowcowej, jakieś 12 000 do 10 000 lat temu.

Z ostatnich odkryć wynika, że Morze Czarne było odcięte od Morza Śródziemnego jeszcze przez kilka tysięcy lat i podniosło się do tego samego poziomu dopiero wtedy, gdy w VI tysiącleciu przed naszą erą wody sforsowały naturalną zaporę, jaką stanowił Bosfor. Z próbek pobranych pod dnem Morza Czarnego można wnosić, że około 7500 lat temu zmienił się rodzaj osadów ze słodkowodnych na morskie. Potwierdza tę datę badanie metodą węgla radioaktywnego skorup mięczaków po obu stronach bariery. Mniej więcej w tym czasie gwałtownie skurczyła się pokrywa lodowa na zachodniej Antarktydzie. To wydarzenie połączone z aktywnością tektoniczną spowodowało przelanie się morza przez Bosfor.

W 1999 roku naukowcy, posługując się sonarem i włókiem, znaleźli prawdopodobną starożytną linię brzegową położoną na głębokości 150 metrów, przy brzegach północnej Turcji w okolicach Synope. Chociaż na temat datacji, szybkości i obszaru po-

wodzą na Morzu Czarnym toczą się dyskusje, samo zaistnienie tego faktu jest powszechnie uznane.

Exodus neolityczny

Wielu ekspertów uważa, że języki indoeuropejskie powstały w rejonie Morza Czarnego między VII a V tysiącleciem p.n.e. Na długo przed sformulowaniem hipotezy o powodzi na Morzu Czarnym najwybitniejsi archeolodzy utrzymywali, że język indoeuropejski powstał wśród pierwszych rolników w Anatolu około 7000 lat p.n.e. i dotarł do Europy 6000 lat p.n.e., gdzie rozprzestrzenił się wraz z wprowadzaniem na wielką skalę rolnictwa i hodowli. Ten model wywołał wiele kontrowersji, między innymi spór o to, czy pierwsze było rozproszenie ludzi, czy też rozprzestrzenienie się idei, ale pozostaje osią każdej z debat nad początkami cywilizacji.

Atlantyda

Jedynym źródłem opowieści o Atlantydzie są dialogi greckiego filozofa Platona z pierwszej połowy IV wieku p.n.e., *Timaios i Kritias*. Ten, kto chce uwierzyć w opowieść, musi uznać za fakt dwie sprawy: po pierwsze, że Platon jej po prostu nie zmyślił; po drugie, że przywołane przez niego źródło, ateński mędrzec Solon żyjący kilka pokoleń wcześniej, sam nie został oszukany w egipskim Sais przez kapłanów, z którymi ponoć miał rozmawiać w początkach VI w. p.n.e.

Wydaje się prawdopodobne, że egipscy kapłani dysponowali zapisami sięgającymi tysiące lat wstecz. Greckiemu historykowi Herodotowi, który odwiedził Egipt w połowie V wieku p.n.e. i zbierał od kapłanów informacje (z których większość daje się potwierdzić), pokazano papirus z listą sukcesyjną „trzystu trzydziestu” egipskich monarchów (Herodot *Dzieje*). Napisał jednak ostrzeżenie: „To więc opowiadają sami Egipcjanie”.

Przed Solonem śródziemnomorscy żeglarze wiedzieli już o odległych brzegach za Morzem Czerwonym na wschodzie i za Słupami Heraklesa na zachodzie. Ale nie ma potrzeby tak daleko szukać Atlantydy. Dla Egipcjan w VI wieku p.n.e., odizolowanych od stuleci po upadku świata epoki brązu, Kreta była tajemniczym lądem za horyzontem, na którym niegdyś rozkwitała wspaniała cywilizacja. Wszystkie kontakty zostały zerwane w wyniku kataklizmu, którego Egipcjanie sami doświadczyli w postaci ciemności i plagi szarańczy opisanych w Starym Testamencie (Księga Wyjścia, 10).

Dziś wielu z tych, którzy uznają prawdziwość opowieści Platona, widzi Atlantyde w Krecie, w cywilizacji minojskiej, która zniknęła w wyniku wybuchu na Thirze w połowie II tysiąclecia p.n.e.

...szereż nie udało się odnaleźć młodszej warstwy. Niemniej odkryto kilka wraków z późnej epoki brązu, w tym jeden w 1982 roku u wybrzeży południowo-zachodniej Turcji. Odkrycie to okrzyknięto największym w historii archeologii od czasów znalezienia grobu Tutanchamona. Wśród wydobytych z wraku artefaktów znalazły się tony miedzianych i cynowych sztab w kształcie skór wołów, schowek ze sztabami niebieskiego szkła kobaltowego, kłody hebanu i kły słoniowe, piękne miecze z brązu, pieczęcie lewantyńskich kupców, złotą biżuterię i wspinały złoty kielich oraz fantastycznego złotego skarabeusza z Nefretete, który umiejscawia wrak w końcu XIV wieku p.n.e. Metalu

było dosyć, żeby wyposażyć całą armię, i być może stanowił on królewski trybut. Wśród znalezisk są także przedmioty o znaczeniu religijnym interpretowane jako przybory kapłańskie. Skarby te zostały wystawione w Muzeum Archeologii Podwodnej w Bodrum.

Odkryta w 2001 roku, w gruzińskiej miejscowości Dmanisi czaszka hominida datowana jest na 1 800 000 lat, czyli jest prawie milion lat starsza od najwcześniejszych skamieniałości hominidów z Europy. Znacznie późniejsza migracja z Afryki sprowadziła *Homo sapiens*, który około 3500 lat temu zaczął malować wspaniałe podobizny zwierząt na ścianach jaskiń.

„Hala przodków” oparta jest nie tylko na słynnym malarstwie jaskiniowym z Lascaux we Francji i z Altamiry w Hiszpanii, datowane odpowiednio na 20 000 lat i 17 000 lat, ale także na nowszych znaleziskach. W 1994 roku grotolazi odkryli w Chauvet w południowej Francji kompleks zablokowany w prehistorycznych czasach przez skałę. Malowidła datowano na 35 000 lat, są więc jednymi z najstarszych, jakie kiedykolwiek znaleziono; dowodzą one, że artyści epoki kamienia osiągnęli szczyty umiejętności zaledwie kilka tysięcy lat po tym, jak nowoczesny anatomicznie człowiek przybył do tego regionu. Wśród malowideł jest ogromny mamut włochaty i inna megafauna epoki lodowcowej. Jest też jaskinia odnaleziona w 1991 roku, w okolicach Marsylii. Zawiera ona ponad 140 malowideł i sztychów. Znalezisko jest szczególnie warte uwagi, bo wejście do jaskini położone jest 37 metrów pod poziomem morza. Jaskinia Cosquera dowodzi, że w innych jaskiniach zatopionych pod koniec epoki lodowcowej mogą znajdować się nieodkryte skarby.

Musiały minąć tysiące lat, zanim język zaczął być przedstawiany w formie pisemnej. Najstarsze jest pismo klinowe z Mezopotamii i egipskie hieroglify z około 3200 roku p.n.e. Niemniej wśród znalezisk z górnego paleolitu (35 000- 11 000 lat temu), współczesnych ze sztuką jaskiniową, mamy kości z nacięciami w postaci linii i kropek, które mogą przedstawiać sekwencje liczb, być może upływ dni kalendarza lunarne. Idea pisma mogła zatem powstać na długo, zanim w epoce brązu pojawiła się konieczność gromadzenia zapisów.

Fikcyjni kapłani Atlantydy stanowią amalgamat szamanów i lekarzy społeczeństw myśliwsko-zbierackich z kapłanami-królami wczesnych państw-miast. Są też odległymi prekursorami druidów, tajemniczych kapłanów znanych głównie z *Wojny galijskiej* Cezara. Możliwe, że druidzi byli potężnymi mediatorami, którzy łączyli rozmaite plemiona celtyckiej Europy. Ich przodkowie mogli nosić stożkowane złote „czapki czarnoksiężników” ozdobione symbolami astrologicznymi. Ostatnio znaleziono takie artefakty pochodzące z epoki brązu. Symbole znaczą, że ten, kto nosi taką czapkę, potrafi narysować i przewidzieć ruchy nieba, włączając w to cykl lunarny. Była to wiedza uzyskiwana również w megalitycznych obserwatoriach, takich jak Stonehenge. Najwcześniejsze czapki datowane są na 1200 rok p.n.e. i jak do tej pory nie znaleziono żadnej poza zachodnią Europą.

Pierwsi rolnicy na wyspach Morza Śródziemnego mieli pary rozplodowe zwierząt domowych, w tym owiec, kóz, świń i bydła. Żadne z tych zwierząt nie występowało na wyspach, więc musiały tam zostać sprowadzone z kontynentu na długich łodziach wiosłowych. Wykopaliska na Cyprze dają podstawę do twierdzenia, że te migracje zaczęły się już w IX tysiącleciu p.n.e., wkrótce po rozpowszechnieniu się rolnictwa na terenach „żywnego półksiężyca” Anatolii i Bliskiego Wschodu.

Najstarszą łodzią drewnianą jest dłubanka z Danii, datowana między V a IV tysiącleciem p.n.e. Podczas gdy pierwsze łodzie egipskie i budowane na Bliskim Wschodzie były zapewne robione z pęków trzciny, to dostatek drewna na południowym wybrzeżu Morza Czarnego pozwala sądzić, iż budowano tu statki z drewna, nawet zanim dostępne stały się metalowe narzędzia.

Modelem dla arki Noego jest „łódź z Dover”, świetnie zachowany kadłub znaleziony w 1992 roku w angielskim porcie tej nazwy. Chociaż datuje się na epokę brązu, jej ogólny kształt może być typowy dla najwcześniejszych łodzi wychodzących w morze. Ma ona około 15 metrów długości i została zbudowana z desek zszytych łykiem cिसowym, dzięki czemu można było ją rozbierać do naprawy albo transportu. Mieszcząc 18 do 20 wioślarzy, była w stanie przewozić pasażerów, zwierzęta i inne ładunki przez kanał La Manche. Dla neolitycznego exodusu bardziej prawdopodobna wydaje się flotyła takich łodzi, a nie jeden statek wielkości starotestamentowej arki, zwłaszcza że nie było metalowych narzędzi ciesielskich, a efektywny takielunek czekał jeszcze na wynalezienie.

Najważniejsze odkryte do tej pory stanowiska neolityczne to Jerycho i Catal Huyuk. Jerycho, biblijne miasto identyfikowane z Tell es-Sultan w dolinie Jordanu, otoczone było wielkim kamiennym murem zbudowanym około 8000 roku p.n.e. w przedceramicznej epoce neolitycznej. Mało jest dowodów na prowadzenie wojen przed

VI tysiącleciem p.n.e. - fortyfikacji, spalonych osiedli, miejsc masaker. Według nowego spojrzenia „mury obronne” Jerycha były faktycznie zabezpieczeniem przed powodzią.

Catal Huyuk w południowo-środkowej Turcji rozkwitało od końca VII do połowy VI tysiąclecia, kiedy to zostało porzucone. Jego przypominające pueblo domy z komnatami kultu wyposażonymi w symbole byczych rogów i ozdobionymi barwnymi malowidłami ściennymi stały się wzorem dla budowli znalezionych na dnie Morza Czarnego. Wśród znalezisk są gliniane i kamienne figurki groteskowo korpulentnej bogini matki, przypominające stylizowane wyobrażenie kobiety niedawno znalezione na tureckim brzegu Morza Czarnego w ikiztepe.

Jednym z wielu ciekawych obiektów z Catal Huyuk jest fresk w komnacie kultu datowany na około 6200 rok p.n.e. Ukazuje on wulkan wypuszczający wielki pióropusz popiołu. Wulkan, z dwoma bliźniaczymi szczytami rozdzielonymi siodłem, przypomina wyobrażenia byczych rogów z miejsc świętych. Pod nim leży miasto rozciągające się nad brzegiem morza. Jego budynki przypominają te z Catal Huyuk, ale są podzielone na ciasne, prostoliniowe bloki. Wulkan może być stożkiem popiołów z pola wulkanicznego Karapinar odległego o jakieś 50 kilometrów na wschód, a miastem może być samo Catal Huyuk; albo jest to odległa scena, gdzie nabrzeżne miasto rzeczywiście usadowiło się pod bliźniaczymi szczytami wulkanu. To malowidło jest najstarszym obrazem aktywnego wulkanu i zaplanowanego miasta.

Najwyraźniejsze dowody na wczesny rozwój cywilizacyjny nad Morzem Czarnym pochodzą z Warny w Bułgarii, gdzie na cmentarzysku znaleziono ogromny schowek artefaktów ze złota i miedzi wraz z obiektami wykonanymi z krzemienia i kości. To znalezisko pokazuje nie tylko nadzwyczajne osiągnięcia wczesnych rzemieślników pracujących w metalu, ale także strukturę społeczeństwa, którego stratyfikację odzwierciedla materialne bogactwo. Cmentarzysko pochodzi z późnego neolitu, okresu zwanego także chalkolitycznym albo epoką miedzi, i było używane w połowie V tysiąclecia p.n.e.

Osiemdziesiąt kilometrów na północ od Krety leży wulkaniczna wyspa Thira. Odkopano tylko część prehistorycznego miasta Akrotiri. Wydobyte spod popiołów i pumeksu, wygląda jak Pompeje epoki brązu. Jego mieszkańcy zostali ostrzeżeni przed wybuchem. Prawdopodobnie sygnałem była seria gwałtownych trzęsień ziemi. Jak do tej pory nie odkopano żadnego „klasztoru”, ale wspinały fresk marynistyczny z Akrotiri ukazujący procesję statków i okazała budowla na brzegu morza pozwala wnioskować, że religijne rytuały i ceremonie odgrywały ważną rolę w życiu mieszkańców wyspy.

Wielu archeologów umiejscawia wybuch około 1500 roku p.n.e. Datacja opiera się na analizie zniszczeń pałaców na Krecie i czasie przybycia Mykeńczyków. Niemniej naukowcy doszli ostatnio do wniosku, że „najlepiej pasuje” rok 1628 p.n.e. Twierdzenie

oparli na badaniach kwasowości warstw grenlandzkiego lodu, ustaleniach dokonanych przy użyciu węgla radioaktywnego i dendrologicznej analizie irlandzkiego dębu oraz kalifornijskiej sosny. Bez względu na precyzję datacji nie ma wątpliwości co do kolosalnej skali wybuchu, który zniszczył osiedle na Thirze, pokrył ogromne połacie wschodniej części basenu Morza Śródziemnego i wywołał tsunami, które zdruzgotało północne wybrzeże Krety i zniszczyło statki znajdujące się nawet wiele kilometrów od epicentrum.

Aleksandria, wielki port założony przez Aleksandra Wielkiego w 331 roku p.n.e. na śródziemnomorskim wybrzeżu Egiptu stanowi tło konferencji z początkowych rozdziałów tej książki. Odbywa się ona w fortecy Quaitbay, zamku zbudowanym w XV wieku na fundamentach starożytnej latarni morskiej u wejścia do portu. Wiele fragmentów kamieniarki i odłamów rzeźb zaznaczono na mapie dna morskiego, w miejscu, gdzie w XIV wieku zawałła się latarnia.

Ponad 2000 kilometrów na zachód od Aleksandrii na przedmieściach Tunisu leży Kartagina, miejsce, w którym ulokowano fikcyjne muzeum morskie. Zainicjowany w 1972 roku program UNESCO „Uratować Kartaginę” sprawił, że miasto należy do najlepiej przebadanych zabytków starożytności, mimo iż zostało zburzone do fundamentów przez Rzymian w 146 roku p.n.e., a prawie 900 lat później zburzyli ją ponownie Arabowie. Dziś najbardziej charakterystycznym miejscem jest tam śródlądowy okrągły port, w którym wykopaliska odsłoniły pochylne okrętowe, niegdyś mieszczące flotę galer wojennych.

Solon to postać historyczna. Urodził się około 640 roku p.n.e., a w 594 roku p.n.e. został pierwszym archontem Aten. Znany jest jako mąż stanu, którego reformy wytyczyły drogę do demokratycznego miasta-państwa złotego wieku. Potem podróżował po Egipcie i Azji Mniejszej i był czczony jako jeden z „siedmiu mędrców” Grecji. Przetrwało tylko kilka fragmentów jego poematów, ale nie ma wątpliwości, że podobnie jak Herodot 100 lat później spisywał mnóstwo informacji uzyskiwanych od kapłanów i innych rozmówców, których spotykał podczas swoich podróży.

„Papiirus Atlantydy” jest fikcją, chociaż okoliczności jego odkrycia zostały zainspirowane godną uwagi serią znalezisk w zachodnim Egipcie. W 1996 roku, w oazie Bahariya osioł zapadł się w piasek, pod którym, jak się okazało, znajduje się wykuta w skale nekropolia. Przez 15 wieków nikt do niej nie zaglądał. Od tego czasu wykopano ponad 200 mumii, wiele z nich pozłacanych i malowanych, z portretami zmarłych i scenami religijnymi. Pochodzą z okresu grecko-rzymskiego, który rozpoczął się po podboju dokonany przez Aleksandra w 332 roku p.n.e. W 1999 roku archeolodzy prowadzący wykopaliska pod miastem El Bawiti znajdującym się w oazie odkryli

grobowiec gubernatora Bahariyi z czasów XXVI dynastii (664-525 roku p.n.e.), okresu podróży Silona.

Ruiny Sais leżą pod współczesną wioską Sa el-Hagar w zachodniej części delty Nilu, niedaleko odnogi Nilu Rosetta, niecałe 30 kilometrów od Morza Śródziemnego. Podobnie jak w przypadku Kartaginy i Aleksandrii, z tej nadrzecznej metropolii niewiele przetrwało do naszych czasów. Kamień został zużyty na cele budowlane, a fundamenty pokryła wielometrowa warstwa mułu. Niemniej Sais było prawdopodobnie ważnym centrum kultu u świtu historii Egiptu, nawet przed wczesnym okresem dynastycznym (około 3100 roku p.n.e.). Przed wizytą Solona było królewską stolicą XXVI dynastii, miejscem dobrze znanym Grekom, osiadłym w pobliskim emporium Naukratis.

Z najdalszych nawet stron ściągali tu pielgrzymi, żeby złożyć hołd bogini Neith w wielkim kompleksie świątynnym opisanym przez Herodota, który przybył tu w następnym stuleciu. Spotkał się ze „skrybą”, jak nazywał arcykapłana, który „prowadził rejestr świętych skarbów Ateny (Neith) w mieście Sais” (*Dzieje*). Świątynia miała ogromne obeliski, kolosalne posągi i sfinksy o głowie lwa. Dziś trzeba wysilić imaginację, żeby wyobrazić sobie coś podobnego na tym stanowisku archeologicznym, ale niski mur z wapienia pozwala domyślać się obszaru równie wielkiego jak w przypadku słynnego kompleksu świątynnego w Karnaku w Górnym Egipcie.

Znalezione podczas wykopaliisk wczesne hieroglify i lista kapłanów są fikcją. Niemniej, zrzędzeniem losu, imię kapłana, który spotkał się z Solonem, jest znane: Amehotep, którego imponujący posąg z szarego piaskowca, prawdopodobnie pochodzący z Sais i złożony jako wotum świątyni za XXVI dynastii, znajduje się w British Museum. Kapłan trzyma *naas*, relikwiarz z otoczonym czcią posążkiem bogini Neith.

Żeglarze epoki brązu, którzy chcieli dopłynąć z Krety do delty Nilu, mogli wyruszyć z ostatnio odkopanego portu w Kommos na południowym brzegu wyspy, w zasięgu wzroku z pałacem w Fajstos. Wspaniale położony pałac dominuje nad równiną Mesara i przylega do góry Ida z jej świętymi pieczarami i sanktuariami na szczycie. Trzy kilometry dalej położony jest kompleks zwany Hagia Triada, tradycyjnie uważany za królewską willę, ale być może była to jakaś forma seminarium dla minojskich kapłanów. To tutaj w 1908 roku znaleziono słynny dysk z Fajstos. Jego 241 symboli i 61 „słów” oparło się do tej pory przekładowi, ale mogą się odnosić do jednego z wczesnych języków, którymi posługiwano się w zachodniej Anatolii, a co za tym idzie, do języka indoeuropejskiego z wczesnego neolitu. Znak, który tutaj nazywany jest „symbolem Atlantydy”, naprawdę istnieje, i to tylko na tym dysku.

Nie znaleziono drugiego dysku, ale ten, który odkryto, można podziwiać w Muzeum Archeologicznym w pobliskim Iraklionie, gdzie został wystawiony wraz z innymi skarbami minojskiego świata.

W Hagia Triada znaleziono też malowany sarkofag, na którym widnieje związany byk leżący na ołtarzu. Krew z jego szyi spływa do naczynia libacyjnego. Jakież 50 kilometrów dalej na północ, w Arkhanes, archeolodzy znaleźli dowód na inny rodzaj ofiar: młodzieniec leżał związany na niskiej platformie w świątyni na szczycie wzgórza, z jego szkieletu wystawał nóż z brązu z wygrawerowaną tajemniczą bestią przypominającą dzika. Chwilę po jego śmierci świątynia zawałowała się podczas trzęsienia ziemi i w ten sposób zachował się jedyny jak do tej pory dowód na składanie ofiar z ludzi w epoce brązu.

Arkhanes leży pod górą Juktas, której święty szczyt wznosi się nad doliną prowadzącą do Knossos. Wśród wielu nadzwyczajnych znalezisk w Knossos odkryto kilka tysięcy wypalonych glinianych tabliczek, z których większość zostało pokrytych pismem linearnym B, a kilkaset pismem linearnym A. Pismo linearne B zostało odcyfrowane jako wczesna forma greki, języka używanego przez Mykeńczyków, którzy przybyli na Kretę w XV stuleciu p.n.e. Przyjęli pismo, ale odrzucili język. Pismo linearne A jest podobne, także sylabiczne, i ma pewną liczbę wspólnych z B symboli, ale pochodzi z czasów przed przybyciem Greków i nie zostało odczytane.

Dwa kolejne stanowiska archeologiczne z epoki brązu, o których mowa w książce, to Ateny i Troja. Na Akropolu wśród nielicznych pozostałości z prehistorii występują wykuty w skale tunel prowadzący w5 podziemnego źródła; to on stał się inspiracją dla pomysłu, że może tam być więcej ukrytych komór z okresu klasycznego. Jeśli chodzi o Troję, to badania paleogeograficzne ustaliły linie starożytnych plaż i może pewnego dnia odkryte zostaną dowody oblężenia prowadzonego w epoce brązu.

Morze Czarne jest rzeczywiście martwe poniżej głębokości 200 metrów, co wynika z nagromadzenia się wielkich ilości siarkowodoru. Przyczyną tego stanu rzeczy są procesy biochemiczne opisane w tej książce. W głębinach znajdują się złoża solanki, które powstały, kiedy morze było odcięte od Morza Śródziemnego, i zaczęły parować, sprawiając, że sól się osadzała.

Na południu morza rozciąga się jedna z najaktywniejszych w świecie granic geologicznych. Świat zwrócił na nią uwagę, kiedy w 1999 roku trzęsienie ziemi o sile 7,4 stopnia zniszczyło północno-wschodnią Turcję. Uskok Północnoanatolijski pomiędzy płytą afrykańską a eurazjatycką przebiega aż do góry Ararat, która sama jest wygasłym wulkanem o dwóch szczytach i może być kojarzona z wymyślonym krajobrazem z tej książki, włączając w to wyspę wulkaniczną, rów tektoniczny i otwory termiczne.

Na wodach przybrzeżnych Morza Czarnego znaleziono kilka wraków starożytnych statków handlowych. Jeden z nich został zlokalizowany przez pojazd podwodny u wybrzeży Bułgarii w 2002 roku. W roku 2000 zespół, który określił przebieg starożytnej linii brzegowej w okolicach Synope, znalazł wrak pochodzący z późnej starożytności.

Obiekt leżał na głębokości 320 metrów. Jego wspaniale zachowany kadłub jest wskazówką że w pozbawionych tlenu głębinach mogą się kryć archeologiczne cuda.

Za wyjątkiem „magicznego szlamu” EH-4 i niektórych aspektów zastosowania lasera większość technologii przedstawionych w tej książce ma podstawę w bieżących projektach, włączając w to sprawy związane z nurkowaniem i archeologią. „Kazbek” jest fikcyjnym wariantem sowieckiej łodzi podwodnej klasy „Akuła- I”; sześć takich łodzi zostało zamówionych przez Marynarkę Wojenną ZSRR między 1985 a 1990 rokiem.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję mojemu agentowi Luigiemu Bonomi, redaktorom Harriet Evans i Billowi Masseyowi oraz Jane Heller. A także Amandzie Preston, Amelii Cummins, Yanessie Forbes, Gai Banks, Jenny Bateman i Catherine Cobain. Dziękuję też wielu przyjaciołom, kolegom i instytucjom, które sprawiły, że moja praca w terenie była przez całe lata przygodą i że prawdziwa archeologia stała się równie ekscytująca jak fikcja. Dziękuję Ann Verrinder Gibbins, która zabrała mnie na Kaukaz i do Azji Środkowej, a potem stworzyła bezpieczną przystań do pisania. A także Tacie, Alanowi i Hugh oraz Zebedee i Suzie. I w końcu Angie i naszej kochanej córeczce Molly, która przysłała na świat, kiedy ta książka była jeszcze w sferze pomysłu, a potem przez cały czas mnie prowadziła.